

Jak poznać prawdę, gdy wymazano Ci pamięć?



ZRESETOWANA

TERI TERRY

MEODY
BOOK!

T E R I T E R R Y

— Z R E S E T O W A N A —

Z języka angielskiego przełożyła
Patrycja Zarawska

**MEODY
BOOK!**

Tytuł oryginału:
SLATED

Text copyright © Teri Terry 2012

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Debit, Młody Book
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Debit, Młody Book

Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Ewa Ossowska, Marta Stasińska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

ISBN 978-83-8057-212-6

WYDAWNICTWO DEBIT Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
email: mlodybook@soniadruga.com.pl
www.mlodybook.com.pl
www.facebook.com/BookMlody
www.instagram.com/mlodybook

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty](#)
[Rozdział pięćdziesiąty pierwszy](#)
[Podziękowania](#)
[Przypisy](#)

*Grahamowi,
który nie wiedział, w co się pakuje,
ale i tak zawsze był przy mnie.*

PROLOG

Biegnę.

Pięści fal wbijają pazury w piasek, kiedy się zmuszam, by pędzić stopa za stopą. Wdrapuję się pod górę, ześlizgnę w dół... i znowu. Szybciej. Wzrok utkwiony hen, w wydmach daleko z przodu. Nie patrzeć za siebie. Nie wolno. Urywany oddech: wdech, wydech, wdech, wydech. Wciąż biegnę.

Gdy czuję, że zaraz rozsadzi mi płuca, a serce wybuchnie jak szkarłatna gwiazda na piasku, potykam się.

Człowiek odwraca się. Ciągnie mnie, żebym wstała, i ponagla.

To jest coraz bliżej.

Nie mogę ustać i znów padam. Nie dam rady już dłużej biec.

Kłęka, by mnie podtrzymać, i patrzy mi w oczy.

– Już czas. Szybko, teraz! Stawiaj mur!

Bliżej.

A więc buduję mur, cegła za cegłą. Rząd za rzędem. Wysoką budowlę, jak wieża Roszpunki, tylko że tutaj nie ma okna, nie ma skąd spuścić włosów.

Żadnych szans na ratunek.

– Nie zapomnij, kim jesteś! – krzyczy. Łapie mnie za ramiona i potrząsa mną mocno.

Na morze opada zasłona strachu. Piasek. Jego słowa. Sińce na moich ramionach, ból w piersi i w nogach.

To już tu jest.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziwne.

W porządku, brakuje mi doświadczenia, na którym mogłabym oprzeć ten osąd. Zdaje się, że mam szesnaście lat i nie jestem zapóźniona w rozwoju ani zacofana, nie trzymano mnie też zamkniętej w szafie od urodzenia – na ile mi wiadomo – ale Zresetowanie właśnie to z tobą robi. Pozbawia cię doświadczenia.

Przez jakiś czas wszystko jest dla ciebie pierwsze. Pierwsze słowa, pierwsze kroki, pierwszy pajak na ścianie, pierwszy stłuczony palec u nogi. Masz pojęcie, że wszystko jest p i e r w s z e.

Więc fakt, że dziś czuję się dziwnie i nieswojo, może być właśnie tym.

Ale gryzę paznokcie i siedzę tu, czekając na mamę, tatę i Amy – żeby zabrali mnie ze szpitala do domu. Nie wiem, kim są, i nie wiem, gdzie jest „dom”. N i c nie wiem. Jak to może nie być... dziwne?

„Bzzzz” – łagodna ostrzegawcza vibracja z Levo, które mam na lewym nadgarstku. Spoglądam w dół. Opadłam na skali do 4,4, po niewłaściwej stronie „szczęścia”. Biorę więc do ust kostkę czekolady i wskaźnik zaczyna się powoli podnosić, w miarę jak smak rozpląwa się na języku.

– Jeszcze trochę takich nerwów i utyjesz.

Podskakuję.

W drzwiach stoi doktor Lysander. Wysoka, szczupła, w białym kitlu. Ciemne włosy zaczesane gładko do tyłu. Grube okulary. Zwykle sunie milcząca jak duch i podobno z góry wie, że ktoś wpadnie w „czerwone”, z a n i m do tego dojdzie. Ale nie jest taka jak niektóre pielęgniarki, co to przytulą i od razu robi się lepiej na duszy. Właściwie trudno ją nawet nazwać m i ł ą.

– Pora na ciebie, Kyla. Chodź.

– Muszę? Nie mogę tu zostać?

Potrząsa głową. Błysk zniecierpliwienia w oczach mówi: „Słyszałam to już milion razy”. Albo przynajmniej dziewiętnaście tysięcy czterysta siedemnaście razy, ponieważ na moim Levo widnieje numer „19 418”.

– Nie. Wiesz, że to niemożliwe. Potrzebny nam ten pokój. Chodź.

Odwraca się, wychodzi. Biorę swoją torbę, by ruszyć za nią. Zabrałam wszystko, co mam, lecz torba nie jest ciężka.

Zanim zamknę za sobą drzwi, widzę: moje cztery ściany. Dwie poduszki,

jeden koc. Jedna szafa. Umywalka z chipem po prawej stronie to jedyna rzecz, która odróżnia mój pokój od pozostałych pudełkowatych pomieszczeń ciągnących się w nieskończoność rzędem na tym piętrze i innych. Pierwsze rzeczy, jakie p a m i ę t a m.

Przez dziewięć miesięcy granice mojego wszechświata. To i gabinet doktor Lysander oraz siłownia i szkoła piętro niżej, dla pozostałych takich jak ja.

„Bzzzz” – teraz bardziej natarczywie. Wibruje na moim przedramieniu, domagając się uwagi. Levo pokazuje spadek do 4,1. Za nisko.

Doktor Lysander odwraca się, mruczy coś pod nosem. Pochyliła się, zagląda mi w twarz i dotyka mojego policzka. Kolejny pierwszy raz.

– Naprawdę będzie dobrze. I na początek będziemy się widywać raz na dwa tygodnie.

Uśmiecha się. Niespotykane rozciągnięcie warg nie pasuje do jej twarzy, jakby znalazło się tam przez przypadek i nie było pewne, co teraz ze sobą zrobić. Jestem tak zaskoczona, że zapominam o strachu i zaczynam wydobywać się z „czerwonego”.

Doktor kiwa głową, prostuje się i idzie korytarzem do windy.

W milczeniu zjeżdżamy dziesięć pięter na parter, a potem kierujemy się krótkim korytarzem do następnych drzwi, przez które dotąd nie przechodziłam z oczywistych powodów. Widniejące na nich litery „R&W” oznaczają Rejestrację i Wymeldowanie. Kto przejdzie przez te drzwi, już nie wraca.

– Idź dalej – mówi doktor.

Waham się, po chwili popycham drzwi. Odwracam się, żeby powiedzieć „do widzenia” albo „proszę, nie zostawiaj mnie”, albo i jedno, i drugie, lecz ona znika już w windzie, zamasyście powiewając białym kitem i czarnymi włosami.

Serce mi dudni, bije zbyt szybko. Oddycham: wdech, wydech, za każdym razem licząc do dziesięciu, aż oddech zaczyna zwalniać. Tak jak nas uczono. Potem prostuję ramiona i otwieram szerzej drzwi. Za progiem znajduje się długie pomieszczenie z drzwiami po przeciwnej stronie i rzędem plastikowych krzeseł pod jedną ścianą. Dwoje innych Zresetowanych siedzi, każde z torbą podobną do mojej u stóp na podłodze. Pamiętam oboje z lekcji, sama byłam tu znacznie dłużej niż oni. Podobnie jak ja nie mają już na sobie jasnoniebieskich bawełnianych kombinezonów, jakie nosiliśmy do tej pory, tylko zwykłe dżinsy. Kolejny strój obowiązkowy, tak? Uśmiechają się, szczęśliwi, że nareszcie opuszczą szpital i pojedą do swoich rodzin.

Nie szkodzi, że zobaczą je po raz pierwszy w życiu.

Pielęgniarka siedząca przy biurku pod drugą ścianą podnosi wzrok. Stoję w drzwiach, niechętna, żeby je puścić i zamknąć za sobą. Kobieta lekko marszczy brwi i skinieniem ręki przywołuje mnie do środka.

– Wejdz. Jesteś Kyla? Musisz się najpierw u mnie zameldować, zanim się wymeldujesz – mówi i uśmiecha się szeroko.

Zmuszam stopy, by ruszyły w jej stronę. Moje Levo wibruje, gdy puszczone drzwi zamykają się za mną z rozmachem. Pielęgniarka łapie mnie za rękę i sprawdza odczyt z Levo, które drga jeszcze natarczywiej: 3,9. Kobieta potrząsa głową i trzymając mnie mocno za bark jedną ręką, drugą wbija mi w ramię igłę strzykawki. Wyrywam się i rozcieram sobie ramię.

– Co to jest? – pytam, choć sama dobrze wiem.

– Coś, co podtrzyma cię na poziomie do czasu, gdy staniesz się problemem kogoś innego. Siadaj i czekaj, aż zostaniesz wywołana.

W żołądku mi się przewraca. Siadam. Tamtych dwoje patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Czuję, jak Sok Radości rozplywa się w moich żyłach, łagodząc emocje, ale nie zatrzymuje to moich myśli, mimo że wskaźnik Levo powoli podnosi się do piątki.

A co, jeśli rodzice mnie nie polubią? Nawet gdy się naprawdę staram – co, szczerze mówiąc, nie zawsze się zdarza – ludzie do mnie nie lgną. Złoszczą się, tak jak doktor Lysander, kiedy nie robię lub nie mówię tego, czego oczekują.

A jeśli ja ich nie polubię? Znam tylko ich imiona i nazwiska. Mam jedno zdjęcie – przedtem wisiało w ramce na ścianie mojego szpitalnego pokoju, teraz jest w torbie. David, Sandra i Amy Davis: tato, mama i starsza siostra. Uśmiechają się na fotografii i wyglądają sympatycznie, ale kto wie, jacy są naprawdę?

Ostatecznie jednak wszystko to nie ma znaczenia, ponieważ bez względu na to, kim są, muszę sprawić, żeby mnie polubili.

Porażka nie wchodzi w grę.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Rejestracja” nie jest skomplikowana. Przechodzę przez skaner, robią mi zdjęcia, zdejmują odciski palców i ważą mnie.

Za to w „Wymeldowaniu” kryje się podstęp. Pielęgniarka wyjaśnia, że mam się przywitać z mamą i tatą, wspólnie z nimi podpisać papiery stwierdzające, że od tej pory jesteśmy jedną kochającą się rodziną, a następnie wyjdziemy razem i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Rzecz jasna, z miejsca dostrzegam problem: a jeśli popatrzą na mnie i nie podpiszą? Co wtedy?

– Wyprostuj się! I u ś m i e c h n i j – syczy pielęgniarka, po czym wypycha mnie przez drzwi.

Przywołuję na usta szeroki uśmiech, przekonana, że w ten sposób nie zmienię się z Kyli przerażonej i przygnębionej w Kylę anielską i radosną. Już raczej będę wyglądać na pomyloną.

Staję w drzwiach i oto są. Prawie się spodziewałam, że ich zobaczę upozowanych jak na tej fotografii, w tych samych ubraniach, jak lalki. Ale każde z nich ma na sobie inne rzeczy, siedzi w innej pozycji, a o moją uwagę walczy wiele szczegółów – zbyt wiele naraz. Czuję, że wszystko to zaraz mnie przytłoczy i pośle w „czerwone”, mimo Soku Radości, który wciąż leniwie płynie w moich żyłach. Słyszę znudzony głos nauczycielki, w kółko powtarzającej te same słowa, jakby stała tuż obok mnie: „Po jednej rzeczy naraz, Kyla”.

Skupiam się na ich oczach, a resztę zostawiam na później. Oczy taty są szare, nieprzeniknione, opanowane. Jasnobrązowe, delikatnie cętkowane, niecierpliwie oczy mamy przypominają mi wzrok doktor Lysander – jej także nic nie umknie. I jest tu też moja siostra; szerokie, ciemne, niemal czarne oczy wpatrują się we mnie z zaciekawieniem, osadzone w twarzy o skórze brązowej jak czekoladowy aksamit. Kiedy kilka tygodni temu dostałam ich zdjęcie, zapytałam, dlaczego Amy tak bardzo różni się od rodziców i ode mnie. Odpowiedziano mi wówczas ostro, że rasa jest nieistotna i nie warto jej zauważać czy robić na jej temat uwagi pod rządami chwalebnej Centralnej Koalicji. Ale jak można nie dostrzegać tych różnic?

Siedzą w trójkę na krzesłach przy biurku naprzeciw innego człowieka. Wszystkie oczy patrzą na mnie, ale nikt nic nie mówi. Mój uśmiech staje się coraz bardziej i bardziej nienaturalny, jak zwierzę, które zdechło i zostało

wetknięte mi w twarz, prezentując śmiertelny grymas.

Wtem tato zrywa się z krzesła.

– Kyla, bardzo nam miło powitać cię w naszej rodzinie. – Uśmiecha się, bierze mnie za rękę, całuje w policzek, dotykając szorstkimi bokobrodami. Jego uśmiech jest ciepły i prawdziwy.

Zaraz podchodzą do mnie mama i Amy, wszyscy troje górują nade mną z moim wzrostem metr pięćdziesiąt trzy. Siostra bierze mnie pod ramię i gładzi moje włosy.

– Jaki piękny kolor, jak włosy kukurydzy. I takie miękkie!

Mama też się uśmiecha, ale jej nienaturalny uśmiech bardziej przypomina mój.

Mężczyzna siedzący przy biurku odchrząkuje i przesuwa jakieś papiery.

– Podpisy, proszę?

Rodzice podpisują we wskazanym miejscu, potem tato podaje mi długopis.

– Podpisz tu, Kylo – mówi tamten mężczyzna i pokazuje wykropkowane miejsce na końcu długiego dokumentu. Pod wykropkowaniem wydrukowano „Kyla Davis”.

– Co to jest? – wyrywa mi się, zanim zdążę pomyśleć, wbrew temu, co zawsze przykazywała mi doktor Lysander.

Człowiek przy biurku unosi brwi, zaskoczenie na jego twarzy szybko zamienia się w rozdrażnienie.

– Standardowe zwolnienie z zalecanego leczenia według zewnętrznego orzeczenia. Podpisz.

– Czy mogę najpierw przeczytać? – pytam. Jakiś uparty głos każe mi brnąć dalej, choć inna część podpowiada, że to z ł y p o m y s ł.

Mężczyzna mruży oczy i wzdycha.

– Tak. Możesz. Przygotujmy się wszyscy na dłuższe oczekiwanie, żeby panna Davis skorzystała z przysługujących jej praw.

Wertuję plik, ale to kilkanaście kartek zapisanych zwartym drukiem, który płывa mi przed oczami. Serce znowu zaczyna się tłuc za szybko.

Tato kładzie mi rękę na ramieniu i odwracam się do niego.

– W porządku, Kylo. Rób, co trzeba – mówi ze spokojną, dodającą otuchy miną.

To jego i mamy mam odtąd słuchać. Zaczynam sobie przypominać, jak pielęgniarka cierpliwie tłumaczyła mi to wszystko w ubiegłym tygodniu: to też jest zawarte w kontrakcie.

Płonę rumieńcem i podpisuję: K y l a D a v i s. Nie po prostu „Kyla” i tyle.

To imię wybrała dla mnie kierowniczką, gdy po raz pierwszy otworzyłam oczy w tym miejscu dziewięć miesięcy temu. Podobno po ciotce, która miała zielone oczy jak ja. Z kolei nazwisko należy do mnie, skoro stałam się częścią rodziny. To też jest zawarte gdzieś tam w kontrakcie.

– Ja to wezmę. – Tato podnosi moją torbę.

Amy bierze mnie pod ramię i wychodzimy przez ostatnie drzwi.

W ten sposób zostawiam za sobą wszystko, co do tej pory znałam.

Mama i tato przyglądają mi się w lusterku wstecznym, kiedy kołujemy na parkingu pod szpitalem, kierując się do wyjazdu. Tak samo ja przyglądam się im.

Pewnie się zastanawiają, jak im się trafiły dwie tak różne córki, nie wspominając już o kolorze skóry, którego mam nie dostrzegać.

Amy siedzi obok mnie z tyłu – wysoka i piersiasta, trzy lata starsza ode mnie, dziewiętnastolatka. Ja jestem niska i drobna, z cienkimi, słabymi włosami; jej włosy są ciemne, gęste i ciężkie. Amy to niezła lala, jak mówił jeden pielęgniarz o pielęgniarence, która wpadła mu w oko. A ja...

Szukam w głowie określenia, które by było jej przeciwieństwem, ale mój zbiór słów w tym aspekcie okazuje się pusty. Może właśnie to jest odpowiedź. Jestem niezapełnioną kartką. Pustą, nieinteresującą.

Amy ma na sobie zwiewną czerwoną wzorzystą sukienkę z długimi rękawami. Podciąga jeden z nich, żebym sobaczyła jej Levo. Oczy mi się rozszerzają z zaskoczenia – więc ona też jest Zresetowana. Jej Levo to starszy model, masywny i gruby, podczas gdy mój to cienki złoty łańcuszek z małym panelem. Ma wyglądać jak zegarek lub bransoletka, ale nikogo nie zmyli.

– Bardzo się cieszę, że jesteś moją siostrą – mówi Amy i zapewne nie kłamie, ponieważ jej wyświetlacz pokazuje duże cyfry 6,3.

Docieramy do bramki i strażników. Jeden z nich podchodzi do samochodu, pozostali patrzą zza szyby. Tato kilkoma przyciskami otwiera wszystkie okna i bagażnik. On, mama i Amy podciągają rękawy i wystawiają ręce za okna, więc robię to samo. Strażnik spogląda na puste nadgarstki rodziców i kiwa głową, potem idzie do Amy i przytrzymuje nad jej urządzeniem jakiś aparat, a ten wydaje piski. Piszczy również nad moim Levo. Strażnik zagląda do bagażnika, po czym zatrzaskuje go. Przed samochodem unosi się szlaban i wyjeżdżamy.

– Kyla, co miałybyś ochotę dziś robić? – pyta mama.

Jest okrągła i ostra, i to nie żart. Figurę ma zaokrągloną i miękką, ale oczy i słowa są ostre.

Kiedy samochód wytacza się na drogę, odwracam głowę. Kompleks szpitala, który znam, ale tylko od wewnątrz. Rozciąga się szeroko i piętrzy wysoko. Niekończące się rzędy małych, zakratowanych okien. Wysokie ogrodzenie i wieżyczki strażnicze w równych odstępach. I...

– Kyla, zadałam ci pytanie!

Podskakuję.

– Nie wiem – odpowiadam.

Tato się śmieje.

– Jasne, że nie. Kylo, nie martw się. Kyla nie wie, co chciałaby robić, bo nie ma pojęcia, co można robić.

– Rozumiesz przecież, mamó – odzywa się Amy i kręci głową. – Jedźmy prosto do domu. Niech się najpierw trochę przyzwyczai, tak jak powiedziała lekarka.

– Tak, bo lekarze wiedzą wszystko. – Mama wzdycha i wyczuwam w tym od dawna ciągnący się spór.

Tato patrzy w lusterko.

– Kyla, wiedziałaś, że pięćdziesiąt procent lekarzy miało w szkole najgorsze wyniki?

Amy śmieje się.

– Doprawdy, Davidzie – mówi mama, lecz też się uśmiecha.

– A słyszałaś opowieść o lekarzu, który nie odróżniał strony lewej od prawej? – zaczyna tato i zagłębia się w długą historię błędów chirurgicznych, jakie, mam nadzieję, nie przydarzyły się w moim szpitalu.

Ale wkrótce zapominam o wszystkim, co się obok mnie mówi i robi, ponieważ gapię się w okno.

L o n d y n.

W moim umyśle zaczyna się formować świeży obraz. Nowy Londyński Szpital traci swoją centralną pozycję, kurczy się w morzu tego, co go otacza. Drogi ciągnące się dokądś w dal, samochody, budynki. Niektóre w pobliżu szpitala są opuszczone, zabite deskami; większość jednak tętni życiem. Na balkonach pranie, kwiaty, w oknach powiewają na wietrze firanki. I wszędzie ludzie. W samochodach, na chodnikach. Tłumy ludzi i sklepy, i biura, i jeszcze większe tłumy ludzi śpieszących w różne strony. Nikt nie zwraca uwagi na stojących na rogach strażników, których im dalej od szpitala, tym jest mniej.

Doktor Lysander pytała mnie wiele razy. Dlaczego wewnętrzny przymus każe mi obserwować i wiedzieć w s z y s t k o, zapisywać w pamięci i mapować każdy związek i każdą pozycję?

Nie wiem. Może nie lubię odczuwać pustki. Jest tyle brakujących szczegółów, które trzeba właściwie wpasować.

W tamtych dniach, kiedy zapamiętywałam, jak stawiać jedną stopę przed drugą i się nie przewrócić, przewędrowałam, zliczyłam i zmapowałam z obrazami w głowie każde piętro szpitala, do którego miałam dostęp. Mogłabym na ślepo znaleźć każdą pielęgniarską dyżurkę, laboratorium i pokój o dowolnym numerze. Mogę nawet teraz zamknąć oczy i widzę to wszystko przed sobą.

Ale Londyn to co innego. Całe miasto. By stworzyć sobie w głowie mapę, musiałabym przejść tam i z powrotem każdą ulicę, a teraz zdaje się, że jedziemy najprostszą drogą do „domu”, do miejscowości odległej o godzinę jazdy na zachód od Londynu.

W szpitalnej szkole oglądałam, rzecz jasna, mapy i zdjęcia. Codziennie całymi godzinami cierpliwie karmiono nas wiedzą ogólną, ile tylko nasze puste umysły mogły jej przyjąć, aby nas przygotować do życia po wypuszczeniu.

Ile kto przyswajał – różnie z tym bywało. Ja czepiałam się każdego faktu i uczyłam się go na pamięć, rysowałam i zapisywałam rzeczy w notatniku raz za razem, aż nie mogłam ich już zapomnieć. Większość pozostałych uczniów zapamiętywała słabiej. Zbyt byli zajęci głupawym szczerzeniem się przy każdej okazji do wszystkich. Kiedy zostaliśmy Zresetowani, podwyższono nam „radość” w naszych psychologicznych profilach.

Jeżeli podkrecono mi uśmiechy, to pewnie do tej pory w ogóle u mnie nie istniały.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tato wyjmuję moją torbę z bagażnika i rusza w stronę domu, pogwizdując, z kluczami w ręce. Mama i Amy wysiadają z samochodu, po czym odwracają się, gdy nie idę w ich ślady.

– Pośpiesz się, Kyla – ponagla mama ze zniecierpliwieniem.

Pcham drzwi mocniej i mocniej, ale nic się nie dzieje. Podnoszę wzrok na mamę i żołądek zaczyna mi się skręcać, bo jej mina pasuje do tonu.

Wobec tego Amy otwiera mi z zewnątrz.

– Pociągasz tę rączkę po wewnętrznej stronie drzwi i wtedy je popychasz. Okej?

Zamyka drzwi z powrotem, a ja chwytam rączkę i robię, jak podpowiedziała. Drzwi otwierają się na oścież i wychodzę, zadowolona, że mogę rozprostować nogi i przeciągnąć się po długiej jeździe samochodem. Jedna godzina zamieniła się w trzy z powodu korków i objazdów, a przy każdym z nich mama robiła się coraz bardziej rozdrażniona.

Teraz chwytam mnie za nadgarstek.

– Patrz. Cztery i cztery tylko dlatego, że nie może sobie poradzić z drzwiami. Boże, zapowiada się ciężka praca.

Korci mnie, żeby wyrazić sprzeciw, powiedzieć, że to nie fair, że nie chodzi o drzwi, tylko o to, jak się czuję. Ale nie wiem, co powinnam mówić, a czego nie powinnam. Nie odzywam się więc i przygryzam od wewnątrz policzek, mocno.

Amy obejmuje mnie, podczas gdy mama idzie za tatą do domu.

– Nie chciała być niemą. Jest w zrzędlwym nastroju, bo twój pierwszy obiad się opóźni. A w ogóle nigdy dotąd nie byłaś w samochodzie, prawda? Skąd miałaś to wiedzieć?

Robi przerwę, a ja znów nie wiem, co powiedzieć, ale tym razem dlatego, że jest miła. Próbuje się więc uśmiechnąć, choć odrobinę, i udaje mi się – uśmiech jest prawdziwy.

Amy odpowiada uśmiechem szerszym od mojego.

– Chcesz się rozejrzeć, zanim wejdziemy do środka? – pyta.

Samochód stoi zaparkowany na prawo od domu, na nawierzchni z drobnych kamyczków, które chrzęszczą nam pod nogami. Ogród od frontu to kwadratowy zielony trawnik, po lewej rośnie masywne drzewo – dąb? Jego liście są żółte,

pomarańczowe i czerwone, część leży nieporządknie na ziemi. Liście spadają jesienią, przypominam sobie. A jaki dziś dzień? Trzynasty września. Po obu stronach drzwi frotowych rośnie kilka mizernych czerwonych i różowych kwiatów z płatkami opadającymi na ziemię. I wszędzie wokół mnie tyle przestrzeni. Tak cicho po szpitalnym zgiełku i po Londynie. Stoję na trawie i głęboko wdycham chłodne powietrze. Wyczuwam w nim wilgoć oraz pełnię i zakończenie życia, jak w tamtych opadłych liściach.

– Wejdiesz? – odzywa się Amy, więc wchodzę za nią przez frontowe drzwi do holu.

Dalej znajduje się pokój z sofami, lampami i stolikami. Na jednej ścianie dominuje ogromny czarny płaski ekran. Telewizor? Jest znacznie większy od tamtego w szpitalnej świetlicy; nie żeby mi pozwalano zbliżyć się do niego po moim pierwszym razie. Po oglądaniu pogorszyły się moje koszmary.

Ten pokój prowadzi do kolejnego: są tutaj długie blaty, a nad i pod nimi szafki. I wielka kuchenka, nad którą pochyla się w tej chwili mama, wstawiając do środka jakieś naczynie.

– Idź do swojego pokoju i rozpakuj się przed obiadem, Kyla – nakazuje.

Aż podskakuję ze zdenerwowania. Amy bierze mnie za rękę.

– Tędy – mówi i wyciąga mnie z powrotem do holu.

Idę za nią po schodach do następnego korytarza z trojgiem drzwi i kolejnymi schodami prowadzącymi jeszcze wyżej.

– My mieszkamy na tym piętrze, mama i tato na górze. Zobacz, to moje drzwi. – Amy wskazuje na prawo. – Tamte na końcu to łazienka, nasza wspólna. A to jest twój pokój. – Pokazuje w lewo.

Patrzę na nią.

– Śmiało.

Drzwi nie są domknięte. Popycham je i wchodzę.

Wnętrze znacznie większe od mojego szpitalnego pokoju. Torba już leży na podłodze, pewnie tato ją przyniósł. Jest tutaj toaleta z szufladkami i lustrem, obok szafa. Żadnej umywalki. Duże, szerokie okno wychodzące z przodu domu.

Dwa łóżka.

Amy wchodzi i siada na jednym z nich.

– Pomyśleliśmy, że na początek wstawimy dwa. Mogłabym zostać z tobą w nocy, gdybyś chciała. Pielęgniarka powiedziała, że to może być dobry pomysł, dopóki się nie zadomowisz.

Nie mówi więcej, ale i tak się domyślam. Musieli im powiedzieć. Na wypadek, gdybym miała koszmary. Zawsze je mam i jeżeli nikt się przy

mnie nie zjawi wystarczająco szybko po moim przebudzeniu, spadnę za nisko i Levo mnie wyłączy.

Siadam na drugim łóżku. Leży na nim coś okrągłego, czarnego i futrzanego. Wyciągam rękę, lecz zaraz ją zatrzymuję.

– Śmiało. To Sebastian, nasz kot. Jest bardzo przyjacielski.

Lekko dotykam jego futerka końcami palców. Ciepłe i miękkie.

Kot porusza się i kłębek się rozwija, gdy zwierzak rozprostowuje łapy, zadziera głowę i ziewa.

Rzecz jasna, widziałam na zdjęciach koty. Lecz ten jest inny. Ma w sobie coś znacznie więcej niż płaski obrazek – żyje, jego oddech czuć rybą, jedwabiste futerko marszczy się, gdy kot się przeciąga, duże żółtozielone oczy wpatrują się w moje.

– Miau – odzywa się, a ja podskakuję.

Amy wstaje, nachyla się.

– Pogłaszcz go, o tak. – Przesuwa dłonią po futrze zwierzaka od łebka po ogon.

Naśladuję ją, a kot wydaje głęboki dźwięk, który wibruje, rozchodząc się od gardła po całym ciele.

– Co to?

Amy uśmiecha się.

– Kot mruczy, a to oznacza, że cię lubi.

Później za oknem jest ciemno. Amy śpi w drugim łóżku w moim pokoju. Sebastian leży obok mnie i lekko mruczy, gdy go głaszczę. Drzwi są uchylone dla kota, słychać dobiegające z dołu dźwięki. Z kuchni stukanie naczyń. Głosy.

– Jest taką cichą małą istotą, prawda? – odzywa się tato.

– Nie musisz tego mówić. Zupełnie inaczej niż Amy. Nie przestawała chichotać i szczebiotać, od pierwszego dnia, odkąd przestąpiła próg domu.

– Wciąż tak się zachowuje – przytakuje tato i śmieje się.

– Jest inna, to prawda. Trochę dziwna na mój gust. Te wielkie zielone oczy nic, tylko się gapią i gapią.

– O, jest słodziutka. Daj jej szansę, żeby się zadomowiła.

– To jej ostatnia szansa, nie?

– Ciii.

Na dole zamykają się drzwi i nic już nie słyszę. Tylko słaby pomruk.

Nie chciałam opuszczać szpitala. Nie chodziło mi o to, żeby tam zostać na zawsze, ale w tamtych ścianach wiedziałam, gdzie jestem. Na ile pasuję,

czego ode mnie oczekują. Tu wszystko jest nieznane.

Ale nie tak przerażające, jak myślałam. Widzę, że Amy jest cudowna. Tato wydaje się w porządku. Domyślam się, że Sebastian okaże się lepszy niż czekolada – jeśli zdarzy mi się opaść za nisko, wyciągnie mnie z dołka. I jedzenie smakuje znacznie lepiej. Moja pierwsza niedzielna pieczeń. Amy powiedziała, że jadamy tak co tydzień.

Obiad i nie prysznic, tylko kąpiel – wanna pełna gorącej wody do wymoczenia się – około siódmej, przed snem.

Mama uważa, że jestem dziwna. Muszę pamiętać, żeby się na nią tyle nie gapić.

Ogarnia mnie już sen, kiedy przez głowę przepływają mi jej słowa.

Ostatnia szansa...

Czy miałam inne szanse?

Ostatnia szansa...

Biegnę.

Fale wbijają pazury w piasek, kiedy się zmuszam, by pędzić stopa za stopą, jeszcze raz i jeszcze. Urywany oddech, wdech, wydech, aż płuca chcą wybuchnąć. Wciąż biegnę. Żółty piach ustępuje pod moimi stopami i rozciąga się w dal i w dal, jak okiem sięgnąć, a ja znów wspinam się po pochyłości i ześlizguję w dół, i biegnę.

Strach łapie mnie za pięty.

To się zbliża.

Nie mogę się odwrócić, by stawić temu czemuś czoło, żeby zobaczyć, co to.

Biegnę.

– Ciii, jestem z tobą.

Wyrywam się, po czym dociera do mnie, że obejmuje mnie Amy.

Drzwi się otwierają i z korytarza wpada przez nie światło.

– Co się dzieje? – pyta mama.

– To tylko zły sen – odpowiada Amy. – Ale już w porządku, prawda, Kyla?

Moje serce zwalnia, wzrok się przejaśnia. Odsuwam ją.

– Tak, nic mi nie jest.

Mówię to, lecz cząstka mnie wciąż biegnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przemykam wśród drzew, wiruję i zaraz kładę się na pełnej stokrotek trawie. Sama. Spoglądam na przesuwane się po niebie chmury, których kształtów nie rozpoznaję do końca. Nazwy wymykają mi się, kiedy je próbuję złapać, pozwalają im więc uciekać. Po prostu leżę tu i jestem s o b ą.

Już czas. Jak mgła rozwiewam się do nicości. Drzewa i niebo ustępują miejsca czerni pod zamkniętymi powiekami, łaskocząca trawa zamienia się w łóżko.

Cisza. Dlaczego jest tak cicho? Moje ciało wie, że już po piątej rano, ale nie odzywa się żaden brzęczyk, nie słychać klekotu wózków śniadaniowych w korytarzu.

Leżę nieruchomo, wstrzymuję oddech i nasłuchuję.

Łagodne, równe oddychanie. Blisko mnie. Czy w nocy straciłam przytomność i w moim pokoju jest obserwator? Jeśli tak, to raczej śpi niż pilnuje.

Z innej strony dobiegają ciche radosne dźwięki, wznoszą się i opadają w oddali, jak muzyka. Ptaki?

Coś ciepłego u moich stóp.

Nie jestem w swoim szpitalnym pokoju. Otwieram raptownie oczy i przypominam sobie.

Tuż obok jest nie obserwator, tylko Amy. Śpi mocnym snem i oddycha głęboko, podobnie jak Sebastian u moich stóp. Zresztą może on też jest jakiegoś rodzaju obserwatorem.

Przemykam cicho do okna, odsłaniam je.

Ś w i t.

Czerwone pasma na niebie, różowe plamy na kłaczkach obłoków, jak faliste kawałki metalu światło lśni na trawie i mokrych liściach, w dzikich rozbryzgach kolorów. Pomarańczowy, złoty, czerwony i wszystkie pośrednie odcienie.

Pięknie.

Moje szpitalne okno wychodziło na zachód. Widywałam, jak słońce zachodzi, co prawda przesłonięte zabudowaniami, lecz nigdy nie widziałam wschodu.

Ptaki mają przyjaciół i do wcześniejszych cichych treli dołącza coraz więcej śpiewaków. Otwieram okno, wychylam się i o d d y c h a m. Powietrze jest świeże, bez metalicznego czy dezynfekcyjnego zapachu. Wilgotna zieleń z ogrodu oraz z pól, które rozciągają się dalej, migocząc w świetle wczesnego ranka.

I z jakiegoś powodu ogarnia mnie pewność. Miasto nigdy nie było moim światem. Byłam – jestem – dziewczyną ze wsi. To pewne jak własny oddech, takie właśnie miejsce bardziej odbieram jako dom.

I nie j a k o dom – t o j e s t dom: wczoraj, dzisiaj; przez ile przyszłych dni – tego nie wiem.

A także zanim stałam się tym, kim jestem teraz. Doktor Lysander mówi, że wyobrażam sobie rzeczy w podświadomości i nie ma sposobu, by sprawdzić, czy są prawdziwe, czy nie. Nadaję sens nieznanym rzeczom, by je uporządkować, tak jak rysuję schematy, mapy. Twarze.

Poniżej przyzywają mnie lśniąca rosą trawa, opadające spiralnie liście w tyłu bogatych kolorach, a zwłaszcza przekwitające kwiaty wokół domu. Wszystkie błagają, by je uchwycić, uporządkować, chcą się stać liniami na papierze. Cicho zamykam okno i rozglądam się po pokoju. Amy leży spokojnie, bez ruchu, tylko pierś unosi się jej miarowo i opada.

Z końca mojego łóżka obserwuje mnie dwoje zielonych oczu.

– Miau!

– Ciii. Nie budź Amy – szepczę i przesuwam dłonią po futrze Sebastiana. Kot się przeciąga i ziewa.

Gdzie są moje przybory do rysowania? Wczoraj po południu Amy rozpakowała moją torbę. Sama nie miałam do tego głowy, za dużo było rzeczy i ludzi, zbyt wiele to pochłaniało uwagi.

Otwieram szufladę, potem drugą, ostrożnie i cicho. I wreszcie znajduję swoją teczkę, szkicownik i kredki.

Wyjmuję je oraz leżącą pod spodem konspiracyjną bombonierkę, którą na pożegnanie podarowały mi pielęgniarki z dziesiątego piętra. Zaledwie wczoraj rano, uświadamiam sobie z zaskoczeniem. Wydaje się, że dawniej; tamte chwile należą już do przeszłości.

Levo wskazuje 6,1. Całkiem wysoki poziom, n i e p o t r z e b u j ę czekolady. Lecz komu potrzebne wymówki? Otwieram pudełko.

– Interesujący wybór na śniadanie – odzywa się Amy. Po czym siada na łóżku i ziewa. – Jesteś rannym ptaszkiem?

Patrzę na nią w osłupieniu.

– Zawsze wstajesz wcześniej?

Zastanawiam się.

– Chyba tak – odpowiadam w końcu. – Pewnie dlatego, że w szpitalu nie ma innego wyboru.

– O, pamiętam. Ten okropny poranny brzęczyk. Śniadanie o szóstej. –

Wzdryga się.

– Chcesz? Poczęstuj się. – Podsuwam jej bombonierkę.

– Ooo, kuszące. Może później, kiedy się bardziej rozbudzę. Co to jest? –

Wskazuje na teczkę w mojej ręce.

– Moje rysunki.

– Mogę zobaczyć?

Waham się. Rzadko pokazuję je komukolwiek, choć doktor Lysander nalegała, żeby je od czasu do czasu obejrzeć.

– Nie musisz mi pokazywać, jeśli nie chcesz.

Siadam obok niej i otwieram teczkę, wydaję arkusiki. Amy wykrzykuje już przy pierwszym. Autoportret. Ja, ale inna: do połowy taka, jaką się widzę w lustrze, druga połowa bez skóry, z pustego oczodołu zwisa gałka oczna.

– Mogę? – Wyciąga rękę, więc jej podaję rysunek.

Przedtem jednak nie leżał na wierzchu. Zaczynam przeglądać kartki.

– Jesteś naprawdę dobra, to niesamowite.

Za mało tych rysunków, plik papierów nie jest tak gruby, jak powinien. Gdzie się podziały?

– Coś nie tak?

– Brakuje rysunków.

– Jesteś pewna?

Kiwam głową. I przeglądam je wolniej.

Te, które przedstawiają mnie, mój pokój, wyobrażonych ludzi i miejsca, są wszystkie. Zniknęły jednak inne.

– Jestem pewna. Prawie połowy nie ma.

– Co na nich było?

– Różne rzeczy. Pielęgniarki. Moje piętro w szpitalu, mapy różnych zakamarków, pomieszczeń. Doktor Lysander. I...

– Powiedziałaś: doktor Lysander? – Mojej siostrze rozszerzają się oczy.

Kiwam głową, wciąż przeglądając kartki, przekonana, że jeśli lepiej poszukam, wszystkie się znajdą.

– Ta doktor Lysander? Naprawdę ją znasz?

Przestaję szukać. Nie ma ich tu. Przepadły.

„Bzzzz”. Ostrzeżenie z nadgarstka: 4,3 i spada.

Amy otacza mnie ramieniem. Trzęsę się, ale nie z zimna. Kto to mógł zrobić? Zabrać jedyne rzeczy, które są naprawdę moje.

– Możesz narysować nowe. Prawda?

3,9 i spada.

– Kyla! Patrz na mnie. – Amy potrząsa mną. – Patrz – powtarza.

Odrywam wzrok od swego autoportretu, od martwej połowy twarzy. Spoglądam na Amy. W jej oczach widzę troskę i strach o mnie, kimkolwiek jestem.

3,4...

– Kyla, możesz narysować mnie. Zrób to teraz.

Wyciąga szkicownik, wsuwa mi do ręki ołówek.

Rysuję.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Mogę zobaczyć? – pyta Amy. Wygina szyję do przodu, ale zmieniam kąt szkicownika.

– Jeszcze nie. Siedź spokojnie, bo inaczej nie skończę.

– Ale się rządzisz.

– Już niedługo – obiecuję i znowu na nią spoglądam, po czym wracam do rysowania, żeby zrobić kilka ostatnich pociągnięć ołówkiem.

Amy uśmiecha się.

– Jak twój poziom?

Odwracam nadgarstek, by sprawdzić.

– W porządku. Pięć i dwa, stabilny.

Otwierają się drzwi, ale nie podnoszę wzroku.

– Jesteście gotowe do śniadania? – pyta mama.

– Prawie – mówię, jeszcze raz rzucając okiem na Amy, a potem na szkic w swoich rękach. Ostatnia kreska, już. – Gotowe. – Odkładam ołówek.

– Pokaż mi! – Siostra zrywa się z miejsca, mama podchodzi bliżej. – Świetne – chwali Amy.

Mamie usta zaokrąglają się ze zdziwienia.

– To Amy, uchwyciłaś ją tak po prostu. Oprawię ten rysunek i powieszę na ścianie. Mogę?

– Tak – odpowiadam z uśmiechem.

Na śniadanie są naleśniki. Z masłem, które rozpływa się w strużkach, i z syropem lub dżemem truskawkowym. Próbuję obu wersji, razem: b a r d z o smaczne.

– Nie myśl, że tak się objadamy codziennie – ostrzega mama.

Mój portret Amy wisi na lodówce, przytwierdzony magnesem, a nie w ramce na ścianie, a mama wróciła do swojej najeżonej osobowości.

– Amy, masz dwadzieścia minut do autobusu, a na moje oko nie wyglądasz na ani trochę gotową.

– Nie mogę zostać dziś w domu z Kylą?

– Nie.

– Gdzie tato? – pytam.

– W pracy, rzecz jasna. Ja też bym była w swojej, gdyby nie to, że ze względu

na ciebie wzięłam wolne.

Podsumowuję. Amy idzie do szkoły, tato jest w pracy, co oznacza, że na cały dzień zostają z mamą.

– Kiedy będę mogła zacząć szkołę? Mogę iść już dziś?

– Nie.

– Najpierw musi cię ocenić rejonowa pielęgniarka – wyjaśnia Amy. – Musi stwierdzić, że jesteś gotowa. Potem szkoła testuje cię, żeby sprawdzić, do której pójdziesz klasy. Przesłali ci parę książek do przeczytania.

– O.

– Pielęgniarka wpadnie do ciebie już dzisiaj po południu – oznajmia mama.

Przysięgam sobie, że będę się zachowywać jak najlepiej, żeby wypaść na w pełni dostosowaną.

Amy pędzi na górę po swoje szkolne rzeczy i mundurek. Kończy w tym roku szkołę średnią, zdaje maturę. W wieku dziewiętnastu lat powinna być na wyższej uczelni, studiować pielęgniarstwo, jak planuje. Ale potrzebowała dodatkowego roku, żeby nadrobić zaległości. Miała czternaście lat, kiedy została Zresetowana. Ja mam teraz szesnaście. Ile lat będę musiała dodatkowo spędzić w szkole?

– Możesz pozmywać – proponuje mama.

– Co pozmywać?

Przewraca oczami.

– Naczynia.

Staję i patrzę na nie – leżą na stole.

Mama wzdycha.

– Weź brudne naczynia ze stołu i połóż je tutaj. – Wskazuje na blat obok zlewozmywaka.

Przenoszę jeden talerz i wracam po drugi.

– Nie! Tak będzie to trwało wieczność. Połóż jeden na drugim. O tak.

Składa talerze na stertę, na wierzchu kładzie z brzękiem sztućce, po czym przestawia wszystko razem na blat.

– Nalej wody do zlewu. Dodaj płynu, tylko trochę. – Naciska butelkę nad zlewem.

Bąbelki!

– Myjesz tą szczotką. – Pokazuje, szorując talerz. – Płuczesz pod kranem, odkładasz na suszarkę, o tak. Powtarzasz. Rozumiesz?

– Chyba tak.

Zanurzam ręce w gorącej wodzie.

Więc to jest zmywanie naczyń.

Ostrożnie czyszczę talerz z lepkich pozostałości naleśników i syropu, płuczę go i odkładam do suszenia.

– Dodaj gazu, inaczej zajmie ci to cały dzień.

Zatrzymuję się i rozglądam dokoła.

– Dodać czego?

– Gazu, mam na myśli: p r z y ś p i e s z.

Talerze, potem kubki. Nie jest tak źle. Przyśpieszam i mama zaczyna je wycierać ściereczką. Amy pędzi na dół, akurat kiedy się biorę do mycia sztućców.

Wyrywa mi się cichy okrzyk i spuszczam wzrok. Z noża, który zaciskam w prawej dłoni, cieknie cienka czerwona strużka. Amy wpada do kuchni.

– O, nie! Kyla.

Mama odwraca się i mruży coś pod nosem. Chwyta papierowy ręcznik.

– Przyciśnij do rany, bo wszystko zakrwawisz.

Robię, jak każe, a Amy głaszcze mnie po ramieniu i patrzy na moje Levo: 5,1.

– Nie boli? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Trochę – odpowiadam. Faktycznie boli, ale ignoruję gorący ból, który ostro pulsuje mi w ręce, i patrzę zafascynowana, jak intensywna czerwień wsiąka w papierowy ręcznik, płynie coraz wolniej, przestaje.

– To tylko zadrażnienie – mówi mama, oglądając ranę. – Pielęgniarka zerknie na to później. Nic jej nie jest, Amy. Leć, bo się spóźnisz na autobus.

Mama owija mi rękę bandażem, podczas gdy Amy wypada z domu.

Mama uśmiecha się.

– Zapomniałam ci powiedzieć, Kyla. Noże są ostre. Nie chwytaj ich za szpiczastą część.

Tak wiele rzeczy do zapamiętania.

Później pielęgniarka Penny odwija opatrunek, żeby sprawdzić ranę.

– Powinno się obejść bez szycia – mówi. – Zdezynfekuję tylko środkiem antyseptycznym. Uważaj, może trochę szczytać.

Polewa mi rękę czymś żółtym – piecze, aż oczy mi łzawią – po czym bandażuje z powrotem.

– To było dziwne – odzywa się mama – gdy się zacięła. Stała po prostu i patrzyła, jak krew ścieka jej z ręki. Żadnych łez, żadnej reakcji.

– Cóż, zapewne nigdy się dotąd nie zraniła. Nigdy nie widziała krwi płynącej

w ten sposób.

Ha. Uwielbiam, gdy ludzie mówią o mnie tak, jakby mnie przy tym nie było.

– Poziom jej przy tym nie opadł ani nic. I...

– Przepraszam – wtrącam ze swoim jak najlepiej przystosowanym uśmiechem. Obie podskakują, jakbym była duchem, który zmaterializował się nagle w ich obecności. – Kiedy będę mogła pójść do szkoły?

– Nie martw się tym na razie, moja droga – odpowiada Penny. – Przejrzyj te książki, które ci przysłali. – I zwraca się z powrotem do mamy: – Musi się pani postarać wskazywać potencjalne zagrożenia, jak choćby nóż. Ona może na to nie wygląda, ale pod pewnymi względami jest naprawdę jak małe dziecko i...

– Przepraszam. – Znów się uśmiecham.

Penny odwraca się do mnie.

– Tak, moja droga?

– Te książki przysłane ze szkoły. Przejrzałam je rano. Są zbyt łatwe. To wszystko wiem już ze szkoły szpitalnej.

– Czyli jesteś geniuszem, co? – stwierdza mama z miną, która świadczy, że jestem czymś przeciwnym.

Penny wyciąga z torby netbook. Marszczy brwi i dotyka ekranu z boku, po czym przesuwa palcami po ekranie, szukając plików.

– Cóż, właściwie jest blisko. Przed opuszczeniem szpitala testy wykazały poziom wiedzy odpowiedni do wieku. To się prawie nie zdarza, większość z nich jest zapóźniona o całe lata. Przekażę szkole, żeby przysłali więcej materiału. A może Amy ma jakieś stare podręczniki? Musimy sprawdzić, które przedmioty ci odpowiadają.

Zamyka netbook i zwraca się z powrotem do mamy:

– Na czym stanęłam? O, tak. W szpitalu nie ma ostrych narożników, żadnych zagrożeń. Dlatego teraz wszystko trzeba pokazywać. Jak przechodzenie przez drogę i...

– Przepraszam. – Nawet dla mnie mój uśmiech zaczyna wyglądać na wysiłony. Zwichnięty.

– O co chodzi tym razem? – pyta mama.

– Wiem, jaki przedmiot chcę wybrać.

Penny unosi brew.

– O, już wiesz, czyżby? A zatem jaki?

– Plastykę.

Uśmiecha się.

– Cóż, może przydadzą ci się bardziej praktyczne przedmioty. I w szkole będą musieli ocenić, czy się nadajesz na plastykę.

Mama wskazuje na lodówkę.

– Narysowała to dziś rano. Portret Amy.

Penny wstaje, by obejrzeć rysunek, i oczy się jej rozszerzają.

– Cóż, myślę, że ci pozwolą, moja droga.

Zwraca się znów do mamy:

– Wspaniale poprowadziliście państwo Amy, jest cudowna. Kyła zapewne z czasem dostosuje się do waszej rodziny.

Krzyżuję ręce na piersi. Kyła się dostosuje, a co z pozostałymi?

– Śnił jej się w nocy koszmar – przypomina sobie mama. – Zbudziła krzykiem cały dom.

Penny znowu otwiera netbook. Może lepiej byłoby spytać o to mnie. W końcu to ja wiem o tym wszystko.

– Obawiam się, że to cała historia. Niewątpliwie właśnie dlatego trzymano ją w szpitalu tak długo. Dziewięć miesięcy zamiast zwyczajowych sześciu. Postaramy się znaleźć jakiś sposób na kontrolowanie tego w Grupie. W szpitalu wypróbowano wszystkie typowe medykamenty, ale tylko pogorszyły sprawę. I...

– Przepraszam. Czy mogłaby pani mówić do mnie zamiast o mnie?

Uśmiech spelza z twarzy pielęgniarki.

– Widzi pani, przed czym stoję – mówi mama i wzdycha.

– Częściowo małe dziecko, częściowo krnąbrna nastolatka – stwierdza Penny. – Kylo, moja droga, pozwól mi porozmawiać z twoją mamą. Może pobeigniesz na górę?

Zatraskuję za sobą drzwi i rzucam się na łóżko. Ani śladu Sebastiana, a do powrotu Amy zostały dwie godziny.

Moja teczka z rysunkami leży na toaletce. Biorę szkicownik.

Teraz, gdy szok już minął, nie ma znaczenia, że czegoś brakuje. Jeżeli zamknę oczy, wszystko widzę w głowie. Każdy szczegół. Narysuję je od nowa.

Chwytam ołówek, ale nie jest dobrze – spoczywa pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni akurat tam, gdzie się zacięłam. Pora na eksperyment: przekładam ołówek do lewej ręki. Początkowo czuję się z tym niezręcznie, niewłaściwie. Rysuję kilka szybkich szkiców i zaczynam się rozluźniać, nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że coś jest nie tak, wręcz na granicy strachu, że jeśli pociągnę to dalej, coś się stanie.

Ale nie mogę przestać.

Świeża kartka: kto pierwszy?

Doktor Lysander. W jej postaci najważniejsze są oczy. Niełatwe do uchwycenia, na ogół przesłonięte powiekami i chłodne, ale doktor potrafi nieraz przeszyć wzrokiem. A kiedy to robi, wydaje się bardziej tym zaskoczona niż ja.

Zaczynam, wahając się początkowo z niewprawną ręką. Kreska, cieniowanie, reszta. Coraz szybciej i pewniej, w miarę jak nabieram wprawy. Doktor Lysander spogląda na mnie spod ołówka. Dostaję gęziej skórki na rękach, na karku.

Dziwne.

Lewą ręką rysuję znacznie lepiej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Do mojego umysłu wślizgują się głosy. Dobiegają z zewnątrz?

Odkładam ołówek i podchodzę do okna. Na dole w ogrodzie zauważam chłopaka i dwie dziewczyny w takich samych szkolnych mundurkach jak Amy: kasztanowy sweter i czarne spodnie. Chowam nowy rysunek pod starymi w szufladzie i idę na schody. Amy i mama stoją w korytarzu na dole.

– Idziemy tylko na spacer. Dlaczego nie? – pyta Amy.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie wychodziła jeszcze z domu. A ruch na drodze? – odpowiada mama.

Znów o mnie mowa.

– Tak się składa, że wiem, że nie wolno wskakiwać pod samochody – mówię, zatrzymując się na ostatnim stopniu.

– O, zawracanie głowy. Więc ją bierz! Tylko dobrze jej pilnuj.

– Wiem, mamó – zapewnia Amy. A kiedy mamy nie ma już w korytarzu, dodaje po cichu: – Wiem lepiej niż ty. – Zwraca się do mnie: – Kyla, chodź, poznasz moich przyjaciół.

Ruszam w stronę drzwi.

– Najpierw włóż jakieś buty.

O. Rzeczywiście. Amy znajduje adidas, w których wczoraj wyszłam ze szpitala, i czeka, aż się uporam ze sznurówkami. Wychodzimy.

– To jest Jazz. – Wskazuje na chłopaka. – A to Chloe i Debs. Poznajcie Kylę.

– O, jest urocza. Szkoda, że się nie mogę zamienić na siostry – mówi Chloe. – Ile ma lat?

– Mów d o n i e j, jeśli się chcesz czegoś dowiedzieć – podsuwa Amy.

– Szesnaście – odpowiadam.

– Słodka szesnastka i nigdy się nie całowała – zaczyna śpiewać Jazz, kiedy idziemy drogą.

Policzki mi płoną. Amy daje mu kuksańca w ramię.

– Zamknij się, głąbku. Ani się waż. – Amy ogląda się za siebie, nasz dom właśnie znika z pola widzenia.

Jazz łapie ją za rękę.

– Przepraszam, przekomarzałem się. Wybaczy mi pani?

– Chyba tak – odpowiada Amy, a on otacza ją ramieniem w pasie.

Moja siostra jest wysoka, ale Jazz ją przewyższa. Szeroki w barach, idzie

z naturalną lekkością. Teraz, gdy jestem bliżej, domyślam się, że to już nie chłopak, wygląda raczej na osiemnaście lat, czyli jest znacznie starszy od tych, których spotykałam w szpitalu. I różni się od nich jeszcze w inny sposób: ma w uśmiechu coś szelmowskiego, czego nigdy nie widziałam u żadnego Zresetowanego chłopaka. Jest świetny.

Idziemy przez wieś w kierunku, z którego przyjechaliśmy wczoraj samochodem. Mijamy wolno stojące domy, takie jak nasz, potem szeregówki, pub z napisem „Biały Lew” na malowanym szyldzie. Aż docieramy do słupka wyznaczającego początek terenu zielonego i znaku „ścieżka dla pieszych”.

– Macie ochotę się przejść? – pyta Jazz.

Chloe i Debs zdecydowanie nie chcą i zaraz się zegnają.

Amy bierze mnie za rękę, za drugą chwyta ją Jazz.

– Chodźcie – mówi.

Teren wkrótce staje się nierówny i wyboisty, muszę się skupiać na stawianiu stóp. Po jednej stronie rośnie wysoki żywopłot, po drugiej, na pochyłości rozciągają się pola z martwym rżyskiem po czymś, co tutaj kiedyś rośło. Ścieżka się zwęża i Amy puszcza rękę chłopaka, a moją wciąż trzyma.

Jazz protestuje.

– Zamknij się, głąbku – ucina moja siostra i chłopak rusza przodem.

Wspinamy się coraz wyżej, oddech mi przyśpiesza. Żywopłot i pola ustępują drzewom, napawam się przemieszaniem pomarańczowych i czerwonych liści, brązowych i zielonych pni. Niektóre krzewy mają czerwone owoce i kolczaste zielone liście, które kłują przy dotknięciu. Ostrokrzew?

– Widok jest tam, moje panie – ogłasza Jazz.

Skrećamy i naszym oczom ukazuje się panorama lasów i pól, w oddali rysują się pokryte dachówkami dachy, ogrody i drogi.

– Patrz, Kyla – mówi Amy. – Widać stąd całą wioskę. Tam jest nasz dom. Widzisz? Drugi po lewej. – Wskazuje palcem i dostrzegam kryty dachówką dach oraz ceglane ściany naszego domu.

Siadamy na zwałonym pniu. Jazz ze zrezygnowaną miną otacza ramionami moją siostrę od tyłu. Zdaje się, że zazwyczaj przychodzą tutaj we dwoje.

Amy szturcha go łokciem w zębra.

– A więc, Kyla – zagaduje Jazz. – Jak ci się układa ze Smoczyką?

– Smoczyką?

– Ma na myśli mamę – wyjaśnia Amy.

– A...

– Nic już nie mów! Rozumiem „a”. Czyli zauważyłaś, że nie jest świętą

matczyną postacią z reklamy, tylko zionącą ogniem mityczną zieloną bestią.

Chichoczę.

– To nie fair – odzywa się Amy. – Mama nie jest zła, trzeba ją lepiej poznać. Kiedyś się jej bałam, a potem nagle dotarło do mnie, że jest w porządku.

– Wiesz, dla mnie to naprawdę dziwne, że obie z marszu nazywacie ją mamą – mówi Jazz.

– Co w tym dziwnego? – pytam.

– No, dopiero co ją poznałyście, nie?

Amy potrząsa głową.

– To nie ma znaczenia. Tak ci powtarzają w szpitalu, od samego początku. Że mama i tato przyjadą i zabiorą cię do domu.

– Prefabrykowane dzieciaki – stwierdza Jazz, po czym robi unik, gdy Amy odwraca się, by mu przyłożyć.

– Więc dla wszystkich jesteśmy inne – zauważam.

– Unikatywne – poprawia Amy.

– Moja niezwykła dziewczyna – mówi Jazz i całuje ją w policzek.

– W tej wsi jesteśmy takie tylko my dwie – wyjaśnia Amy. – Dlatego tak się cieszę, że przyjechałaś. Już nie będę jedyna. Za to w szkole mamy takich osób kilkanaście, z całej okolicy.

Jazz zerka na zegarek i z przekleństwem znika, pędząc ścieżką, którą tutaj przyszliśmy.

– Jego rodzice mają gospodarstwo – tłumaczy Amy. – W niektóre dni Jazz musi pomagać po szkole. Wrócimy dłuższą drogą. – Ruszamy inną ścieżką. – A tak poważnie: jak ci się układało dzisiaj z mamą?

Wzruszam ramionami.

– Chyba mnie nawet nie lubi. Czemu mnie wzięła, skoro tak naprawdę nie chce?

– Ależ chce. Nie okazuje tego zbyt. To skomplikowane.

– I tak wystarczająco trudne jest „proste”. Komu potrzebne „skomplikowane”?

– Nie przejmuj się tym teraz. Ale jedno warto pamiętać. Mama czasami nie słyszy tego, czego nie wypowiadasz. Nie bój się mówić jej, co myślisz.

Ścieżka robi się bardziej stroma i Amy wysuwa się naprzód. Przy schodzeniu znów muszę się skupiać na swoich stopach. Myślę o tym, co Amy powiedziała o mamie – Smoczycy, jak ją nazwał Jazz.

– Czy Jazz to twój chłopak?

– Tak. Nie mów mamie. Nie lubi go.

Zaśpiewał dla mnie. „Słodka szesnastka i nigdy się nie całowała”. Tylko czy to na pewno prawda? Jeżeli nie pamiętam, to pewnie się nie liczy.

– W szpitalu bardzo surowo ostrzegali mnie, żebym za wszelką cenę unikała chłopaków. Bo mi namieszają w poziomach.

– O, racja! – Amy się śmieje. – Chyba lepiej, żebyś przez jakiś czas dała sobie z nimi spokój. Sekret polega na tym, żeby zacząć z takim, na którym za bardzo ci nie zależy.

Jaki to ma wtedy sens?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Gdzie byliście? – Mama czeka na nas w drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami.

– Powiedziałam ci, że idziemy na spacer – odpowiada Amy, podczas gdy wchodzimy i zdejmujemy buty.

– Te buty są ubłocone. Nie poszłyście chyba same ścieżką na wzgórze, co? Mówiłam ci, że to nie jest bezpieczne.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie byliśmy same – zapewnia Amy i odwrócona tyłem do mamy przewraca oczami.

– Kyla, czy to prawda? – Mama kieruje na mnie piorunujące smocze spojrzenie.

– Tak – potwierdzam. Bo tak było: Jazz poszedł z nami. Wracaliśmy bez niego, ale nie o to pytała.

– Posłuchajcie mnie obie. Wiecie, że nie jest bezpiecznie, jeżeli chodzicie same. Nie możecie się bronić.

Amy kiwa głową i przypominam sobie szpitalne lekcje o s o b i s t e g o b e z p i e c z e ń s t w a. To część tego, że się jest Zresetowanym. Nie można się bronić, żeby przy tym kogoś nie zaatakować, dlatego trzeba być szczególnie ostrożnym.

Ale co jest tam na tej ścieżce oprócz drzew?

– Nie było was całe wieki. Martwiłam się. I o mało nie minęłyście się z tatą – mówi mama i spostrzegam, że koło niej w korytarzu stoi walizka.

Widzę teraz, że skóra mamy ma dziwny odcień – lekko smoczozielony. W drobnych zmarszczkach na jej czole i wokół oczu dopatruję się łusek. Czy z jej nozdrzy nie unosi się smużka dymu?

– Co w tym takiego zabawnego, moja panno? – zwraca się do mnie.

Natychmiast przestaje mi być do śmiechu.

– Nic. Przepraszam.

– Daj biednej dziewczynie spokój – odzywa się głos z salonu. Tato.

Amy podchodzi do niego i całuje go w policzek. Ja stoję niepewna w drzwiach.

– Chodź, Kyla. Siadaj. Opowiedz mi, jak ci minął dzień, a ja ci opowiem o swoim.

Wymieniamy się więc historiami. Tato z zainteresowaniem słucha, jak sobie

rozciąłam rękę, o pielęgniarce Penny i o spacerze, a ja z zaciekawieniem przysłuchuję się jego opowieści.

Tato pracuje w komputerach. Dużo podróżuje, instaluje i testuje nowe systemy. Zaraz wyjeżdża, a wróci dopiero w sobotę. Całe pięć dni od teraz. Potem mówi mi o swojej rodzinie. Ma dwie siostry, jedna w sobotę wpadnie do nas z wizytą razem ze swym synem, wtedy będę mogła ich poznać. Druga mieszka daleko, w Szkocji, i być może odwiedzimy ją w przyszłym roku w lecie. Mama jest jedynaczką, jej rodzice zginęli wiele lat temu w wypadku samochodowym. Miała wtedy piętnaście lat.

Później, wieczorem, kiedy Amy i ja kładziemy się spać, wyciągam z ukrycia swój nowy rysunek.

– Amy, to... – Pokazuję jej dzisiejsze dzieło. – To doktor Lysander. Dlaczego zdziwiło cię, że ją znam?

Siostra bierze kartkę z moich rąk.

– Wygląda przerażająco!

– Potrafi taka być – mówię. – Ale czasami jest w porządku.

– Bardzo bym chciała z nią pracować, kiedy zostanę pielęgniarką. Jest niesamowita.

– Dlaczego?

– Nie wiesz? Właśnie ona to wszystko zaczęła: Resetowanie. Ona to wynalazła. Uczyliśmy się o tym w szkole.

Patrząc na portret, na opadające powieki, spod których doktor na mnie spogląda. Nie wiedziałam. A może jednak? Wszyscy zawsze ustępowali doktor Lysander, pośpiesznie schodzili jej z drogi. Każdy Zresetowany ma w szpitalu przypisanego lekarza prowadzącego, a ona była moim lekarzem. Ale teraz, gdy o tym pomyślę, nie przypominam sobie, że bym w poczekalni pod jej gabinetem widywała kogokolwiek. Nikt z osób, które znałam, do niej nie przychodził. Jeżeli jest taka ważna, czemu fatygowała się dla mnie?

W szpitalnej szkole uczyli nas podstawowych rzeczy o Resetowaniu. Wszyscy byliśmy przestępcami, skazanymi na Zresetowanie – wymazanie naszych wspomnień i osobowości po to, żebyśmy mogli zacząć od nowa. Z czujnikiem Levo na nadgarstku, aby dopilnować, że wszystko idzie, jak należy. Levo zostaje usunięte w roku, w którym kończymy dwadzieścia jeden lat, w rocznicę naszego Zresetowania. Reset jest zatem drugą szansą, za którą powinniśmy być wdzięczni: dzięki temu nie trafiamy za kratki ani na krzesło elektryczne.

Ale kiedy siedzisz w więzieniu, przynajmniej wiesz, kim jesteś. Na krzesło

też, chociaż niezbyt długo – o ile zrobiłeś coś aż tak złego, by zasłużyć na wyrok śmierci.

Przygryzam wargę.

– Czy nigdy nie chciałaś się dowiedzieć?

– Czego?

– Dlaczego zostałaś Zresetowana.

– Nie. Jeśli przeszłość jest nie do zniesienia, po co próbować ją znosić?

Wzruszam ramionami. **B o j e s t m o j a.**

– Tak czy inaczej, to rozwiązuje zagadkę, co się stało z twoimi rysunkami.

– Naprawdę?

– Ochrona pewnie je wzięła, zanim wyszłaś ze szpitala. Nie mogą dopuścić, żeby ktoś się dowiedział, jak wygląda doktor Lysander czy ktokolwiek inny, kto tam pracuje, albo jak jest we wnętrzu szpitala. To zbyt niebezpieczne.

W mojej głowie mieszają się zaskrywane szepty, urywki rozmów, plotki i odległe nocne hałasy. Straże i wieże wartownicze. Wypalone budynki.

– Terrorystów?

– Właśnie.

Amy wyłącza światło. Wkrótce jej miarowy oddech oznajmia, że zasnęła. Sebastian zwija się w kłębek u mojego boku.

A więc doktor Lysander jest kimś ważnym i dlatego skradziono moje rysunki – żeby jej twarz pozostała ukryta przed światem. A ja narysowałam ją znowu. Może powinnam ukryć ten portret lepiej? To najlepsza jej podobizna, jaką do tej pory zrobiłam. Mimo że narysowana niewłaściwą ręką.

Jestem w niewielkiej przestrzeni, sama. Otacza mnie drewno. Jest ciemno, ale w prawej ręce trzymam latarkę.

Siedzę po turecku na podłodze, jestem głodna, wokół siebie czuję zimno i wilgoć. Nogi mi zeszywniały, nie ma miejsca, żeby je rozprostować, lecz nie dbam o to. Na kolanach mam kartki, a pod nie podłożyłam sobie kawałek drewna. Ołówek fruwa po papierze magicznym tańcem, który jest tylko mój. Tworzę wyobrażone miejsce, tak dalekie od tego tutaj, odległe w czasie i przestrzeni: miejsce, gdzie pragnę być.

Jestem tak pochłonięta rysowaniem, że początkowo nie słyszę kroków stawianych na schodach ponad moją głowę. Wyłączam latarkę i wstrzymuję oddech.

Kroki zatrzymują się na samym dole. Pauza. Potem rozlegają się znowu, coraz bliżej i bliżej mojej kryjówki. Powinnam coś zrobić, schować rysunki, cokolwiek,

ale siedzę jak skamieniała.

Światło bije mi prosto w twarz. Oślepia.

– Tu jesteś.

Nic nie mówię. On widzi to wszystko: rysunki, ołówek. Trzymającą je rękę.

– Wstawaj! – rzuca.

Gramolę się z kryjówki, światło wciąż mnie oślepia.

– Znasz powody, wiesz, jakie to ważne. Ale i tak nie jesteś posłuszna.

– Przepraszam. Więcej tego nie zrobię. Naprawdę, obiecuję!

– Mam dość twoich obietnic. Nie można ci ufać.

Jego głos jest pełen żalu, nawet smutku.

– Podaj mi lewą rękę.

Nie chcę podać, więc bierze ją siłą.

– Przykro mi, musisz się wreszcie nauczyć.

I prawie wierzę, że naprawdę mu przykro, kiedy miażdży mi palce cegłą, jeden po drugim.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Udręka dźga mnie w oczy, wierci się w nich jak ostrze noża.

Pod językiem czuję gorzki, metaliczny smak.

Kaszlę.

– Dochodzi do siebie.

Męski głos. Czyj?

Próbuję otworzyć oczy, ale palą mnie, jakby słońce spadło z nieba. Jęczę.

– Kyla? – Czyjaś dłoń dotyka mojej. Amy. – Wyłączcie światła.

Światła przygasają i spoglądam przez zmrużone powieki.

– Nareszcie jesteś – mówi Amy i uśmiecha się.

Leżę na podłodze. Próbuję usiąść.

– Nie ruszaj się jeszcze – znowu odzywa się męski głos.

Odwracam głowę w stronę jego źródła. Sanitariusz? A obok drugi. Mama, pobladła na twarzy, stoi w drzwiach.

Przenoszą mnie z powrotem na łóżko. Amy przytrzymuje woreczek z płynem do kroplówki. Jeden z sanitariuszy mocuje go u góry, drugi wstrzykuje coś do woreczka i do moich żył wślizguje się ciepło, zaczyna gasić ból. Oczy mi się zamykają.

Głosy mieszają się i cichną.

– Zły sen spowodował c o ś t a k i e g o? Wątpliwe.

– Mogła umrzeć...

– Zatrzymać w łóżku przez dzień lub dwa...

– Kojenie bólu...

– Gdyby Amy się nie obudziła, kiedy uderzyła w podłogę, pewnie by umarła...

O s t a t n i a S z a n s a.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Mogę przynajmniej dostać książkę?

– Nie. Masz odpoczywać – odpowiada mama i krzyżuje ramiona.

– Mogę odpoczywać i czytać.

– Nie.

– W szpitalu mi pozwalali – kłamię.

– Nie jesteś w szpitalu, tylko pod moim okiem i odpoczywasz. Śpij – mówi i znów mnie zostawia, wyganiając Sebastiana i zamykając za sobą drzwi.

Mogę się przekonywać, że chce dla mnie dobrze. Trudno jest jednak odpoczywać, jeśli ktoś wślizguje się do ciebie co dwie minuty, żeby się upewnić, że odpoczywasz.

Zamykam oczy. Wciąż mam takie uczucie, jakby mi głowę miażdżono w imadle, choć teraz jest lepiej niż rano, kiedy nawet mruczenie Sebastiana wibrowało mi w czaszce jak bębny i poprosiłam, żeby go ode mnie zabrano. Boję się jednak spać. Boję się, że ten sen znów mnie znajdzie. Teraz, kiedy działanie zastrzyku ustało, w s z y s t k o się może zdarzyć.

Moje koszmary w szpitalu były przerażające, ale niejasne. Zazwyczaj nie mogłam sobie przypomnieć zbyt wiele z tego, co się w nich działo. Po prostu budziłam się z krzykiem. Często od czegoś uciekałam, nie wiedząc, co to jest.

Lecz ten sen był inny. Odtwarzam go w pamięci tak wyraźnie, jakby przewijał się na powtórce przed moimi oczami – właśnie teraz, raz za razem. Czuję ból, widzę swoje połamane, skrwawione palce. To takie rzeczywiste.

Rzeczywiste jak wyryte w głowie wspomnienie, sugestywne i wyraziste; z tego okropnego rodzaju wspomnień, których się nigdy nie zapomina, choćby się nie wiedzieć jak próbowało. Ale wspomnienia to rzecz, której nie powinnam mieć. Niczego z czasów, zanim zostałam Zresetowana. Prawie jakby wczorajsze rysowanie lewą ręką sprowadziło tamtą scenę z powrotem, przywołało ją z jakiejś kryjówki na powierzchnię.

Kim jest tamten człowiek? Czy to prawdziwa postać, czy raczej jakiś koszmar zamieszkujący mój umysł? We śnie nie dostrzegam jego twarzy. Najpierw oślepia mnie światło, potem nie widzę z powodu bólu i łez. Ale moje ja we śnie zna go, a nawet rozpoznaje odgłos jego kroków.

Jedno jest zdecydowanie pewne. Jeżeli to prawdziwa postać, nie chcę jej znać.

– Hmmm?

– Przepraszam. Obudziłam cię? – Amy.

Faktycznie zasnęłam: pograżyłam się w czarnym, milczącym miejscu, spokojnym, bez snów. Może lekarstwo jeszcze działa.

– W porządku. Niedobrze mi od leżenia w łóżku. Mogę wstać?

Amy potrząsa głową.

– Mama ci nie pozwoli. Powiedzieli, że masz zostać w łóżku przez cały dzień.

A ona zawsze trzyma się zaleceń, czy w nie wierzy, czy nie.

– Tak mi się nudzi.

– Biedactwo. Jak głowa?

– Nie za dobrze.

– Mogę ci coś przynieść? Jesteś głodna?

– Nie.

Amy odwraca się, żeby wyjść.

– Czekaj. Jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

– Tak?

– Mój szkicownik. Zabrała mi go, nie mogę rysować.

Amy waha się. Idzie do swojego pokoju i wraca.

– Czy to się nada? – Podaje mi mały niezapisany notes i ołówek.

– Świetnie. Dzięki.

– Tylko nie trzymaj tego na widoku. – Puszczą do mnie oko.

Siadam oparta o poduszki i odwracam się od drzwi, tak żeby zasłaniać sobą notes. Nasłuchuję uważnie jakiegokolwiek skrzypnięcia, które mogłoby oznaczać, że mama zakrada się po schodach.

Ale przy uspokajającym skrobaniu ołówka na papierze dają się coraz bardziej pochłonać. Uciekam od samej siebie, od snu; od wszystkiego.

Jestem kimś innym.

– Masz szczęście, że to ja.

Podskakuję.

Amy zamyka drzwi i stawia na stoliku obok mnie tacę z zupą.

– Co rysujesz?

Pokazuję jej. Pół mama, pół smoczyca. W najróżniejszych pozach. Zionie ogniem, polatuje nad domem.

Amy śmieje się.

– O Boże. Uważaj, żeby tego nie zobaczyła. Będziemy musiały to ukryć i...

Urywa i marszczy brwi, patrząc na moją dłoń. Lewą, w której trzymam

ołówkę. Do żołądka spływa mi strach.

– Myślałam, że jesteś praworęczna. Kiedy rysowałam mnie, robiłaś to prawą ręką.

– Bo jestem! Rysowałam prawą, tylko przełożyłam ołówkę, żeby ci podać notes.

– O, przepraszam. Jasne – mówi Amy i znów się uśmiecha.

Moje Levo wibruje: 4,6.

– Czekolady? – pyta Amy.

Potrząsam głową.

– Sebastiana.

Otwiera drzwi i po chwili wraca, niosąc kota. Kładzie mi go na kolanach. Sebastian miauczy, urażony, że przez cały dzień kazano mu się trzymać z daleka. Głaszczę go, a on rozluźnia się z mruzeniem. Kocie łapy ugniatają kołdrę tuż obok mnie, wbijając i wyciągając pazurki.

– Zjesz trochę? – pyta Amy.

– Za chwilę.

Kiedy poziom stabilizuje mi się na piątce, Amy wychodzi, żeby oglądać na dole telewizję. Tak ciasno otaczam Sebastiana ramionami, że wierci się i protestuje, aż rozluźnię uścisk.

Dlaczego skłamałam?

Wystraszyłam się. Własnej siostry? To obłąd. Lecz strach pojawił się naprawdę, był realny. Jakby Amy mogła być kolejną osobą, która mi grozi cegłą.

Unoszę lewą rękę. Obracam ją na boki. Palce są całe i nietknięte, nie ma blizn. Prawie mi się udaje przekonać samą siebie, że to się nigdy nie zdarzyło, że wymyśliła to moja podświadomość. Że kiedy odkryłam, o ile lepiej rysuje mi się lewą ręką, w jakiś sposób wywołałam ten sen. Że to nie mogło być wspomnienie. Jestem Zresetowana, nie mam wspomnień.

Ale z jakiegoś powodu dziwna pewność przygniata mi pierś, aż trudno się przez to oddycha. Wszystkie instynkty samozachowawcze krzyczą we mnie w środku i nie umiem ich zignorować.

Nikt się nie może dowiedzieć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Dzień dobry wszystkim. Mamy dziś kogoś nowego! – ogłasza pielęgniarka Penny radosnym głosem, pasującym do jej jaskrawożółtego swetra.

„Wszyscy” to kilkanaścioro Zresetowanych, takich jak ja, zebranych z okolicznych bliższych i dalszych miejscowości. Siedzą w luźnym kręgu w pełnej przeciągów wysokiej sali.

Pielęgniarka popycha mnie lekko.

– No już. Przedstaw się i weź sobie krzesło.

– Cześć. Jestem Kyla – mówię. Znajduję w rogu krzesło i dostawiam je do kręgu.

Pozostali uśmiechają się do mnie i do siebie, w większości znacznie ode mnie młodszy. Z wyjątkiem jednej dziewczyny, mniej więcej w moim wieku, która siedzi z założonymi rękami i spogląda przez okno w ciemność.

Sama radość. Pierwszy dzień w Grupie. Akurat tego mi trzeba z tym ćmiącym bólem, który wciąż ciąży mi za oczami. Zazwyczaj mija dopiero po dwóch albo trzech dniach. Mama powiedziała, że może powinnam tym razem odpuścić spotkanie, ale potem stwierdziłam, że czuję się wystarczająco dobrze, żeby się dzisiaj wybrać. Przynajmniej w ten sposób w końcu wyrwę się z domu. Poza tym nie ma powodu, by to odkładać. I tak będę tutaj przychodzić co czwartek o siódmej, aż do odwołania. Amy już nie musi spotykać się z Grupą, więc przypuszczam, że „do odwołania” oznacza: do momentu, aż nabiorą przekonania, że nie potrzebuję nieustannego nadzoru.

W szpitalu też mieliśmy Grupę, dlatego wiem, o co w tym chodzi. Mamy opowiadać o swoich uczuciach „w atmosferze wparcia, a nie osądu”, ale zazwyczaj wydawało mi się, że to oni mówią nam, co mamy odczuwać.

Penny zakłada ręce na piersi.

– Czy ktoś pamięta, co należy teraz zrobić?

Spoglądają po sobie.

To wręcz bolesne.

Wreszcie najstarsza dziewczyna odrywa wzrok od okna i przewraca oczami.

– Ludzie, patrzeć na was to jak pilnować, czy farba wysycha. Przedstawcie się, zanim wszyscy umrzemy tu ze starości.

Czuję, że oczy mi się rozszerzają tak samo jak pozostałym siedzącym w kręgu. Powiedziała na głos coś w tym stylu, w jakim ja zawsze mówię

w duchu. Jak to możliwe, że się odważyła?

Pielęgniarka marszczy brwi.

– Dziękuję za uwagę naprowadzającą. Może zechciałabyś zacząć?

– Jasne. Jak się masz, droga Kylo. Jestem Tori. Witamy cię w naszej radosnej Grupie.

Pozostali dołączają ze swoimi imionami. I z uśmiechami. Nieświadomi, że głos Tori ociekał sarkazmem. Wszyscy z wyjątkiem Penny, która wciąż marszczy brwi.

Po tym wprowadzeniu Penny spogląda na zegarek: dziesięć po siódmej.

– Cóż, sądzę, że najlepiej...

W tym momencie otwierają się na oścież drzwi z tyłu.

– Przepraszam za spóźnienie – odzywa się głos. Męski.

Odwracam się, słysząc, że ktoś wlecze po podłodze krzesło. Tori przesuwa się, żeby zrobić miejsce w kręgu, i tamten ktoś siada obok niej. Pielęgniarka sili się na surową minę.

– Musisz się nauczyć punktualności, Ben. Jak było na treningu?

– Dobrze, dzięki. – Ben uśmiecha się, a kiedy Penny odpowiada uśmiechem, widzę w jej oczach, że to jej ulubieniec. Bynajmniej nie przejawia się swoim spóźnieniem, ona też nie ma o to pretensji. Jest jej faworytem.

Nic dziwnego. Widać, że został Zresetowany wcześniej niż wszyscy obecni, może jedynie z wyjątkiem Tori. Jego uśmiech jest raczej prawdziwy niż oszołomiony – na taki uśmiech człowiek ma ochotę też się uśmiechnąć. Penny powiedziała „trening”. Chłopak ma na sobie szorty, mimo że wieczór jest chłodny; nogi umięśnione, koszulka z długim rękawem przylega mu do pleców i ramion. Lekko brązowa skóra świadczy o tym, że Ben więcej przebywa na zewnątrz niż w pomieszczeniach. A Tori po raz pierwszy tego wieczoru uśmiecha się naprawdę – do niego. To zupełnie przemienia jej twarz: staje się zachwycająca.

– Cześć. Jesteś nowa? Mów mi Ben – przedstawia się chłopak i uświadamiam sobie, że się gapiłam. Czuję rumieńce na policzkach.

– Kyla? – ponagla mnie Penny, aż podskakuję.

Tori przewraca oczami.

– Tak, Ben, ominęło cię wprowadzenie. To jest Kyla. Kyla, to Ben.

– Miło mi – mówi chłopak i uśmiecha się prosto do mnie.

– Dzięki – mamroczę, spuszczaając wzrok.

– Może zatem zaczniemy? – odzywa się pielęgniarka. Spogląda po kolei w twarze zebranych, po czym zatrzymuje się na mnie. – Kyla, dlaczego

tu jesteś? Dlaczego wszyscy tu jesteśmy?

Patrzę na nią bezmyślnie.

Odpowiedź, którą mam w głowie – „bo musimy” – jest rzeczowa, ale zapewne niewłaściwa. Na spotkaniach szpitalnej Grupy zdążyłam zauważyć, że chociaż podobno ma to być bezpieczne miejsce, w którym można powiedzieć cokolwiek, lepiej nie wypowiadać się szczerze. Przez zbytnią szczerotę kilka razy wylądowałam u doktor Lysander i majstrowała mi w mózgu, po czym przez wiele dni czułam się wykończona i oszołomiona.

Uśmiecham się szeroko i nic nie mówię. Pielęgniarki zazwyczaj kupują tę moją sztuczkę, jeśli mnie za dobrze nie znają.

– Kyla, jesteśmy tu po to, żeby się wzajemnie wspierać w naszym przejściu ze szpitala do rodzin i społeczeństwa – wyjaśnia Penny w odpowiedzi na własne pytanie. – A dlaczego byłaś w szpitalu? – Uśmiecha się promiennie.

To jest już bardziej interesujące. To znaczy: wiem, co mi tam zrobili, przynajmniej z grubsza. Wymietli synapsy i połączenia w mózgu, które składały się na mnie – moją osobowość, moje wspomnienia. I znam ogólne powody, dla których wykonuje się Reset: najczęściej chodzi o to, że człowiek jest niebezpieczny dla siebie lub dla społeczeństwa. Ale nie wiem, dlaczego zrobiono to w moim konkretnym przypadku. Czy Penny ma to gdzieś w swoich dokumentach?

– A więc, Kyla? – ponagla pielęgniarka.

– Niech pani mi to powie.

Tori podnosi głowę, napotyka mój wzrok. W jej oczach tańczy rozbawienie.

Penny marszczy brwi. Byłam już na tylu tego rodzaju spotkaniach, by wiedzieć, że nie padają na nich żadne prawdziwe odpowiedzi. Zanim pielęgniarka zdąży zareagować, ratuje mnie Ben, podnosząc rękę.

– Dano nam nowy początek – mówi. I znów się do mnie uśmiecha.

Odczuwam wstrząs związany z rozpoznaniem: płynne brązowe oczy, ciemne włosy odsunięte do tyłu i podwijające się tuż za uszami – wszystko w jakiś sposób znajome. Jakbym go już kiedyś spotkała. Otrząsam się wewnętrznie, zmuszam do odwrócenia wzroku.

– Właśnie – przytakuje Penny. – A teraz wszyscy zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy w zeszłym tygodniu. Czy ktoś pamięta, o czym mówiliśmy, żeby streścić to Kyli? – Rozgląda się, ale nie widać ochotników. – Mówiliśmy o podtrzymywaniu u siebie poziomu. Jaki macie teraz poziom?

Posłusznie sprawdzamy i podajemy wartości. U mnie jest najniższa: 4,8.

Penny wygląda na zaniepokojoną.

- Jakie masz strategie?
- To znaczy?
- Kiedy opada ci poziom, co robisz, żeby go podnieść z powrotem?
- Pomaga czekolada. Uściski. A ostatnio głaskanie kota.
- To wszystko są czynniki zewnętrzne. A co z wewnętrznymi, tymi, które masz w sobie?

No, może jednak dowiem się tu czegoś użytecznego.

– Do jakiego poziomu dążymy? – zwraca się do Grupy.

Wywiązuje się rozmowa, a ja odpływam. Słyszałam to już wiele razy.

Wyrównany poziom mieści się między piątką a szóstką.

Dziesiątka to absolutna radość, jedynka – złość taka, że może zabić albo takie przygnębienie, że człowiek nie ma siły się ruszyć. Jeśli spadnie poniżej trzech, zmierzasz do krainy niebytu – Levo uruchamia chip w twoim mózgu i wyłącza cię, jak mi się zdarzyło zeszłej nocy. To na wypadek, gdyby na dnie umysłu czaiły się jakieś gwałtowne impulsy przeoczone w trakcie Resetowania. Jeśli z jakiegoś powodu poziom spadnie poniżej dwóch bez wyłączenia, chip wysyła coś więcej niż sygnał elektryczny. Bardziej przypomina to grilla. Następują drgawki i jeśli w ogóle człowiek się po nich ocknie, do końca zostanie śliniącym się idiotą.

Penny przegląda pliki w swoim netbooku. „Cyk, cyk” – klikają klawisze.

– Widzę, że masz sporą historię koszmarów i wyłączeń. Zobaczmy, czy możemy pomóc Kyli naszymi strategiami. Ktoś chętny?

Zdaje się, że tak naprawdę nie pamięta żadnego imienia. Nie wie, że nawet Zresetowani nie reagują na „ktoś chętny”? Wskazuje po kolei osoby, a ja słucham wbrew sobie.

Padają różne propozycje; niektóre już stosowałam.

Oderwanie myśli: skupić się na czymś innym. Powtarzać tabliczkę mnożenia, liczyć płytki na podłodze. Ben podrzuca:

– Mam taki sposób. Spędzałem całe godziny na bieżni w szpitalnej siłowni, aż uczucia zupełnie ginęły i zostawało tylko głucho „tup, tup”.

Albo mój własny pomysł: porządkować to, co nieznanne, by z linii i cieni powstawały twarze, rysować mapy korytarzy i drzwi, i wszystkiego, co pomiędzy nimi, żeby stworzyć granice. Czy właśnie dlatego to robię?

Wizualizacja: myślami odejść gdzieś indziej. Do Szczęśliwego Miejsca w mowie pielęgniarek.

Przeniesienie: w myślach przekazać swoje uczucia komuś innemu.

Oddzielenie się: stać się kimś innym, zostawić swoje uczucia za sobą.

W tym staję się ekspertem.
Chyba jak my wszyscy?

Później Penny mówi, żebyśmy się podzielili na mniejsze grupki i ćwiczyli rozmowy. Temat zadany na dziś: pogawędka o własnych rodzinach.

I wszyscy zaczynają szurać krzesłami, dobierając się w pary i trójki, bez targów. Znają się i wiedzą, z kim chcą rozmawiać. Waham się, niepewna, co robić, i nagle podskakuję, gdy na moim ramieniu ląduje czyjaś ciepła dłoń: Ben. Nachyla się.

– Usiądziesz z nami? – pyta z uśmiechem, a ja łapię się na tym, że gapię się w jego oczy. Z bliska w brązowych tęczęwkach widać ciepłe złote punkty; trudno byłoby je namalować, właściwie zmieszać kolory i...

Po jego twarzy przemyka rozbawienie.

– To jak?

– Dobra – mówię i wstaję.

Jego ręka opada z mojego ramienia. Chłopak podnosi krzesło i stawia je obok Tori, a sam siada naprzeciw nas dwóch.

Tori mruży oczy. Zaczyna coś mówić, ale przerywa, kiedy podchodzi do nas Penny.

Wkrótce dowiaduję się, że tato Bena jest nauczycielem, a jego mama pracuje w mleczarni i dodatkowo ma warsztat rzeźbiarski. Tato Tori jest radnym w Londynie, a ona mieszka z mamą na wsi. Ojciec odwiedza je tylko w niektóre weekendy i ze sposobu, w jaki dziewczyna o tym mówi, wynika, że uważa to za dobry układ. Oboje mają po siedemnaście lat, są starsi ode mnie o rok, i znają Amy ze szkoły. Tej samej, do której będę chodzić, gdy tylko dostanę pozwolenie.

– Skąd się właściwie wzięłaś? – pyta natarczywie Tori, gdy tylko Penny przesuwa się dalej, by się przysłuchiwać następnej grupie.

– O co ci chodzi?

– Gdzie byłaś, zanim tu przyjechałaś?

– W szpitalu. Wypuścili mnie w ostatnią niedzielę.

– Nie wierzę.

– Tori – wtrąca Ben. – Bądź uprzejma.

Dziewczyna uśmiecha się do niego znacząco.

– Nie ma takiej opcji, żeby była świeżo wypuszczona. Słyszysz, jak mówi. Wiesz o tym tak samo jak ja. Oboje jesteśmy na zewnątrz już ponad trzy lata. Wiesz, jacy są nowi.

– Byłam w szpitalu dłużej niż większość – wyjaśniam. – Z powodu koszmarów.

– Jak długo?

– Dziewięć miesięcy. Tak mi przynajmniej powiedzieli.

– Mimo to i tak jesteś dziwna.

Chcę zaprotestować, spierać się. Otwieram już usta, ale zaraz zamykam je z powrotem. To właśnie jest dowód. Większość Zresetowanych po prostu uśmiechnęłaby się i zgodziła z tym, co do nich powiedziano. Co za sens, żebym zaprzeczała, skoro to oczywista prawda? Wzruszam ramionami.

– I co z tego, jeśli nawet?

– Aha! – podsumowuje Tori.

Nagle Ben wychyla się naprzód, z zainteresowaniem szuka moich oczu.

– Co w tym złego, że ktoś jest inny?

Tori patrzy na mnie z niezadowoleniem, lecz zaraz, po uścisku Bena, grymas ustępuje z jej twarzy.

– Chcesz się z nami spotkać w niedzielę? – Ben patrzy na mnie, nadal obejmując Tori. – Idziemy na wystawę rolniczą.

Dziewczyna wygląda jednocześnie na zaskoczoną i rozdrażnioną.

– Nie wiem. Musiałabym zapytać, czy mi wolno.

Tori przewraca oczami.

– Jasne. Wszystko jedno.

Odnoszę wyraźne wrażenie, że jeśli chcę mieć dobre układy z Tori, powinnam się trzymać z daleka od Bena. I jakoś nie wydaje mi się, że tego bym chciała.

Penny łapie mnie, gdy inni już się zbierają do wyjścia.

– Zaczekaj, Kylo. Chcę z tobą zamienić słowo na osobności.

Czeka, aż ostatnia osoba wyjdzie, po czym ze skupioną miną siada naprzeciw mnie.

– Słyszałam, że miałaś wyłączenie dwa dni temu. Muszę sprawdzić twoje Levo.

Wyciąga ręczny skaner, taki jak tamte w szpitalu, tylko mniejszy, i podłącza go do swojego netbooka. Trzyma go nad moim Levo, a na ekranie pojawiają się wykresy.

– O mój Boże.

– Co?

– Patrz, Kyla. Zobacz swoje odczyty. – Dotyka ekranu, wybiera wykres z piętnastego września. Spory jego odcinek, wczesne godziny wtorku, są

czerwone. Dotyka punktów i na ekranie wyskakują liczby.

– Kyla, miałaś dwa i trzy dziesiąte. To za blisko. Co się stało?

Gapię się na nią w odpowiedzi. Tylko trzy dziesiąte dzieliło mnie od tego, żeby się wcale n i e o b u d z i ć. Żołądek mi się skręca.

– Więc?

– Nie wiem. Miałam koszmar i tyle. Nie obudziłam się z niego. Następne, co pamiętam, to sanitariusze, wstrzyknęli mi Sok Radości. Wciąż mam zawroty głowy na dowód.

– Sny w żaden sposób nie wpływają na Levo, wiesz o tym. Chodzi o twój stan po przebudzeniu.

Wzruszam ramionami.

– Nie pamiętam, żebym się obudziła.

– Co ci się śniło?

– Nie pamiętam – kłamię.

Pielęgniarka wzdycha.

– Kyla, chcę ci po prostu pomóc. Pierwszą wizytę kontrolną w szpitalu masz dopiero za dwa tygodnie, ale może powinniśmy ją przesunąć na najbliższy weekend.

– Nie! Muszę po prostu... – Jak mam to ująć w słowa strawne dla pielęgniarki? – Muszę o d e r w a ć m y ś l i, zająć sobie czymś czas i głowę. Czy mogę zacząć chodzić do szkoły? Proszę!

Penny odchyła się do tyłu i patrzy mi w oczy, jakby w nich czegoś szukała.

– Za wcześnie na to. Najpierw powinnaś się przyzwycząić do tego, co masz w domu. I...

– Proszę! – Tak naprawdę nie chodzi mi o szkołę. Martwi mnie, że znów będę musiała zostać w domu sama z mamą, S m o c z y c ą. Ostatnie dni spędzone w łóżku, z nią i Sebastianem jako jedynym towarzystwem, sprawiły, że nawet koszmary wydały się lepsze.

– Oderwanie myśli to dobry sposób, ale potrzebujesz również przedstawienia na inny tor. Dam ci ćwiczenia do przerobienia, dobrze? Jeśli się z nimi uwiniesz i naprawdę się do nich przyłożysz, wyślemy cię do szkoły w przyszłym tygodniu. Umowa stoi?

Wyciąga do mnie rękę.

Wpatruję się w nią i liczę. Jest czwartek, do poniedziałku zostały tylko cztery dni.

– Dobrze, stoi – odpowiadam i ściskam jej dłoń.

Amy zagląda przez drzwi z tyłu sali, przypuszczalnie wysłana, żeby

sprawdzić, dlaczego jeszcze nie wyszłam. Penny natychmiast ją spostrzega.

– Amy? Wejdź. Możesz pomóc.

I zaraz obie pomagają mi w wizualizacji Szczęśliwego Miejsca. Wybieram mój wymarzony zielony zakątek z drzewami i kwiatami, leżę w nim na plecach i patrzę w obłoki na niebie. Ilekroć jestem zdenerwowana lub przerażona, mam tam wracać myślami. Aż stanie się to automatyczne.

Łatwe, prawda?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Na pewno możesz popilnować obydwojga? – pyta mama, odwracając się w drzwiach.

– Tak, mówiłam ci – zapewnia Amy. – Idźcie.

Co do mnie, wcale nie jestem przekonana. Krzyki wdzierają mi się do głowy. Jak ktoś tak mały może robić tyle hałasu? Wrzeszcząc w kółko: „Mamusi!”.

Drzwi się zamykają i przez okno widzę, jak mama i tato oddalają się drogą w stronę pubu z młodszą siostrą taty, naszą ciotką Stacey, która wydaje się odporna na zawrośnięcie swojego małego syna.

Maluch, trzęsąc się, wciąga powietrze, żeby napędnąć płuca do kolejnego dźwiękowego ataku. Amy pochyla się nad nim.

– Robert, chcesz biszkopta?

Usta mu drżą. Amy wyciąga do niego rękę, a on spogląda na nią w górę. Na jego usmarowanej twarzy maluje się niezdecydowanie. Dziewczyna bierze go na rękę i niesie do kuchni. Po kilku sekundach chłopczyk chichocze, wcinając ciasteczka na podłodze.

– Jak można w ciągu minuty przejść z pełnego wrzasku do śmiechu?

– Jest jeszcze mały, łatwo odwrócić jego uwagę.

Do kuchni wchodzi Sebastian, rzuca okiem na Roberta i jednym susem wskakuje na blat.

– Kicia? – Maluch pokazuje kota. – Kicia!

Upuszcza biszkopta i podciąga się, przytrzymując nóg krzesła. Robi kilka kroków, po czym spada na pupę. Jego twarz, najpierw zaskoczona, natychmiast się wykrzywia.

– Robert, nic się nie stało! – Amy porywa go na rękę i podnosi, tak żeby mógł dotknąć ręką Sebastiana, który wygląda na zrezygnowanego.

– Pogłaskaj ładnie kotka, o tak – podpowiada Amy. Pokazuje mu, tak jak kilka dni temu robiła to ze mną.

Lecz on nie łapie, na czym to polega, i bardziej grzmoci kota niż gładzi. Potem przesuwa ręką w niewłaściwą stronę i futro się najeża. Sebastian zeskakuje z blatu, i czym prędzej ucieka przez kłapę w drzwiach.

Amy siada, sadza sobie Roberta na kolanach i zaczyna go łaskotać, żeby się nie zdążył zniechęcić. Maluch chichocze.

Potem następuje godzina zabawy z drzwiczkami szafek kuchennych oraz

walania drewnianymi łyżkami w garnki. Później Robert trze sobie oczy i zasypia w ramionach Amy.

– Herbaty? – pyta Amy.

Wstaję, żeby nalać wody do czajnika. Stawiam go na kuchence.

Amy odwraca się na siedzeniu i widzę, że na mnie patrzy. Tak jak mówiła mama. Pilnuje nas o b o j g a. Jakbym się mogła oparzyć na kuchence albo zachwiać i upaść na pupę niczym Robert.

Pielęgniarka Penny powiedziała mamie, że jestem jak małe dziecko. Ale wystarczy na niego spojrzeć: nie uczy się tak szybko jak ja. Nie umiał nawet pogłaskać kota. Amy mówi, że pierwsze kroki stawiał całymi tygodniami, a i tak się przewraca. Ma roczek i ledwie mówi.

Kiedy zostałam Zresetowana, w ciągu kilku tygodni nauczyłam się chodzić bez chwiania. Od czasu, gdy powiedziałam pierwsze słowa, już po kilku dniach mówiłam pełnymi zdaniami. To prawda, robiłam postępy szybciej niż wielu innych, lecz nawet najwolniejsi po miesiącu czy dwóch umieli prowadzić proste rozmowy.

Moje wspomnienia zniknęły, ale część mnie coś pamięta. Ciało, mięśnie. Tak jak lewa ręka z rysowaniem. Gdy tylko wzięłam do niej ołówek, sama wiedziała, co robić. A więc to nie jest tak samo, jak zaczynanie zupełnie od zera. Raczej jeśli dostaniesz właściwy bodziec, potrafisz robić zapomniane rzeczy. Kto wie, do czego jeszcze jestem zdolna?

Stawiam na stole kubki z herbatą i siadam.

– Au, ręka mi zdrętwiała. Czy możesz potrzymać mu głowę? – Amy porusza się, a ja wsuwam ręce pod Roberta, żeby się mogła przemieścić. Chłopczyk nie budzi się.

– Dzięki. Cudowny jest, prawda?

Wzruszam ramionami nieprzekonana.

– Zbyt hałaśliwy. Wolę, kiedy śpi.

– Faktycznie. Ale płakał za mamą.

– A ona nie sprawiała wrażenia, jakby się martwiła tym, że go zostawia. Razem z naszą mamą prawie wyfrunęły z domu.

– Taak. Mamie trudno go znieść.

Też to zauważyłam i jakoś nie wydawało się tak oczywiste jak to, że maluch wrzeszczy i potrzebuje czystej pieluchy. Mama najwyraźniej chciała jak najszybciej oddzielić się od niego przestrzenią, to ona zaproponowała wyjście do pubu i zostawienie nas w domu.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewna, czy powinnam ci mówić.

– O czym? Powiedz!

Amy wpatruje się we mnie i w końcu kiwa głową.

– Okej, ale to sekret rodzinny. Nie możesz nikomu się zdradzić z tym, że wiesz.

– W porządku – potwierdzam skinieniem.

– Ciotka Stacey powiedziała mi o tym na wiosnę, kiedy zostałam z małym. Mama nie wie, że o tym wiem. Zanim ona i tato się poznali, była z kimś innym i mieli dziecko, Roberta. Rozeszli się, gdy był jeszcze mały. Stacey przyjaźniła się wtedy z mamą, to ona poznała ją z tatą. Gdy się pobrali, Robert umarł. A Stacey dała swojemu synkowi imię na jego cześć. Chciała dobrze, ale wydaje mi się, że ile razy mama go widzi, myśli o swoim dziecku, które umarło.

– Okropne! – Gardło mi się ściska. Najpierw zmarli jej rodzice, kiedy miała piętnaście lat, a później syn. Nic dziwnego, że jest taką Smoczycą.

– Wiem, że mama potrafi być trudna, ale ma swoje powody – wyjaśnia Amy.

– Nigdy nie mówi o swoim Robercie?

– Nigdy. W każdym razie nie do mnie.

Patrzę na nią zmieszana. Mama jest pełna sprzeczności. Wszystko na pozór widać na powierzchni, a tyle ukrywa w środku.

– Nie rozumiem tego – przyznaję w końcu.

– Spójrz na to z drugiej strony: lepiej się z nią dogadasz, jeśli będziesz mówiła, co myślisz, tak jak robi ona. Mama właśnie w ten sposób sobie radzi.

Wkrótce rozlegają się głosy, na zewnątrz słychać kroki.

Amy kładzie sobie palec na ustach, a ja kiwam głową.

Otwierają się drzwi frontowe i po chwili mama z ciotką wchodzi do kuchni.

– Tu jest mój chłopczyk – mówi ciotka i wygląda, jakby naprawdę za nim tęskniła. Wyplątuje go z ramion mojej siostry i zaraz potem się zegna.

– Gdzie tato? – pyta Amy.

Mama przewraca oczami.

– Dostał pilne wezwanie do pracy. Wyszedł w połowie lanczu.

Mama zaczyna zamiatać okruchy z ciastek Roberta. Sebastian wślizguje się z powrotem przez kłapę w drzwiach i ociera się o jej kostki.

– Obiad dla Sebastiana? – zagaduje mama i sięga do szafki po puszkę. W tym momencie spostrzega resztki naszego lanczu i rzeczy do parzenia herbaty na blacie. – Doprawdy. Nie zabiłoby was chyba, gdybyście po sobie pozmywały? – rzuca cierpko.

Wzdrygam się i siłą powstrzymuję, żeby nie podskoczyć. Od razu zabieram

się do sprzątanía. Mama stoi, patrzy i mówi mi, co robię źle. I wtem jakiś wewnętrzny głos podpowiada mi, żebym wyraziła, co myślę.

– Byłyśmy zbyt zajęte pilnowaniem Roberta, nie mogłyśmy się wziąć do zmywania – mówię.

Mama kieruje na mnie zaskoczone spojrzenie. Potem kiwa głową.

– Rozumiem, berbec jest rozbrykany. Dobrze, że nie uraczył was brudną pieluchą – odpowiada ze śmiechem.

A ja śmieję się razem z nią. Amy mruga do mnie porozumiewawczo, gdy mama nie patrzy. Wspólnie, we trzy, robimy obiad i po raz pierwszy jestem prawie wyluzowana w jej obecności.

Później żegnamy się na dobranoc i gdy ruszamy już w stronę schodów, Amy nagle się odwraca.

– Prawie zapomniałam zapytać. Mamo, czy możemy jutro iść na wystawę?

Wystawa – czy to nie o niej wspominał Ben? Zaproponował, żebym poszła razem z nim i Tori. Odwracam się na pięcie.

Mama odkłada książkę.

– Z kim? – rzuca krótko.

– Wszyscy idą, mamo. Wiesz: Debs, Chloe, Jazz, wszyscy.

Mamie zwiężają się oczy.

– Cóż, jeśli idą w s z y s c y, nie widzę przeszkód. Ale was podwiożę.

– Dzięki – mówi Amy, jednak jej twarz wyraża co innego.

Na górze siostra zamyka za nami drzwi. Przewraca oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że wciąż się upiera, żeby nas w o z i ć. Jakbyśmy miały po d w a n a ś c i e lat.

– Wyglądało, jakby miała podejrzenia.

– O co? – pyta Amy, po czym wybucha śmiechem. – Jeżeli masz na myśli mnie i Jazza, to tylko połowa prawdy.

– O czym ty mówisz?

Rzuca we mnie poduszką.

– O B e n i e, rzecz jasna.

– Co?

– Pytał mnie wczoraj w szkole, czy mogłabyś jutro wyjść, żeby być na wystawie. Zdaje się, że zrobiłaś na nim wrażenie.

– O.

– Tylko „o”? Jest raczej niezły, nie?

– Chyba tak.

Jasne, że jest niezły, choć to za słabe słowo – Ben należy do jakiejś innej kategorii. Poza tym wiąże się z nim coś jeszcze, jakieś uczucie, którego nie umiem uchwycić. Chcę się dowiedzieć o nim więcej. Ale nie ma sensu, bym się łudziła, skoro kręci się przy nim Tori.

– Uganiają się za nim nawet dziewczyny z szóstej klasy. Choć nie zauważyłam, żeby go któraś złapała.

Wzruszam ramionami.

– Myślę, że ma na oku Tori.

– Nie wydaje mi się. Ona nie jest w jego typie.

– Dlaczego? Wygląda wspaniale.

Bo tak jest, zwłaszcza gdy się uśmiecha. Ma świetne, proporcjonalnie zbudowane ciało i długie, faliste ciemne włosy – mogłaby być modelką, gdyby nie była to jedna z rzeczy zakazanych dla Zresetowanych.

– Po prostu wiem. Jest zgorzkniała i pokręcona, a on jest miły. To oczywiste.

– No, jeśli tak, to ona o tym nie wie.

Amy śmieje się.

– W takim razie jest idiotką. Ale nawet do niej to w końcu dotrze.

Amy gasi światło i wkrótce zasypia. Później słyszę skrobanie do drzwi, więc je otwieram. Sebastian miauczy i wskakuje na moje łóżko. Jeśli nie liczyć kota, dom jest milczący i ciemny.

Sen trzyma się ode mnie z daleka. Zbyt wiele rzeczy mam do przetrawienia. Wszystko okazuje się tak skomplikowane, nic nie jest takie, jakie wydaje się z wierzchu. Amy najwyraźniej rozumie mamę w sposób, którego nie ogarniam, ale jestem pewna, że się myli co do Bena i Tori. Choć bardzo bym chciała, żeby miała rację.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Okazuje się, że wystawa w miasteczku Thame to spora impreza.

Kiedy mama, Amy i ja wreszcie docieramy na miejsce po mozolnym przepychaniu się przez korki i kręte dróżki wijące się wśród pól i wiejskich zabudowań, przed wejściem czeka długa kolejka ludzi. Wszyscy są podekscytowani, gawędzą, wolno przesuwając się do przodu. Kiedy jednak wchodzimy do namiotu osłaniającego wejście, gwar milknie.

Jest tutaj bramka bezpieczeństwa, przez którą trzeba przejść. Mama wygląda na zaskoczoną.

– W zeszłym roku tego nie było – zauważa cicho.

Ale zdaje się, że to nie widok bramki uciszył ludzi. Wejście nadzoruje kilku mężczyzn w szarych garniturach. Stoją za kratą z kamiennymi twarzami i przeszukują wzrokiem tłum. Nikt nie patrzy im w oczy ani bezpośrednio nie kieruje na nich spojrzeń, jednak gdy wszyscy starannie unikają wzrokiem jednego miejsca, staje się oczywiste, że chce się tam zerknąć.

Mama wyjaśniła nam po drodze, że wystawę w Thame organizowano od setek lat, ale zaczęła tracić na popularności wraz z upadkiem rolnictwa na początku dwudziestego pierwszego wieku, aż w końcu całkiem zarzucono tę tradycję. Kiedy kilkadziesiąt lat później pod rządami Centralnej Koalicji pojawiły się naciski na rolniczą samowystarczalność, przywrócono doroczne wystawy odbywające się w każdym hrabstwie, a ta obecnie zalicza się do największych. A tym razem jest większa niż kiedykolwiek wcześniej.

Przychodzi nasza kolej i musimy pojedynczo przejść przez bramkę. Amy i ja, rzecz jasna, pokazujemy nasze Levo. Biorą nas na bok, bliżej facetów w szarych garniturach, i sprawdzają od stóp do głów.

Nie mam pojęcia, dlaczego miałabym się bać, ale zaczynają mi się trząść ręce. Kiedy sprawdzanie dobiega końca i strażnicy pokazują gestem, żebyśmy przeszły, Amy bierze mnie za rękę i prawie musi ciągnąć na uginających się nogach do czekającej na nas mamy.

– Co z tobą? – pyta moja siostra. – Strasznie zbladłaś.

Wzruszam ramionami i patrzę na swoje Levo: 4,6 – trochę nisko, ale stabilnie. Teraz pamiętam, żeby sobie wyobrazić „zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”.

Mama zerka na mnie z ukosa, kiedy idziemy na wystawę.

– Czy ten tłum to dla ciebie za dużo, Kyla? – pyta i otacza mnie ramieniem.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. Mając Amy z jednej strony i mamę z drugiej, szybko dochodzę do siebie. I nie jestem pewna, co właściwie zaniepokoiło mnie na początku.

Impreza jest hałaśliwa, wszędzie pełno ludzi i zwierząt. W powietrzu unoszą się bogate wiejskie zapachy. Okazuje się, że jestem całkiem zadowolona, trzymając się blisko mamy, nawet kiedy Amy znika ze swymi przyjaciółmi.

Wokół nas nieustannie przewijają się pokazy i konkursy związane z owocami i warzywami oraz przyrządzonymi z nich wypiekami; wyroby rzemieślnicze, drewniane rzeźby; najróżniejsze zwierzęta hodowlane w zagrodach i klatkach. Mama najwyraźniej zna tutaj prawie każdego, po drodze co chwila zamienia z kimś kilka słów.

– Kyla! Udało ci się! – woła jakiś głos z tyłu.

Odwracamy się i widzimy Bena, a z nim Tori. Jego uśmiech jest ciepły, ale jej ręka trzyma go pod ramię. „To moje” – zdaje się mówić dziewczyna, a on jej na to pozwala.

Mama uśmiecha się.

– To ty, Ben? Nie widziałam cię od czasu, gdy Amy przestała chodzić do Grupy. Wyrosłeś.

– Tak, pani Davis.

– Świetnie się składa – mówi mama, machając do kogoś. – Możecie przez chwilę zająć się Kyla? Napiję się w tym czasie z przyjacielem.

Rumienię się z zażenowania. Znów kogoś poprosiła o pilnowanie dziecka.

– Oczywiście – odpowiada Ben. – Myśleliśmy, żeby iść na wystawę owiec. Miałybyś ochotę?

Tori przewraca oczami.

– O raju. Ogłaszają to jako wybory miss świata owiec. Nie mogę się już doczekać.

Mama unosi brew.

– Powinnaś tu dziś bardziej uważać na słowa, młoda damo – mówi tak cicho, że ledwie ją można dosłyszeć w otaczającym nas zgiełku. Potem znika ze swoim znajomym.

Tori opada szczęką.

– Za kogo ona się uważa? – pyta głośno i zaczepnie, ignorując uciszenie Bena.

– Jeżeli nie wiesz, dziewczynko, to ci powiem – odzywa się stojący za nami mężczyzna. Zapewne słyszał całą naszą rozmowę. – To jest Sandra Armstrong-

Davis.

– No i co z tego? – rzuca Tori z rękami na biodrach.

– Córka Williama Adama M. Armstronga.

Na twarzy Tori pojawia się zrozumienie, ale ja nie robię się od tego mądrzejsza.

– Co to znaczy? – pytam, gdy się oddalamy.

– Nie wiesz nawet, kim jest twoja własna matka? – dziwi się Tori.

Patrzę na Bena zmieszana.

– Jest córką Człowieka Pięści, który bezlitośnie zgniótł gangi w latach dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku – wyjaśnia chłopak. – Był premierem Lorderów, zanim terroryści wysadzili go w powietrze.

– Myślałam, że jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym – mówię.

Tori śmieje się.

– Bo tak było, jeśli nazwiesz wysadzenie autostrady wypadkiem.

– W porządku? – pyta Ben i bierze mnie za rękę. – To wszystko zdarzyło się dawno, dawno temu. Myślałem, że o tym wiesz.

– Czuję się świetnie – kłamię.

Idziemy na wystawę owiec. Są tutaj piękne zwierzęta różnych odmian – o ile kogoś interesują takie rzeczy – noszące ciekawe imiona, jak Lady Gaga czy Marilyn Monroe. Wszystkie paradują dokoła, podczas gdy przez głośniki wychwala się ich zalety. Potem następuje ceremonia przyznania nagród. Wygląda to tak głupawo, że wkrótce cała nasza trójka – nawet Tori – śmieje się i wiwatuje razem z tłumem. Marilyn wygrywa.

Następnie odbywa się pokaz strzyżenia owiec. Kandydatka najpierw próbuje się wyrwać. Potem dociera do niej, że człowiek trzyma ją za mocno. Biedaczka nie może zrobić nic innego, jak bezwładnie leżeć, podczas gdy ostrza maszynki przesuwają się blisko jej skóry, pozbawiając ją wełny. Nic nie ogrzeje jej zimą. Choć może nie ma to nawet znaczenia, jeśli owca jest przeznaczona na ubój.

Ciekawe, czy wyobraża sobie swoje Szczęśliwe Miejsce, do którego pójdzie.

Znajdują mnie mama i Amy.

– Gotowa? – pyta mama, a ja kiwam głową.

Wyjść jest łatwiej niż wejść. Nie ma sprawdzania, po prostu wysypujemy się przez bramę. Ale z boku przygląda się wyjściu kilku mężczyzn w szarych garniturach. Badają wzrokiem twarze wszystkich wychodzących, jednego po drugim. Tłum udaje, że nie istnieją – jakby znajdowali się w jakimś martwym punkcie.

Później, wieczorem, leżę i gapię się w sufit. Amy potwierdziła historię mamy. Dlaczego nikt mi nie powiedział? Może dlatego, iż wiedzieli, że połączę kropki, czego Amy by nie zrobiła. Rodzice mamy zginęli z rąk terrorystów; celem życia jej ojca było wykorzenienie i unicestwienie gangów, które niemal zniszczyły ten kraj, na długo przed tym, zanim pojawiła się opcja Resetu. Wtedy wszystkich winnych po prostu czekała egzekucja.

Mimo to mama przygarnia i wychowuje teraz dwie Zresetowane. Jej przybrane córki były przestępczyniami, choć tego nie pamiętają. Równie dobrze mogły należeć do gangu, być terrorystkami albo i jedno, i drugie.

Akurat kiedy zaczynałam odczuwać, że może, przynajmniej czasami, rozumiem ją i wiem, przez co przechodzi... okazuje się, że zupełnie jej nie znam.

Drugi powód mojej bezsenności to ci faceci w szarych garniturach, na których nikt nie zwracał uwagi. Z jakiegoś powodu nie umiałam zadać pytania, kim są, lecz sama ich obecność nie wiedzieć czemu napełniła mnie zimnym strachem. Tak wielkim, że trudno było mi się nawet poruszać. Ale jakieś ziarenko instynktu samozachowawczego w moim wnętrzu kazało mi iść dalej, krzyząc: „Nie pozwól, żeby cię zauważyli!”. Czy mi się udało? Amy musiała mi pomóc w chodzeniu, kiedy dotarliśmy na miejsce.

Na dole rozlega się cichy odgłos. Sebastian? Nie leży zwinięty w kłębek u moich stóp, jak zwykle; mógłby mi pomóc zasnąć. Wymykam się z pokoju i idę na dół po schodach.

– Sebastian? – wołam miękko i wchodzę w ciemność kuchni, czując pod bosymi stopami chłód podłogi. Dostaję gęsiej skórki na ramionach i plecach.

Odwracam się w stronę ruchu – nie tyle na dźwięk, ile na zakłócenie powietrza zbyt duże i w niewłaściwym kształcie jak na kota.

Światło zalewa mi oczy.

Otwieram usta do krzyku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Na pewno nie chcesz herbaty? – pyta tato.

– Nic mi nie jest, naprawdę – mówię i wycofuję się w stronę drzwi.

– Nie chciałem cię przestraszyć – tłumaczy z uśmiechem, który nie sięga do jego oczu. Wygląda na bardzo zmęczonego, jak gdyby nie spał, odkąd wczoraj wyszedł z domu. Ubrania ma pomięte, jakby ich też nie zmieniał, ale czarne spodnie i sweter to nie są te same rzeczy, w które był ubrany, gdy wychodził do pubu.

Jak na tak zmęczonego człowieka zareagował bardzo szybko. Skoczył przez kuchnię, a jego dłoń zacisnęła się zwinnie na moich ustach, żeby powstrzymać krzyk, który już mi się podnosił do gardła, tak że w końcu wydobył się ze mnie zaledwie zduszony jęk.

Tato puścił mnie, gdy tylko przestałam się miotać. Kiedy oślepienie oczy wreszcie dostrzegły, że to on.

Teraz wygląda na to, że nad czymś rozmyśla, ponieważ bezwiednie kiwa głową.

– Siadaj – mówi i stawia obok czajnika dwa kubki.

Siadam.

Robi herbatę, bez pośpiechu. Zerka na mnie od czasu do czasu. Rozciągająca się między nami cisza staje się mocno odczuwalna..

– Jestem ciekawy paru rzeczy – odzywa się w końcu.

– Jakich?

– Przede wszystkim: dlaczego nie śpisz?

Wzruszam ramionami.

– Nie mogłam zasnąć.

Miesza herbatę i wygląda, jakby chciał jeszcze o coś dopytać, potem lekko potrząsa głową.

– Rozumiem. Drugie pytanie: dlaczego zeszłaś na dół?

– Szukałam Sebastiana.

Tato zdaje się rozważać moją odpowiedź, po czym kiwa głową.

– Trzecie: dlaczego byłaś taka przerażona, kiedy włączyłem światło. – Wypowiada to jako stwierdzenie, nie pytanie, jakby próbował sam podać powód.

– Nie wiem. Wystraszyłeś mnie – odpowiadam zgodnie z prawdą. Choć może

to miało coś wspólnego z moim snem: gdy jestem oślepią światłem i nie widzę, kto to, i...

– Powiedz to, o czym właśnie pomyślałaś – nalega tato, a ja podskakuję.

– W moim koszmarze, tym z zeszłego tygodnia, światło świeci mi prosto w oczy i nic nie widzę, jestem naprawdę przerażona. Myślę, że to może dlatego – wyrzucam z siebie pośpiesznie. Sama jestem zaskoczona, słysząc, że odpowiadam, mówię o śnie, o którym wszystkim innym powiedziałam, że go nie pamiętam.

– A potem się wyłączyłaś, prawda?

Potakuję.

– A jednak teraz, pomimo strachu, choć co prawda głupiego, poziom ci wcale nie spadł.

– Nie.

Moje Levo całkiem zadowolająco pokazuje 5,1.

– Interesujące – mówi tato. Robi przerwę, po czym uśmiecha się swoim zwykłym, radosnym uśmiechem. – Idź do łóżka, Kylo. Jutro chyba zaczniesz szkołę? Musisz odpocząć.

Pędzę na górę, czując zarówno ulgę, jak i zakłopotanie. Herbatę zostawiłam nietkniętą. O co tu chodziło? To było prawie jak przesłuchanie. I odpowiadałam na jego pytania pełniej, niż mi się wydawało możliwe; prawie jakbym była do tego zmuszana. O mało mu nie powiedziałam o miażdżeniu palców w koszmarze.

Ale z jakiegoś powodu zatrzymałam to dla siebie. I mam wyraźne, nieprzyjemne wrażenie, że on w jakiś sposób wie, że nie zdradziłam mu wszystkiego. I mimo że się uśmiechnął, wcale się z tego nie cieszył.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wreszcie poniedziałkowy ranek.

– Nie mam pojęcia, czemu tak się napalasz na wyjście do szkoły – mówi Amy. – Wcale nie jest tam tak super.

Wkładam mundurek: białą koszulę, czarne spodnie i kasztanowy sweter. Wszystko nowe, kupione w piątek, kiedy stało się oczywiste, że nawet stare rzeczy Amy są o wiele za duże na moje metr pięćdziesiąt trzy.

– Lubię się uczyć – odpowiadam, szcztokując sobie włosy.

I to prawda, chociaż odpowiedź nie jest pełna. Chcę... nie: muszę wiedzieć w s z y s t k o. Poznać każdy fakt i szczegół, jaki się da, i zaszeregować je, narysować i zarchiwizować – to kolejny krok.

– No, to chyba dobrze. Ale do tego jest cała reszta.

– Co masz na myśli?

Moja siostra wzdycha.

– Tam nie jest jak w szkole szpitalnej. Nie każdy będzie miły.

Mama krząta się w kuchni, kiedy schodzimy na śniadanie. Rozglądam się, nagle zaniepokojona tym, że tato tu będzie albo że go nie będzie i co każda z tych sytuacji mogłaby oznaczać. Czy wszystko mi się tylko śniło?

– Ścisz to – odzywa się mama. – Tato wczoraj wrócił późno w nocy, śpi.

Więc nie sen.

Amy i ja jemy płatki, w końcu mama dosiada się do nas.

– Słuchaj, Kyla. Jesteś pewna, że chcesz dzisiaj iść do szkoły? Nie musisz się śpieszyć, wiesz o tym.

Patrzę na nią zaskoczona. Ucieszyła się na wiadomość, że zaczynam szkołę, że „będzie mnie mieć z głowy”, tak powiedziała, i wróci sobie spokojnie do pracy.

– Tak, jestem pewna – potwierdzam.

– Wczoraj na wystawie zdawało mi się, że się denerwujesz z powodu tłumu. Lord Bill to duża szkoła, chodzi do niej ponad tysiąc uczniów. Na pewno jesteś na to gotowa?

– Proszę, pozwól mi iść – mówię, nagle zaniepokojona, że mi odmówi i będę musiała siedzieć w domu kolejne dni, a dni przeciągną się w tygodnie. Długi, monotony marsz ku zimie, nikogo, żeby porozmawiać, i nic do roboty.

Wpatruje się we mnie, potem wzrusza ramionami.

– W porządku. Jeśli jesteś pewna, że tego chcesz. Czy mam cię podwieźć, żebyś nie musiała jechać autobusem?

– Nie. Wystarczy, że będę z Amy.

Wstaję i zaczynam zbierać naczynia.

– Zostaw je. Ja to zrobię.

Cóż.

Patrzę na siostrę. Uśmiecha się, kiedy mama odnosi naczynia do kuchni.

– Widzisz, mówiłam ci, że nie jest taka zła – szepcze.

Wsiadam do autobusu szkolnego, Amy za mną. Jest prawie pełny.

Odwracają się głowy, słycać przyciszone głosy, gdy przeciskamy się przez środek. Czuję na kręgosłupie oczy jak odciski stóp. Widzę dwa puste miejsca jedno naprzeciw drugiego. Idę do jednego z nich, ale siedząca przy oknie dziewczyna mruży oczy i kładzie torbę na wolnym siedzeniu.

Amy krzyżuje ramiona. Autobus z szarpnięciem rusza, staczając się z krawężnika na jezdnię, i chwytam się oparcia siedzenia, żeby nie upaść.

– Wiesz, myślę, że to było trochę niegrzeczne – mówi Amy.

Dziewczyna gapi się na nią i przerzuca nogę przez siedzenie. Głosy cichną, wszystkie oczy zwracają się w naszą stronę.

Z tyłu autobusu ktoś do mnie macha ręką.

– Kyla? Tutaj jest wolne.

Patrzę ponad głowami – to Ben. Czuję ulgę, bo widzę znajomą twarz. Bezpieczne miejsce.

Amy nie spuszcza wzroku z tamtej dziewczyny.

– Jest w porządku – mówię do siostry i przesuwam się na tył. W myślach powtarzam: „zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”.

– Cześć – witam się z Benem i siadam obok niego.

Jest tu też kilka innych osób z Grupy, siedzą razem i uśmiechają się, ściśnięci z tyłu autobusu. Wszyscy w takich samych kasztanowo-czarnych mundurkach jak pozostali, chociaż strój Bena wygląda jakby inaczej. Wszystko, co z nim związane, wydaje się lepsze. Tylko nie Tori?

Chłopak nachyla się blisko mojego ucha.

– Od tamtej dziewczyny lepiej się trzymaj z daleka – mówi przyciszonym głosem.

– Czemu? – Oprócz tego, co oczywiste.

– To hejterka. Nienawidzi Zresetowanych.

– O.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

– Przepraszam za tamto – zwraca się do mnie Amy, gdy już wysiadliśmy z autobusu.

– To nie twoja wina.

– No, powinnam cię była ostrzec.

– Ostrzegałaś mnie o różnych rzeczach przez cały weekend.

– I tak zazwyczaj będzie nas podrzucał Jazz. Dziś rano jest u dentysty.

Ulga rozwiązuje węzeł w moim żołądku.

Amy i Ben pokazują mi mój Oddział, po czym idą na swoje zajęcia.

– Nie rób takiej wystraszonej miny, będzie dobrze – mówi Ben. Macha mi na odchodnym.

Oddział SPE – dla uczniów ze Specjalnymi Potrzebami Edukacyjnymi. Najwyraźniej zaliczam się do nich, dopóki nie udowodnię, że jest inaczej.

W środku za biurkiem siedzi kobieta i stuka palcami w ekran.

– Ee, dzień dobry – mówię.

Podnosi wzrok bez uśmiechu.

– Tak? Czego chcesz?

– Jestem nową uczennicą.

– Jeszcze jedna? Podaj.

Gapię się na nią. Co mam jej podać?

Skupia wzrok na moim Levo i wzdycha.

– Padaj swoje i m i ę i n a z w i s k o – uściśla wolniej i głośniej.

– Jestem Kyla. Kyla Davis. – Moje nazwisko, takie samo jak mamy, taty i Amy, wciąż wydaje mi się dziwne, jakby nie pasowało do imienia. Ale kto wie, jak się nazywałam poprzednio. Czy imię i nazwisko lepiej pasowały do siebie?

Kobieta wertuje jakieś papiery w pudle i wyciąga z nich teczkę.

– O, tak. Przyśpieszona o kilka tygodni, prawda? Właśnie próbowałam ułożyć ci plan lekcji z całodzienną opieką. – Wzdycha. – Usiądź. – Wskazuje mi krzesło, wstaje i znika, wychodząc przez inne drzwi z teczką w ręce.

Siadam.

I tak mija mi większość dnia. Nie wychodzę z Oddziału. Raz po raz zaglądają do mnie jacyś ludzie, witają się. Jedna osoba mówi, że jutro zostaną

oprowadzona po szkole i zrobię jakieś testy. Pokazuje mi drogę do toalety. A w porze drugiego śniadania – do sali jadalnej, gdzie mogę zjeść przygotowane przez mamę kanapki, siedząc w towarzystwie innych Zresetowanych, bez wyjątku młodszych ode mnie. Ani śladu Amy czy Bena. Wszyscy uśmiechają się i przeżuwają jak stadko potulnych krów, które mijaliśmy na pastwisku dziś rano. Nie za wiele da się rozmawiać z anonimowymi asystentami nauczania – AN – posadzonymi na obu końcach stołu. Patrzą tylko i słuchają.

Po południu dostaję do przeczytania Historię Szkoły imienia Lorda Williamsa. Mama nazwała ją szkołą lorda Billa. Instytucja jest stara, naprawdę stara – założona w 1559 roku, niedługo będzie obchodzić pięćsetlecie. Najpierw była szkołą dla chłopców, potem koedukacyjną. Kiedyś miała oddział dla dzieci autystycznych. Czy to w nim się znalazłam? Potem autyzm wyeliminowano. Szkoła była zamknięta przez pięć lat po zamieszkach w hrabstwie. Centralna Koalicja otworzyła ją ponownie z wielką pompą dwadzieścia lat temu; na przyległej ziemi założono nowe pola i bieżnię. Teraz podobnie jak większość szkół średnich specjalizuje się w rolnictwie.

Amy i Jazz przychodzą po mnie pod koniec popołudnia. Uśmiecham się z ulgą na jego widok – wrócił od dentysty, nie muszę jechać autobusem.

– No i? Jak poszło? – pyta Amy.

Wzruszam ramionami.

– Wynudziłam się. Siedziałam tylko przez cały dzień i czekałam, aż coś się wydarzy.

– Witaj w szkole – mówi do mnie Jazz ze śmiechem.

Idziemy ścieżką między ceglanymi budynkami na parking, podchodzimy do poobijanego dwudrzwiowego samochodu. Jest w większej części czerwony, tu i tam z łatami w innych kolorach.

– Drogie panie, wasz rydwan. – Jazz kłania się nisko.

Chwytam za klamkę, ale zaraz myślę, że zrobiłam coś źle.

– Pozwól, trzeba mieć trochę wprawy – mówi Jazz. Łapie klamkę, nogą zapiera się o bok samochodu i energicznie szarpie.

Amy przytrzymuje przedni fotel, żebym mogła usiąść z tyłu. Zastanawiam się, czy to dobry pomysł.

– Gdzie jest pas?

– Nie ma, uszkodzony. Po prostu mocno się trzymaj – informuje chłopak.

Dobra rada, bo zaraz z piskiem wyskakujemy na drogę, po czym ostro hamujemy na rogu. Lecę do przodu, muszę się chwycić przedniego siedzenia. Chrupią biegi i wyrywamy naprzód. Nie podróżowałam wiele samochodami,

więc może nie mam prawa do osądzania. Lecz nawet mimo hejterek myślę, że wolałabym wracać autobusem.

Jazz skręca z drogi i auto toczy się krętą boczną dróżką, po czym zatrzymuje się przed samotnym domem na końcu długiego podjazdu.

– Musimy szybko odwieźć Kyle – przypomina Amy. – Mama wraca do pracy dopiero jutro.

– W takim razie będziemy króciutko – zapewnia Jazz. – I wyprzedzimy autobus.

Znów szarpie drzwi samochodu. Amy i ja gramolimy się na zewnątrz.

– Wpadliśmy do mojego kuza – wyjaśnia chłopak.

– Kuzyna – tłumaczy dla mnie Amy.

Jazz puka do drzwi i otwiera sobie sam.

– Mac, jesteś w domu? – woła, maszerując przez korytarz.

Idziemy za nim do drzwi z tyłu domu.

– Taak. Weź sobie picie i wyłaź – odpowiada czyjś głos z podwórka.

Jazz wraca, otwiera szafkę i wyjmuje z niej brązowe butelki.

– Chodźcie – mówi.

Idę za nim do ogrodu. Przynajmniej tak myślę, że za tylnymi drzwiami zawsze jest jakiś ogródek. Tu nie ma jednak zieleni. Ani trawy, ani drzew, ani kwiatów. Wszędzie poniewierają się kawałki samochodów. Mac wysuwa się spod jednego z nich i Jazz nas przedstawia.

– Mac zbudował mój wóz z kawałków innych aut – wyjaśnia Jazz. – Napijesz się? – Podaje mi butelkę. Bez etykiety.

– Piłaś kiedyś piwo? – pyta Amy i zauważam, że ona się nie częstuje.

– Nie.

– Chcesz spróbować? – proponuje Jazz. – Mac sam warzy, znakomite.

Patrzę na Amy, a ona wzrusza ramionami i robi minę, która sugeruje, że nie takie znów znakomite.

– Chcę – odpowiadam i Jazz zdejmuje dla mnie kapsel.

Przechylam butelkę do góry, jak on zrobił przed chwilą ze swoją, i płyn chlusta mi wprost do gardła. Kaszlę.

– No i jak? – pyta Jazz.

Wciąż kaszłąc od gorzkiego smaku, potrząsam głową i oddaję mu butelkę.

Mac się śmieje.

– To nie dla małych dziewczynek. Naprawdę mocne.

Mimo tego, co powiedział, trudno go nie lubić. Jego szeroki, nieco szalony uśmiech jest zaraźliwy, chociaż chłopak bardzo przypomina jeden ze swoich

wozów: zrobionych z uratowanych kawałków, które do siebie nie pasują. Ręce i nogi Maca wydają się dłuższe, niż powinny, brązowe włosy tworzą splątaną szopę, jakby ich właściciel strzygł się sam i nie przejmował tym, czy wyjdzie równo, byle tylko nie opadały na oczy.

– Naprawdę nie możemy zostać dłużej – przypomina Amy, spoglądając na zegarek. – Autobus zaraz tu będzie.

– O, tak, Smoczyca! – Jazz dopija piwo, potem opróżnia moją butelkę i zrywa się.

Wracamy tą samą drogą przez dom.

– Chyba nie powinieneś prowadzić – zauważa Amy.

– Czuję się świetnie.

– Nie trzeba było pić drugiego piwa.

– No, ale nie mogło się zmarnować, nie?

– Daj mi poprowadzić – odzywam się.

Oboje się śmieją.

– Zrobiłaś prawko w szpitalu? – pyta Amy z uśmiechem.

– Nie. Ale mogę?

– Czemu by jej nie dać spróbować? – Jazz najwyraźniej nie ma nic przeciwko.

– Tylko na tej bocznej drodze.

Amy przewraca oczami.

– Oboje jesteście stuknięci. Ale to twój wóz.

Jazz szarpnięciem otwiera drzwi.

– Wskakuj do tyłu – mówi do Amy i moja siostra siada na tylnej kanapce.

Wślizguję się na miejsce kierowcy, chłopak sadowi się obok mnie z przodu. Zaczyna się długie wyjaśnianie. Biegi, sprzęgło, hamulec...

Przekręcam kluczyk w stacyjce. Nie rozumiem za bardzo, co Jazz do mnie mówi, ale moje ręce i stopy wiedzą, co mają robić. Sprzęgło, bieg: wsteczny, żeby wycofać z podjazdu.

– Dziewczyna ma talent, urodzona do siedzenia za kółkiem – zachwyca się Jazz.

Ignoruję protesty Amy i bezbłędnie jadę dalej do głównej drogi.

– Jestem doskonałym nauczycielem – stwierdza Jazz.

Nie. To ja p a m i ę t a m. O ile za bardzo o tym nie myślę, moje ręce i stopy działają same; to jakaś pamięć zawarta w mięśniach, mózg nie ma z tym nic wspólnego.

Umiem prowadzić samochód. I jestem w tym lepsza niż Jazz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Cześć. Kyla? Mam na imię Ali. Jestem asystentką nauczania. Będę ci pomagać przez najbliższych kilka tygodni. Zaczniemy od oprowadzenia. – Uśmiecha się i patrzy mi w oczy swoimi ciemnymi tęczęwkami, wyciąga do mnie rękę.

Wymieniam uścisk.

Szkoła może być dzisiaj bardziej interesująca.

Idę za asystentką na zewnątrz, a ona oprowadza mnie po szkolnym terenie. Pani Ali wskazuje budynki i wyjaśnia ich przeznaczenie: blok angielskiego, biblioteka, ośrodek rolniczy. Matematyka, boiska sportowe i projekty szóstej klasy – wiosenna uprawa nowych odmian roślin. Stare ceglane budowle mieszają się z nowymi dodatkami, rozproszonymi na sporym obszarze, z trawnikami i plataniną krzyżujących się ścieżek między nimi.

– Nie martw się, jeśli się na początku zgubisz, każdemu się to przydarza. Będę za tobą chodziła przez kilka tygodni i mogę ci pokazać drogę.

Nie, nie zgubię się. Mam już w głowie mocno zarysowaną siatkę budynków i ścieżek. Ale uśmiecham się tylko.

Pani Ali zabiera mnie do budynku administracji. Z odległego krańca szkolnego terenu idziemy przez różne zabudowania i raz po raz mijamy grupy uczniów. W głównym biurze jest mnóstwo biurek, szafek i komputerów; dzwonią telefony; uwija się kilku udręczonych pracowników.

– To jest Kyla Davis, do rejestracji – ogłasza pani Ali.

Chwilę później zza szeregu szaf z aktami wyłania się wysoki, pozbawiony uśmiechu mężczyzna w grubych okularach.

– Tędy, proszę – mówi i idziemy za nim do drugich drzwi.

Rejestracja? Spoglądam na swoją opiekunkę.

– Trzeba ci wyrobić legitymację szkolną – wyjaśnia pani Ali.

Ale okazuje się, że to coś więcej. Najpierw zdejmują mi odciski palców – jeden po drugim przyciskają do małego ekranu w celu cyfrowej archiwizacji. Potem unieruchamiają mi głowę i każą nie mrugać; jasne światło w nieskończoność świeci mi w prawe oko, skanując siatkówkę. Oczy mi po tym łzawią i widzę jak przez mgłę. Pozostają upiorne powidoki, jak gałęzie drzewa – czarne na białej ścianie, białe na ciemnej podłodze – dopiero po chwili stopniowo ustępują. W końcu robią mi normalne zdjęcie. Później mężczyzna wprowadza dane do komputera i po drugiej stronie urządzenia wyskakuje

plastikowa karta.

– Musisz to nosić przy sobie przez cały czas – wyjaśnia urzędnik. Wsuwa kartę w oprawkę i wiesz mi ją na szyi.

Podnoszę legitymację i widzę siebie. „Kyla Davis” – głosi napis pod zdjęciem, a po nazwisku widnieje czerwone S. Niepewny uśmiech na moich ustach, który opiekunce udało się u mnie wywołać tuż przed błysnięciem flesza.

– Proszę. Teraz oficjalnie jesteś uczennicą szkoły imienia lorda Williamsa – mówi pani Ali, jakby to było jakieś osiągnięcie albo wybór. – Pora wracać na Oddział.

Tym razem wychodzimy przez frontowe drzwi administracji. Obok budynku stoi duży kamienny pomnik, otoczony krzewami róż. Na szczycie umieszczono datę: 2048, czyli sześć lat temu.

– Co to jest? – pytam.

– Upamiętnienie uczniów, którzy zginęli.

Podchodzę bliżej, jakby mnie coś przyciągało. Pani Ali podąża za mną.

W kamieniu wyryto imiona i nazwiska, z liczbami oznaczającymi wiek. Tak wielu, od Roberta Armstronga, 15 lat, do Elaine Weisner, 16, a pomiędzy nimi około trzydziestu osób. Wszyscy w moim wieku lub prawie. Zatrzymani, nieruchomi, milczący na zawsze.

– Co im się przydarzyło?

– Jechali na klasową wycieczkę do Londynu, do Muzeum Brytyjskiego, i był atak ART. Nie miał z nimi nic wspólnego. Autobus znalazł się w niewłaściwym miejscu z powodu objazdu. Niewielu przeżyło.

Gapię się na nią, nie mogąc ogarnąć tego, co usłyszałam.

– ART?

– AntyRządowi Terrorysty, Łajzy. – Usta jej się wykrzywiają przy wymawianiu tych słów, jakby miały paskudny smak. – Chodź już – ponagla mnie i idę za nią na Oddział.

Podczas gdy moje stopy automatycznie drepczą ścieżką, w głowie pojawiają się obrazy, których nie umiem powstrzymać: autobus unieruchomiony w londyńskim korku, wybuchy, płomienie. Krzyki, skrwawione ręce bębniące od środka w okna, ostatnia eksplozja. Potem cisza.

Kamienny pomnik, cierniste róże i wszystkie te nazwiska.

Pani Ali zostawia mnie na krześle przed jakimś gabinetem.

– Czekać, aż cię zawołają – mówi i oddala się korytarzem.

Na drzwiach widnieje napis: „Dr Winston, psycholog szkolny”. Wkrótce się

otwierają, wychodzi jakiś uczeń.

Ze środka dobiega kobiecy głos:

– Następny!

Czy chodzi o mnie? W pobliżu nie ma nikogo innego.

– Następny! – Głos rozlega się ponownie, wyraźniej.

Wstaję i niepewnie zaglądam przez drzwi.

– Witaj, jesteś Kyla Davis? Wejź, nie wstydź się.

Kobieta się uśmiecha. Albo może nie? Ma usta pomalowane jasnoczerwoną szminką, z kącikami podwiniętymi w górę. Tak grubo nałożony makijaż pewnie by się skruszył, gdyby się uśmiechnęła naprawdę.

– Widzę, że masz wyrobioną legitymację szkolną. Dobrze. Zobacz to urządzenie, tam koło drzwi. Przykładasz kartę do czytnika, gdy wchodzisz. A ona mówi, kim jesteś.

Odwracam się. Przy drzwiach jest przymocowane do ściany coś w rodzaju małego pudełka ze szczeliną wielkości karty. Spoglądam niepewnie na swoją legitymację, biorę ją do ręki i patrzę z powrotem na panią psycholog.

– Nie musisz jej wyjmować z oprawki, po prostu potrzyj nadrukiem w dół w szczelinie.

Robię, jak każe, i rozlega się piknięcie.

– Grzeczna dziewczynka, a teraz usiądź. Robisz tak za każdym razem, gdy wchodzisz albo wychodzisz z jakiegokolwiek klasy w naszej szkole. A także od tej chwili na Oddziale. Dzięki temu zawsze wiemy, gdzie jest każdy uczeń. – Promienieje swoim szminkowym uśmiechem.

Przysiadam na skraju krzesła przed jej biurkiem.

– A teraz słuchaj, wyjaśnię, co cię jeszcze dziś czeka.

I mówi mi, że przez całe popołudnie będę robiła testy, żeby sprawdzili, ile umiem. Czy mogę pójść na główne zajęcia, czy początkowo będę się uczyć na Oddziale, a może przemierzają jedno z drugim. Rozkład zajęć dostanę jutro rano.

– Masz pytania? – rzuca, ale zamyka już komputer.

– Tak, mam jedno.

– O? – Zatrzymuje się zaskoczona.

– Czy mogę dostać plastykę? Naprawdę dobrze rysuję. Moja pielęgniarka powiedziała, że powinnam się nadawać i... – Urywam stropiona. Oczy kobiety spoglądają niecierpliwie na zegar. Nie obchodzi jej, co mówię.

– Wiesz co, dodam notatkę do twoich danych w pliku. – Znowu uśmiecha się promiennie i stuka palcami w ekran. – Proszę: „Kyla wyraża zainteresowanie

plastyką”. W porządku? A teraz pędź na dół na drugie śniadanie, bądź grzeczną dziewczynką.

Wstaję i zmierzam do drzwi.

– Czekaaj.

Zatrzymuję się w progu.

– Musisz się oczywiście wyskanować! Inaczej komputer będzie myślał, że wciąż tu jesteś.

O. Przytrzymuję legitymację w szczelinie. Piknięcie.

Na dole znajduję salę, w której jadłam wczoraj, i tym razem zauważam czytnik kart przy drzwiach. Wczytuję się, pika.

Jak zapowiedziano, popołudnie mam wypełnione sprawdzianami. Wszystko na komputerze, testy wielokrotnego wyboru. Pani Ali siedzi obok mnie i patrzy, jak w nieskończoność naciskam A, B, C albo D. Pytania są przeważnie łatwe, z wielu przedmiotów: matematyki, angielskiego, podstaw historii, geografii, biologii.

Gdy wreszcie kończę, oczy mam zmęczone, a ramiona sztywne, ale myślę, że dobrze mi poszło. Pani Ali mówi, że dowiem się tego jutro, a gdy dzwonek oznajmia koniec lekcji, odprowadza mnie do drzwi.

Wsiadam do autobusu z Benem. Namówiłam Amy, żeby jechała ze swoim chłopakiem sama. Zapewniłam, że nic mi się nie stanie.

Idąc za Benem przez autobus, teraz, kiedy nie muszę się już przejmować testami, wracam myślą do tamtego pomnika, do tego, że w zamachu zginęły dzieciaki w autobusie. Takim jak ten.

Za późno dostrzegam ruch.

Moja stopa zahacza o inną, wystawioną błyskawicznie, potykam się i leczę do przodu. Próbuję się podeprzeć rękami, ale mój plecak zostaje szarpnięty od tyłu i odciąga mi ramiona za plecy. Walę twarzą o oparcie siedzenia i padam na podłogę jak długa.

Rozlega się czyjś śmiech.

Podnoszę się na kolana i dotykam sobie ust – palce robią się czerwone.

Wstaję i odwracam się na pięcie.

To ona, dziewczyna, która wczoraj nie dała mi usiąść obok siebie.

– Miłej podróży – szydzi z uśmiechem.

Mięśnie mi się napinają, robię krok w jej stronę. Uśmiech spelza z twarzy dziewczyny. Oczy się jej rozszerzają.

– Kyla? Kyla! – Ben chwyta mnie za ramię, ciągnie w swoją stronę.

Przepycha mnie przed sobą na tył autobusu.

Kierowca wstaje ze swojego siedzenia i idzie do nas.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Nikt nie odpowiada. Mężczyzna nie widzi mnie zza Bena. Wraca na swoje miejsce i wkrótce autobus rusza spod szkoły.

Ben otacza mnie ciepłym ramieniem, prowadzi do siedzenia.

– Musisz patrzeć pod nogi – mówi z nieprzeniknioną twarzą. W jego oczach maluje się troska, nie oburzenie, a przecież na pewno widział, że mi podstawiała nogę. Że to nie był wypadek.

Chłopak znajduje w kieszeni chusteczkę i podaje mi ją. Przyciskam chusteczkę do ust, a potem odsuwam, żeby sprawdzić. Jasna czerwień, ale nie za dużo.

Bywało gorzej.

Naprawdę?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Nic mi nie jest.

– Nie wygląda na to. – Mama przykłada do mojej wargi środek antyseptyczny.

– Co się stało?

– Potknęłam się w autobusie. I uderzyłam twarzą o oparcie siedzenia.

Nie wspominam, że podstawiono mi nogę, ani o śmiechu, który słyszałam, gdy się ponosiłam. Ani o tym, że odwróciłam się i byłam gotowa przyłożyć tamtej dziewczynie w twarz. A ona to zauważyła – zanim Ben mnie odciągnął, w jej oczach mignęły niepewność i strach.

– Gdzie była wtedy Amy?

Nie wiem, co odpowiedzieć. To, że Jazz jest jej chłopakiem, ma pozostać sekretem. Czy również to, że Amy jeździ z nim samochodem? A mama nie powinna nawet jeszcze być w domu, wyszła z pracy wcześniej. Pewnie ma wbudowany jakiś smoczy radar.

– Nie mogła mnie złapać – mówię w końcu. Co jest prawdą, ponieważ jej tam nie było.

– Gdzie jest teraz?

– Chyba u przyjaciółki – staram się, by w moim głosie zabrzmiało wahanie.

– Nie poszła z tobą do domu po tym, jak się zraniłaś?

– Ee...

Usta mamy zaciskają się w cienką linię.

– Idź na górę się przebrać.

Siedzę w swoim pokoju, trzymając kostkę lodu przy ustach.

Chciałam przylać tamtej dziewczynie w autobusie, jestem tego pewna. Nie była to świadoma myśl ani plan, mięśnie mi się napięły, dłoń zwinęła w pięść. Zareagowało ciało.

Nie wolno mi tego robić. Levo powinno mnie powstrzymać. Jakikolwiek przejaw przemocy i ma mnie powalić.

Ale do niczego takiego nie doszło. W jakiś sposób w ciągu całego tego zajścia udało mi się utrzymać poziom w pobliżu piątki.

Ben i pozostali po prostu siedzieli z uśmiechami jak zawsze, choć wszyscy wiedzieli, że jedno z nich zostało celowo skrzywdzone. I nie wydaje się, żeby ich to nie obeszło. Ben podszedł i pomógł mi, prawda? Raczej chodzi o to, że nic

nie może zmaćcić spokoju ich maleńkich Zresetowanych mózdków.

Zupełnie nie jestem do nich podobna.

Nie rozumiem tego.

Na dole otwierają się drzwi wejściowe, słysząc głosy.

Podniesione głosy.

Mijają minuty, potem rozlegają się kroki na schodach. Otwierają się drzwi: Amy.

– Nic ci nie jest? – Podchodzi do mnie, unosi mi podbródek, żeby obejrzeć wargę. – Pewnie cię bolało.

Wzruszam ramionami.

– Trochę.

– Dobrze.

Bierze książkę, którą zostawiła przy zapasowym łóżku, swój szlafrok wiszący na haczyku na drzwiach. Wszystkie jej rzeczy, które rozłożyły się w moim pokoju przez ostatni tydzień, gdy Amy nocowała u mnie, żebym nie była sama. Idzie przez korytarz do siebie i zamyka drzwi ze zdecydowanym trzaśnięciem.

Sebastian, jakby jakimś kocim wyczuciem empatii wiedział, że jest potrzebny, zagląda do mojego pokoju, miauczy i sadowi się obok mnie. Ociera głowę o moje ramię, żebym go pogłaskała. Łzy toczą mi się po policzkach i spływają na wargi. Piecze, więc zlizuję je z ust.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

– Obiad! – wydziera się mama na schodach.

Zsuwam śpiącego Sebastiana z moich kolan na łóżko i schodzę do kuchni.

– Zrobiłam dla ciebie supę. Łatwiej ci będzie jeść z tą wargą.

– Dzięki.

Siadam.

Mama stawia na stole moją miskę i dwa talerze makaronu, po czym podchodzi do schodów.

– Obiad, Amy! – woła i wraca do kuchni. – No, jeśli pannica nie raczy do nas dołączyć, będzie głodna. – Opada ciężko na krzesło.

Patrzę na swoją supę.

– No, spróbuj. Ugotowałam specjalnie dla ciebie.

Biorę łyżkę.

– Nic ci nie jest, Kyla? – Łapie mnie za nadgarstek i akurat w tym momencie

Levo zaczyna wibrować: 4,3. Mama wzdycha. – Nie tylko potknęłaś się w autobusie, tak?

Czytająca w myślach Smoczyca.

– Powiedz mi.

– Nie o to chodzi.

– Więc o co?

Nie odpowiadam, tylko gmeram w zupie.

– O Amy, prawda? Co ci powiedziała?

Upuszczam łyżkę, osuwam się na krzesło.

– Jest na mnie zła i nie wiem czemu.

– Nastolatki, co za koszmar! Z chłopcami jest znacznie łatwiej. Czekaj tu.

Ciężkimi krokami wspina się po schodach; chwilę potem wraca z Amy i niemal wpycha ją do kuchni.

– Siadaj!

Amy siada.

– Posłuchaj, moja panno. Kyla nic mi nie powiedziała, rozumiesz? O twoim głupawym chłopaku ani o wożeniu się w jego zwariowanym aucie, ani nic. Sama dodałam dwa do dwóch. A teraz rozwiążcie to między sobą. Idę jeść przed telewizorem. – Bierze swój talerz i wychodzi do sąsiedniego pokoju, zamykając drzwi nogą.

Amy patrzy na mnie z poczuciem winy.

– Przepraszam. Myślałam, że jej wygadałaś.

– Ona czyta w myślach – mówię.

– Jakoś wkręciła mnie, żebym się wyzwierała. A ty nie umiesz dotrzymywać sekretów: twoja twarz jest jak otwarta książka, choćbyś się nie wiem jak starała. Powinnam to była wiedzieć. Przykro mi.

Zaczyna jeść i nie mówi już nic więcej. Ale widzę to w jej oczach – nie zdradzi mi więcej żadnych tajemnic.

Nie można mi ufać.

I tej nocy Amy zostaje w swoim pokoju, a ja śpię sama.

Kierowca naciska klakson. Nie wiem czemu. Nigdzie nie pojedą, to korek. Ulica zamieniła się w parking, akurat tuż przed masywnymi ceglanyymi budynkami z napisem: „Biura Lorderów”. Samochody utknęły jak szczury w pułapce.

Krzyczę do kierowcy:

– Zrób coś! Otwórz drzwi! Wypuść ich!

Ale on nie ma pojęcia, co się zaraz stanie. Nie słyszy mnie.

Najpierw rozlega się gwizd, błyska światło, potem potężny wstrząs – BUM – rozdziera mi czaszkę, aż dzwoni w uszach. I zaczynają się wrzaski.

Duszący dym; skrwawione ręce bębniące od środka w okna, które się nie otwierają; znowu krzyk. Kolejny gwizd; błysk; eksplozja. W boku autobusu zionie dziura, ale hałas zacicha.

Kaszlę z powodu dymu, duszę się od drażniącej woni płonącego paliwa, metalu i czegoś gorszego. Przyciskam ręce do uszu, ale wciąż słychać krzyk.

Aż ustaje.

I już mnie tam nie ma. Jestem gdzie indziej, jestem kim innym. Strach, dym, krew – wszystko znikło. Ani śladu minionego zdarzenia, niczego... po prostu znikło. Sen. Tylko sen.

I aż sen.

Śmieję się i bawię w chowanego z innymi dziećmi w moim zielonym miejscu. Wysokie drzewa wznoszą się nad zieloną trawą, jaskrawe kropki fioletowych i żółtych polnych kwiatów. Kucam za jakimiś krzakami i patrzę na swoje ręce, swoje stopy. Są małe. Ja jestem mała. Pod wpływem zabawy serce mi dudni przyjemnym „stuk, stuk, stuk, stuk”. Znajdą mnie tu?

Otwieram oczy i niczego nie widzę. Otwieram je szerzej i jeszcze szerzej, wstaję i po omacku znajduję drogę do okna, odsuwam na bok zasłony i wyglądam na zewnątrz. Nie ma dziś w nocy księżycy.

Podziałało. W środku koszmaru uciekłam do mojego Szczęśliwego Miejsca i naprawdę podziałało. Nie obudziłam wszystkich wrzaskiem, nie wyłączyło mnie. Levo pokazuje poziom prawie do przyjęcia: 4,8.

Jednak we śnie miejsce się zmieniło. Drzewa, trawa i obłoki pozostały te same. Tym razem jednak nie byłam tam sama. Bawiłam się w chowanego z dziećmi. Byłam tam młodsza, znacznie młodsza.

Przerażenie z pierwszego snu ustępuje. Szczegóły zaczynają się rozpraszać jak dym ulatujący w niebo. Jednak wrażenie pozostaje bardzo realne, jakbym tam była, patrzyła – tamtego dnia, gdy zginęli ci wszyscy uczniowie.

S z a l e ń s t w o.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W żołądku mi się przewraca, gdy następnego dnia rano wsiadam do autobusu. Ale za plecami mam Amy.

A oto ona, na swoim zwykłym miejscu: hejterka, która wczoraj podstawiała mi nogę. Siedzi prosto i gapi się w okno. Patrzę na nią uważnie, gdy ją mijamy. Nie dam się więcej złapać na nieuwadze.

Amy podąża za moim wzrokiem.

– To ona? – szepcze, lecz ja się nie odzywam.

Gdy siadam koło Bena z tyłu autobusu, oczy mu się rozszerzają.

– Biedactwo – mówi i dotyka mojej twarzy koniuszkami palców; jak muśnięcie piórka wokół ust. W ciągu nocy siniak dojrzał i dzisiaj wygląda gorzej niż wczoraj. – Boli?

– Tylko gdy się uśmiecham – odpowiadam.

Bierze moją zimną dłoń w swoją ciepłą rękę.

– W takim razie dziś dzień bez uśmiechu – oznajmia stanowczo i jego twarz poważnieje. Z taką miną wygląda inaczej. Znika gdzieś jednakowość – radosny wyraz twarzy, jaki mają wszyscy Zresetowani. A jednak jego oczy wciąż się śmieją. Znowu uderza mnie wrażenie, że go znam i zawsze znałam, że blisko niego jestem bezpieczna. W brzuchu coś mi zamiera. Ale w przyjemny sposób.

Pani Ali czeka na mnie na Oddziale. Rzuca okiem i marszczy brwi.

– Co ci się stało z twarzą?

– Upadłam w autobusie.

– Czyżby?

– Tak.

– Słuchaj, Kylo, jeżeli ktoś cię prześladowuje, p o w i e d z m i. Zajmiemy się tym. Co się naprawdę zdarzyło?

Patrzę jej w oczy i widzę tylko zatroskanie. Ale kiedy już myślę, że mogłabym jej o wszystkim opowiedzieć, jakiś głos w moim wnętrzu mówi, że to z ł y p o m y s ł.

– Potknęłam się i upadłam.

Znowu marszczy brwi.

– Cóż. Jeśli przypomnisz sobie coś więcej, daj mi znać. Tak czy inaczej, mam wyniki twoich sprawdzianów. Bystra z ciebie dziewczyna, od dzisiaj idziesz

prosto na główne zajęcia. Klasa jedenasta, więc jesteś tylko nieco starsza od pozostałych uczniów. Nikt nie będzie tego wiedział, o ile sama komuś nie powiesz. Poza tym większość z nich i tak jest od ciebie wyższa.

Wręcza mi plan lekcji.

– Chodź. Pierwsze masz wychowanie obywatelskie. W bloku języka angielskiego.

Otwieram rozkład zajęć i przeglądam go – najpierw szybko, potem jeszcze raz, uważniej. Wychowanie, angielski, matematyka, historia, biologia, czytelnia, przedmioty ścisłe, rolnictwo i trzy razy w tygodniu Oddział, cokolwiek to znaczy. Nie ma.

– A co z plastyką?

– O co chodzi, Kylo?

– O plastykę. Nie ma jej w moim planie lekcji.

– Nie. Nie dostajesz opcjonalnego przedmiotu jak inni uczniowie. Musimy zmieścić w rozkładzie zajęcia na Oddziale, nie ma miejsca na dodatkowe lekcje.

Gapię się na nią. To niemożliwe. Jedyne przedmiot, na którym naprawdę mi zależy; głównie dla niego chciałam iść do szkoły. Plastykę mieliśmy nawet w szpitalu.

– Ale...

– Żadnych ale; nie ma czasu. Spóźnisz się na lekcję. Jeżeli masz z tym jakiś problem, porozmawiaj z doktor Winston – ucina i zamaszystym krokiem wychodzi z Oddziału.

Idę za nią oszołomiona. To nie w porządku. Nawet pielęgniarka Penny powiedziała, że mogę wybrać plastykę, o ile uznają, że się nadaję, prawda? A tej całej pani doktor nie obchodziłam ani ja, ani czego chcę, to było aż nadto oczywiste. Nie ma sensu się do niej zwracać.

Pani Ali ciągnie mnie dróżką wśród budynków, uchylając się przed uczniami pędzącymi we wszystkich kierunkach. Pod klasą przypomina mi, żebym wyczytała kartę, potem przedstawia mnie panu Goodmanowi, z którym mam nie tylko wychowanie obywatelskie, lecz także angielski. Zaczynają się schodzić uczniowie, zajmują miejsca. Opiekunka zostawia mnie, zapowiadając, że wróci przed końcem lekcji, żeby mnie zabrać na następną.

Stoję niepewnie przy biurku na samym przedzie, nie wiedząc, co zrobić. Pan Goodman uśmiecha się.

– Zaczekaj tu chwilę ze mną, Kylo – mówi.

Uczniowie wchodzi, wczytują karty i siadają jeden po drugim. Odzywa się dzwonek na lekcję. Przybywa ostatnia osoba i krzywi się już od drzwi.

– Znowu spóźnienie, Phoebe?

– Przepraszam – rzuca tamta, ale nie wygląda, jakby się tym przejęła. Siada w ostatniej podwójnej ławce. Jedyne wolne krzesło stoi obok niej: dziewczyny, która podstawiała mi nogę w autobusie.

Phoebe patrzy na moją spuchniętą wargę i uśmiecha się; ja spoglądam na nią bez uśmiechu. W sali zaczynają się podnosić szepty. Czy ludzie wiedzą?

– Cisza, jedenasta ce. – Nauczyciel przerywa zgiełk. – To jest Kyla, będzie z wami chodzić na wychowanie obywatelskie. Proszę o przyjazne powitanie dla niej.

Stoję obok niego i patrzę na salę pełną oczu. Jedne są po prostu zaintrygowane, inne wrogie, jeszcze inne niepewne. Ale wszystkie się gapią. Wpatrują się we mnie i w Levo na moim nadgarstku.

– Usiądź obok Phoebe – mówi pan Goodman.

Idę, oczy podkopują podłogę i wloką się u moich stóp, sprawiając, że ciężko mi się poruszać. Odsuwam krzesło jak najdalej od Phoebe i siadam. Nauczyciel odwraca się i zaczyna pisać na tablicy. Wszystkie spojrzenia kierują się na moją sąsiadkę.

Moje Levo wibruje. Zerkam na nie: 4,4. Phoebe uśmiecha się złośliwie. Kiedy wibracja staje się mocniejsza – 4,2 – podnosi rękę.

– Proszę pana, zdaje się, że nasza nowa uczennica zaraz wybuchnie.

Wszyscy chichoczą i gapią się. Tyle oczu, wszędzie oczy.

3,9...

Przymykam powieki. „Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

Słyszę ciężkie kroki i czuję rękę na swoim ramieniu.

– W porządku, Kyla? – pyta pan Goodman.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

Otwieram oczy.

– Tak.

– Grzeczna dziewczynka. Więc teraz przepis, proszę, z tablicy swoje obywatelskie przyrzeczenie.

Sięgam po zeszyt.

Ostatnia lekcja przed południem przynosi miłą niespodziankę: Ben. Chodzi ze mną na biologię.

Macha do mnie, kiedy przeciągam swoją kartę przy drzwiach, szepcze coś

do kilku innych chłopców, a oni przesuwiają się niechętnie, zostawiając wolne miejsce koło niego.

– Jak leci?

Wzruszam ramionami i nie odpowiadam, ale pewnie mam to wymalowane na twarzy.

– Z czasem robi się lepiej – zapewnia mnie Ben poważnym tonem. – Naprawdę. Moje pierwsze dni w szkole też były do bani.

Patrzę na niego i zastanawiam się. Czasami sprawia takie wrażenie jak wszyscy odmóżdzeni, uśmiechający się głupawo Zresetowani chłopcy, których do tej pory spotkałam. A jednak widzę, że ma również własne myśli. Może nie jestem aż tak bardzo inna od pozostałych, jak mi się czasami wydaje. Albo może to chodzi o niego – Ben sprawia, że nie czuję się w tym aż taka samotna.

Robi do mnie znaczącą minę.

– Pamiętaj: bez uśmiechu. To boli.

– O, tak, racja. – Odganiem cień radości, który zakradał mi się na usta, i zamiast tego uśmiecham się samymi oczami.

Nasza nauczycielka biologii, pani Fern, jest trochę zwariowana i zabawna. Kazała nam wybrać ptaki, którymi najbardziej chcielibyśmy być, i poszukać o nich wiadomości w książkach i w Internecie, a potem zrobić plakat.

Przeglądałam książkę, nie mając pojęcia, na jakiego ptaka się zdecydować. Aż natrafiam na czarne oczy, jasne pióra, poważne oblicze w kształcie serca – tak płaskie, że wydaje się maską z czarnymi szparami. S o w a p ł o m y k ó w k a. Ma w sobie coś, co mi mówi: o t o j a.

Wkrótce porzucam opis taksonomiczny i zwyczaje żywieniowe na rzecz rysowania. Szkicuję swoją sowę początkowo w różnych pozycjach, a potem skupiam się na ptaku w locie, z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Pochłonięta rysowaniem, ledwie pamiętam, żeby to robić prawą ręką. Mam w niej mniej doświadczenia, ale praca i tak wychodzi dobrze.

Pani Fern staje nad moim ramieniem.

– Kyla, to niesamowite – stwierdza. – Masz talent.

Uczniowie tłoczą się wokół mnie i też mówią miłe rzeczy o moim rysunku. W tej klasie czuję się znacznie lepiej, może dlatego że Ben był w niej pierwszy. Przyciąga oczy dziewczyn, najwyraźniej ma dobre układy z chłopakami. Po prostu jest jednym z nich; akceptują go, więc zaakceptowali mnie. Jak on to robi?

Rozlega się dzwonek. Przez otwarte drzwi widzę panią Ali czekającą na mnie w korytarzu.

– Idziesz na drugie śniadanie? – pyta Ben.

Uśmiecham się.

– Tak, daj mi tylko minutę.

Potem ociągam się ze zbieraniem swoich rzeczy, aż pozostali uczniowie już sobie pójdą. Ben czeka z pytającym spojrzeniem. Czy się odważę? Podchodzę do nauczycielskiego biurka.

– Pani Fern? – zagaduję. – Zastanawiam się, czy... to znaczy, mam nadzieję, może mogłaby mi pani pomóc...

– W czym rzecz, Kylo? Wyduś to w końcu.

– Chcę chodzić na plastykę, ale mi nie pozwalają. Powiedzieli, że nie mam opcjonalnego przedmiotu.

– Skoro tak. Cóż. Zobaczymy, co da się z tym zrobić – mówi. – Mogę to pożyczyć?

Wskazuje mój plakat z sową, więc go jej podaję.

Odwracam się i aż podskakuję: pani Ali stoi tuż za mną z ustami zaciśniętymi w wąską linię. Nie zauważyłam, jak weszła. Nie słyszałam nawet uchylania drzwi.

– Mogę iść na drugie śniadanie z Benem? – pytam ją.

– Nie. W rozkładzie masz drugie śniadanie na Oddziale i musisz się tego trzymać. – Odwraca się do Bena, który czeka w drzwiach. – Przykro mi, Ben. Kyla ma teraz Oddział.

Ben macha do mnie i znika.

Na Oddziale pani Ali pokazuje mi gestem, żebym poszła za nią do gabinetu, nie do sali jadalnej.

– Mam teraz drugie śniadanie – ośmielam się zauważyć.

Kobieta zamyka drzwi.

– Kylo, posłuchaj uważnie. Wisisz na krótkim włosku i dyndasz. Jeśli będzie za krótki, czeka cię długi upadek.

Czy to groźba? Opiekunka uśmiecha się po swojemu, z zatroskaniem, ciepło. To nie pasuje do jej słów.

– Nie rozumiem.

– Kylo, jestem tu, żeby ci pomóc, najlepiej jak mogę, abyś się stała użytecznym, szczęśliwie zintegrowanym członkiem naszej społeczności. By tak się stało, musisz się stosować do zasad. Twój plan lekcji to jedna z form, jakie przyjmują zasady. Gdy wychodziłaś ze szpitala, podpisałaś umowę, obiecując, że będziesz przestrzegała wszelkich reguł: w szkole, w Grupie, w szerszej

społeczności. – Dotyka mojego policzka. Jej ręka jest ciepła tak jak oczy, lecz słowa są zimne. – Jeśli złamiesz zasady, spróbujesz je obejść albo choć trochę nagniesz, poniesiesz konsekwencje. A teraz idź na drugie śniadanie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Dobry wieczór wszystkim. – Pielęgniarka Penny ma na sobie kolejny jaskrawy sweter pasujący do jej głosu, tym razem pomarańczowy.

Czwartek, siódma wieczór: pora na Grupę. Ani śladu Bena; Tori tak samo, jeśli o to chodzi. Pozostali siedzą w komplecie na swoich miejscach; uśmiechają się, a ja staram się ich naśladować. Po kolejnym dniu moja warga wciąż jest imponująco posiniaczona, ale już tak bardzo nie boli.

– A teraz może zaczniemy od tego, że każdy opowie coś niecoś o tym, co porabiał, od kiedy się ostatnio spotkaliśmy? – zagaja pielęgniarka.

Zaczyna od przeciwnej strony kręgu, od czasu do czasu zerkając na zegar. Ludzie opowiadają o swoim tygodniu: ktoś próbował jazdy konnej, inny był na badaniu wzroku, ktoś jeszcze inny dostał szczeniaka. Pasjonujące historie.

Zbliża się moja kolej, kiedy drzwi z tyłu otwierają się na oścież i wpada przez nie Ben, ociekający wodą. Koszulka z długim rękawem i szorty przylegają do jego ciała, interesująco podkreślając sylwetkę.

– Strasznie przepraszam za spóźnienie – mówi i bierze sobie krzesło. Wpycha je obok mojego, a ja staram się nie gapić.

Penny udaje, że jest zła na swojego ulubieńca, ale jej to nie wychodzi.

– Nie biegałeś chyba w taką pogodę, Ben.

Chłopak wzrusza ramionami.

– To tylko trochę wody, nie jestem z cukru.

– Kyla właśnie miała nam opowiedzieć, jak jej minął tydzień.

Wszystkie oczy kierują się na mnie.

– Ee, w poniedziałek zaczęłam szkołę. I od wczoraj mam już zajęcia. Na biologię chodzę do klasy Bena.

Pielęgniarka wygląda na zaskoczoną.

– Od razu skierowano cię na główne lekcje? Dajesz sobie radę?

Wzruszam ramionami.

– Przeważnie. Ale... – Urywam. Czy jeśli wspomnę o tym, że nie dostałam plastyki, to będzie jakieś naruszenie zasad?

– Ale co? – dopytuje się Penny.

– Nic. Jest w porządku – mówię.

– Nie zapomnij powiedzieć o niedzieli – podpowiada Ben.

Penny patrzy na niego, więc chłopak wyjaśnia:

– Spotkaliśmy się na wystawie w Thame. – I zaczyna opowiadać o pokazie owiec, na którym wszyscy się rozchichotali. Nawet Tori śmiała się z tych idiotycznych imion i z tego, jak owce paradowały po scenie.

– Zaraz, zaraz – wtrącam się. – A gdzie jest Tori?

Ben patrzy na mnie, potem z pytającą miną spogląda na pielęgniarkę.

– Tori nie jest już w naszej Grupie – odpowiada Penny. I wskazuje następną osobę w kręgu, a ta opowiada, jak w tym tygodniu nauczyła się piec czekoladowe pieguski.

Dziewczyna wyjmuje pudełko ciasteczek i puszcza je w obieg – ludzie się częstują, rozmowa cichnie.

Ben wcina pieguski, okruchy przylegają do jego mokrej koszulki. Powstrzymuję chęć, by je z niego strzepnąć.

– Ben – odzywam się przyciszonym głosem – dlaczego Tori nie jest już w naszej Grupie? Powiedziała ci? Czemu nie było jej w szkole w tym tygodniu?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Nic nie mówiła. Nie wiem.

– Nie martwisz się? Może coś się jej stało?

Ben się zastanawia.

– Może złapała grypę albo coś. Nie pomyślałem o tym – przyznaje, a po jego minie widzę, że coś do niego dotarło. – Wiesz co, wpadnę dziś do niej po drodze i upewnię się, czy nic jej nie jest.

Grupa ciągnie swe opowieści, a ja rozmyślam o Tori i o reakcji Bena na jej zniknięcie bez wyjaśnienia. Była jego dziewczyną, tak mi się przynajmniej zdawało. Mam jednak wrażenie, że gdybym nie zapytała, w ogóle nie przysłoby mu do głowy, żeby się zainteresować tą sprawą. I to nie jest tak, że mu nie zależy – po prostu o tym nie pomyślał. Ja okazałam się niewiele lepsza, bo zauważyłam, że nie ma jej w szkole, ale nic nie powiedziałam, miałam na głowie tyle innych zmartwień.

Ciekawe, czy Ben zauważy, jeśli pewnego dnia nagnę zbyt wiele zasad i więcej się nie pojawię. Czy usiądzie obok innej dziewczyny na biologii i nie będzie miał żadnych wątpliwości?

Na końcu spotkania Penny każe mi zaczekać.

– Co się stało z twoją twarzą, moja droga? – pyta z troską.

– Potknęłam się w autobusie i upadłam.

– Rozumiem. Czy to był wypadek?

Waham się.

– Powiedz mi, Kyla. Nie przekażę tego nikomu, jeżeli sobie nie życzysz.
Potrzęsam głową.

– To nie był wypadek. Ktoś mi podstawił nogę.

– O, to okropne. Przykro mi to słyszeć. Musisz bardzo uważać. Niektórzy ludzie nie są zbyt mili, prawda? Jak ci się teraz układa?

– W porządku. Wiem, kogo mam unikać.

– Skarbie, uświadomienie sobie, że na niektórych ludzi trzeba uważać, to wielki krok naprzód. Daj mi znać, jeśli mogę ci jakoś pomóc – mówi i ściska mnie za rękę.

Wpatruję się w nią, rozmyślając, jak bardzo się poplątało. Pani Ali zdawała się taka miła, a okazało się, że jest wręcz przeciwnie. Penny z kolei przy pierwszym spotkaniu była denerwująca, a teraz mam wrażenie, że jest po mojej stronie.

– Dzięki – mówię i uśmiecham się do niej szczerze. Wstaję, żeby wyjść.

– Zaczekaj, Kyla – zatrzymuje mnie. – Poprosiłam twoją mamę, żeby weszła i ze mną porozmawiała.

Chwilę później na tyłach sali pojawia się mama, otrząsa parasol.

– Co za straszna pogoda! – stwierdza z grymasem niezadowolenia, stąpając ciężko w naszą stronę.

Mama: kolejna zagadka. Czy jest po mojej stronie, czy nie? Czy jest Smoczycą, czy kimś, kto gotuje dla mnie zupę, kiedy mam problem z gryzieniem? Nie wiem.

Penny ucina sobie z mamą pogawędkę o mnie, ale tym razem nie przerywam im. Pielęgniarka mówi, że jestem gotowa na nieco więcej swobody, że mogę niektóre rzeczy robić sama, żeby rozwijać niezależność. Mama początkowo się nie zgadza, lecz w końcu ustępuje.

Wieczór pełen niespodzianek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zadzieram głowę i wystawiam twarz na lecące z nieba maleńkie kropelki, tak małe, że nie wyczuwam ich z osobna, tylko raczej jako ogólne wrażenie wilgoci. Bardziej jak mgła niż mżawka. Ale zbierają się, tworzą kilka strużek i ściekają mi po twarzy. Nie jak łzy, bo te nie są gorące.

– Powinnaś założyć kaptur, żeby nie moczyć ubrań, a nie łapać na siebie deszczówkę – upomina mnie Ben. Wyciąga ręce, chwytając mój kaptur z obu stron głowy i zakłada mi go, po czym wciska do środka kosmyki włosów. Ma ciepłe dłonie.

Nasze oczy spotykają się i Ben zatrzymuje się z rękami po bokach mej twarzy. Deszcz i las rozmywają się. Złote punkciki w oczach Bena przykuwają mnie jeszcze mocniej niż za pierwszym razem.

Wtem jego ręce opadają, chłopak rozgląda się. Nikogo nie ma w zasięgu wzroku, ale niedaleko za nami słychać głosy.

– Chodź – mówi Ben i zaczyna się oddalać od pozostałych. Potem odwraca się do mnie, bo nie ruszam się z miejsca, niepewna. Powinnam iść za nim? Wyciąga prawą rękę z wystawionym zakrzywionym małym palcem, a pozostałymi schowanymi.

Patrzę na jego dłoń z wahaniem, a on zerka na moją lewą i znów spogląda mi w oczy. Wyciągam rękę. Zaczepia małym palcem o mój, odwraca się i zagłębia w las, ciągnąc mnie za sobą. Nasze palce wciąż są szczepione – to takie głupawe, że zacznę chichotać.

Początkowo nie zauważyłam, że krok po kroku Ben odciągnął mnie od Grupy. Dlaczego? Pomimo chłodu czuję gorąco na twarzy. Jest lekcja biologii w terenie, mieliśmy zebrać próbki wody z potoku i liście z podszytu, runa i drzew, żeby je potem zidentyfikować. Głosy są już daleko i wciąż się oddalają.

Ben zatrzymuje się, odwraca do mnie. Nagle czuję zdenerwowanie, cofam się o krok.

– Nie powinniśmy zbierać liści? Może te...

– Muszę z tobą pomówić. – Uśmiech Bena zanika. Przypominam sobie, że już w autobusie dziś rano chłopak nie był sobą. Posłałam mu pytające spojrzenie, ale odpowiedział wzrokiem: „później”.

Więc teraz jest później. Po prostu chciał pogadać ze mną na osobności. Czuję w głowie zamęt, ulgę, a potem rozdrażnienie. Speszenie.

– O co chodzi?

– O Tori.

Odwracam głowę, żeby nie widział nagłego rumieńca; zraniło mnie, gdy wypowiedział jej imię. Powinnam była wiedzieć.

– Sprawiaś, że zacząłem się o nią martwić. Poszedłem do niej wczoraj wieczorem po spotkaniu Grupy. – Urywa z wahaniem, opiera się plecami o drzewo.

Deszcz się nasila, spore krople zaczynają się przedzierać przez resztkę liści, jakie pozostały na drzewie. Ben bierze mnie za rękę i przyciąga bliżej do grubego pnia.

– Już jej tam nie ma – mówi prawie szeptem, jakby wszystkie drzewa były szpiegami.

– Co masz na myśli?

– Rozmawiałem z jej mamą i to było naprawdę dziwaczne. Najpierw powiedziała mi, że Tori już tam nie mieszka. Zapytałem czemu. Czy się przeniosła do swojego taty w Londynie? A ona zachowała się jakoś dziwnie. Powiedziała, że się nie ułożyło i Tori została zwrócona. I miała taką nienormalną minę. Potem się otrząsnęła, stwierdziła, że nie powinno mnie tutaj być, nie wolno zadawać pytań. Mało mnie nie wyrzuciła za drzwi.

– Została z w r ó c o n a? – Nie potrafię ogarnąć tego, co usłyszałam. – Mogą coś takiego zrobić?

Ben kiwa głową.

– Właśnie tego słowa użyła. Jakby to była para niepasujących butów albo paczka odesłana pocztą.

– Ale zwrócona dokąd? – dziwię się dalej i w miarę jak dociera do mnie prawda, szok ustępuje miejsca zgrozie.

Tori miała siedemnaście lat, do Resetu nadają się tylko dzieciaki poniżej szesnastu, nie mogli więc zrobić jej tego ponownie. Czy przypisali ją do innej rodziny? A jeśli nie, to co się z nią stało?

Rozlega się cichy wibrujący dźwięk, stłumiony przez płaszcz Bena.

– Daj mi sprawdzić – mówię i chłopak wyciąga rękę. Podciągam mu rękaw i widzę jego Levo: 4,3. – Co mam zrobić?

Bezradnie wzrusza ramionami.

– Powiniennem biec – odpowiada, ale nie rusza się z miejsca. Drugą rękę zaciska na moim ramieniu, jego Levo wibruje znowu: 4,1.

Otaczam go ramionami, a on obejmuje mnie. Przysuwa się bliżej. Pada ulewny deszcz, jednak Ben jest ode mnie znacznie wyższy i nachylając się,

osłania mnie całą. Nawet przez szkolny mundurek i kurtkę czuję dudnienie jego serca: „stuk-stuk, stuk-stuk”. Moje bije szybciej, ciepło wypełnia mnie, kiedy kryję twarz w przemoczonej kurtce Bena. Ale on martwi się o Tori. To nie mnie chciałby mieć w ramionach.

Rozbrzmiewa gwizdek – podskakujemy i odsuwamy się od siebie.

– To pani Fern, zwołuje nas. Pewnie uznała, że za mocno pada – mówi Ben.

– Biegniemy? – pytam.

I ruszamy pędem, ślizgając się na mokrych liściach pokrywających ścieżkę. Kiedy kilka minut później docieramy do grupy, nauczycielka zaczęła już liczyć uczniów.

Dzisiejsze zajęcia w terenie zostają odwołane z powodu pogody. Pani Fern rozdaje pytania, na które należy odpowiedzieć.

Ale nie mogę się skupić. Co się stało z Tori? Gdzieś w głębi mnie odzywa się przecucie mówiące, że n i c d o b r e g o. Nie znałam jej długo. Miała zwyczaj wypowiadać na głos rzeczy, które ja zatrzymywałam w głowie. Moja mama warknęła na nią podczas wystawy, kazała jej uważać na słowa. Może to nie było nieprzyjemne usadzenie, jak się wtedy wydawało. Mama próbowała ją ostrzec.

Ben ma taką huśtawkę poziomu, że pani Fern w końcu wyprasza go z klasy, żeby pod okiem AN zrobił kilka okrążeń dokoła boiska.

Tuż przed dzwonkiem nauczycielka podchodzi do mnie, zagląda mi przez ramię i widzi, jak niewiele zrobiłam.

– To tak mi się odwdzięczasz? – mówi tonem wyrzutu. Ale zaraz uśmiecha się i już wiem, że wcale się nie gniewa.

– Za co? – pytam.

Siada na pustym miejscu Bena.

– Rozmawiałam z panem Gianellim, kierownikiem wydziału sztuki, i pokazałam mu twój rysunek sowy. I dużo mówiłam o tym, że marzysz, żeby zostać artystką. – Mruga porozumiewawczo.

– I?

– Toczy batalię, żeby cię mieć w swojej klasie. Zobaczymy, co z tego wyniknie, ale spodziewam się, że wygra. Jest zbyt irytujący, żeby mu długo odmawiać.

Nie widzę Bena aż do szkolnego apelu.

Siedzi ze swoją klasą z wychowania – po drugiej stronie sali, kilka rzędów wyżej niż ja. Włosy ma przyklejone do głowy – od deszczu czy potu? – ale

wygląda lepiej. Odwraca się, kiedy wchodzi moja klasa, dostrzega mnie.

„Okej?” – pytam samymi ustami. Odpowiada skinieniem głowy i delikatnym uśmiechem.

Każdy rocznik ma swój osobny apel raz w tygodniu. Klasy jedenaste schodzą się do auli w piątkowe popołudnia, jest to więc mój pierwszy raz. Siedzę na samym brzegu rzędu, Phoebe wylądowała na tyle daleko ode mnie, by nie zwracać na nią uwagi. Obok mnie znalazła się Julie, z którą siedziałam wczoraj na angielskim. Może nie wygląda na jakoś specjalnie przyjaźnie nastawioną, ale jest w porządku. Pokazała mi, co przerabiamy w *Romeo i Julii*, i wyjaśniła parę rzeczy. Wszyscy wiercą się na swoich miejscach, w sali unosi się przyciszony pomruk głosów, który jednak raptownie cichnie, kiedy otwierają się drzwi z przodu.

– To dyrektor Rickson – syczy mi do ucha Julie. Czyli nadal wyjaśnia.

Mężczyzna ma na sobie niebieski garnitur, nie bardzo pasujący do jego brzuszyska, i stoi wyprostowany jak struna, być może żeby zrównoważyć niedostatki sylwetki. Jego zimne spojrzenie przesuwają się po auli, zatrzymując się tu i ówdzie, jakby chciało powiedzieć: „Mam na ciebie oko”. Chociaż nie jestem pewna, czy to jego postać uciszyła wszystkich i jak gdyby zamieniła w kamień, czy raczej sprawili to dwaj mężczyźni i kobieta, którzy weszli za nim.

Ich twarze wyglądają neutralnie, podobnie jak identyczne szare garnitury: marynarka i spodnie.

– Lorderowie. – Julia wydaje z siebie najcichszy możliwy szept, tak słaby, że nie jestem pewna, czy nie wyobraziłam sobie tego słowa.

Są tacy sami jak tamci, którzy pilnowali wystawy – tam samą swoją obecnością uciszyli tłum i tu zaszło to samo. I tak jak wtedy, dziś mój żołądek wiązuje się w zimny węzeł przerażenia.

Kim albo czym są Lorderowie? W jakiś sposób wiem i zarazem nie wiem. Wtem przypominam sobie sen: szkolny autobus wysadzony w powietrze, umierający uczniowie i sztyl na sąsiednim budynku: „Biuro Lorderów”. Lecz skoro to był tylko sen, coś, co wyprodukował mój umysł po obejrzeniu pomnika, jak mogłam włączyć w ten sen Lorderów, jeśli nawet nie wiedziałam, kim są? Może to nie był sen. Możliwe, że to oni byli celem zamachu bombowego, w którym zginęli uczniowie. Ale jeśli to nie był sen... co ja tam robiłam? Sześć lat temu byłam zaledwie dziesięciolatką. To nie ma sensu.

Lorderowie odsuwają się na bok – najwyraźniej nie biorą udziału w apelu, przysłuchują się tylko, patrzą.

Rickson zwraca się do zebranych i zmuszam oczy, by oderwały się od tamtej

trójki i zwróciły na dyrektora. Staram się częścią umysłu słuchać, podczas gdy reszta wiruje w szoku. Dyrektor mówi o akademickich i sportowych osiągnięciach szkoły. Wspomina, że w niedzielę odbywa się kolejny otwarty trening biegów przełajowych, ma nadzieję, że wielu z nas się przyłączy, wymienia nazwiska uczniów, którzy w zeszłym roku weszli do finału hrabstwa. Kwalifikacje drużynowe odbędą się w przyszłym miesiącu.

Potem Rickson z wielkim smutkiem oznajmia, że niektórzy uczniowie wciąż nie w pełni wykorzystują swój potencjał, i sugeruje, żebyśmy się bardziej starali.

Wszyscy wstają i Julie trąca mnie, żebym zrobiła to samo. Zaczynamy wychodzić, za Lorderami. Zapiera mi dech w piersi, ale jakoś udaje mi się stawiać nogę za nogą i na siłę kierować wzrok prosto przed siebie. Przez cały czas spodziewam się, że czyjaś zimna ręka wyciągnie się i zaciśnie na moim ramieniu.

Przy wyjściu zatrzymują kilkoro uczniów i biorą ich na bok. Tamci bledną i wszyscy unikają ich oczu. Może to ci, którzy nie w pełni wykorzystują swój potencjał.

Być może Tori też się do nich zaliczała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Metalowym narzędziem przypominającym szpatułkę do ciasta nakłada na górny rząd białą masę – cement? – a potem kładzie na to cegły, jedną po drugiej. Zdejmuje nadmiar masy, który wydobył się spomiędzy cegieł, wygładza wypełnione szczeliny. Następnie zaczyna kolejny rząd.

Przyglądam się. Zerka na mnie kilka razy, ale pracuje dalej, kładąc cegłę za cegłą.

Wiem, że się gapię i że nie powinno się gapić na ludzi – na ogół tego nie lubią. Ale nie mogę oderwać wzroku.

Cegła za cegłą. Nad ziemią wznosi się już pięć rzędów.

Jeśli postoję tutaj dłużej, będą kłopoty. Mama przypuszczalnie mierzy czas potrzebny mi na wysłanie listu, który wciąż trzymam w ręce, tkwiąc przy skrzynce pocztowej na rogu sąsiedniej ulicy. Pierwszy raz pozwolono mi pójść gdzieś bez opieki. Najprawdopodobniej będzie to także ostatni raz, jeśli się nie pośpieszę.

Mężczyzna znowu podnosi wzrok, przysiadła na pośladowkach. Ma około trzydziestu lat, jest ubrany w niebieski kombinezon pokryty zaciekami farby, cementu, brudu. Tłuste włosy. Spluwa na ziemię.

– No? – odzywa się.

Podskakuję.

– Chcesz czegoś, złotko? – Uśmiecha się szeroko, a jego oczy ześlizgują się na moje Levo, po czym z powrotem skupiają na mojej twarzy.

– Przepraszam – mówię. Pędzę przez ulicę, skręcam za róg i słyszę, jak śmieje się za mną.

Wrzucam list do skrzynki i wracam. Obok miejsca, gdzie pracuje mężczyzna, parkuje biały samochód dostawczy z napisem „Buduj z nami”. Człowiek wciąż kładzie cegły, wznosząc ogrodowy mur.

Gwiżdże na mój widok, ale się nie zatrzymuje; z płonącymi policzkami wracam do domu.

– Czemu tak długo? – pyta mama, przycupnięta na schodku przed domem. Czekala na mnie, pomachała mi, gdy tylko wyszłam z za rogu naszej ulicy.

– No... po prostu szłam.

– Wszystko w porządku?

– Tak, świetnie. – Kieruję się na schody.

– Dokąd idziesz?

Odwracam się.

– Odrobić zadanie domowe – kłamię.

– Cóż, dobrze. Pilna mała uczennica, co? Obiad będzie za godzinę.

W swoim pokoju zamykam drzwi i drżącymi rękami chwytam szkicownik. Levo powoli opada: 4,4... 4,2...

Zaczynam rysować mur. Cegła po cegle, od samej ziemi. Ołówek porusza się szybko, coraz szybciej. Levo przestaje opadać, a potem wolno wspina się do piątki. Muszę dokończyć mur i muszę narysować go prawą ręką, żeby był właściwy. Po wszystkim, co dziś do mnie dotarło: Tori z w r ó c o n a, Lorderowie na apelu, Lorderowie w moim śnie. Z jakiegoś powodu wiem, że jeśli tylko będę budować mur, wszystko potoczy się dobrze.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

– Nieszczególnie interesujący temat.

Podskakuję. Amy. Nie zauważyłam, kiedy otworzyła drzwi, przeszła przez pokój i zajrzała mi przez ramię. Nie zarejestrowałam żadnego dźwięku.

Chwytam mój szkicownik, zamykam go i wzruszam ramionami. Teraz, gdy rysunek jest dokończony, czuję się spokojniejsza. Cegły zakrywają całą powierzchnię kartki. Z jakiegoś powodu jest to bardzo ważne.

Czemu?

Podczas obiadu prawie zapominam o murze. Zaskakujące ogłoszenie mamy: ona i tato stwierdzili, że Amy – Zresetowana czy nie – jest już na tyle dorosła, by się widywać z Jazzem, jeśli tego chce. Zmywanie, którego zaczynam nienawidzić, gdy przestało mieć w sobie powab nowości. Zadanie domowe – tym razem prawdziwe.

Ale zanim położę się spać, wyciągam rysunek, sprawdzam, czy w murze nie ma dziur, żadnych niedoskonałości czy nieszczelności, przez które coś mogłoby się przedostać. Co – tego nie wiem. Cieniuję brzegi i w końcu odkładam kartkę, zamykam oczy. Szukam pustki, nicości, snu.

Lecz widzę tylko cegły – układane na miejscu jedna po drugiej.

Cegły... cement...

Mur.

Ból przepelnia mi nogi, klatkę piersiową. Dalej już nie dam rady, nie pobiegnę. Opadam na piasek.

Nie ma znaczenia, jak bardzo ten człowiek krzyczy czy grozi, czy błaga. Nic, co może mi zrobić, wkrótce nie będzie miało znaczenia.

To się zbliża.

Człowiek przykłęka, podtrzymuje mnie i patrzy mi w oczy.

– Nigdy nie zapomnij, kim jesteś. Już czas. Szybko, rusz się! Stawiaj mur.

Bliżej.

Buduję więc: cegła za cegłą, rząd za rzędem. Wysoką wieżę dookoła siebie.

– Nigdy nie zapomnij, kim jesteś! – krzyczy i potrząsa mną mocno, podczas gdy kładę ostatnią cegłę – pac – na miejsce. Ta ostatnia odcina całe światło.

Dokoła mnie tylko ciemność. I dźwięki.

W mojej czaszce wybuchają straszne krzyki. Strach i ból, jak osaczone zwierzę. Stojące w obliczu śmierci.

Lub czegoś gorszego.

Mija chwila, zanim do mnie dociera.

To ja.

A potem, jakbym przestąpiła przez kalejdoskop, wszystko się przestawia i zmienia. Trawa łaskocze moje bose stopy. Wśród drzew rozbrzmiewają dziecięce głosy, ale ja leżę na ziemi, ukryta w wysokiej trawie, i patrzę na płynące po niebie obłoki. Nie chcę się dzisiaj bawić.

Stopniowo obłoki i trawa odsuwają się. Otwieram powieki, dość już snów na dziś. Nie zmrużę więcej oczu.

Znów zadziało – przeniosłam się do Szczęśliwego Miejsca w samym środku koszmaru.

Jednak tym razem nie chciałam go opuszczać, bez względu na to, jak bardzo był okropny. Byłam pewna, że zaraz się czegoś dowiem, czegoś ważnego. Jakby widok ułożonych starannie cegieł, jedna na drugiej, by tworzyły mur, uruchomił we mnie coś ukrytego w głębi. Jakiś przebłysk rozpoznania – trop, którym mogłabym pójść, by wreszcie zrozumieć, kim albo czym jestem, co jest ze mną nie tak.

Co mnie ścigało? Kim był ten człowiek? Powiedział: „Nigdy nie zapomnij, kim jesteś”.

Ale zapomniałam.

A przede wszystkim: dlaczego – i jak – budowałam mur?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dziwne uczucie – wracać do szpitala po raz pierwszy, odkąd z niego wyszłam. Tamtego dnia tak bardzo bałam się opuścić jego mury i wyruszyć w szeroki świat. Teraz wydaje się, że to było wieki temu, całe inne życie, chociaż minęło tylko kilkanaście dni.

Ale możemy nie zdążyć na spotkanie z doktor Lysander, umówione na jedenastą. Właściwie możemy tam w ogóle nie dotrzeć. Amy próbuje znaleźć na mapie inną drogę, a mama klnie pod nosem, skacząc po kanałach radia w poszukiwaniu raportów o korkach.

– Przejechanie ostatniego kilometra zajęło nam dwadzieścia minut. Równie dobrze możemy zawrócić – mruczy mama.

– A jakby zjechać z autostrady na najbliższym zjeździe? – proponuje Amy. Bardzo jej zależało, żeby się dziś wybrać z nami. Jakoś przekonała mamę, że może uda jej się poznać doktor Lysander. Teraz nie chce stracić tej szansy.

Mama wyłącza radio.

– Żadnych komunikatów. – Marszczy brwi. – Nie podoba mi się to. Coś się na pewno dzieje. Amy, weź moją komórkę i zadzwoń do taty.

Amy wyjmuje telefon z maminej torebki i manipuluje przyciskami. Patrzę na to zaskoczona. Osobom poniżej dwudziestego pierwszego roku życia nie wolno mieć komórek. To chyba nic złego, jeśli mama jest obok Amy i mówi jej, co ma robić?

– Nie odpowiada. Zostawić wiadomość?

– Tak. Powiedz mu, że utknęłyśmy, i poproś, żeby oddzwonił.

Toczymy się w ślimaczym tempie pod górę. Nad nami przelatują helikoptery. Zbliżamy się do szczytu wzgórza, zatrzymujemy się. Słychać syreny, pasem awaryjnym przemykają czarne furgonetki.

Dzwoni telefon, mama odbiera.

– Rozumiem... Dobrze... Świetnie. Cześć. – Rozłącza się. – Przed nami jakieś kontrole na drodze. Raczej nic, co miałyby nas niepokoić.

Samochody znowu ruszają powoli. Docieramy na szczyt. Po drugiej stronie autostrady M25 ruch jest całkowicie wstrzymany. Suniemy przez chwilę i znów stajemy. Przed nami grupa mężczyzn, ubranych na czarno jak strażnicy w szpitalu, zatrzymuje i przeszukuje samochody po obu stronach. Machają na nas, żebyśmy przejechały.

– Co to za ludzie?

– Lorderowie – odpowiada Amy.

Odwracam się pośpiesznie, by zerknąć ponownie. Nie noszą szarych garniturów, tylko czarne spodnie i długie czarne koszule, z czymś w rodzaju kamizelki na wierzchu. Skoro są ubrani tak samo jak strażnicy szpitala, czy to znaczy, że tamci to też Lorderowie?

Czuję się dziwnie i w końcu zadaję pytanie, którego dotąd unikałam.

– Kim są Lorderowie?

Mama odwraca się do mnie z uniesionymi brwiami.

– No wiesz, funkcjonariusze Prawa i Porządku, Law and Order. Tropią gangi i terrorystów. Szukają kogoś.

Wygląda na to, że naprawdę zależy im na znalezieniu tego kogoś, bo zatrzymują i przeszukują każde auto na szosie.

– Ale czy to ci sami, którzy byli w szarych garniturach na wystawie i w szkole? – pytam.

– Tak, byli na wystawie. Nie mam pojęcia czemu. Zazwyczaj noszą szare garnitury; czarne ubrania oznaczają, że są w trakcie akcji, w dzisiejszych czasach zwykle antyterrorystycznej. Kiedyś były też gangi. Ale Lorderowie w szkole? – Mama lekko marszczy brwi. – To prawda, Amy?

Siostra przytakuje.

– Nieraz przychodzą na apele. Nie zawsze tam są, tylko od czasu do czasu. Ostatnio częściej.

Po lewej stronie na pochyłości rozciągają się pola, wyżej rosną drzewa. Dostrzegam jakiś ruch – lekki błysk, jakby odbłask słońca na czymś szklanym lub metalowym.

– Tam coś jest – mówię.

– Gdzie? – pyta mama.

– W tamtym lesie. – Wskazuję. – Widziałam błysk.

– Jesteś pewna?

Bierze telefon, ale wtem w miejscu, które wskazałam, pojawia się helikopter i z jakiegoś ukrycia wybiegają ludzie, zmierzając w stronę drzew. Mama odkłada komórkę.

„Rat-a-tat-tat” – rozlega się głośno.

– Co oni robią? – Oczy mi się rozszerzają. – Strzelają do kogoś?

– Wybijają Łajzy – wyjaśnia Amy i pociąga nosem. – Terrorysty mają hasło „Wolność albo śmierć”. Dostają śmierć.

Wkrótce autostrada robi się z powrotem przejezdna. Mama dzwoni

do szpitala, żeby dać znać, że się spóźnimy.

Jedziemy do Nowego Londyńskiego Szpitala tą samą drogą, którą go opuściłam prawie dwa tygodnie temu. Widoki ukazują mi się w odwrotnym porządku niż wtedy. Okoliczne tereny jak poprzednio tętnią życiem, pełno tu ludzi i pojazdów; w biurach i mieszkaniach zapewne dużo się dzieje. Im bliżej naszego celu, tym więcej ubranych na czarno strażników na rogach: Lorderowie. Tłumy zdają się przed nimi rozstępować, jakby byli otoczeni jakąś niewidzialną bańką, do której nikomu nie wolno wkroczyć.

Gdy w polu widzenia pokazują się wieżyczki strażnicze szpitala, znowu wpadamy w korek. Kolejni Lorderowie. Stoimy w kolejce między ciężarówką a autobusem, a ja nie przestaję myśleć o swoim śnie: gwizd, błysk, wybuch. Strzelam oczami na boki, ale nie dostrzegam nic podejrzanego. Przeszukują pojazdy; suniemy wolno naprzód. Ale tak jak przedtem na autostradzie, machają, żebyśmy przejechały bez zatrzymywania. Tym razem zauważam, że Lorderowie skupiają wzrok na mamie, potem dotykają sobie prawą ręką lewego ramienia i dają dłonią znak do przejazdu.

– Czemu nie zatrzymują nas jak wszystkich innych? – pytam.

– Czasami przydaje się, że jestem córką swojego ojca – mówi mama i przypominam sobie Człowieka Pięść, który prawie trzydzieści lat temu zmiażdżył gangi terroryzujące kraj. – A czasami przeciwnie – dodaje mama tak cicho, że ledwie ją słyszę.

– Co masz na myśli?

– Musisz wciąż tyle pytać? – rzuca ostro w odpowiedzi. Potem wzdycha. – Przepraszam, Kyla. Porozmawiamy o tym innym razem, dobrze?

– Dlaczego w swoich snach bawisz się w chowanego? – Doktor Lysander odchyła się do tyłu, ręce ma skrzyżowane na piersi. Obserwuje i czeka.

Mając z nią od dawna do czynienia, szybko zorientowałam się, że muszę jej dawać coś realnego. Nigdy nie powiedziałam jej o plaży, strachu, biegu. W różnych formach ten sen powracał, odkąd odzyskałam przytomność w szpitalu. Jeżeli nie powiem jej czegoś prawdziwego, będzie wiedziała, że coś ukrywam.

I nie chodzi nawet o to, że jest dobra w odczytywaniu wyrazu twarzy, bezwiednych gestów, ruchów oczu, mrugania. Wszystkich tych zwykłych rzeczy, których obserwowania można się nauczyć. Sęk w tym, że Levo na moim nadgarstku monitoruje emocje – odczyt jest prosty, moje stany są

zarejestrowane. Wystarczy, że je zeskanuje i będzie wiedziała, czy mówię prawdę, czy kłamię. Jednak doktor Lysander jest przekonana, że wszystko widzi bez uciekania się do pomocy takich urządzeń. I ta jej pewność ma uzasadnienie.

Mimo to oszustwo nie jest niemożliwe, tylko po prostu utrudnione. Postępuję jak magik, który odwraca uwagę publiczności od sedna swojej sztuczki – podsuwam jej coś, na czym może się skupić, żeby nie badała tego, co chcę zataić.

– Mogę panią o coś zapytać? – mówię.

Doktor Lysander odchyła się na krześle. Często odpowiada na pytania, jeśli ktoś ma odwagę je zadać. Lepiej się jednak upewnić, bo nie zawsze bywa we właściwym nastroju.

Pochyla głowę do przodu. Pozwolenie udzielone.

– Dlaczego zaraz fascynacja chowaniem się i szukaniem? To szczęśliwy sen, po prostu się w nim bawię. Nic złego się nie dzieje.

– Co to może reprezentować?

– Nie rozumiem.

– W tej swojej zabawie chowasz się przed innymi. Dlaczego? Co ukrywasz?

O. Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Coś ukrywam? Nic o tym nie wiem.

Procedura wyjazdu ze szpitala jest taka sama jak poprzednio – w dniu, w którym poznałam swoją rodzinę. Spiralną pochylnią wytaczamy się z podziemnego parkingu do bramy. Tu strażnicy sczytują nasze czujniki Levo, szybko sprawdzają samochód i w końcu szlaban się unosi. Zalewa mnie ulga, gdy zostawiamy za sobą ogrodzenia i strażę. Dziś cały kompleks szpitalny przygniatał mnie i przytłaczał, jakby wyciskał z moich płuc powietrze. Jak mogłam tutaj żyć tak długo?

I strażnicy – to też Lorderowie. Kiedy mieszkałam wśród tych murów, po prostu akceptowałam wieżyczki z ich karabinami, okratowane okna, strażę patrolującą teren z psami. Wysokie ogrodzenia.

Czy wszystko to ma zatrzymywać ludzi w środku, czy nie dopuścić tych z zewnątrz?

Gapię się w okno przez całą drogę ze szpitala. Mama prowadzi auto, zajęta własnymi myślami, a Amy dąsa się, urażona tym, że jej idolka, doktor Lysander, nie miała czasu z nią rozmawiać i najzwyczajniej ją splawiła.

Jedziemy do domu. Czy jest mój? Zaczynam się przyzwyczajać; na ogół mieszka się w nim wygodnie. Nie budzę się już rano niepewna tego, gdzie się

znalazłam, i umiem się po nim przemieszczać w ciemności. Dziś wjazd przez szpitalne zabezpieczenia, za kraty i wieżyczki strażnicze, nie pokrzepiał, lecz działał klaustrofobicznie. Miałam ochotę wyskoczyć z samochodu i pobiec z powrotem na wieś. Byle dalej od tych ulic z ich strażami i śpieszącymi dokądś tłumami ludzi. Od autostrad z blokadami, od czarnych furgonów i karabinów.

Przynajmniej doktor Lysander zgodziła się z pielęgniarką Penny i powiedziała mamie, żeby mi pozwoliła na więcej samodzielności. Stwierdziła, że teraz jeśli chcę, mogę wychodzić sama. Ale mama bynajmniej nie była zadowolona, gdy doktor orzekła, że chce mnie widywać nie co dwa tygodnie, tylko co tydzień – musimy tę wyprawę odbywać co sobotę.

Jesteśmy już prawie w domu, gdy coś mi się przypomina. Dlaczego mama dzwoniła do taty, żeby zapytać, co się dzieje na drodze? Nic nie mówili o tym w radiu, ani wtedy, ani potem.

Skąd miałby wiedzieć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W niedzielę rano niebo jest cudownie błękitne, ale panuje taki ziąb, że własny oddech spowija mi twarz jak zasłona. Drzę i oplatom się rękami, czekając na autobus, który zabierze nas na trening biegów przełajowych. Zjawia się więcej uczniów i nauczyciel z podkładką do notowania.

Na teren szkolny wtacza się autobus, a za nim samochód osobowy: Ben. Czekam na niego, podczas gdy inni wsiadają do autobusu. W uśmiechu Bena widać zaskoczenie.

– Nie wiedziałem, że biegasz.

To okropne wrażenie zamknięcia, jakie odniosłam wczoraj w szpitalu, sprawiło, że postanowiłam tu przyjść. Wiem, dlaczego Ben biega; ja też to robiłam na bieżni w szpitalnej siłowni. Nazywają to *e n d o r f i n a m i* – substancje chemiczne uwalniane w ludzkim mózgu, kiedy się biegnie i biegnie, nie zważając na wyczerpanie ani na ból mięśni. Wkracza się w strefę, w której człowiek nie czuje już, co robi swojemu ciału, kiedy krąży w nas tylko euforia i nie chce się przestać. Wszystko się wewnątrz uspokaja i oczyszcza w lodowatym skupieniu. A może po trosze chcę biec z powodu mojego snu, w którym nie mogę już pędzić dalej i padam. Chcę potrenować, żeby móc uciec od tego czegoś.

Musiałam przekonywać mamę, że to jest poważny zamiar, i przypominać jej, że doktor Lysander zaleciła mi robić różne rzeczy samodzielnie. Amy uśmiechnęła się tylko przebiegle i kiedy mama nie słyszała, droczyła się ze mną, że niby robię to z powodu Bena.

Trener biegów przełajowych, pan Ferguson, patrzy na mnie dziwnie, gdy wsiadamy do autobusu.

– Tylko nie kolejna grupie. – Wymownie przewraca oczami w stronę Bena.

Inni chłopcy wymieniają złośliwe uśmiechy, a ja zaczynam rozumieć, o co chodzi.

– Umiem biegać – zapewniam, zła na rumieńce, które wypełzają mi na policzki.

– Cóż, zobaczymy, mała panienko – mówi trener ze śmiechem.

W grupie jest kilkunastu chłopaków i mniej więcej tyle samo dziewczyn. Wygląda na to, że wszyscy się znają, a ja rzeczywiście jestem „mała” – niższa od każdego z nich.

Zajmuję miejsce przy oknie, Ben siada obok mnie. Kiedy autobus rusza spod szkoły, chłopak nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Czy to prawda?

– Co?

– Jesteś tu z mojego powodu?

– Nie! – Oburzona daję mu kuksańca w ramię.

– Au! – Rozciera sobie to miejsce. – Miałem cichą nadzieję, że tak.

Odwracam wzrok speszona. Mówi serio? A co z Tori? Nie wiem, co powiedzieć, więc nie odzywam się wcale.

Dziesięciokilometrowy tor wytyczono w urozmaiconym terenie w okolicy Chiltern: trasa biegnie wśród pól i przez las, pokonuje kilka wzgórz, rowów i strumieni. Niezupełnie przypomina to bieżnię i zaczynam się zastanawiać, jak mi pójdzie. Wszyscy tu obecni biegali już po tym torze wcześniej. Ferguson pokazuje mi mapę i mówi, że szlak na całej długości jest oznakowany pomarańczowymi proporczykami. Przyglądam się mapie kilka razy – to mi wystarcza, żeby zapisać ją w pamięci.

Chłopcy zaczynają pierwsi – patrzę, jak się oddalają, biegnąc przez pole. Musimy zaczekać dziesięć minut. Rozgrzewam się i rozciągam. Podchodzi do mnie Ferguson.

– Nie byłeś na żadnym z poprzednich treningów – mówi.

– Nie. Dopiero od tygodnia chodzę do tej szkoły.

– To zrozumiałe. Patrz pod nogi i wyznacz sobie rozsądne tempo. Dziesięć kilometrów to całkiem długi dystans. Dostaję ochrzan za każdym razem, gdy muszę wezwać karetkę.

– Pańska troska jest wzruszająca – odpowiadam.

Przez jego twarz przemyka zaskoczenie, po czym trener wybucha śmiechem.

– Ha! Masz rację. Zobaczmy, co potrafisz, hę?

Niektóre dziewczyny wyglądają na niezbyt zadowolone.

Nauczyciel wypuszcza nas na tor.

Początkowo biegniemy przez pola. Nie jestem przyzwyczajona do nierównego terenu, więc się nie spinam, nabieram rytmu. Nasza grupka rozciąga się, biegnę gdzieś pod koniec środka. Chłopcy dawno zniknęli nam z oczu.

Słońce, tupot stóp na ziemi, szybsze stukanie serca w piersi. Ogólnie – dobre uczucie. Pora przyśpieszyć. Podkręcam tempo, gdy biegniemy przez las.

Za zakrętem z ziemi nagle podnosi się gałąź. Nie ma czasu, by ją przeskoczyć

lub ominąć. Zanim zdążę cokolwiek zrobić, zahaczam o nią stopą i leczę do przodu z rękami wyciągniętymi przed siebie. Kiedy ląduję ciężko, z obu stron ścieżki wstają dwie dziewczyny, odrzucają gałąź i odbiegają ze śmiechem.

Nie mogę oddychać i leżę na ziemi, z trudem chwytając powietrze, jak ryba wyrzucona z wody na brzeg. Stopniowo wraca normalny oddech, zaczynam się podnosić.

Mija mnie kilka dziewczyn. Jedna zatrzymuje się.

– Nic ci nie jest? – pyta.

Macham tylko ręką, żeby biegła dalej.

Teraz wyprzedziły mnie już wszystkie.

Mam podrapane ręce i rozcięte kolano. Wstaję ostrożnie i sprawdzam nogi – wszystko wydaje się w porządku. Przynamniej Ferguson nie dostanie ochrzamu za wzywanie karetki. Wzbiera we mnie gniew. A niech to! Tak mi się dobrze biegło, czemu musiały to zrobić? Oddycham głęboko raz za razem, żeby się uspokoić. Sprawdzam Levo: 5,8. Poziom wciąż jest wysoki, pewnie dzięki biegowi.

„To długi bieg” – odzywa się we mnie cichy głosik. B a r d z o długi.

Zaczynam od nowa.

Biegnę szybko, jeszcze szybciej. Tu i tam szlak znakują, tak jak mówił Ferguson, pomarańczowe proporczyki. Ale w jednym miejscu, gdzie ścieżka się rozwidła, znak umieszczono po lewej stronie zamiast po prawej. Zatrzymuję się, zamykam oczy, przypominam sobie mapę, której się nauczyłam na pamięć. Z d e c y d o w a n i e niewłaściwa wskazówka.

Ktoś sobie ze mną pogrywa? Nieważne. Mapę mam wyrytą w głowie. Ignoruję proporczyk i ruszam w prawo.

Wkrótce mijam dziewczynę, która pytała, czy nic mi nie jest, a potem kolejne, które się mną nie zainteresowały. Jestem tam, w miejscu, gdzie bieg i oddech są wszystkim, a wszystko zamyka się w dudnieniu stóp o ziemię, w pędzie do przodu. Biegnę opryskana błotem po przeprawie przez strumień, ręka i kolano mi krwawią, ale nie przejmuję się tym.

Uśmiecham się, zostawiając w tyle dwie dziewczyny, które podłożyły mi gałąź – omijam je szerokim łukiem. Widzę ich zaskoczenie – próbują przyspieszyć, ale nie dają rady. Znikają z tyłu.

Tak samo mijam kolejną, kilka następnych. Straciłam rachubę – czy ta dziewczyna była ostatnia? Nie zadowolę się już wynikiem „w porządku”, chcę być pierwsza. Przyśpieszam.

Wyprzedzam kilku chłopców, potem jeszcze kilku, aż w oddali pojawia się

linia mety – przy miejscu, gdzie rozpoczęliśmy.

Ferguson, Ben i paru chłopaków, którzy już ukończyli bieg, wiwatują, widząc mnie na wzgórzu.

Kiedy przebiegam linię mety, trener zerka na stoper.

– Jasny kiciuś. Biegłaś sprintem przez całą drogę?

Zatrzymuję się, próbuję odpowiedzieć, ale nie mogę mówić. Świat zaczyna wirować wokół mnie, zbiera mi się na mdłości.

– Nie odpowiadaj! Zrób jeszcze przebieżkę, wystudź się.

Dysząc i walcząc z nudnościami, zataczam kółka wokół parkingu, coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymuję się i już nie ciągnie mnie na wymioty.

Przybiegają kolejni chłopcy, a chwilę później dziewczyny.

– Co ci się stało? – pyta Ferguson, widząc krew na mojej ręce i nodze.

Wzruszam ramionami.

– Potknęłam się – mówię. – Nic mi nie jest, nie potrzebuję karetki.

Trener śmieje się, bierze apteczkę i owija mi kolano bandażem.

– Jesteśmy dobraną parą, ty i ja – zagaduje Ben, kiedy wsiadamy do autobusu.

– O?

– Byłem pierwszy z chłopaków, a ty pierwsza z dziewczyn.

– Ile minut przede mną skończyłaś?

Wzrusza ramionami.

– Pięć albo jakoś tak. Czemu pytasz?

– No, my zaczęłyśmy dziesięć minut po was. To znaczy, że byłam szybsza od ciebie.

Gdy to do niego dociera, robi zaskoczoną minę, po czym uśmiecha się szeroko.

– Dobra. Potrzebowałam powodu, żeby więcej trenować.

Zerka ma moje Levo: 8,1; pokazuje mi swoje: 7,9.

– Tutaj też mnie pobiłaś – stwierdza. Autobus rusza i Ben przysuwa się bliżej.

– Czyli jest dobry czas na to – dodaje tak ściszym głosem, że muszę się nachylić w jego stronę i cieszę się z tego. Jego ciało promieniuje ciepłem, a moje stygnie, z każdą sekundą jest coraz chłodniejsze.

– Dobry czas na co?

Jego uśmiech znika.

– Trochę się rozglądałem, podpytywałem.

– O co?

– Tori nie była pierwszą zwróconą. W naszej szkole byli inni Zresetowani,

którzy pewnego dnia po prostu się nie zjawili. Bez wyjaśnienia.

– Zwróćni – szepczę i przebiega mnie zimny dreszcz.

Ben otacza mnie ramieniem.

– To nie wszystko. Inni też, nie tylko ci po Resecie. Tak jak tych troje wyciągniętych po apelu w piątek. Już ich nie ma, i to nie pierwszy raz, gdy tak się stało.

Więc naturalsi też giną? Tamtych na apelu wzięli na bok Lorderowie, to pewnie oni ich zabrali. Żołądek mi się skręca.

– Ale dlaczego?

– Co do chłopaków, rozumiem. Słyszałem, że jednego przyłapano z komórką. A drugi był prawdziwym draniem, wciąż wdawał się w bójki i draki. Może należał do gangu?

– A dziewczyna?

Ben wzrusza ramionami.

– Nigdy nie zrobiła nic złego. Ale była bardzo bystra, zawsze zadawała nauczycielom niewygodne pytania, jak na historii. Dlaczego coś się wydarzyło, a coś innego nie.

Zadawała niewygodne pytania. Tak jak on.

– Ben! Musisz przestać węszyć, bo możesz być następny.

– Ale co z Tori? Jeżeli nikt nie zapyta, nikogo nie będzie obchodzić. Nie rozumiesz? To mogłaś być ty, mogłem być ja. Muszę się dowiedzieć, co się z nią stało.

– Nie chcę, żebyś zniknął – szepczę, a on przysuwa mnie bliżej. Błoto i pot w uścisku, jego serce bije tuż przy moim uchu.

Kilku chłopaków zaczyna robić w naszą stronę mlaskające odgłosy i Ferguson odwraca się do nas.

– Żadnego migdalenia się w autobusie! – woła i zaraz siadam prosto.

Ben wciąż trzyma mnie mocno za rękę.

Tak samo jak mocno trzyma się pamięci o Tori.

Niespodzianka: kiedy autobus podjeżdża pod szkołę, czeka na mnie nie tylko mama, ale też tato. Macham na do widzenia Benowi i pozostałym i idę do rodziców, ubłocona i wyczerpana, z obandażowanym kolanem. Ciało mam teraz tak zesztyniałe, że z trudem stawiam nogę za nogą.

Mama wyskakuje z samochodu,

– Co ci się, u licha, stało? – pyta ze zgrozą na twarzy.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – I patrz. – Pokazuję jej Levo: 6,6.

Nawet pomimo zmartwienia wywołanego naszymi szeptami w autobusie, wyraźnie widać, że bieganie to sposób na podtrzymanie u mnie wysokiego poziomu.

– Ale w jakim ty jesteś stanie! – I mama maszeruje na słowo do trenera.

Tato także wysiada z auta, uważnie mierzy mnie wzrokiem z góry na dół.

– Zdaje się, że była dobra zabawa? – Uśmiecha się szeroko.

– O, tak. – Odpowiadam uśmiechem i opieram się o samochód, czując, że jeśli tego nie zrobię, to upadnę.

Nie widziałam taty od momentu, gdy mnie wystraszył w ciemnej kuchni – cały czas był w pracy. Ale teraz wygląda na szczęśliwego, wyluzowanego, nie jak tamten ponurak, który mnie wypytywał, kiedy się go przeraziłam w środku nocy.

– Jak ci poszło?

– Byłam pierwsza.

Podnosi rękę i pokrzykuje radośnie.

– Piątka?

– Co?

– Przytrzymaj rękę w górze, jak ja.

Robię, jak powiedział, a on przybija dłonią piątkę. Potem wskazuje ruchem głowy mamę i mruga do mnie.

– Nie spodoba się jej, jeśli się nie ogarniesz. Ma małą tolerancję na brud i krew.

Tego wieczoru na obiad jest zaproszony Jazz. Amy przez cały czas posyła mu rozanielone uśmiechy, mama stara się robić jak najlepsze smocze wrażenie, a tato opowiada kiepskie dowcipy. Jazz reaguje nawet na „Jason”, wygląda, jakby z rezygnacją poddał się swojemu losowi, i nie mówi wiele więcej jak: „tak, poproszę” i „dziękuję”. Ja skupiam się na jedzeniu.

– Jesteś dziś głodna, co? – zauważa mama, zdziwiona, że wzięłam sobie dokładkę pieczeni i ziemniaków. Do tego sos pieczeniowy i Yorkshire pudding¹ – mniem.

– Przebiegłam rano dziesięć kilometrów.

– Nie zapomnij o warzywach – upomina mama.

Na moim talerzu leżą rozgałęzione zielone kawałki, jak maleńkie drzewka. Do tej pory jakoś ich unikałam.

– Co to jest?

– Brokuły. Nie jadłaś nigdy? – Mama wygląda na zaskoczoną.

– Chyba nie.

Wszystkie oczy kierują się na mnie, nie wybrnę z tego. Nabijam jedno „drzewko” na widelec, a potem żuję i żuję. Okazuje się sprężyste i okropne. Próbuję przełknąć, ale gardło mi się buntuje: nie przejdzie. Krztuszę się i zaczynam kaszleć.

– Nic ci nie jest? – Mama podnosi się na krześle, ale daje jej uspokajający znak ręką i siada z powrotem. Udaje mi się przełknąć, jednak gdy nikt nie patrzy, zgarniam resztę swoich brokułów do serwetki, a potem wyrzucam do kosza. To było obrzydliwe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Dziś zwalniam cię z wychowania obywatelskiego i idziesz do doktor Winston
– zapowiada pani Ali. – Już teraz.

– Co? Czemu? – Wpatruję się w nią, ale jej twarz pozostaje nieprzenikniona.

– Spodziewam się, że ona ci to powie. Idź na górę i czekaj. – Uśmiecha się, ale nie robi mi się od tego lepiej.

O co chodzi? Wspinam się po schodach i siadam z zaciśniętymi dłońmi. Może w jakiś sposób dowiedzieli się, że rozmawiałam z Benem o znikaniu ludzi. Może w autobusie jest podsłuch i Lorderowie właśnie wywlekają go z klasy. Może go...

Drzwi się otwierają, wychodzi jakiś chłopiec.

– Następny! – rozlega się głos.

Wstaję i wchodzę do gabinetu. Wczytuję swoją kartę, zamykam drzwi i siadam.

– Dzień dobry, Kylo! – Pani psycholog promienieje swoim szminkowym uśmiechem.

– Dzień dobry.

– Rozmawiał ze mną o tobie pewien nauczyciel. Wiesz, o kogo chodzi? – Sznuruje usta, a ja przeszukuję pamięć. Nauczyciel? Zrobiłam coś złego?

– Któryś z moich nauczycieli? N-nie wiem.

– Nie rób takiej spanikowanej miny. To jeden z twoich nauczycieli, ale jeszcze go nie znasz. Pan Gianelli, kierownik wydziału sztuki. Zdaje się, że widział jakiś twój rysunek i bardzo n a l e g a ł, żebyś została przeniesiona do jego klasy.

– Naprawdę? – Czuję, jak moja twarz rozciąga się w uśmiechu.

Doktor Winston marszczy brwi.

– Był w y j ą t k o w o irytujący.

– Bardzo mi przykro, ale... em, czy w takim razie mogę chodzić na jego lekcje?

– Tak. Oto twój nowy rozkład zajęć. – Popycha kartkę w moją stronę. – Musieliśmy przesunąć ci matematykę, żeby zmieścić plastykę. Dwa razy w tygodniu masz przez to Oddział w porze drugiego śniadania, możesz zacząć od dzisiaj.

– Bardzo pani dziękuję. Dziękuję, ja...

– Idź już.

Zrywam się z krzesła, szczytuję kartę w drzwiach.

– O, i... Kyla?

Odwracam się.

– Tak?

– Nie bądź z siebie taka zadowolona. Nie chcę być więcej nękana ani przez ciebie, ani przez kogokolwiek innego. Czy to jasne? – Wypowiadając te słowa, uśmiecha się promiennie, co z jakiegoś powodu sprawia, że brzmią jeszcze gorzej.

Uśmiech natychmiast spełza mi z twarzy.

– Tak – odpowiadam i wypadam z gabinetu.

Pan Gianelli, mój obrońca, zupełnie nie wygląda tak, jak się spodziewałam.

– Coś ty za jedna? – pyta ostro z gniewną miną, gdy tuż po dzwonku wślizguję się do sali.

– Kyla Davis.

– Kto?

– Nowa uczennica. Załatwił to pan z doktor Winston?

Na wspomnienie o niej jego gniewny grymas pogłębia się.

– Aha! Dziewczyna od sowy. Z twojego powodu musiałem wytrzymać trzy spotkania z tą niezdolną kobietą.

Spoglądam nerwowo za siebie, ale drzwi są zamknięte, pani Ali zniknęła. Gdy się odwracam i zerkam na uczniów, serce we mnie zamiera: Phoebe. N o p i ę k n i e. Chodzę z nią też na plastykę.

Nauczyciel wyławia moją sowę ze stosu kartek na biurku, pokazuje ją całej klasie i zanim pozwoli mi usiąść, dokładnie wyjaśnia wszystkim, jak mogłam narysować to lepiej. I ma rację.

Dziś jednak malujemy.

Co namalować?

Moje Szczęśliwe Miejsce – może dzięki temu łatwiej mi będzie tam wracać. Zaczynam od nieba. Wkrótce jestem już pochłonięta błękitami, mieszam je na palecie, dodaję strzępki obłoków, białe smużki, które nakładam szpachelką. Tak zaabsorbowało mnie niebo, że prawie nie rejestruję dobiegających z tyłu przyciszonych głosów.

– Ciekawe, co zrobiła, że ją zresetowali.

– Założę się, że coś złego.

– Nie mogło to być poważne, jest tylko małą, marną cieniara.

– Może torturowała dzieci, bo tylko one były od niej mniejsze.
– Albo podpaliła własny dom i upiekła żywcem rodziców. Grill z mamusi i tatusia. Na pewno wrzeszczeli.

Odwracam się na pięcie.

– A może poderżnęłam komuś gardło szpachelką? – Wazę w ręce narzędzie, jakbym się przymierzała.

Koleżanki Phoebe cofają się, lecz ona sama wybucha śmiechem.

– Wiecie, że teraz nie może nikomu nic zrobić. Umrze, jeśli tylko spróbuje. Mózg jej się usmaży: pstryk!

Wracam do swojego malowania.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

– Jesteś zadowolona ze swojego nowego planu lekcji? – Pani Ali uśmiecha się do mnie miło na przerwie.

I nie wiem, czy jej powiedzieć oczywiste „tak”, ponieważ z Phoebe czy bez niej, mimo tego, co mówiły jej koleżanki, lekcja była wspaniała. Czy może pani Ali uważa, że obeszłam zasady, i jeśli się z tego cieszę, to będę miała kłopoty?

Kobieta się śmieje.

– Twoja twarz! Powinnaś się czasami widzieć.

Najwyraźniej jest dziś w dobrym nastroju. Uśmiecham się z wahaniem.

– Bardzo mi się podobało na plastyce. To naprawdę pomoże mi... – szukam w pamięci słów, które usłyszałam na apelu – ...w pełni wykorzystać mój potencjał.

Opiekunka wygląda na rozbawioną.

– Nie powtarzaj bezmyślnie czyichś wypowiedzi, Kylo. Musisz nieustannie starać się z całych sił, żeby się wywiązać z umowy.

– Czy mogę o coś zapytać?

– Pewnie.

– Co się stanie, jeżeli ktoś taki jak ja nie wywiąże się z umowy? Czy zostanie... zwrócony?

Pani Ali przez chwilę patrzy mi w oczy. Coś przemyka przez jej twarz – tak szybko, że znika, zanim zdążę rozpoznać, co to było. I zaraz pojawia się uśmiech.

– Kylo, po prostu przez jakiś czas się przykładaj, dopóki doktor Winston nie zapomni, jak ją rozdrażniłaś.

Odprawia mnie na kolejną lekcję, a ja rozmyślam o tym, co od niej

usłyszałam. Nie odpowiedziała na moje pytanie. I już samo to jest odpowiedzią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

„Tup, tup; tup, tup” – moje stopy dudnią na bieżni.

„Może torturowała dzieci... Podpaliła własny dom i upiekła żywcem rodziców... Albo poderżnęła komuś gardło szpachelką”.

Biegnę szybciej i szybciej.

Widzę własne ręce – z nożem. Może ostrym, kuchennym, szpachelka malarska byłaby zbyt tępa. Albo jak podkładam ogień: polewam dom benzyną i rzucam zapalnik. Albo raczej mam w ręce szklaną butelkę z łatwopalnym płynem, z szyjki wystaje zapalona szmata, i wrzucam to do domu przez okno. Czy stałam, żeby posłuchać krzyków? Nie. Mogłabym nie zdążyć z ucieczką.

Ale nie uciekłam. Jestem tu.

Bieżnia zamazuje mi się przed oczami i biegnę, byle podtrzymać poziom Levo, nie potrafię się jednak pozbyć myśli i obrazów, które kłębią się w mojej głowie.

A co z torturowaniem dzieci? Nie mogłabym tego zrobić. Na pewno? Wtem przypominam sobie swój sen: uczniowie wysadzeni w powietrze w autobusie. Właściwie do niedawna byli dziećmi.

Czy byłabym zdolna zrobić coś takiego?

Ktoś się zbliża, dogania mnie od tyłu. Przyśpieszam, ale ten ktoś też zwiększa prędkość. Zerkam w prawo: Ben.

– Hej – dyszy. – Biegnij dalej.

Odpowiadam skinieniem, nie mogąc wydusić słowa; płuca są zbyt zajęte dostarczaniem tlenu do ciała.

Jeszcze kilka okrążeń, i jeszcze. Teraz biegnę obok Bena. Odkąd odłożyłam pędzel i lekcja plastyki się skończyła, słowa Phoebe w kółko rozbrzmiewały mi w głowie. Po ostatnich porannych zajęciach poszłam prosto na bieżnię; dziś był pierwszy dzień, kiedy w porze drugiego śniadania nie musiałam iść na Oddział. Obecność Bena działa pokrzepiająco, choć chłopak przestaje się odzywać, skoro nie odpowiadam. Stopniowo zwalnia kroku. Nie chcąc, by został w tyle, ja też wytracam tempo.

– Dość? – pyta w końcu, a ja kiwam głową.

Zwalniamy do zatrzymania. Ben bierze mnie pod rękę i prowadzi na bok. Idziemy przez teren szkolny, dokoła jest pełno innych uczniów, lecz nie zwracają na nas uwagi.

– Powiesz mi, co jest nie tak?

Wzruszam ramionami.

– Coś musi być nie w porządku, bo biegłaś jak nieprzytomna.

– Po prostu głupoty, których się nasłuchałam od dziewczyn.

– Jakie?

Nie odpowiadam, tylko go ciągnę za rękę, żeby zmienić kierunek. Przechodzimy wzdłuż budynku administracji i zbliżamy się do pomnika. Zatrzymuję się przed nim.

Tyle imion i nazwisk wyrytych w kamieniu: wszyscy zginęli. Sześć lat temu. Co ta moja wyobraźnia wyprawia? Otrząsam się. Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat. Nie mogłam tam być.

– Kyla, o co chodzi?

– Nigdy się nie zastanawiałaś? Nad tym, co zrobiłeś, że cię zresetowali? A jeśli byłam terrorystką? Jeżeli zabiłam ludzi, takich jak ci uczniowie: ktoś rzucił bombę na ich autobus.

Ben kręci głową.

– Nie wiem, co zrobiłem. Nie umiem sobie wyobrazić, że mógłbym zrobić coś tak okropnego; tak samo ty. Nigdy się nie dowiemy. Możemy tylko żyć takim życiem, jakie mamy teraz; być tym, kim jesteśmy.

Rozważam jego słowa. Sęk w tym, że nie umiem sobie wyobrazić, by Ben zrobił coś okropnego; tak samo Amy. Jednak z jakiegoś powodu jestem mniej pewna siebie.

– Ale skąd mogę wiedzieć, kim jestem, skoro nie wiem, kim byłam?

– Wiem, kim jesteś: Kyla, nieprzytomna biegaczka, moja przyjaciółka. – Otacza mnie ramieniem. – Kyla z nieśmiałym uśmiechem i twarzą, na której widać wszystkie uczucia. Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Spoglądam w jego ciepłe oczy, przypominające stopioną czekoladę, a teraz zadające pytanie: „Kim jesteś, Kyla?”.

– Lubię rysować i malować – mówię powoli. – I jestem w tym dobra.

– Kyla artystka. Dobrze. Co jeszcze?

Łamię sobie głowę nad odpowiedzią.

– Nie cierpię brokułów. Lubię koty. – Tyle na początek.

Ben uśmiecha się i przytula mnie mocniej. Żołądek mi podskakuje. „Słodka szesnastka i nigdy się nie całowała”. Jest coś w jego oczach, co podpowiada, że to będzie teraz, mimo że przepocone ubrania przylegają mi do skóry, mokre od biegu włosy przyklepały i jesteśmy na otwartej przestrzeni, gdzie każdy może nas zobaczyć. Wciąż wisi nad nami obecność Tori, lecz w tym momencie jemu

najwyraźniej to nie przeszkadza i mnie też nie.

Coś jednak przyciąga mój wzrok, każe mi się odwrócić i spojrzeć na pomnik z wyrytymi nazwiskami. To na samym szczycie nagle wyskakuje, jakby ktoś wykrzyczał je głośno.

R o b e r t A r m s t r o n g.

Gwałtownie wciągam powietrze i odsuwam się. Ben mnie puszcza.

– O co chodzi? – pyta.

Podchodzę do pomnika i dotykam liter. Amy powiedziała mi, że mama miała syna o imieniu Robert, a ten syn umarł. Zanim wyszła za tatę, nazywała się Armstrong.

Robert Armstrong.

Czy to jej syn? Mój... brat?

– Kyla, co jest nie tak?

Potrząsam głową; nie mogę mu powiedzieć, choć widzę jego rozczerowanie. Jego mina pyta: „Nie ufasz mi?”. Amy kazała mi obiecać, że nigdy nie wspomnę o Robercie, ale czy dam radę?

Popołudnie mija mi jak we mgle. Dzięki biegowi jakoś udaje mi się utrzymać poziom Levo ponad piątką, lecz w myślach wciąż mam zamęt. Jak mama może mieć mnie – i Amy – skoro jej syn zginął w zamachu terrorystycznym? A wcześniej tak samo zginęli jej rodzice? By zasłużyć na Reset, trzeba zrobić coś naprawdę złego. A jeśli byłam terrorystką?

Tego dnia przy obiedzie panuje dziwna atmosfera. Mama nie spuszcza ze mnie oczu, wciąż mnie strofuje. Żebym siedziała prosto, jadła brokuły – które choćbym nie wiedzieć jak się starała, zawsze stają mi w gardle – odpowiadała na bezsensowne pytania o szkole. Może gdy mnie przyłapie na wystarczająco wielu wpadkach, będzie mnie mogła odesłać z powrotem – z w r ó c i ć, jak Tori.

Amy musi się uczyć na sprawdzian z matematyki. Zrywam się, żeby pozmywać. Zrobię wszystko dokładnie, jak trzeba. Skupiam się: składam talerze na kupkę, wycieram blaty. Każdą sztukę myję niezwykle starannie i...

– Co jest dziś z tobą?

Odwracam się na pięcie i potrącam szklanekę – spada na podłogę, rozbija się. Odpryski lecą na wszystkie strony. Mama wzdycha, a ja pędzę po śmietniczkę i zmiotkę.

– Przepraszam – mówię i klękam, żeby pozmiatać odłamki.

– Kyla, to tylko szkło. Nic wielkiego. Powiesz mi teraz, co jest nie tak?

Patrzę na mamę, naprawdę na nią patrzę, i nie jest Smoczycą, przynajmniej

nie w tej chwili. Na twarzy ma wymalowaną troskę, nie gniew. Wyciąga rękę, żeby mi pomóc wstać.

– O co chodzi, hmm?

Czuję pod powiekami pieczenie i mrugam wściekle, ale nic to nie daje.

– No?

– Nie cierpię brokułów – mówię i zalewam się łzami. Ale to nie z powodu warzyw płaczę, prawda? Nie chodzi nawet o to, że nie znoszę brokułów od pierwszego kęsa, który próbowałam przełknąć kilka dni temu. Gdy tylko wzięłam je do ust, zakrztusiłam się, moje ciało je rozpoznało. Jeśli zawsze ich nie cierpiałam – zanim zostałam Zresetowana – to znaczy, że nie jestem nową osobą, bez względu na to, co mówią. A jeżeli nie jestem nową osobą, moja wina wciąż może we mnie być, ukryta gdzieś w głębi. I podczas gdy mózg gorączkowo przetwarza te myśli, reszta mojej osoby płacze w roztrzęsieniu, łka i szlocha – jakby ciało i mózg nie były połączone, jakby działały osobno. A ja nie rozumiem dlaczego.

Levo zaczyna wibrować. Mama przeklina pod nosem. Ciągnie mnie do salonu na sofę, przynosi mi Sebastiana i robi gorącą czekoladę. Siada koło mnie i pocieszająco rozciera mi ramię, podczas gdy kot mruczy na moich kolanach. Widać, że mama chce zadać pytanie, że nie rozumie, ale się nie odzywa.

– Sprawiam za dużo kłopotu, odeślcie mnie z powrotem – chlipię w końcu w ciszy.

– Co? Oczywiście, że nie. Co ci przyszło do głowy?

Opowiadam jej więc o tym, że Tori została z w r ó c o n a. Mama nie wygląda na zaskoczoną.

– Tori to ta ładna dziewczyna, która była z Benem na wystawie, tak?

Kiwam głową.

– Co się z nią stało? – pytam.

Mama się waha.

– Proszę, powiedz mi.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – zapewnia, ale widzę, że zgadza się z moimi i Bena przypuszczeniami: n i c d o b r e g o. – Jednak jej mama nie musiała mieć z tym nic wspólnego.

– Jak to?

– Dziewczyna była pyskata. Ktoś inny mógł usłyszeć, co wygaduje, i stwierdzić, że nie wywiązuje się z umowy, rozumiesz? Nie okazywała wystarczającej w d z i ę c z n o ś c i za to, że dano jej drugą szansę.

– Ktoś... na przykład kto? Czy to oznacza, że wszyscy przez cały czas mnie

szpiegują? – Rozglądam się na boki, jakby za meblami kryły się niewidoczne uszy i oczy.

– Aż tak źle nie jest, Kyla – odpowiada mama łagodnie. – Kilka osób regularnie składa raporty: nauczyciele, pielęgniarka. Chyba też doktor Lysander.

– A ty? I tato?

– Oczywiście. To część naszych adopcyjnych obowiązków, dotyczą i ciebie, i Amy. Ale nie martw się, ja nigdy bym nie doniosła o czymś, co mogłoby ich zaniepokoić. Rozumiesz?

Czy to moja wyobraźnia, czy rzeczywiście powiedziała „ja”, żeby to podkreślić?

– Kyla, posłuchaj: nie odeślę cię. W porządku? Nie zrobiłabym tego.

– Choćby nie wiem co?

– Choćby nie wiem co. I nie każę ci więcej jeść brokułów.

Później, wieczorem, gdy leżę w łóżku, a mruczący, ciepły Sebastian rozciąga się wzdłuż moich pleców, trudno mi sobie przypomnieć, co mnie właściwie tak wytrąciło z równowagi, że aż płakałam. Lecz widzę, co wynika z tego, że nie lubię brokułów, że umiem prowadzić samochód, że lepiej rysuję lewą ręką, że płakałam wśród dławiących szlochów... Nie umiałam płakać, nie byłam w tym dobra, n i e r o b i ł a m tego wcześniej.

Kimkolwiek jest Kyla, ukrywa się w niej inna osoba. I to jej się boję – najbardziej.

Na początku rozlega się dźwięk.

Skrob, pac. Skrob, pac. Jakby coś metalowego przeciągano po szorstkiej powierzchni albo wsuwano łopatę w piasek, unoszono ją i zrzucano piach z szufli, raz za razem.

Otwieram oczy.

To nie łopata, tylko kielnia: nabiera zaprawę murarską i nakłada ją na warstwę cegieł wysoko nade mną.

Skrob, pac. Skrob, pac.

Cegły tworzą kolisty wzór – mur – dookoła mnie. Jeśli odrobinę wyciągnę ręce na boki albo do przodu i do tyłu, dotykam tylko szorstkiej, obudowanej dokoła mnie ściany. Która rośnie w górę, rząd za rzędem. Jedyne światło to niewielkie kółko nade mną, coraz mniej wyraźne.

Jestem w wieży bez drzwi, bez okien. Szczyt okrągłej ściany znajduje się hen, wysoko, i – skrob, pac, skrob, pac – oddala się z każdą sekundą.

Nagle krążek światła znika. Dźwięk cichnie. Narasta we mnie panika i przeradza się w gniew. Uderzam w ścianę, kopię w nią i walę, i jeszcze raz, i jeszcze. Aż opadam z sił, opieram się o mur, nie mogąc nawet usiąść w tak ograniczonej przestrzeni. Bose stopy, kolana i ręce mam posiniaczone i zakrwawione.

– Wypuście mnie! – wyję.

Otwieram raptownie oczy. Wpatrują się we mnie dwa kółka odbitego światła. Mrugają. Sebastian?

Siadam na łóżku, włączam lampkę nocną. Kot siedzi obok mnie, futro mu stoi dęba, ogon jest najeżony. Na moim ramieniu wzbiera czerwienią równiutki rząddek świeżych zadrapań.

– Obudziłeś mnie? – szepczę i wyciągam rękę do kota, żeby go pogłaskać. Być może uratował mnie przed wyłączeniem. Czy w jakiś sposób wiedział, co się święci, czy podrapał mnie po prostu dlatego, że go przygniotłam we śnie?

Wkrótce kocie futerko jest znów przygładzone, Sebastian układa się obok mnie i mruży. Moje serce zwalnia, wskaźnik Levo z czasem wspina się z nieco ponad trzech do piątki, ale nie zamykam oczu.

Zostawiam też zaświecone światło.

Boję się ciemności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Wasz rydwan – mówi Jazz i kłania się nisko.

Jako że układ między Amy a rodzicami dotyczący jej chłopaka stanowi, że nie mogą zostawać we dwoje, dla mnie oznacza to, że nie będę więcej wracać ze szkoły autobusem z Benem. Sadowię się z tyłu samochodu.

Nie ma pasa bezpieczeństwa. Amy i Jazz siedzą z przodu, a ja wzdycham i trzymam się mocno, gdy Jazz wyskakuje szarpnięciem ze szkolnego parkingu i pędzi główną drogą, a potem skręca w boczną dróżkę. To nie jedziemy prosto do domu?

– Mam dla ciebie niespodziankę, Kyla – zagaduje Jazz, patrząc bardziej na mnie we wstecznym lusterku niż na drogę przed sobą.

– Uważaj! – woła Amy i chłopak hamuje ostro akurat w porę, żeby nie wpaść na przechodzące owce. Pasterz spogląda z gniewem, nawet jego pies zdaje się gromić nas wzrokiem. Tylko owce przyjmują to obojętnie.

– Ups. – Jazz gestem i miną przeprosza rolnika.

– Co to za niespodzianka? – pyta Amy, kiedy znowu ruszamy.

– Mac znalazł pas, który da się zamontować z tyłu.

– Hurra! – cieszę się z prawdziwym entuzjazmem. „Tymczasem staraj się trzymać drogi”, myślę, ale nie wypowiadam tego na głos.

Jazz, po tym jak o mało nie rozjechał owiec, rzeczywiście zwraca nieco baczniejszą uwagę na drogę, więc się rozluźniam, chociaż trochę. Powieki zaczynają mi opadać, taka jestem zmęczona po koszmarze ostatniej nocy, po którym starałam się nie zasnąć. Za każdym razem, gdy zmrużyłam oczy, czułam otaczające mnie ceglane ściany. Teraz głowa mi opada na oparcie przedniego siedzenia, pod powiekami kłębią się obrazy: pomnik, na nim napis „Robert Armstrong”, wieża...

– Nie zasypiaj – upomina mnie Amy i podskakuję.

– Widzisz, wcale tak źle nie prowadzę, jeśli pasażerowie mogą sobie drzemać – zauważa Jazz.

Na miejscu Mac wyciąga tylne siedzenie z samochodu.

– Może pospacerujemy? – pyta Jazz i mruga do Amy. – Ale ty chyba jesteś zbyt zmęczona, co? – mówi do mnie znacząco.

– Tak, wyglądasz na zmęczoną – odpowiada za mnie Amy. – Nie będziemy

długo.

Ruszają w stronę znaku wskazującego pieszego szlak.

– Jeśli nie chcecie, żebym szła z wami, czemu po prostu tego nie powiecie? – wołam za ich oddalającymi się sylwetkami.

Mac wysuwa głowę z samochodu i śmieje się.

– Weź sobie z domu coś do picia, jeśli chcesz – mówi.

– Nie, dzięki. – Przypominam sobie jego domowej roboty piwo. Okropne!

– W lodówce są napoje bez alkoholu – dodaje z uśmiechem, który podpowiada, że doskonale wie, o czym właśnie pomyślałam.

– No idź, weź sobie przekąskę albo coś. Włącz telewizor. Pewnie im to chwilę zajmie. – Znowu się śmieje.

Tłumaczenie: nie stercz tak i nie gap się, jak pracuję nad tą kupą złomu.

Świetnie. Idę z powrotem do jego domu. Rzeczywiście, w lodówce są napoje wyglądające bardziej nieszkodliwie niż brązowe butelki z szafki. Jestem głodna po tym, jak na przerwie śniadaniowej przebiegłam kilka tysięcy okrążeń, żeby utrzymać poziom Levo. Ben znów do mnie dołączył i już nie pytał, dlaczego biegnę. Może przestaje wypytywać, skoro nie odpowiadam.

Znajduję żółty ser i nierówny, grubo krojony chleb. Domowego wypieku? Wystawiam głowę przez okno i wołam:

– Chcesz kanapkę?

– Jasne – dobiega odpowiedź. – Zaraz przyjdę.

Robię więc kilka kanapek. Nie jestem dobra w obsłudze telewizorów, ale udaje mi się włączyć odbiornik i przejrzeć trzy dostępne kanały. Na BBC1 leci głupi komediowy show z puszczanym zza kadru śmiechem, który nie wydaje mi się sensowny. Na BBC2 program ogrodniczy poucza, jak podnieść wydajność działek rekreacyjnych. Na BBC3 trafiam na wiadomości i pogodę – oglądam chwilę przy jedzeniu. Na najbliższe dni zapowiadają deszcze. Rosną zbiory jesiennych plonów. Potem lecą migawki z okolic Londynu. Telewizja pokazuje drogi, które widziałam, jadąc do szpitala i z powrotem, ale nie wyglądają tak samo. Nie ma wypalonych budynków ani straży.

– Co się tak zamyśliłaś? – Mac staje w drzwiach.

– No, przejeżdżałam ostatnio tymi drogami, ale w telewizji wyglądają inaczej: porządniej, czystiej. Inaczej.

Mac unosi brew, siada.

– W wiadomościach zazwyczaj pokazują tylko ładne miejsca i szczęśliwych ludzi.

Marszczę brwi.

– Ale w takim razie to nie są prawdziwe wiadomości. Ludzie nie zawsze bywają szczęśliwi. A ten budynek, patrz, tam: to była pusta ruina, kiedy jechaliśmy tamtędy tydzień temu. Nie mogli go tak szybko wyremontować.

Mac bierze sobie kanapkę.

– Tak jednak robi lepsze wrażenie, nie?

– To głupie.

– Faktycznie. – Znów się śmieje.

Patrzę na niego, jak gryzie kanapkę. Nie wygląda ani nie mówi jak dorośli. No, chyba zresztą nie jest taki stary.

– Co? Wyduś wreszcie, co ci tam chodzi po głowie – mówi Mac z rozbawioną miną.

– To ty upiekłeś ten chleb?

– Tak.

– Sam sobie strzyżesz włosy?

– Tak.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa.

Więc nawet młodszy, niż myślałam. Sześć lat starszy ode mnie. I nagle nachodzi mnie myśl: sześć lat starszy ode mnie. Pomnik przed szkołą jest sprzed sześciu lat.

– Chodziłeś do Szkoły Lorda Williamsa? – Słowa wychodzą ze mnie, zanim zdążę pomyśleć. To pewnie przez brak snu.

– Chodziłem.

– Znałeś Roberta Armstronga?

Patrzy na mnie spokojnie przez chwilę i coś przemyka przez jego twarz. Wesołość znika mu z oczu. Mac wstaje, bierze sobie z szafki jedną z brązowych butelek i siada z powrotem.

– Tak, znałem go. Był moim przyjacielem – mówi cicho, zdejmując kapsel otwieraczem.

– Czy był moim... bratem?

Wzrusza ramionami, pociąga łyk z butelki.

– Myślę, że to zależy od twojego spojrzenia. Był synem kobiety, która jest teraz twoją mamą.

Która jest t e r a z moją mamą. Nie prawdziwą, od zawsze. Interesujący sposób postawienia sprawy, podczas gdy wszyscy upierają się, że to moja m a m a.

Otwieram usta, żeby zapytać o Roberta, lecz Mac unosi rękę.

– Na chwilę dość twoich pytań, najpierw odpowiedz na moje. Dlaczego pytasz o Robby’ego?

Gapię się na niego, już ani trochę nie śpiąca, za to nieco wystraszona. Robby, nie Robert: był p r a w d z i w ą, żyjącą osobą. Z jakiegoś powodu wiem, że to niebezpieczne tematy. Czemu w ogóle zaczęłam?

– W porządku – zachęca Mac. – Powiedz mi.

Jest w nim coś, co wzbudza zaufanie, dlatego opowiadam mu, zaskoczona własną śmiałością. O tym, jak zafascynował mnie pomnik; o tym, że nie mogę przestać myśleć o tych wszystkich uczniach, piętnasto- i szesnastoletnich, którzy zginęli w autobusie. I że miałam o tym koszmar, a potem zobaczyłam imię i nazwisko: Robert Armstrong. Ale nie wiedziałam na pewno, kim był.

– Interesujące z ciebie stworzenie – mówi Mac.

– Nie jestem stworzeniem!

Śmieje się.

– Sorry. Zostałaś Zresetowana, ale w przeciwieństwie do tamtej odmóżdżonej panny, którą Jazz w tej chwili próbuje stuknąć gdzieś na polu, najwyraźniej zachowałaś własny rozum.

– Amy nie jest odmóżdżona! I nie jest... ee... – Nie wiem, co powinnam powiedzieć, tak jak nie mam pojęcia, co ona i Jazz mogą teraz robić. I dopada mnie nieprzyjemne uczucie, że skoro miałam być przy nich, to teraz zaniedbuje swoje obowiązki.

Mac znowu się śmieje.

– W porządku. Nie jest g ł u p i a, nie to miałem na myśli. Po prostu o nic nie wypytuje.

O. Wraca śpiewka: „Kyla jest inna”.

Mac wychyla się na krześle w moją stronę, jego śmiech znika, twarz poważnieje.

– Ale mam do ciebie naprawdę ważne pytanie.

– Jakie?

– Jedna rzecz to wypytywać, druga: co zrobisz z odpowiedziami?

– Chyba spróbuję poukładać sobie to wszystko w głowie, zrozumieć. Tylko dla siebie.

Kiwa głową.

– Tylko dla siebie. To ważne, Kyla. Zazwyczaj musisz trzymać swoje pytania dla siebie. Uważać, do kogo się zwracasz. I nigdy nie puszczać w obieg odpowiedzi. Potrafisz to? Umiesz zatrzymywać rzeczy dla siebie?

– Tak.

Odchyła się na oparciu, pociąga łyk piwa.

– Dobra, dawaj. Co chciałaś wiedzieć?

Przełykam ślinę. Chcę wiedzieć, co się zdarzyło tamtego dnia. Ale czy na pewno? Nie starcza mi odwagi.

– Jaki był wtedy, twój Robby?

– Po prostu koleś jak większość z nas, tak myślę. Poważny, trochę nieśmiały. I bystrzak, miał dryg do nauk ścisłych i takich tam. Najbardziej niesamowite było to, że miał najpiękniejszą dziewczynę w szkole. Nie umiałem tego rozpracować.

– Czy pokazali wtedy w wiadomościach, co się wydarzyło? Pewnie nie było to nic p r z y j e m n e g o.

– To prawda, ale o takich rzeczach się mówiło. Po prostu powiedzieli, że źli, nieludscy AntyRządowi Terrorysty przypadkowo wymordowali niewinne dzieci ze szkoły w ramach swojej kampanii terroru.

– Czy tak naprawdę było?

– Niezupełnie. ART próbowało zbombardować siedzibę Lorderów, autobus dostał się na linię ognia. Zginęli uczniowie. Nie wyobrażam sobie, żeby to było celem tych z ART.

– Ale się zdarzyło. Zabili Roberta i wszystkich tych innych uczniów – mówię oburzona. Nieważne, co zamierzali. Może próbowali zabić kogoś innego, kto zasługiwał na taki los albo i nie. Ale i tak wyszło na to, że wysadzili autobus z uczniami.

– I tak, i nie.

– Jak to?

– Robby nie zginął w autobusie.

– Co? Ale jest wymieniony na pomniku. I skąd to wiesz?

– Byłem tam.

Gapię się na Maca zszokowana. Jak się okazuje, nie zadałam najważniejszego pytania – nie wiedziałam, że należy o to zapytać. Ale może powinnam się była domyślić.

Moje Levo wibruje.

– W porządku, Kyla?

Zerkam w dół: 4,3. Wzruszam ramionami.

– W miarę. Masz czekoladę?

– Tylko tyle trzeba?

Znajduje czekoladę i zjadam ją, skupiając się na słodczy, na oddechu i na lepszych myślach. Poziom podnosi się prawie do pięciu.

– Przepraszam – mówię. – Nic nie mogę na to poradzić.

– Musi być wkurzające.

– Jeśli się tym zezłoszczę, robi się jeszcze gorzej.

– Zrozumiałe.

Robię głęboki wdech.

– Czy możesz mi opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło? Proszę.

– A zniesiesz to?

– Myślę, że tak.

Więc opowiada. Siedział z przodu autobusu, a najbardziej oberwał tył. Pamięta dźwięki, dym, krzyzących ludzi, a potem niekrzyzących, jak w moim śnie. Mówi, że doznał tylko lekkiego urazu głowy i stracił przytomność. Robert też był z przodu, trzymali go, a on krzyżał: „Cassie, Cassie!”, w kółko powtarzał imię swojej dziewczyny. Wyglądał na całego i zdrowego. Potem Mac zemdłał.

Później w szpitalu wypytywali go, co widział tamtego dnia. Powiedział im, że nic nie pamięta. Że od razu film mu się urwał, mimo że tak naprawdę stało się to dopiero po jakimś czasie. Wyglądało na to, że mu uwierzyli. Wyszedł ze szpitala i wtedy dowiedział się, kto zginął. Cassie i Robert byli na liście.

– Ale jeżeli Robert nie był ranny, co mu się przytrafiło?

– Nie wiem na pewno. Byłem zbyt przerażony, żeby pytać.

I sposób, w jaki odwraca wzrok, oraz cień, który przesłania mu twarz, zdradzają, że nie opuszcza go wstyd. Wstydzi się, że sam żyje. Że nigdy nie opowiedział światu o Robertcie. I jeszcze coś: że w i e. Coś z tej historii zatrzymał dla siebie.

Mac wstaje, otwiera szufladę, wręcza mi zdjęcie.

– To oni: Robby i Cassie.

Widzę w twarzy Roberta rysy mamy – ta sama kwadratowa szczęka, kręcone włosy. Przeciętny chłopak obejmujący ramieniem dziewczynę, która jest całkiem inna: p i ę k n a. Idealna skóra, twarz w kształcie serca, włosy jak jedwabisty miód. Idealna, właśnie, dopóki nie znalazła się w niewłaściwym autobusie w niewłaściwym dniu.

– Ale co się z nim stało? Powiedz mi.

– Próbowałem go szukać na stronach internetowych o zaginionych osobach, ale nie znalazłem. Raczej nikt nie zgłasza zaginięcia, jeżeli wszyscy uważają, że człowiek nie żyje.

– Ale ty chyba wiesz, co mu się przydarzyło.

– Może.

– Co?

Chłopak się waha.

– Myślę, że go zresetowali.

Patrzę na niego osłupiała, nie ogarniając tego.

– Zresetowali? Niemożliwe. To tylko dla przestępców.

– No jasne. To czemu tyle dzieciaków ginie? I co się z nimi tak naprawdę dzieje? Patrz, po tym wypadku miał taką traumę, że przypuszczalnie postanowili go zresetować, żeby był użytecznym obywatelem. Bo inaczej nigdy by się z tego nie podniósł. Próbowali mu pomóc.

Z twarzy Maca nie umiem wyczytać, czy uważa, że to dobrze, czy źle. Sama nie wiem, co myśleć. Dzieciaki giną? Nie potrafię ogarnąć tego, co powiedział. Czy Reset może być naprawdę stosowany na dzieciach, które nie są przestępcami?

– Co to za strony internetowe o zaginionych osobach? Nigdy o nich nie słyszałam.

– Posłuchaj, Kyla, to bardzo ważne. Na samym szczycie listy „Ani pary z ust”. To musi pozostać sekretem.

– Co?

– Chodź.

Idę za nim do drugiego pokoju. Wszędzie poniewierają się ubrania i śmieci, ale gdy Mac rozgarnia stos, widzę, że bałagan specjalnie ukrywa komputer.

– To trochę... b a r d z o nielegalne – wyjaśnia. – Nie jest zarejestrowany, więc sza.

– O.

I pokazuje mi. Jest mnóstwo różnych podziemnych stron internetowych, których Lorderowie nie kontrolują, prowadzonych poza Wielką Brytanią, w Europie kontynentalnej i Stanach Zjednoczonych. Zaginione osoby to tylko jeden rodzaj stron, a tych zaginionych jest bardzo wiele, w każdym wieku. Ale szczególnie dzieci.

– Ile masz lat? – pyta Mac.

– Szesnaście.

Zaczyna wstukiwać. Wiek: szesnaście lat, płeć: kobieta, włosy: blond, oczy: zielone.

– Co robisz?

– Chcę ci tylko pokazać skalę.

Na ekranie ukazują się portrety, daty, kiedy ostatnio kogoś widziano, imiona i nazwiska, wiek. Trzydzieści sześć pasujących wyników. Zaczynam

je przeglądać. Tyle dziewczynek, większość miała kilkanaście lat, gdy zniknęły. Co mogło się im przydarzyć?

– Jasny gwint – mruczy Mac.

– Co?

– Zobacz numer trzydzieści jeden.

Zjeżdżam w dół. Mac klika zdjęcie i powiększa je: śliczne dziecko, szczerbaty uśmiech. Duże zielone oczy, cienkie jasnoblonde włosy. Jest w dżinsach i różowej koszulce, trzyma na rękach szarego kotka. Pod spodem podpis: „Lucy Connor, zniknęła ze szkoły w Keswick, w Kumbrii², w wieku 10 lat”.

– Wygląda trochę jak ja – mówię wolno.

– Wygląda bardzo jak ty – poprawia mnie Mac. Klika link „Przewidywany obecny wygląd”.

Na ekranie pojawia się nastoletnia wersja Lucy. Ta twarz, te oczy. Nie. Niemożliwe. Patrzę na Maca, a potem na monitor, na wpół spodziewając się że portret zniknie, że go sobie tylko wyobraziłam. Lecz ona wciąż tam jest, spogląda na mnie. Może jestem chudsza, ona ma dłuższe włosy. Poza tym: jakbym patrzyła w lustro.

– Nie wygląda jak ty. Ona j e s t tobą.

To szok, tak mi się zdaje. Poziom mi nie spada, trzyma się w okolicy piątki, a ja wciąż gapię się, osłupiała, na ekran. Gapię się i próbuję to ogarnąć, ale nie mogę. Zaczynam się trząść.

Z a g i n i o n a?

Gdzie się podziewałam od dziesiątego roku życia?

Ledwie do mnie dociera, że Mac zamyka komputer, bierze mnie za rękę i wyprowadza do głównego pokoju.

– Siadaj – mówi. – Napij się. – Wkłada mi szklaneczkę w rękę.

Wypijam: piecze. Kaszlę.

– Co to jest?

– Whisky. Dobra na szok.

W moim ciele zaczyna się rozchodzić ciepło. Z zewnątrz, od strony ścieżki dobiegają głosy.

Mac przyklęka przede mną z palcem na ustach.

– Ani pary, Kyla. Pogadamy o tym innym razem. Słowo?

– Ani pary. Słowo.

– Dobrze – kwituje i zabiera mi szklaneczkę.

Amy i Jazz wchodzą przez drzwi od frontu. Moja siostra wygląda na całkiem

zadowoloną, na moje oko ani trochę nie stukniętą. Nie ma we włosach trawy ani nic z tych rzeczy, po prostu trzymają się za ręce.

– Przepraszam, że tak długo nam zeszło – mówi, kiedy idziemy do samochodu. – Mam nadzieję, że się nie nudziłaś.

– Pas gotowy? – pyta Jazz.

Zapinam świeżo zainstalowany pas, odzyskany z jakiegoś wraku.

Mac wychodzi i macha nam na do widzenia. Samochód wyrывa się do przodu i wkrótce dom zostaje daleko za nami.

„Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...”

Wieczorem ogłaszam, że odrabiam lekcje i zaszywam się w swoim pokoju.

Sebastian zazwyczaj przychodzi tu ze mną po obiedzie, ale dziś nie ma po nim ani śladu i brakuje mi jego towarzystwa. L u c y miała kotka.

Gdy przywołuję jej obraz z pamięci, gdzieś w środku czuję ból. Na zdjęciu wygląda na taką szczęśliwą, gdy trzyma wiercącego się kota. Co się jej przydarzyło, że zabrano ją z tego życia?

Lucy to o n a, nie ja. Mogę o niej myśleć tylko w trzeciej osobie, jak o kimś odrębnym i różnym ode mnie. Bądź co bądź to może być tylko jakiś głupi zbieg okoliczności. Ona nie może być mną, tylko wygląda jak ja.

Tak czy inaczej, komputer wygenerował szesnastoletnią wersję Lucy tylko na podstawie domysłu. Mogłaby teraz wyglądać zupełnie inaczej.

Ale i tak jej roześmiane oczy są wdrukowane w mój umysł i nie znikną, trzeba je wyprowadzić. Podskakuję, chwytam szkicownik. Biorę ołówek do lewej ręki. I zaczynam rysować, nie do końca zwracając uwagę na skrobanie ołówka po papierze, tak bardzo mój umysł jest zajęty możliwościami związanymi z Lucy.

Może nie cierpiała brokułów i lubiła koty.

Zarejestrowano ją jako zaginioną. Ktoś tam chce się dowiedzieć, gdzie jest jej dziewczynka, co się z nią stało. Może jej rodzice. Może ją kochali i rozpaczają, nie wiedząc, jak córka się miewa.

W takim wypadku, jeśli jestem – jeżeli byłam – nią, nie byłoby sensu kontaktować się z nimi, prawda? Ich córka wcale się nie miewa, nie ma jej, jakby umarła. Już nie istnieje. Została Zresetowana.

Spogląda z mojego rysunku. Sportretowałam ją bez kota, na innym tle, ale oczy ma wciąż te same. Wstaję, by przejrzeć się w lustrze, potem zerkam z powrotem na rysunek. M o j e o c z y. Jej są młodsze, ale też szczęśliwsze,

nawet bez kotka.

Narysowałam to lewą ręką, prawie nie przykładając wagi do tego, co robię. Portret jest dobry, nawet więcej niż dobry. Lucy wygląda tak, jakby mogła wyjść z kartki do mojego pokoju albo odwrócić się i wspiąć na tę... górę?

Na karku czuję zimne ukłucie gęsiej skórki. Za dziewczynką narysowałam długi grzbiet opadający w lewo – coś, czego nigdy nie widziałam na własne oczy: góry. Nie było ich na zdjęciu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Następnego dnia rano Sebastiana wciąż nie ma.

Do tej pory każdego ranka, gdy się budziłam, leżał w moim łóżku. A teraz już drugi dzień półprzytomna otwieram oczy i macam na wszystkie strony, ale nie mogę go znaleźć – ani jego, ani ciepłego miejsca po nim.

Ani śladu kota, kiedy Amy i ja schodzimy na śniadanie. Z zaskoczeniem zastaję tatę nad jakimiś papierami w pokoju od frontu, podczas gdy mama miota się po kuchni, w przyspieszonym tempie przygotowując dla wszystkich drugie śniadanie. Wczorajszy obiad Sebastiana wciąż leży nietknięty w jego misce.

– Gdzie jest Sebastian? – pytam mamę.

– Nie mam pojęcia. Jestem zbyt zajęta, żeby tropić głupiego kota. Pewnie czatuje na mysz albo odwiedza przyjaciół.

Amy podnosi wzrok znad swoich płatków.

– Też go nie widziałam od kilku dni. Tato, byłeś ostatnio w szopie?

Tato zerka znad tego, co czyta.

– Wczoraj wieczorem. Sprawdzę po śniadaniu. – I znów pogrąża się w lekturze.

– Czasem Sebastian ukrywa się tam i niechcący można go zamknąć – wyjaśnia Amy.

Nic nie poradzę na to, że się martwię. Jeżeli dzieci giną i nic nie można z tym zrobić, to co dopiero koty?

Pędzę, żeby się przygotować do szkoły, a potem sprawdzam ogród. Szopa na tyłach jest zamknięta i nie ma okien, ale wołam Sebastiana po imieniu i nasłuchuję przy drzwiach – żadnej odpowiedzi.

„Tut, tut” – rozległa się od frontu. Jazz. Teraz, gdy został oficjalnie zatwierdzony i ma komplet pasów bezpieczeństwa, wozi nas do szkoły.

Okrażam dom i widzę, że Amy już jest.

– Pośpiesz się. Jeśli się spóźnimy do szkoły, z powrotem wylądujemy w autobusie.

Auto wyskakuje na drogę, a ja wciąż przeszukuję wzrokiem ogrody i ścieżki, wypatrując Sebastiana. Zerkam także na drogę. Tyle jest samochodów takich jak ten, jeżdżących za szybko.

Ale nic nie dostrzegam.

Amy przyłapuje mnie na tych poszukiwaniach.

– Nie martw się! Na pewno będzie już w domu, kiedy wrócimy po południu.

– Nie martw się o co? – pyta Jazz.

– Nasz kot zginął – mówię.

– Koty chodzą własnymi drogami, tak jak ja. Lubią się szwendać po świecie, oglądać, co jest do obejrzenia.

Amy przewraca oczami.

– Jasne, panie Kolumbie odkrywco.

– Co jest z tą szopą za domem? – pytam.

– Co masz na myśli? – dziwi się Amy.

– Nie ma do niej klucza. Nie znalazłam go w pęku domowych kluczy, który wisi w środku.

Moja siostra wzrusza ramionami niezainteresowana.

– Nie wiem. Tylko tato jej używa.

– Pewnie trzyma tam jakieś męskie skarby – podsuwa Jazz. – Jak grabie i kosiarka.

– Nie. Takie rzeczy są w szopie z boku domu – wyjaśniam, bo kilka dni temu grałam liście, a nasz kot ścigał grabie. Czuję się nieswojo. Nie rozstawał się ze mną, odkąd przyjechałam. Gdzie się podział?

Jazz tak prowadzi, że wyprzedzamy autobus i jesteśmy w szkole dość wcześnie. Wymykam się do szkolnego Oddziału Zasobów Czytelniczych, żeby sprawdzić inną rzecz, która tłucze mi się po głowie: Keswick – miejsce zamieszkania Lucy, zanim dziewczynka zniknęła. Po prostu muszę wiedzieć, czy góry, które narysowałam w tle portretu, istnieją naprawdę.

Loguję się i przyłapuję na tym, że porównuję szkolny komputer ze sprzętem Maca. Ten wygląda jak każdy, który do tej pory widziałam, aż do wczoraj. Mamy w domu taki sam. Tato instaluje w różnych miejscach systemy komputerowe i założę się, że wszystkie są takie same. Wyszukiwarka zawsze ma w lewym górnym rogu zahaczające o siebie dwa C. Nigdy się dotąd na tym nie skupiałam: CC to Central Coalition, Centralna Koalicja. Władza, rząd. Na ekranie u Maca nie było tego logo.

Kładę palce na klawiaturze, żeby wstukać „Keswick”, gdy coś sobie przypominam. Wczoraj Mac ostrzegł mnie przed szukaniem zaginionych osób – czy czegokolwiek, co może wzbudzić podejrzenia – w innych komputerach. Powiedział, że wszystkie są monitorowane. Wylogowuję się więc, zanim jeszcze zaczęłam poszukiwania. Nagle robi mi się niewyraźnie na myśl, że Kyla Davis,

zainteresowana miejscowością Keswick, z której sześć lat temu zniknęła Lucy Connor, może wzbudzić czyjeś podejrzenia w jakimś bezimiennym zakątku.

Chwilę później wpatruję się w stary, zakurzony ilustrowany atlas Wielkiej Brytanii, który wzięłam z półki w czytelnicy. Zdaje się, że się pomyliłam. Mimo wszystko narysowałam Lucy z kotem: Catbells, „kocie dzwonki”, to góra, po której grzbiecie chętnie wspinają się turyści, startując z Keswick, położonego nad jeziorem Derwentwater. Wypisz, wymaluj widoczek, który narysowałam wczoraj wieczorem.

Może widziałam gdzieś wcześniej zdjęcie Catbells i po prostu mimowolnie włączyłam zarys góry w tło portretu. A może jakaś część mnie pamięta; jakaś część Lucy. Zerkam na fotografię w książce, potem zamykam oczy. Próbuje przenieść się tam w wyobraźni. Ale nic z tego, obraz pozostaje płaski, dwuwymiarowy. Nie wyczuwam tamtego miejsca.

Gdy o tym pomyślę, bezpośrednio nic nie pamiętam. Jednak moja lewa ręka najwyraźniej ma własny rozum.

Bibliotekarka patrzy na mnie z zaciekawieniem z drugiej strony sali. Stawia filiżankę herbaty na swoim biurku. Pośpiesznie zamykam atlas, odkładam go na półkę i zmierzam do wyjścia.

Pan Gianelli zabiera nas z naszymi szkicownikami na zewnątrz, na słońce. Telewizyjna prognoza pogody była błędna – nie ma ani śladu deszczu, deszczu i deszczu, który zapowiadano na dziś.

Nauczyciel prowadzi nas chwilę przez las nad strumień Cuttle, gdzie z rozmachem sadowi się na ławce i wyjmuje termos z herbatą.

– No już! Sio! Idźcie i narysujcie coś. Wróćcie za godzinę i zadziwicie mnie swoimi dziełami.

Uczniowie rozpraszają się, przeważnie w parach lub trójkach. Ścieżki rozchodzą się stąd w różnych kierunkach. Patrząc, w którą stronę poszła Phoebe, i ruszam w przeciwną.

Dróżki krzyżują się tu i tam. Zagłębiam się w najgęściejszą część zagajnika. Biegnę przez chwilę, chcąc się oddzielić od pozostałych jak największym dystansem. Znajduję kamień, na którym mogę przysiąść, i zaczynam szkicować drzewa, o tej porze roku prawie nagie. Trawa zamiera nad strumieniem, liście rozkładają się pod stopami.

Nikogo nie ma w pobliżu, przekładam więc ołówek do lewej ręki. Co się stanie, jeśli będę rysować bezwiednie, pozwalając myślom na swobodną wędrówkę?

Myślę o kotku Lucy. Szary, pręgowany, krótkowłosy. Pulchny albo o gęstym futrze, albo jedno i drugie. Wiercąca się kulka futra. Hops! Rysuję ją, jak daje susa za kawałkiem sznurka. Zachwiała się na tylnych łapkach, przysiadła na nich, wybiła się i skoczyła. Ona? Tak, z jakiegoś powodu jestem pewna, że to kotka.

Jednak nie umiem się dziś zatracić w rysowaniu. Zamiast szarej kotki na kartce zaczyna się pojawiać Sebastian. Zmartwiona i niespokojna, zamykam szkicownik i ruszam ścieżką przed siebie.

Te drzewa zostały posadzone jako rezerwat przyrody ponad pięćdziesiąt lat temu, tak nam powiedziała nauczycielka biologii. Część z nich spłonęła podczas zamieszek w latach dwudziestych, ale las zdążył się już odrodzić. Nikt go obecnie nie dogląda, zostawiono go, by rósł dziko. Dokoła śmigają ptaki, w zaroślach słychać szmery i szelesty. Zbaczam z głównej dróżki na usianą patykami, ledwie widoczną ścieżynkę. Ta wiję się w różne strony, stopniowo wyprowadzając mnie w kierunku, z którego przyszedłam.

Za zakrętem dostrzegam postać tak nieruchomą, że początkowo trudno ją zauważyć: Phoebe. Siedzi sama pod drzewem, oparta o jego pień, ze szkicownikiem na kolanach, i jest czymś pochłonięta. Przed nią na ziemi skacze rudzik. Jej model? Ptaszek ćwierka, a ona jakby z nim prowadziła rozmowę – wydaje ciche pomruki i rudzik przysuwa się coraz bliżej, aż w końcu wskakuje jej na stopę.

A Phoebe się uśmiecha. Jej twarz przeobraża się przy tym. Dziewczyna ma małe, szeroko rozstawione oczy, włosy od jakiegoś czasu nie spotkały się ze szczotką, na skórze królują piegi. Jednak uśmiech skierowany do ptaszka nadaje jej inny wygląd – łagodny, słodki, nie jak Phoebe.

Nie ucieszyłaby się na mój widok. Cofam się cicho, ale musiała złowić wzrokiem mój ruch i drgnęła. Rudzik odlatuje.

– Cholera – klnie Phoebe. Odwraca się, żeby zobaczyć, kto jej przeszkodził, i krzywi się, widząc, że to ja. – Jak ci się udało tak podkraść?

Zatrzymuję się, rozdarta pomiędzy chęcią odpowiedzi a ucieczką.

– Podkrađłam się? Wcale się nie podkrađłam – słyszę samą siebie. – Po prostu szłam i zobaczyłam, jak rozmawiasz z rudzikiem. Jak ty to robisz? – Ciekawość wyciąga ze mnie słowa.

– Wcale nie rozmawiałam z żadnym ptakiem – mówi Phoebe obronnym tonem. – A ty się podkrađłaś, bo inaczej bym cię usłyszała.

Uświadamiam sobie, że ma rację. Nie zakradłam się w jej rozumieniu tego słowa – celowo – ale mimowolnie unikałam nadeptywania na gałazki, żeby nie

trzasnęły pod moimi stopami, i poruszałam się ostrożnie wśród zarośli, by nie robić hałasu.

– Umiesz rozmawiać z rudzikami?

– Ciii – ucisza mnie.

Ptaszek wrócił. Phoebe znów się uśmiecha, nie do mnie. Jeśli się poruszę i spłoszę rudzika, zniszczę moment. Jeżeli zostanę, rozdrażnię ją. Co robić?

Phoebe rysuje i wyciągam szyję, żeby zobaczyć jej pracę. Jest zaskakująco dobra. To, co dziewczynie wychodzi na lekcjach, zwykle bywa przeciętne.

W końcu ptaszek przekrzywia łebek i odlatuje. Phoebe zatrząskuje szkicownik.

– Słuchaj no, ty. Nikomu ani słowa o tym, że gadałam z rudzikiem, rozumiesz? Bo pożałujesz.

Wzruszam ramionami. Czemu miałabym o tym mówić i kto by mnie chciał słuchać? Odwracam się w stronę, z której przyszłam, ale coś mnie w środku dźga i wbrew sobie robię w tył zwrot. Jesteśmy tylko ona i ja, żadnego tłumy po jej stronie, a ja się najeżyłam.

– Co do mnie masz? – pytam. – Nigdy ci nic nie zrobiłam.

– Nie w i e s z? Jesteś aż tak głupia, szpiegomóźdzku?

Czuję, że pięści mi się zaciskają, ale zmuszam się, by je rozluźnić, i oddycham głęboko. Zerkam na Levo: 4,8 – póki co w porządku.

– Nie ma tutaj nikogo, żeby ci pomógł, jeżeli wybuchniesz. – Zanosi się śmiechem.

– Dlaczego mnie tak nazwałaś?

– Bo jesteś szpiegomóźdzkiem. Nieważne, kim byłaś kiedyś, nie jesteś już teraz prawdziwą osobą. Tylko chodzącym, gadającym szpiegiem władzy z tym chipem w mózgu, który śledzi wszystko, co zrobisz i powiesz. Nie można ci ufać. Reszta z nas nigdy by nic nie powiedziała nikomu starszemu, ale ty się nie możesz oprzeć. Prawda? Ty i tacy jak ty donosicie na ludzi, a oni zaraz potem znikają. Z w a s z e j winy.

Wstaje i podchodzi do mnie wielkimi krokami. Stoję jak wryta, a ona popycha mnie mocno w ramię, żeby przejść obok wąską ścieżką.

Moje Levo wibruje. Nie jestem szpiegiem. Nie jestem.

A może?

Wracam do Gianellego akurat na czas, żeby się nie spóźnić. Nauczyciel wybiera najlepsze szkice i trzyma je w górze, by wszyscy obejrzeni. Rudzik Phoebe należy do tych wybranych. Ja nie zrobiłam wiele, dlatego próbuję się schować

z tyłu, ale na próżno. Gianelli wyjmuję mi szkicownik z ręki, znajduje na wpół ukończone drzewa, trawę. Kotkę Lucy i Sebastiana.

Nauczyciel prycha i oddaje mi kartki.

– Domyślam się, że nie znalazłaś swoich kocich przyjaciół pod drzewem.

– Nie, ja...

– Cały sens tego, że zabieram was, młodych a r t y s t ó w, z klasy na zewnątrz, polega na tym, żebyście rysowali swoje otoczenie. To zazwyczaj Phoebe muszę przywoływać do porządku z powodu rysowania menażerii zwierzaków domowych.

– Przepraszam – mówię.

Gianelli rusza z powrotem do szkoły, reszta podąża za nim. Chowam swoje rzeczy do torby, gdy nagle wyciąga się czyjaś ręka i chwyta mój szkicownik. Phoebe.

– Oddawaj!

Płając, odsuwa rękę ze szkicownikiem i otwiera go. Na widok Sebastiana coś przemyka przez jej twarz. Wygląda kartkę i oddaje mi ją.

Podczas obiadu dzwoni telefon. Mama krzywi się.

– Niech ten ktoś zostawi wiadomość – mówi, ale tato idzie odebrać.

Gmeram w swojej porcji, niegłodna. Wciąż nie ma ani śladu Sebastiana. Po dwóch dniach nawet mama zaczyna się niepokoić.

Tato wraca z płaszczem w ręce.

– Kto chce ze mną jechać po kota?

Opowiada mi w samochodzie. Sebastiana zaniecono do weterynarza kilka kilometrów stąd. Był poraniony; może walczył z lisem? Ale wydobrzeje.

– Skąd wiedzieli, żeby do nas zadzwonić?

– Jest zaczipowany. Skanują chipa, żeby się dowiedzieć, czyj to zwierzak, gdzie mieszka.

O. Więc Sebastian też ma w głowie chipa, tak jak ja.

– Gdyby go nikt nie oddał, czy moglibyśmy go namierzyć? Za sprawą chipa?

– Zależy, jakiego rodzaju jest ten chip – mówi tato, zerkając na mnie znad kierownicy. – Ten u Sebastiana nie ma takiej możliwości. Ale istnieją chipy namierzające, do tropienia są psy Lorderów i nie tylko. Dlaczego pytasz?

Wzruszam ramionami.

– Powiedz mi. – Jest w tacie coś, może ton jego głosu, co sprawia, że odpowiada się na jego pytania.

– Po prostu ktoś to powiedział w szkole. Że jestem jak szpieg władzy, bo mam

w głowie chipa. Że nie można mi ufać.

Tato śmieje się.

– Szpieg? No, no. W takim razie muszę się przy tobie pilnować.

– Czy to prawda? Czy chip nagrywa, co robię i mówię?

– Jasne, że nie – zapewnia tato, ale mam wrażenie, że nie jest to pełna odpowiedź.

Na drzwiach lecznicy wywieszka głosi: „Zamknięte”, ale i tak wchodzimy.

– Hej, panie DD, jak tam interesy? – wita tatę weterynarz.

DD? O. David Davis.

– No wiesz, jak zawsze. – Wymieniają spojrzenia.

Weterynarz uchyla drzwi za kontuarem.

– Panno Best, proszę przynieść tu tego kota, dobrze?

– Czy nic mu nie jest? – wypytuję. – Gdzie go pan znalazł?

– To nie ja. Dziewczyna, która u nas pomaga, miała go w domu i przyniosła dzisiaj. Z kotem wszystko w porządku. Założyłem kilka szwów i na wszelki wypadek dałem mu zastrzyk.

– Ile ci jestem winien? – pyta tato.

– Przysługę – odpowiada weterynarz. – Chodź, rzuć na to okiem.

I obaj idą do gabinetu.

Za kontuarem uchylają się drzwi i wychodzi przez nie Phoebe z Sebastianem. Nawet czekając po przeciwnej stronie poczekalni, słyszę, że kot mruczy, mimo że jest ogolony z jednej strony i z ciała wystają mu nitki. Biedny Sebastian.

Ale co tutaj robi Phoebe? Oczy mi się rozszerzają i szczęka opada, kiedy do mnie dociera, co się wydarzyło.

– Zamknij buzię, bo ci wrona wleci, Resecie – rzuca Phoebe.

– Wiedziałaś. Miałaś go i kiedy zobaczyłaś mój rysunek, zrozumiałaś, że to mój kot, i przyniosłaś go tutaj.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Ktoś znalazł wczoraj rannego kota i dał mi go, żebym się nim zaopiekowała. Przyniosłam go dzisiaj i powiedziałam weterynarzowi, czyj to kot. Szef i tak przeczytał chipa, żeby się upewnić.

– Dziękuję ci, naprawdę.

Przekazuje mi Sebastiana.

– Tylko nie bądź taka głupia i nie myśl, że teraz będziemy się przyjaźnić. To niczego nie zmienia, chipomóżdżku – mówi z nieprzyjemnym grymasem i wychodzi tymi samymi drzwiami.

Odwracam się. W poczekalni z powrotem jest tato. Stoi z uniesioną brwią i zamyślonym wyrazem twarzy. Przytrzymuje dla mnie drzwi.

– Chodź. Pora wracać do domu.

Wsiadamy do samochodu. Jesteśmy już prawie na miejscu, gdy tato się odzywa:

– To była ona. – Brzmi jak stwierdzenie, nie pytanie.

– Kto?

– To ta dziewczyna nazwała cię szpiegiem.

Nie odpowiadam. Jeżeli przytaknę, zostanę donosicielem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Pierwsza rzecz, jaką słyszę następnego dnia rano, to głębokie, donośne mruczenie: Sebastian. Najwyraźniej stwierdził, że moja poduszka to miejsce do spania, i zwinął się na niej w kłębek. I tak przecież pozwalam mu się rozkładać, gdzie zechce.

Zdaje się, że ostatnie przeżycia wcale go nie ruszyły: bójka z lisem czy jakimś innym zwierzątkiem, ratunek i pobyt u Phoebe, szycie rany w lecznicy. Kiedy przyjechaliśmy z nim wczoraj, przyjął smakowite obiadowe kąski od mamy, a potem poszedł prosto na górę, do mojego łóżka.

Phoebe: nie mogę jej rozpracować. Jest taka okropna, a jednak rudzik jej zaufał. Sebastian mruczał w jej ramionach i zwróciła go nam. Widziałam jej twarz, kiedy mi go przekazywała – nie chciała się z nim rozstawać, ale ustąpiła. Pewnie lubi ptaki i inne zwierzęta bardziej niż ludzi.

No, ja lubię Sebastiana bardziej niż większość ludzi, kim więc jestem, by ją osądzać?

Amy i ja jedziemy dziś do szkoły autobusem, bo Jazz ma wycieczkę klasową.

Wsiadając, zastanawiam się, czy powinnam się zatrzymać przy Phoebe i powiedzieć jej, że Sebastian ma się dobrze. Ale kiedy próbuję złapać jej spojrzenie, patrzy wilkiem i lekko potrząsa głową. Więc odpowiedź na to pytanie brzmi: „nie”.

Siadam obok Bena z tyłu.

– Hej – wita się. – W porządku?

– Sebastian jest już w domu – mówię. I w pełnym zgiełku autobusie zniżam głos, żeby opowiedzieć Benowi, co zrobiła Phoebe.

– To ci powinno pokazać – stwierdza Ben.

– Co?

– Że ludzie nie zawsze są tacy, jak ci się wydaje. Zrobiła dla ciebie coś miłego. Kto by się spodziewał? – Uśmiecha się.

Jestem jednak pewna, że chciała dobrze dla Sebastiana, nie dla mnie. „To niczego nie zmienia” – powiedziała wczoraj.

Pod klasą czeka na mnie pani Ali.

– Możemy zamienić słówko? – pyta i nie czekając na moją odpowiedź,

ciągnie mnie do pustego gabinetu po drugiej stronie korytarza. Zamyka za nami drzwi.

– Coś nie tak? – dziwię się.

– Nie miej takiej wystraszonej miny, Kylo. Nie zrobiłaś nic złego. Ale wiesz, że jestem tu, by ci pomagać, prawda?

– Ee, oczywiście.

– Posłuchaj, Kyla. Jeżeli ktoś cię nęka w szkole albo masz przez kogoś problemy, musisz mi powiedzieć. Nie chcę się tego dowiadywać z innych źródeł. Wtedy wychodzi na to, że nie wywiązuję się z obowiązków.

Gapię się na nią skołowana. Jedyny „ktoś”, kto do tego pasuje, to Phoebe, ale przecież nikt o tym nie wie. Byłyśmy w lesie same, kiedy nazwała mnie szpiegiem.

– Nie rozumiem. Co pani słyszała?

Opiekunka uśmiecha się i lekko potrząsa głową.

– Biedna Kyla. Świat musi być dla ciebie taki zagmatwany. Dlatego jestem tu, żeby ci pomóc zorientować się w nim. Ale ci nie pomogę, jeśli ty nie pomożesz mnie. A więc: czy jest coś, co chcesz mi powiedzieć, moja droga?

– Nie. Nie wiem, co pani ma na myśli – mówię, lecz jestem przekonana, że dowiedziała się czegoś o Phoebe i chce, żebym jej o tym doniosła.

Jednak cokolwiek myśli o mnie Phoebe, nie jestem donosicielką. A w ogóle jak mogłabym powiedzieć na nią coś złego? Przecież gdyby nie ona, nie mielibyśmy z powrotem Sebastiana. Nawet nie wiedzielibyśmy, czy jeszcze żyje, czy nie.

Pani Ali wpatruje się we mnie bacznie i widzę to w jej oczach: wie, że jest coś, czego jej nie mówię. Potrząsa głową.

– Przykro mi, Kylo. Może nie wiesz, że potrzebujesz mojej pomocy, ale naprawdę tak jest. Tylko ja oddzielam cię od... bardzo nieprzyjemnych możliwości. Powinnaś mieć na uwadze swoje dobro. A teraz zmykaj na lekcję.

Odwraca się, otwiera drzwi i idzie w swoją stronę.

Kolana zamieniają mi się w galaretę. To chyba była groźba, tak? Jakie „nieprzyjemne możliwości”?

Zostaję w gabinecie, zamykam drzwi i próbuję się jakoś pozbierać. Wyobrażam sobie swoje Szczęśliwe Miejsce, a nad nim obłoki. Ale coraz bardziej nabieram przekonania, że coś jest nie tak, że zrobiłam coś złego. I że za to zapłacę.

A już na pewno dostanę naganę za spóźnienie na lekcję. Potrząsam głową. „Tak, Kyla, weź się w garść”. Biorę głęboki wdech i sięgam do klamki, lecz

w tym momencie słyszę kroki. Starannie odmierzone, wyćwiczone. Waham się, moja ręka opada wzdłuż ciała. W gabinecie nie pali się światło, ale korytarz jest oświetlony i mogę do niego zerknąć przez szybę w drzwiach. Cofam się w cień i patrzę. Odgłos kroków przybliżyła się. Pojawiają się dwaj mężczyźni w szarych garniturach. L o r d e r o w i e.

Otwierają drzwi do sali, w której powinnam teraz być, czekając na lekcję angielskiego.

Czy to jest „nieprzyjemna możliwość”? Przyszli po mnie?

Znikają w środku, a chwilę potem wychodzą. Między sobą prowadzą pobladłą na twarzy Phoebe.

Pod koniec szkolnego dnia, gdy wsiadam do autobusu, rozlegają się szepty. Słyszę przyciszone głosy i widać blade twarze. Idę przejściem pośrodku, czując na plecach spojrzenia, ale gdy siadam z tyłu obok Bena i odwracam się przodem, wszyscy unikają mojego wzroku. Uważają, że coś zrobiłam. Wiedzą, że Phoebe była dla mnie niemiła, więc to, że ją zabrali z lekcji Lorderowie, to moja wina.

Miejsce Phoebe jest puste. Nie spóźniła się, nie przyszła wcale. Autobus rusza. A więc nie wzięli jej tylko na rozmowę, tak?

Wstrząsa mną dreszcz. Ben bierze mnie za rękę.

– Nic ci nie jest? – pyta i patrzy, jak przesuwam wzrokiem po twarzach. Widzi, że spojrzenia się odwracają. – Co się dzieje?

Potrząsam głową. Jak mogę mówić, gdy nasłuchuje tyle wrogich uszu?

Chcę dziś wieczorem pobiegać. Chcę biegać już teraz, ale jestem zamknięta w autobusie, zewsząd otoczona ciałami. Skupiam się na ciepłej dłoni Bena, zamykam oczy, marząc, żeby być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

– Powiedz mi, o co chodzi – prosi Ben. – Może będę mógł pomóc.

Otwieram oczy i kręcę głową.

– Nie teraz. Biegasz dziś przed spotkaniem Grupy? – pytam.

Kiwa głową.

– Mogę się przyłączyć?

Uśmiecha się szeroko.

– Oczywiście.

– Wtedy możemy pogadać.

I jego ręka zaciska się mocniej na mojej. Ben wie, że to coś poważnego, jeżeli muszę biec, żeby z nim o tym porozmawiać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Muszę wybłagać sobie pozwolenie. Mama nigdy by mnie nie puściła, ale tato jest jeszcze w domu. Zaraz znowu wyrusza w podróż służbową, już trzyma w ręce torbę.

– Proszę. Potrzebuję biegu – mówię, a on zdaje się to rozumieć. Jakoś udaje mi się przekonać mamę. Już go nie ma, kiedy do naszych drzwi puka Ben.

– Jesteś tego pewna, Kyla? Chyba zanosi się na deszcz – mówi mama, z niepokojem wpatrując się w ciemne niebo.

– Nic mi nie będzie – zapewniam. – To jest wodoodporne, prawda? – Chwytam za rękaw swojej kurtki. I nic mi nie grozi ze strony samochodów: trudno, żeby mnie ktoś nie zauważył we fluorescencyjnej kamizelce, którą mama każe mi założyć na kurtkę.

– Będziecie się trzymać głównych dróg?

Ben, patrząc spokojnie na mamę, obiecuje, że o mnie zadba. Wygląda na to, że się przekonała. Ruszamy.

Zaczynamy powoli i przyśpieszamy. Do spotkania Grupy mamy godzinę, do przebiegnięcia jest osiem kilometrów – łatwizna.

Podczas biegu Ben raz po raz zerka na mnie z zaciekawieniem. Widzę, że czeka na rozmowę, lecz nagle sama nie jestem pewna, co powiedzieć.

Fakt: Phoebe była dla mnie podła. Drugi fakt: zabrali ją ze szkoły Lorderowie i nie wracała autobusem do domu. Ale nic więcej nie wiem, prawda?

Biegnę na pełnej prędkości. Ben dotrzymuje mi kroku. Ma znacznie dłuższe nogi, nie musi nimi tak intensywnie przebierać jak ja.

– W takim tempie będziemy za wcześnie – mówi.

A więc zwalniamy. Najpierw przechodzimy do lekkiego truchtu, potem do spaceru.

– Chodzi o Phoebe? – pyta Ben.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem o tym dziś po południu, gdy wysiadałem z autobusu. Ktoś powiedział, że widział, jak Lorderowie rano wpychali ją do swojego wozu. Ale wszystko tylko w rodzaju: „ktoś powiedział”. Nikt z nich tak naprawdę niczego nie widział. Choć nie było jej w autobusie, kiedy wracaliśmy ze szkoły.

– To prawda. Ja ich widziałam. Dwóch Lorderów weszło do klasy i po chwili

wyszli. Jeden z nich trzymał ją za ramię. Poszli z nią korytarzem i zabrali ją z budynku.

– Czy ktoś wie dlaczego?

– Miałam o to zapytać ciebie.

Ben się waha.

– Niektórzy uważają, że miałaś z tym coś wspólnego. Że ściągnęłaś na nią kłopoty.

– Nieprawda! Nie mogłabym.

– Wiem. Zwłaszcza po tym, jak ci pomogła odzyskać kota.

Widzę, że Ben mówi szczerze. Ale nie jestem pewna siebie. Mogłam mieć z tym coś wspólnego, choć wcale nie chciałam.

– Czy jest coś jeszcze? – pyta Ben.

Wzruszam ramionami.

– Tylko to, co wygadywała Phoebe: że jesteśmy szpiegami władzy, bo mamy w mózgach chipy.

– To nieprawda.

– A jeśli prawda, ale o tym nie wiemy? Może wydałam ją od razu, nie mając o tym pojęcia. Może ktoś po prostu przeskanował mój mózg i cyk! Już jej nie ma. Bo mówiła rzeczy, które nie spodobały się władzom.

Ben potrząsa głową.

– To nie może być prawda.

– Dlaczego? Skąd wiesz?

– Bo gdyby była, my poszlibyśmy pierwsi.

Gapię się na niego w szoku. Z przyzwyczajenia sprawdzam Levo, ale poziom jest w porządku – po biegu wciąż prawie siódemka – jednak moja skóra reaguje na to, co powiedział Ben, jakby przebiegły po niej pajęczki. Drzę. Ma rację. Rozmawialiśmy o tym, że Tori została zwrócona, i o tamtych zabranych z apelu, i wypytywaliśmy, co się dzieje. To znacznie gorsze od tego, co Phoebe zrobiła czy powiedziała.

Ale bez względu na to wciąż mam okropne wrażenie, że jakimś sposobem to jest moja wina. Z powodu pani Ali: powiedziała, że nie życzy sobie słyszeć rzeczy z innych źródeł. Musiała się czegoś dowiedzieć o Phoebe, czegoś związanego ze mną.

– Dowiedziałem się czegoś innego – mówi Ben. – Dlaczego ktoś zabrał waszego kota do Phoebe. Ona opiekuje się mnóstwem poturbowanych zwierzątek. Robi to dla ludzi, których nie stać na weterynarza. Dobrze sobie z tym radzi.

Kto teraz o nie zadba?

– Biegnijmy – rzuca i ruszam pędem.

Mijamy urząd wiejski, gdzie w sali wkrótce rozpocznie się spotkanie Grupy, i biegniemy dalej. Gdy moje stopy bębnią o ziemię, a ciało przekracza granicę zmęczenia i wchodzi w strefę wyczerpania, myślę o tym wszystkim, o czym nie powiedziałam Benowi. O Lucy Connor, zaginionej dziewczynce; o Robercie – Robbym – który przeżył zamach bombowy, ale i tak jest na pomniku.

W końcu wracamy w stronę Grupy.

– Spóźnimy się – zauważam.

– I co z tego? – Ben wzrusza ramionami.

On zawsze się spóźnia. Nie jestem jednak pewna, czy szczególne względy, jakimi darzy go pielęgniarka Penny, obejmą również mnie.

Wpadamy do sali kwadrans po czasie.

– Właśnie miałam dzwonić do twojej mamy – mówi do mnie Penny, stojąc z ręką na biodrze. Do Bena ani słowa.

– Przepraszam! To moja wina – dyszy Ben. – Pobiegliśmy dłuższą trasą i nie wystarczyło nam czasu na powrót.

Pielęgniarka odpuszcza i uśmiecha się do niego.

– O, w takim razie w porządku. Siadajcie. Zaczęliśmy rozmawiać o planach każdego z nas na najbliższe kilka miesięcy. Kontynuujmy.

Odpływam, gdy wypowiadają się kolejni członkowie Grupy. Moje cele: trzymać się jak najdalej od Lorderów i nie wpaść w kłopoty. „I dowiedzieć się, co się przydarzyło Phoebe” – szepcze natarczywie jakiś głos w mojej głowie.

Kiedy przychodzi moja kolej, jestem tak zajęta własnymi myślami, że Ben musi mnie szturchnąć w ramię. Penny marszczy brwi.

– Staraj się nadążać za nami, Kylo – upomina mnie. – Może bieganie to dla ciebie za dużo. Masz jakieś plany, którymi chciałabyś się z nami podzielić?

Niewiele, nie do wypowiedzenia na głos. To, co w końcu wyduszam z siebie, jakoś odzwierciedla moje myśli: jak najlepiej wypaść w szkole, nie wpaść w kłopoty.

Spotkanie wreszcie dobiega końca.

– Trzymaj się. – Ben na pożegnanie ściska mi rękę, po czym rusza biegiem do domu.

Odprowadzam go wzrokiem, żałując, że nie mogę pójść w jego ślady.

Pozostali też już wychodzą. Zmierzam do drzwi, kiedy Penny woła:

– Zaczekaj, Kylo. Chcę z tobą zamienić słowo.

Wracam więc.

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Byłoby dobrze, gdyby ludzie wciąż nie pytali, czy wszystko u mnie w porządku! – odwarkuję bez namysłu. I oblewam się rumieńcem. – Przepraszam. Nie powinnam była tego mówić.

Penny może być jedną tych z osób, które śledzą każde moje słowo, każdą myśl.

Pielęgniarka wzdycha.

– Siadaj, Kylo.

Siadam.

Zamyka swój netbook, sadowi się naprzeciwko mnie.

– Jestem po twojej stronie – mówi. I tak bardzo jest to podobne do wcześniejszych słów pani Ali, że mnie cofa. Ale Penny wygląda na zasmuconą. – Nie, Kylo. Nie miej takiej przerażonej miny. To nie jest rejestrowane, możemy rozmawiać swobodnie. Rozumiesz? Nie polecę do nikogo z tym, co mi powiesz. Możesz mi zaufać.

Mimo wszystko wierzę w jej szczerść. Ale kto wie, co mogłaby zrobić dla mojego dobra?

– Więc powiedz mi. Wszystko masz wymalowane na twarzy: coś jest nie tak. O co chodzi? – pyta.

Może chociaż uda mi się wyciągnąć jakąś informację.

– O dziewczynę, którą zabrali dziś ze szkoły. Lorderowie. Znałam ją, i tyle.

– Ojej. Co się wydarzyło?

– Dwaj Lorderowie weszli do klasy i wyszli z nią. Potem ktoś widział, jak ją wepchnęli do czarnego furgonu.

– Czy wiesz dlaczego?

– Nie jestem pewna. Może w związku z tym, co czasami mówiła.

– To pewnie nie wszystko – domyśla się Penny i podnosi rękę. – Ale nie opowiadaj mi o tym! Ta dziewczyna... ile miała lat?

– Nie wiem. W szkole była w mojej klasie.

– Jedenastej?

Kiwam głową.

– Posłuchaj, Kylo. To bardzo ważne. Nie zadawaj pytań, trzymaj się od tego z daleka. – Chwyta mnie mocno za ramiona i uporczywie patrzy mi w oczy. – To dla twojego własnego dobra. Rozumiesz?

– T-t-tak.

I nagle mnie puszcza. Uśmiecha się promiennie.

– Widzimy się w następnym czwartek! Udanego tygodnia, moja droga.

Pielęgniarka oddala się. Odwracam się i widzę z tyłu sali mamę. Podchodzę do niej, a ona unosi brew.

– Wszystko w porządku?

– Tak, świetnie – odpowiadam. Potem w nagłym natchnieniu dodaję: – Trochę spóźniliśmy się po bieganiu. Upominała mnie.

Mama marszczy brwi.

– Punktualność jest ważna, Kyla. – I ciągnie wykład przez całą drogę do domu.

Następnego dnia po południu, jak zawsze w piątek, uczniowie klasy jedenastej zbierają się na apelu. Lecz w tym tygodniu wyczuwa się jakąś różnicę.

Wszyscy starannie stawiają przed sobą stopy. Nie słychać rozmów, nikt się nie przepycha, nie snuje głośno planów na weekend. Dyrektor nawet jeszcze nie wszedł. Ale wszyscy wiedzą o Phoebe i są przerażeni.

Rzecz jasna, nikt przy mnie się nie odzywał, ale przez cały dzień podchwytywałam strzępy słów i szeptów. Jakoś fakt, że ją zabrano, wzbudził większe poruszenie niż zniknięcie Tori czy tamtej trójki z zeszłotygodniowego apelu. Wszyscy z grubsza wiedzieli, za co się tamtym dostało. Ale Phoebe na ogół zatrzymywała swoje paskudne ja dla siebie. Nie chodziła na nielegalne zebrania ani nie nadawała na władze – nie tak jak pozostali, którzy zniknęli.

Gdy Rickson wchodzi przez drzwi z dwoma Lorderami za sobą, w sali panuje już cisza. Dyrektor przesuwa wzrokiem po tłumie: wszystkie oczy są skierowane do przodu, wszystkie plecy proste.

– Dzień dobry, klasy jedenaste – wita się z nami z uśmiechem, wyraźnie zadowolony.

Apel nie trwa długo. Po zakończeniu Lorderowie znowu stają przy wyjściu na tyłach. Patrzą, wpatrują się w każdą twarz, gdy wysypujemy się z sali.

Nikogo nie łapią za ramię, nie odciągają na bok.

Tym razem.

Jazz wiezie nas dziś do domu. Docieram do jego wozu, zanim zjawi się Amy. Chłopak dostrzega ją, jak idzie wzdłuż budynku, macha do niej i odwraca się do mnie.

– Szybkie info, zanim Amy tu będzie – mówi przyciszonym głosem.

– Co?

– Mac chce się z tobą zobaczyć. Powiedział, że da mi znać, kiedy w przyszłym tygodniu. I n i k o m u nic nie mów. Dobra?

Amy staje obok nas, zanim zdążę coś odpowiedzieć. Jazz odwraca się, przytula ją i szarpie drzwi samochodu, żeby je otworzyć. Staram się nie trząść, kiedy sadowię się z tyłu.

Mac i jego bardzo nielegalny komputer. Strony z zaginionymi osobami, z Lucy – mną? – na jednej z nich. Chłopak ufa mi, że nie puszcę pary, jak to ujął. Nikomu nie powiem. Jego wykroczenie jest znacznie większe i poważniejsze niż to, przez co z n i k n ę l i Phoebe i pozostali uczniowie. Poza tym jest za stary na Reset. Co by się z nim stało, gdyby to wyszło na jaw?

Wolałabym, żeby mi nie ufał. Cokolwiek ma do pokazania – nie chcę o tym wiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Chcę biec.

Narastają we mnie fale paniki; im bliżej szpitala, tym większe. Na drodze nie ma dzisiaj korków, pewnie dlatego, że mama wybrała inną trasę. Powiedziała, że będzie dalej, ale może być szybciej. Wdech, wydech, wdech, wydech. Skupiam się na oddychaniu i na drodze. Zapamiętuję siatkę szos, układam ją sobie w głowie, żeby oderwać myśli od doktor Lysander.

Ona widzi wszystko. Jeżeli nie podsunę jej czegoś interesującego, będzie drążyć tak długo, aż znajdzie strup, którego wolałabym nie rozdrapywać. Dzisiaj nie chodzi tylko o moje zmartwienia; chcę chronić znacznie więcej. Maca. Bena. A także Lucy – oddzielną istotę, którą noszę w sobie i pragnę obronić przed inkwizycją. Cień, duch podążający tuż za mną, trzymający się mojego boku.

Wkrótce docieramy do szpitala od innej strony. Widok jest nowy dla moich oczu, ale niewiele się różni. Wysokie ogrodzenia. W równych odstępach wieżyczki strażnicze. Automatycznie rejestruję rozmiary, liczby. Wyjścia i bramy. Gdy przejeżdżamy, strażę od tyłu wpuszczają wóz dostawczy; jedziemy dalej, dookoła, do tej samej bramy, z której korzystaliśmy do tej pory.

Czekamy w kolejce. Strażnicy zagląдают pod samochody za pomocą luster, wszyscy muszą wysiadać i są dokładnie sprawdzani, a pojazdy – przeszukiwane.

– To musi być stan alarmu – mówi mama, a ja podskakuję.

Nie odzywała się przez prawie całą drogę, pozwalając moim myślom wędrować do woli. Przyglądam się jej – ma cienie pod oczami. Wygląda na zmęczoną i przygnębioną. Przypominam sobie, że w nocy zadzwonił telefon. Późno było, ale jeszcze nie spałam. Słyszałam jej kroki na górze, szmer głosu.

– W porządku u ciebie? – pytam.

Na twarzy mamy pojawia się półuśmiech.

– To ja powinnam zapytać o to ciebie, prawda?

Przesuwamy się o jedno miejsce, gdy samochód z przodu zostaje przepuszczony. Przed nami jeszcze dwa.

– Zapytałam pierwsza – upieram się.

– Prawda. Ale to nie miejsce, żeby o tym rozmawiać. W drodze do domu, dobrze?

Znów ruch do przodu. Więc coś jest nie tak i mama mi o tym powie, ale nie przy Lorderach.

– Nie zdradzaj mi żadnych sekretów – wyrywam się w pośpiechu. – Nie jestem pewna, czy będę umiała ich dotrzymać.

Mama śmieje się.

– Będę to miała na uwadze.

Znowu do przodu. Tym razem nie przepuszczają nas bez sprawdzania. Dokoła kręcą się Lorderowie – więcej, niż ich widziałam naraz w jakimkolwiek innym miejscu. W czarnych operacyjnych strojach, nie w szarych garniturach; mają kamizelki i broń. Są pełni napięcia. Nie żeby kiedyś wyglądali na wyluzowanych, ale teraz napięcie z nich promieniuje.

Wsiadamy z samochodu i obszukują nas od stóp do głów, podczas gdy pozostali szybko sprawdzają auto. Znowu nie mogę powstrzymać swoich reakcji, ta bliskość napawa mnie ogromnym s t r a c h e m. Lecz oni zdają się tego nie zauważać. Wsiadamy z powrotem i przejeżdżamy.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pytam.

– Nie denerwuj się, Kyla. Przypuszczalnie są to środki zaradcze na wypadek ataku, ale panują nad sytuacją. Zawsze.

Przyglądam się twarzy mamy. Ton, jakim to mówi, nie brzmi uspokajająco. Jakby to, że Lorderowie zawsze panują nad sytuacją, nie było dobre, lecz wręcz przeciwnie.

„Wyobraźnia, Kyla. Weź się w garść”.

– Wejdz! – woła doktor Lysander. Jej głos jest znajomy, wyraźny, chociaż niegłośny. Nie musi go podnosić; przyzwyczaiła się, że ma posłuch bez dyskusji.

Jak zwykle tylko ja czekam przed jej gabinetem. Mama poszła na herbatę ze znajomą pielęgniarką. Wstaję i wchodzę, zadowolona, że ucieknę – w korytarzu stoją dwaj Lorderowie.

– Dzień dobry, Kyla – wita mnie doktor Lysander.

W przeciwieństwie do mamy i Lorderów, a także zapewne mnie, wygląda na nieporuszoną. Spokojną. To jej zwyczajne ja – takie jak zawsze było i zawsze będzie. Ciemne oczy spoglądają analitycznie, ale nie ma w nich nieuprzejmości. Doktor zachowuje bezstronność, nawet w tym momencie.

Ku własnemu zdziwieniu uśmiecham się do niej, czując dziwne pokrzepienie. „Uwaga, niebezpieczeństwo” – szepcze mi w środku jakiś głos.

– Wygląda na to, że cieszy cię dziś mój widok.

– To prawda – odpowiadam i siadam naprzeciw jej biurka.

Twarz jej łagodnieje.

– Cóż, to chyba miłe. Ale dlaczego?

Wzruszam ramionami.

– Pani to zawsze pani. Taka sama.

Unosi brew.

– Nie jestem pewna, czy powinnam się cieszyć z tej obserwacji. Choć jest w dużej mierze trafna. – Zerka na komputer, stuka palcami po ekranie. – A więc, skoro pokrzepia cię dziś niezmiennosc, jakie zmiany lub potencjalne zmiany cię trapią? – Wbija we mnie wzrok.

Nie mam się gdzie ukryć. „Powiedz jej prawdę, ale nie za dużo” – odzywa się znów ten głos. Mrugam.

– Bałam się dzisiaj w drodze do szpitala – wyznaję.

– Czego?

– Ochroniarzy. Ostatnio, jak tutaj jechałyśmy, były blokady na drodze, a dzisiaj przeszukiwali samochody.

Doktor przechyla głowę na bok, jakby słuchała własnych myśli.

– To zapewne uzasadniony powód do strachu. Wiesz o AntyRządowych Terrorystach? Wywiad doniósł, że szykuje się kolejny atak na szpital. Trzeba stosować środki ostrożności.

Oczy mi się rozszerzają.

– Ale pani się nie boi.

Wzrusza ramionami.

– Nie. Zbyt wiele alarmów przeżyłam, żeby się ich bać. – Odchyła się na oparciu krzesła. – Jednak jestem ciekawa, dlaczego ty miałabyś się tym przejmować.

Terroryści, bomby. Wybuchy, krzyki i...

– Powiedz mi, Kylo.

– W mojej szkole jest pomnik. Sześć lat temu autobus z uczniami dostał się na linię ognia zamachu bombowego terrorystów. Większość dzieciaków zginęła.

– A, rozumiem. Więc zaczynasz pojmować ciąg przyczynowo-skutkowy. Terrorysty, śmierć.

– Jak mogli to zrobić? To były tylko dzieciaki. Niczemu niewinne.

– Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy moment. – Doktor wzrusza ramionami.

– To byli prawdziwi ludzie!

Jej brew znowu wędruje do góry.

– Oczywiście. Prawdziwym ludziom co dzień dzieje się krzywda, a u ich bliskich wywołuje to ból.

– Brzmi to tak, jakby się pani izolowała od tego – mówię powoli. Patrę na nią i dociera do mnie, że ja też widzę to i owo.

W jej oczach błyska prawdziwe zaskoczenie.

– Zgadza się, Kylo. Tak właśnie robię.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Po części dlatego, że jestem lekarzem. Nie mogę naprawić każdej krzywdy. Skupiam się po prostu na tym, co leży w mojej mocy.

Powiedziała: „po części”. Więc jest coś jeszcze, o czym mi nie mówi. Ale nie jestem na tyle tępa, żeby próbować rozdrapywać jej strupy. To jej praca polega na tym, żeby gmerać w moich.

Doktor znowu spogląda na swój ekran.

– Widzę, że dobrze sobie radzisz w szkole i w Grupie, zaprzyjaźniłaś się z kilkoma osobami. Nie miałaś już więcej wyłączeń. To dobrze. Jakies koszmary? – Znow patrzy mi w oczy.

Zamurowana w wieży, uwięziona i waląca w ściany...

– Więc?

Pstryk. Nie wiem czemu, ale coś się we mnie przełącza. Opowiadam jej o swoim śnie z bombardowaniem autobusu. Doktor słucha, jak opisuję krzyki i krew na oknach. Śwąd płonącego paliwa i ludzkich ciał.

Wzdryga się. Lekki, mimowolny ruch. Czyli niezbyt kontrolowany. Podnosi rękę i urywam.

– Masz zbyt bujną wyobraźnię, działasz nią sobie na szkodę. Ale teraz rozumiem, dlaczego stan alarmu tak cię zaniepokoił. Tu jesteś bezpieczna, Kylo. To jedno z najbezpieczniejszych miejsc, w jakich się można znaleźć.

Bezpieczna, zamknięta, wtrącona do wieży. Jest tak samo uwięziona jak ja w swoich snach.

– Czy pani czasem wychodzi?

– Co masz na myśli?

– Czy miewa pani wolne. Jedzie pani na wieś, spaceruje po lesie albo coś w tym stylu.

– Dziś jesteś bardzo zaskakująca! Tak, miewam wolne. Raz na kilka tygodni, akurat wypadnie to jutro. Ale nie spaceruję. Mam Heathcliffa, konia. Jeżdżę po szlakach i... – Urywa nagle, otrząsa się. – Nie wiem, jak ci się udało wyciągnąć mnie na taką rozmowę. – Uśmiecha się do siebie. – To ty powinnaś być lekarzem. A teraz posłuchaj. Przestań martwić się terrorystami. Niech zajmują się nimi Lorderowie, to ich praca. Skup się na tym, co jest potrzebne t o b i e. Jakaś jedna rzecz, twój cel, twoja miłość. Masz coś takiego?

– Sztuka – odpowiadam od razu. I tak nie ma innego kandydata.

Doktor uśmiecha się.

– Wiedziałam, że to powiesz. Widzisz, ty też bywasz przewidywalna. Skup się na swoim rysowaniu, malowaniu. Niech to będzie powód twojego istnienia, reszta stanie się mniej ważna.

– Jak pani koń?

– Tak – odpowiada bez namysłu.

Ja za to rozmyślam, wychodząc. Czy jej pacjenci nie powinni być odpowiedzią?

W drodze do domu mama albo zapomina, że miała mi powiedzieć, co ją niepokoi, albo postanawia tego nie robić. Tak czy inaczej, nie proszę jej o to.

Mój umysł jest zajęty tym, co powiedziała doktor Lysander i czego nie powiedziała. Ani wzmianki o pani Ali czy Phoebe, a doktor nie należy do ludzi, którzy się boją trudnych tematów. Najwyraźniej o tej sprawie nie wie. Przynajmniej oznacza to, że pani Ali najprawdopodobniej nie wysmażyła na mnie paskudnego raportu. I nie wydaje mi się, żebym wyskoczyła z czymś, z czym nie powinnam, co wpakowałoby kogoś w kłopoty.

Może mimo wszystko umiem dotrzymywać sekretów.

– *Pomóż mi.*

Lucy wyciąga do mnie ręce. Prawa jest idealna, pięć białych palców, równe paznokcie. To moje palce, tylko mniejsze. Lewa krwawi, palce są powyginane pod dziwnymi kątami.

Cofam się.

Zielone oczy, moje oczy, błyszczą, aż spod powiek tryskają wielkie łzy.

– *Proszę. Pomóż mi...*

– Obudź się, Kyla.

Z drgnieniem otwieram oczy, skołowana. Mama odpina sobie pas. Samochód stoi. Jesteśmy w domu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jest zimno. Deszcz, zapowiadany w zeszłym tygodniu w prognozie pogody, wreszcie spadł. Jest miarowy, raczej nie ulewny, ale pada nieustająco od tak długiego czasu, że przez liściasty baldachim nad naszymi głowami zaczęły się przedzierać wielkie, ciężkie krople.

Biegniemy razem, Ben i ja. Reszta została w tyle. Pędzimy tak szybko, że nie jest mi zimno, mimo że już zdążyłam przemoknąć.

– Pogoda pod psem – dyszę.

– Taak. Typowy październik – odpowiada Ben.

Skąd miałabym to wiedzieć? To pierwszy październik, jaki pamiętam.

Kiedy tego ranka przyjechaliśmy na trening biegu przełajowego, Ferguson zamiast wypuszczać dziewczyny jakiś czas za chłopcami, kazał nam startować pojedynczo w minutowych odstępach w takiej kolejności, w jakiej ostatnio przybiegliśmy na metę. Więc Ben i ja wystartowaliśmy pierwsi, ponieważ zeszłym razem byliśmy najszybsi. Narzuciliśmy sobie ostre tempo, wiedząc, że pozostali będą chcieli nas dogonić.

Zostawiamy za sobą las i zaczynamy biec pod górę. Nic nas teraz nie osłania, deszcz leje mocniej, błoto i liście pod stopami nie ułatwiają biegu. Ścieżka wrzyna się w zbocze wzgórza, toteż w tej chwili odprowadza wartką deszczówkę. Musimy zwolnić, żeby się utrzymać na nogach.

– Cudownie, no nie? – zagaduje Ben, przemoczony i od stóp do głów zbryzgany błotem.

– Wspaniale – pry cham sarkastycznie. A potem wybucham śmiechem. To rzeczywiście c u d o w n e, gdy biegnę poza granicę odczuwania, w strefę, gdzie wszystko, czym jestem, żyje. Czuję krople lądujące na mojej głowie, jak gdybym mogła podążać wzrokiem za każdą spadającą z nieba, zwalniać ich ruch siłą woli i przyglądać się im, jak spadają. Wszystkie zmysły, wszystkie wrażenia są podkreślone. Jeśli jeszcze bardziej przyśpieszę, będę mogła prawie zapomnieć o Tori i o Phoebe. I o tym, że prześladuje mnie Lucy. Jest tuż, kiedy zamykam oczy, wyciąga ręce, błaga o pomoc. Nie ma to sensu z tak wielu powodów.

– Stańmy na chwilę – mówi Ben, kiedy docieramy na szczyt wzgórza.

Chowamy się pod rozłożystym dębem. Ben kuca, żeby sobie poprawić sznurówkę, zawiązuje ją na nowo i opiera się o pień drzewa.

Widać stąd całą dolinę. Niebo ciemnieje od deszczowych chmur. W zasięgu

wzroku nie ma pozostałych biegaczy.

– Założę się, że zawrócili – domyśla się Ben. – Mięczaki. – Śmieje się.

– A my nie powinniśmy?

– Nieee. Mamy już za sobą połowę, nie ma sensu.

– Biegnijmy – ponaglam. Czuję potrzebę, żeby wciąż pędzić, szybciej. Żeby wszystko z siebie wybiegać.

– Co jest?

Wzdrygam się, obejmuję rękami za ramiona.

– Powiedz mi, Kyla.

Patrzę w jego miękkie, brązowe oczy i ufam mu, naprawdę ufam, ale czy powinnam? Znów przechodzi mnie dreszcz i Ben otacza mnie ramionami.

– Chcę biec – mówię.

– Nie, dopóki mi nie powiesz.

Jego oczy są gorsze niż spojrzenie doktor Lysander: przygważdżają mnie do drzewa. Kiedy mój oddech i serce zwalniają, zaczynam drzeć, ale nie z zimna. Chowam twarz na jego piersi, żeby już nie patrzył mi w oczy.

– Może mógłbym pomóc.

Jest tyle powodów, żeby nic nie mówić. Przyrzekłam Macowi. Wiem, że być może narażę Bena na niebezpieczeństwo. Nie jestem pewna, czy on umie dotrzymywać tajemnic, naprawdę się z nimi nie zdradzić. Nie mam pewności nawet co do siebie.

Ben odsuwa się, odwraca. Siada na kamieniu w ulewnym deszczu. Przyciąga mnie na swoje kolana.

– Nigdzie się nie ruszymy, dopóki mi nie powiesz, co jest nie tak.

Wzdycham, zamykam oczy i wtulam się w niego. Zostać t u t a j, w tym momencie... nie wydaje się to takie złe. Jego ramiona oplatają mnie ciaśniej, Ben wsuwa mi dłoń pod brodę i unosi moją twarz. Otwieram oczy, jego tęczy są teraz bliżej, Ben nachyla się do mnie. Serce mi się trzepocze, znów bije szybciej, mimo że nie biegnę. Jego oczy wpatrują się we mnie w skupieniu jak wtedy, kiedy myślałam, że mnie pocałuje, ale on chciał tylko porozmawiać o Tori.

Tori, Phoebe i Lucy: tyle jest duchów między nami. Ale przynajmniej od jednego mogę się uwolnić, jeśli powiem prawdę. Odsuwam się nieco, dobieram słowa.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zostałeś Zresetowany?

– Znowu do tego wracamy? – Wzrusza ramionami. – Czasami tak. Trudno o tym nie myśleć. Ale nie możemy się tego dowiedzieć i...

– Ja wiem.

Następuje pauza, słyszę tylko deszcz, a jedyne, co widzę, to zwałpienie w oczach Bena.

– Jak to? – pyta w końcu, siląc się na neutralny wyraz twarzy.

Przełykam ślinę. Nic to nie da, jeżeli będę ignorować tę małą, prawda? Nie odejdzie.

– Nazywałam się Lucy Connor. Zaginęłam w wieku dziesięciu lat. Miałam szarą kotkę. Ktoś p-p-połamał mi palce. I ktoś za mną tęskni. – Za każdym wyszeptanym zdaniem wstrząsa mną dreszcz. Coś się we mnie skręca, trzęsie, próbuje wyrwać. Płaczę. Chowam się w ramionach Bena, a on mnie po prostu trzyma, gładzi po włosach. Cały czas leje deszcz, wzmacnia się wiatr. Burza dokoła nas i we mnie.

– Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? – pyta w końcu Ben.

I kiedy łzy przestają płynąć i mogę wreszcie mówić, opowiadam mu o nielegalnym komputerze, o stronach internetowych z zaginionymi osobami i o Lucy. Widzę, że Ben stopniowo zaczyna mi wierzyć.

– Nie rozumiem – wyznaje. – Zaginione osoby?

– Mnóstwo ludzi ginie. Nie zostają aresztowani ani osądzeni, po prostu znikają. Może nie byliśmy nawet przestępcami.

Ben potrząsa głową.

– Nie mogą tego robić. To niezgodne z prawem. Jak władza może łamać własne prawa?

– Może nie zrobiliśmy nic złego, a władza po prostu zdecydowała, że nie podoba jej się coś, co mówimy albo robimy. Nie chcesz się tego dowiedzieć? Czy nie jesteś na liście zaginionych?

Na jego twarzy malują się przemieszane uczucia. Zaczyna mówić, ale podnoszę rękę.

– Czekał – ostrzegam i odwracam głowę. Trudno cokolwiek usłyszeć w deszczu i wietrze, ale chyba ktoś się zbliża.

I rzeczywiście ktoś wybiega zza grzbietu wzgórza. Próbuje się zerwać, ale Ben trzyma mnie mocno. Mija nas jeden z chłopaków z treningu, uśmiecha się znacząco na nasz widok.

Ben puszcza mnie, zrywam się na równe nogi.

– Czemu to zrobiłeś?

– I tak by nas zobaczył. Niech lepiej pomyśli, że się migdalimy, a nie że prowadzimy niebezpieczne rozmowy.

M i g d a l i m y s i ę. Czy faktycznie tak było, czy to tylko przykrywka dla

naszej konspiracji? Twarz mi płonie mimo panującego chłodu. Odwracam się, znów słysząc jakiś dźwięk. Wyprzedza nas następna osoba?

– Biegnijmy – rzuca Ben i nie czekając na odpowiedź, od razu puszcza się sprintem na pełnej prędkości.

Cóż. Biegnę za nim, próbując go dogonić, ale nie mogę. Przedtem pewnie oszczędzał siły. Teraz wydłuża krok i szybko znika mi z pola widzenia. Prawie jakby go coś ścigało, a on nie chciał temu stawić czoła.

To tylko ja.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Portret rudzika wisi na ścianie z przodu sali, w której mamy plastykę. Nie umieszczono tam żadnej innej pracy. Wiele rysunków wystawiono z boków, z tyłu, ale nie z przodu. Phoebe nie podpisywała swoich szkiców, tylko my wiemy, czyje to dzieło. Pan Gianelli, zamiast warczeć, żebyśmy się pośpieszyli, milczy, podczas gdy wchodzimy i wczytujemy swoje karty. To nasze pierwsze zajęcia, odkąd Phoebe została zabrana. Wszyscy widzą jej rudzika i w sali zapada cisza.

Nasz nauczyciel pewnie wie. Zerkam w stronę drzwi, gdzie stoi pani Ali. Wciąż snuje się za mną między lekcjami, chociaż jest oczywiste, że potrafię się przemieszczać po szkole. Śledzi mnie; czy tak już zostanie na zawsze? Ben i Amy nie mają żadnego anioła stróża.

Pani Ali rzuca okiem na klasę. Na pewno czuje, że coś jest na rzeczy, przygląda się twarzom. Zostaje.

– Dziś chcę, żebyście pomyśleli o czymś – zaczyna pan Gianelli. – O znaczeniu więzi między artystą a tym, co przynosi na papier. Weźmy naszego przyjaciela pana Rudiego. Widzicie, z jaką dbałością go sportretowano. To właśnie ta więź zamienia zwykłą chwilę w coś więcej, sprawia, że czujecie się lepsi, niż jesteście, znajduje w was, w głębi, artystę. P o r o z u m i e n i e między wami a waszym modelem, tak? Dajecie i bierzecie. Tylko wy postrzegacie w ten sposób przedmiot waszego dzieła i nikt inny.

Nauczyciel cofa się, staje wśród nas i wszystkie oczy kierują się na szkic Phoebe. Wszyscy razem uważnie oglądamy rysunek. Rudzik jej zaufał, przysuwał się coraz bliżej i bliżej. Phoebe uśmiechała się przy rysowaniu, mruzczała do ptaszka, a on do niej ćwierkał. Mijają sekundy, minuta upływa w ciszy, potem druga.

Pan Gianelli smutno potrząsa głową i wraca na przód klasy.

– Dziś narysujcie coś albo kogoś, kto jest wam drogi, coś dla was znaczy, wzbudza jakieś uczucia. Dobre czy złe, nieważne. Już! Zaczynajcie. – Po tych słowach opada na swoje miejsce przy biurku.

W sali zaczyna się ruch – niewielki, nieśpieszny. Ludzie wyglądają papier. Wybierają ołówki, węgiel. Wszyscy jakby się budzili ze snu, z transu.

Nachylam się nad czystym, świeżym arkuszem. Kątem oka śledzę panią Ali. Jest zamyślona, zaintrygowana. Wychodzi.

Gianelli wygląda dziś, jakby się postarzał. Zmarszczki wokół oczu ma mocniej zarysowane, skóra mu poszarzała jak jego siwe włosy. Chwilą ciszy oddał cześć swojej zabranej uczennicy – wszyscy wiemy, co zrobił, jak zaryzykował. Widzę, że wyjmuję z kieszeni piersiówkę, wlewa coś sobie do herbaty. Potem sam zaczyna szkicować.

Bez zastanowienia czy wahania chwytam ołówkę lewą ręką. Odwróciłam się nieco na siedzeniu, żeby widzieć drzwi, w razie gdyby pani Ali wróciła.

Narysować kogoś, na kim mi zależy; kogoś, kto wzbudza jakieś uczucia...

Szybkie, płynne pociągnięcia. Model, którego do tej pory nie próbowałam sportretować, ale moja lewa ręka nie potrzebuje prób i błędów – po raz pierwszy jest to właściwe. Jego zatroskane oczy. Mocno zaznaczony podbródek, ciemne włosy bardziej faliste niż kręcone, nieco tylko zawinięte za uszami. Ben.

„Gdzie jesteś?”. Nie było go rano na biologii. Z niepokoju przygryzam sobie usta tak mocno, że aż boli. Chyba nie zrobił czegoś głupiego? Pytałam o niego panią Fern, ale nic nie wiedziała. Niczego jednak nie ukrywała, nie wyczytałam w jej twarzy ani zmartwienia, ani obojętności. Zaczynam rozumieć, że są różne rodzaje nauczycieli. Fern, Gianelli i trener Ferguson są prawdziwi. Czasem mogą mnie obsztorcować, nie zawsze bywają mili, to fakt, ale rozmawiają ze mną, jakbym istniała i coś znaczyła. Inni, jak dyrektor Rickson, szkolna psycholog doktor Winston i pani Ali, z ich uśmiechami i gadką „jestem tu, żeby ci pomóc”, wydają się tylko czyhać na moje potknięcia, na najmniejsze wykroczenie przeciwko zasadom.

Podskakuję na dźwięk dzwonka. Czas minął niepostrzeżenie. Odkładam ołówkę, bo w drzwiach pojawia się pani Ali. Gianelli zbiera prace i przypina je wokół rudzika. Kiedy podchodzi do mnie, mówię: „Proszę zaczekać, jeszcze nie skończyłam”. Patrzy na mój rysunek i widzi, że jest dokończony, ale nie odzywa się, przechodzi do następnej osoby, podczas gdy chowam swoje dzieło do teczki.

Patrzę na wystawione szkice. Morze twarzy – ważnych dla poszczególnych uczniów. Niektórzy przypuszczalnie narysowali mamę czy tatę, brata albo siostrę, przyjaciół. Jest też jeden pies.

U mojego boku staje pani Ali.

– Daj mi obejrzeć – mówi rozkazującym tonem i otwiera moją teczkę. Wpatruje się w portret Bena i unosi brew.

Oblewam się rumieńcem, a ona przygląda się badawczo rysunkowi.

– Udana podobizna Bena – stwierdza w końcu.

Jest lepsza niż udana. Nie tylko wygląda jak on – chodzi o jego oczy. Są nim,

takim nim, którym nie chcę się dzielić. W taki sposób patrzył na mnie wczoraj, tuż przed tym, gdy mógł mnie pocałować, a ja się odsunęłam. Zanim mu powiedziałam o zaginionych osobach i o Lucy. Zanim p o b i e g ł.

Idziemy już przez salę do drzwi, kiedy Gianelli wieszka własne dzieło. Nigdy dotąd tego nie robił, nie pokazywał nam swoich rysunków. Wszyscy obecni jeszcze w klasie podnoszą wzrok i zapiera im dech w piersi: to Phoebe. Uchwycił taki jej aspekt, jakiego nie znałam. Na portrecie nie ma gniewu. Jej twarz, sposób, w jaki stoi – wszystko wyraża ogromny smutek. Jest sama. Oczywiście pani Ali robią się zimne, gdy kobieta wpatruje się w nauczyciela.

Na przerwie śniadaniowej idę na bieżnię, obawiając się na nią spojrzeć. Boję się, co to by mogło oznaczać, gdybym go nie znalazła. Ben zawsze przychodzi tu o tej porze. Czy dziś będzie?

Przeszukuję wzrokiem bieżnię. Deszcz ustał, widać kilku rozproszonych biegaczy. Większość rozpoznaję z treningu, ale nie ma wśród nich tego, którego szukam. Obejmuję się ramionami, patrzę na tamtych przez chwilę. Próbuję nie myśleć. Gdzie on się może podziewać?

Odwracam się i wpadam prosto na Bena.

– Ostrożnie – mówi i wyciąga ręce po bokach moich ramion, żebym nie upadła.

– Gdzie byłeś?

Wzrusza ramionami.

– Tutaj. Gdzie niby?

– Nie było cię na biologii.

– Nie, spóźniłem się. Miałem wizytę u lekarza, a w drodze powrotnej mama złapała gumę. – Brwi mu się unoszą w zdziwieniu.

– Mogłeś mi powiedzieć! – Odpycham go i ruszam z powrotem do szkoły. Tak się o niego martwiłam, a on miał jakąś głupią wizytę.

– No, skąd mogłem wiedzieć, że złapiemy gumę? – Jego rozsądny ton wpędza mnie w jeszcze większą złość. Ben idzie za mną, zahacza swój mały palec o mój i trzyma mocno. – Co jest nie tak?

Gniew wyparowuje i oczy napęniają mi się łzami. Mrugam.

– Myślałam, że coś ci się przytrafiło.

– Martwiłaś się o mnie? – I Ben się uśmiecha, najwyraźniej bardzo z tego zadowolony.

Ale zanim się zdecyduję, czy mam go walnąć, czy przytulić, rozlega się... „bzzz” na moim nadgarstku. Wzdycham z irytacją. Ben łapie mnie za rękę

i oboje widzimy: 3,9.

– Chodź. – Ciągnie mnie z powrotem na bieżnię. – Zobaczymy, czy dziś dotrzymasz mi kroku. Wczoraj trochę się wlokłaś.

Wlokłam się?! Wpadam na bieżnię przed nim i przelewam całą energię w nogi, w stopy. I jeszcze raz, i znów. Ben mnie powoli dogania, ale nie prześciga. Może celowo się powstrzymuje? Przyśpieszam, aż nic już nie pozostaje. Stopniowo wysuwam się na prowadzenie i czuję chłodne wrażenie satysfakcji. T a k w ł a ś n i e p o w i n n o b y ć...

Kiedy zatracam się w biegu, jakaś niewielka cząstka mnie czuje rozbawienie. Czemu się tak złościłam na Bena? To przecież nie było rozsądne. Pogubiłam się po wczorajszym dniu, po tym, jak powiedziałam mu o Lucy, a on od razu pobiegł i potem ze mną o tym nie rozmawiał. Ale jeżeli choć trochę jesteśmy do siebie podobni, musiał to przetrwać. I spodziewał się, że zdąży na biologię, więc nie było powodu, żeby mnie o czymś powiadał. Mam ochotę pośmiać się sama z siebie.

Ale nie mogę. Ponieważ jest tutaj problem z gatunku poważnych. Taki, z którym nie chcę się zmierzyć.

Kim jest dla mnie Ben?

Gdy się zatrzymujemy, widzę Fergusona. Stoi przy siłowni ze stoperem w ręce i lekko potrząsa głową. Przechodzimy koło niego.

– Cholerny rekord. Jaka szkoda – mruczy trener pod nosem, wciąż potrząsając głową.

– Co miał na myśli? – pytam, zanim Ben zdąży mnie o cokolwiek zagadnąć.

– Nie wiem na pewno. Domyślam się, że pobiliśmy rekord bieżni.

– Ale to chyba dobrze, nie?

Nieważne, co było motywacją do takiego biegu, nieważne, że trudno byłoby to powtórzyć w innym stanie umysłu niż mój przed chwilą.

Ben wzrusza ramionami.

– Pewnie. Jeśli lubisz pobijać rekordy.

– A powiedział: „Jaka szkoda”.

– Jasne. Bo nie możemy startować w zawodach.

Staję jak wryta.

– Jak to?

– Zresetowani nie mogą być w szkolnych drużynach; dobrze o tym wiesz.

I gdy to mówi, uświadamiam sobie, że faktycznie, wiem. W jakiś sposób mnie o tym kiedyś poinformowano. Ale nie połączyłam tego zakazu z biegiem

przełajowym.

– Czemu w takim razie pozwala nam trenować? Jaki w tym sens?

Ogarnia mnie gniew, ale po biegu poziom na szczęście trzyma się wysoko.

Ben wzrusza ramionami.

– W zeszłym roku zapytałem, czy mogę z nimi trenować. Zobaczył, jak biegam, i zgodził się. Przypuszczam, że to samo dotyczy ciebie. Trenuję z drużyną i chyba o to chodzi, że podnoszę poprzeczkę.

– Nie złości cię to? Jesteś najlepszy... albo może ja jestem... i nie możemy startować w zawodach. To nie fair.

– Może ja jestem, może ty, może po prostu pozwoliłem ci dzisiaj prowadzić – drażni się ze mną Ben. Widzę, że ta sprawa tak naprawdę zupełnie go nie rusza.

Ale zamiast zezłościć się bardziej, zapadam się w sobie. Czuję się jak Phoebe na rysunku Gianelliego: odsunięta od innych, samotna. Nawet Ben, mimo że chce dociec, co się przydarzyło Tori, zdaje się nie zauważać, jak toczą się sprawy, jakie to wszystko niesprawiedliwe.

Pyta, czy znowu chcę potrenować w czwartek przed spotkaniem Grupy. Trenować? Po co? Mówię jednak, że chcę, akurat w momencie, gdy odzywa się dzwonek na lekcję.

Wyglądam okropnie – włosy mam mokre i przyklejone do głowy, ubranie przylgnięte do pleców, a przy tym zabrakło mi czasu, żeby wziąć prysznic. Nikt nie zechce siedzieć koło mnie na angielskim.

A więc tu też nic się nie zmienia.

Pani Ali dopada mnie pod koniec dnia. Uśmiecha się jak zawsze łagodnie, spogląda ciepło. Po plecach przechodzi mi zimny dreszcz.

– Kylo, moja droga, musimy porozmawiać.

Zostajemy w sali, inni uczniowie już wyszli. Mój nauczyciel angielskiego spostrzega panią Ali, mamrocze coś o herbacie i też zmierza do wyjścia.

– Jak ci się układa, moja droga?

– Świetnie – odpowiadam, wierząc się żałośnie w mokrych ciuchach, które po wyparowaniu ciepła pozostałego z biegu zrobiły się naprawdę zimne.

– Rozumiem. Czy masz jakieś problemy, z czymś sobie nie radzisz?

– Nie – kłamię.

– Cóż, posłuchaj. Widzę potencjalny problem. Chodzi o ciebie i twojego przyjaciela Bena.

Sztywnieję, niewygodnie mi na siedzeniu.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

- Moja droga, dopiero co wyszłaś ze szpitala. Jak dawno temu, trzy tygodnie?
- Dwadzieścia dwa dni.
- Zatem nieco ponad trzy tygodnie. Cóż, wiem, że Ben to przystojny chłopiec, i wszystko na to wskazuje, że porządny.
- Oblewam się rumieńcem, widząc, do czego to zmierza.
- Wiesz jednak, moja droga, że musisz się skupiać na szkole, na rodzinie, na integrowaniu się ze społecznością. Nie na chłopcu.
- Jasne – mówię. – Mogę już iść?
- Pani Ali wzdycha.
- Kyla, mam także świadomość, że nadmierny wysiłek fizyczny jest sposobem na zamaskowanie efektów monitorowania twojego Levo. W przyszłości masz nie biegać z Benem na szkolnej bieżni podczas przerwy śniadaniowej. Czy to jasne?
- Jak słońce.
- Możesz iść.

Oszołomiona idę do samochodu Jazza. Bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek przedtem. B e n. Czuję ukłucie. Rozumiem, że odtąd nieczęsto będę się z nim widywać w szkole. Jeśli chodzi o bieganie, skoro nie mogę należeć do szkolnej drużyny, i tak nie ma po co się trudzić. Choć nie wspomniała o niedzielnych treningach. Może o nich nie wie.

Czy jej problem polega na tym, że się spotykam z Benem? Czy raczej na „nadmiernym wysiłku fizycznym”? W szpitalu pielęgniarki doradzały, żebym ćwiczyła na stacjonarnych bieżniach, ponieważ to dobry sposób na utrzymanie wysokiego poziomu. Czy pani Ali chce, żebym się załamała?

Auto Jazza nie jest zaparkowane w zwykłym miejscu, dostrzegam je z przodu. Stoi w kolejce do wyjazdu, ale samochody ani drgną. Co się dzieje? Jazz i Amy wysiadają, widząc, że się zbliżam.

- Gdzie byłaś? – pyta mnie siostra.
- Zatrzymała mnie pani Ali.
- Amy wzdryga się.
- Wszystko w porządku?
- Gites – odpowiadam i chcę jeszcze coś dodać, ale moją uwagę odciąga Jazz.
- Widzę, że mnie nie słucha. Oczy ma utkwione w czymś za nami, uśmiech spęła z jego twarzy, a gdy się chcę odwrócić, otacza nas obie ramionami i popycha do wozu.
- Wskakujcie, już – mówi, szarpiąc drzwi.

Wsiadam i odwracam się, żeby spojrzeć przez okno. Ścieżką obok parkingu przechodzi Gianelli z Lorderami po obu stronach. Kolejny strażnik eskortuje go z tyłu. Zmierzają do czarnego furgonu zaparkowanego przy szkolnych autobusach, blokującego im wyjazd. Gianelli potyka się, jeden z Lorderów szarpie go za ramię i podciąga w górę, żeby szedł dalej.

Żaden z autobusów jeszcze nie odjechał, mimo że minęła ich pora. Uczniowie czekają, ale drzwi pojazdów są zamknięte.

Dokoła w zatoczkach autobusowych stoją rozproszeni Lorderowie. W czarnych kamizelkach. Uzbrojeni. Kilkunastu. I może z tysiąc uczniów.

Wszyscy patrzymy, jak Gianelli – staruszek, artysta, który się postawił i na swój sposób wyraził protest – zostaje wepchnięty do furgonetki. Nauczyciel uderza głową w dach, pada, a jeden z Lorderów pogania go kopnięciem ciężkiego buta. Drzwi się zatrzasują.

Nikt nic nie robi, nikt nic nie mówi.

Ja też nie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Ciekawe, co zrobił. Na pewno coś złego. – Amy najwyraźniej jest tym faktem zafascynowana i w najmniejszym stopniu nie zaniepokojona. – Czy to nie był twój nauczyciel plastyki?

– To j e s t mój nauczyciel plastyki – odpowiadam.

– No, nie sądzę, żeby był nim dalej. Nigdy jeszcze nie wyprowadzili nikogo w taki sposób, przy wszystkich, prawda?

– Nie chcę o tym rozmawiać! – mówię, ale moja siostra nalega.

– Daj spokój. Na pewno coś słyszałaś. P o w i e d z nam.

– Dość, Amy – ucina Jazz.

Moja siostra wygląda na zaskoczoną.

– A co ty masz do tego? – dziwi się.

Przyśpieszam i zostawiam ich w tyle. Gdy przyjechaliśmy do domu, zostałam wmanewrowana w spacer z nimi dwojgiem, mimo że chciałam pobyć sama w swoim pokoju. Mama stwierdziła, że nie mogą iść we dwoje, dlatego wysłano mnie na doczepkę.

Ale nikt nie powiedział, że nie wolno nam iść w pewnej odległości od siebie, prawda? Pędzę do przodu, potrzebując prędkości, biegu. To ta sama ścieżka, którą poszłam na swój pierwszy spacer z Amy i Jazzem trzy tygodnie temu. Naprawdę tylko trzy tygodnie? Wydaje się z n a c z n i e dawniej. Tamtego dnia wszystko było dla mnie cudowną nowością: zagajnik, drzewa, świeży zapach zieleni. Wtedy nic nie wiedziałam o Lorderach, nie znałam Bena. Nie miałam pojęcia o zaginionych ludziach. Lista rzeczy, których dopiero miałam się dowiedzieć, była t a k a długa. A może jest nadal?

Nie mogę się pozbyć widoku tamtej sceny, gdy głowa Gianellego uderzyła o dach samochodu i nauczyciel osunął się na ziemię. Tamten Lorder kopnął go jak worek ziemniaków. A wszystko dlatego, że Gianelli narysował Phoebe. Teraz jest zaginiony tak jak ona. Tak samo jak Tori. Dokąd go zabrali? Dokąd zabierają ich wszystkich?

Biegnę do punktu widokowego, zbiegam do połowy, po czym zaczynam się wspinać z powrotem. Pomimo ciemnych myśli poziom Levo jest bezpiecznie zamaskowany nadmiernym wysiłkiem fizycznym.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego wzięli Gianellego. Przecież tylko narysował Phoebe. Nie było sekretem, że Lorderowie ją zabrali. Wydarli ją z sali na oczach

całej klasy, prawda?

A nauczyciela plastyki nie mogli już wywieźć bardziej publicznie; nie ukrywali tego, co z nim robią.

W środku odzywa mi się szept: „Może właśnie o to chodziło”.

Minuta ciszy ku czci Phoebe, rysowanie kogoś, na kim nam zależy, i to, że on sam narysował akurat ją. To wszystko razem mówiło, że dziewczynę spotkało coś złego. Musiał ponieść karę za to, że się nie zgadzał z działaniem władzy. To, co zrobili na oczach wszystkich uczniów, krzyczało jasno i dobitnie, bez słów: „To my tutaj rządzymy. Nikt nam nie podskoczy”. Jaki byłby w tym sens, gdyby zrobili to po kryjomu?

– Cześć, Resetnięta.

Podskakuję. Tak byłam zaabsorbowana swoimi myślami, że nie zwracałam uwagi na otoczenie. Stopy z powrotem zaniósły mnie do punktu widokowego, ale tym razem nie jestem tu sama.

O drzewo opiera się jakiś mężczyzna, mając dobry widok na ścieżkę. Stoi w cieniu, lecz jest na tyle widoczny, że zobaczyłabym go, gdybym patrzyła przytomnie, zamiast bujać w obłokach. Rumienię się, gdy dociera do mnie, że mógł mnie obserwować od dawna, a ja przeszłam obok niego jak śnięta. Teraz oddziela mnie od Jazza i Amy.

– Nie przywitasz się? – Uśmiecha się i nie jest to miły uśmiech. Tłuste włosy, niezdrowa cera, zbyt blada, a jednocześnie na nosie i policzkach pokryta czerwonymi plamami. Nie wygląda na człowieka spacerującego dla zdrowia. Jego twarz zdaje mi się znajoma, ale kim on jest...? A, tak – murarz. Gapiłam się, jak budował mur ogrodowy we wsi, a potem miałam koszmary ze wznoszeniem wieży.

– Co to za szczęśliwy traf, że się spotykamy – ciągnie mężczyzna. – Chciałem z tobą pogadać. Chodź tutaj i siadaj.

Sposób, w jaki wymawia „traf”, podpowiada mi, że wręcz przeciwnie – nie ma w tym żadnego przypadku. Czy ten typ śledził nas, szedł za nami?

Siada na pniu, na którym odpoczywali Amy i Jazz, kiedy byli tu ze mną ostatnio. Nie ruszam się, wypatruję ich na ścieżce. Czy nie powinni już się zjawić?

– Nie gryzę – mówi murarz i znów się uśmiecha. – Chcę tylko porozmawiać z tobą o mojej bratanicy. Myślę, że ją znałaś: Phoebe Best.

– Phoebe? Wie pan, gdzie ona jest? – pytam i robię krok w jego stronę.

– Podejdz. Siadaj, to ci powiem. – Poklepuje pień obok siebie.

Waham się, potem przysiadam na samym końcu pnia, jak najdalej od tego

mężczyzny.

– No, wiesz chyba, że trzeba być bliżej, żeby mówić o takich rzeczach. Nie będę przecież krzyczał, co? Te drzewa mogą mieć uszy, he, he. – Śmieje się i spluwa na ziemię.

Przysuwam się odrobinę.

– Tak lepiej.

– Czy Phoebe ma się dobrze?

– Jedną chwilę. Chcę najpierw o czymś pogadać.

– O czym?

– To był twój kot.

– O co panu chodzi?

– Dzień, zanim zniknęła, podrzuciłem ją do weterynarza z jakimś kotem. Zawsze przygarniała przybłądy albo leśne zwierzaki, żeby się nimi opiekować. Szurnięta dziewczucha.

Nie odzywam się, tylko znów zerkam na ścieżkę. Gdzie oni się podziewają?

– No, Phoebe powiedziała mi, że to kot jakiejś resetniętej szmaty, z którą zamieniła kilka słów, choć jej mówiłem, że to niebezpieczne. I z jakiegoś durnego powodu chciała jej tego kota oddać. A następnego dnia nie wróciła ze szkoły. No, wiesz coś o tym?

Zrywam się na równe nogi.

– Gdzie lecisz? Nie chcesz porozmawiać o Phoebe?

Mój instynkt krzyczy: „Wiej!”. Ale jakaś spokojna cząstka mnie każe mi stać i czekać. Chce usłyszeć, co tamten ma do powiedzenia.

– Miła była dla mnie. A teraz jej nie ma. To twoja wina. Powiedziałaś coś Lorderom, a oni...

– Nie! Nic z tych rzeczy! – krzyczę. „Wiej!”. Odwracam się i pędzę ścieżką w dół. Słyszę i czuję za sobą ruch – on mnie ściga.

Dopadam pierwszego zakrętu, gdy dobiegają mnie głosy – Amy i Jazz są blisko. N a r e s z c i e. Wychodzą zza zakrętu ze splecionymi rękami. Najwyraźniej kłótnia, jeśli jakaś była, jest już za nimi. Mało na nich nie wpadam. Jazz zatrzymuje mnie, chwytając za ramię. Czuję, że mam rozszerzone oczy. Chłopak marszczy brwi.

– Wszystko w porządku, Kyla? – pyta i spogląda w stronę, z której przybiegłam.

Obracam się na pięcie, ale nikogo tam nie ma.

Amy bierze mnie pod ramię.

– Przepraszam, że nadawałam na Gianellego. Jazz mi wyjaśnił, że martwisz

się z jego powodu. – Stara się być miła, widzę jednak, że nie bardzo rozumie, co mówi.

Jazz patrzy na mnie z zaciekawieniem. Na pewno coś zauważył, ale o nic nie pyta, pozwala Amy trajkotać. Schodzimy ścieżką z powrotem do wsi. W miejscu, gdzie szlak łączy się z drogą, stoi zaparkowany dostawczak z napisem „Buduj z nami” na boku. A za kierownicą siedzi on: wujek Phoebe. Okno jest opuszczone. Murarz puszcza do nas oko i pogwizduje, kiedy przechodzimy.

– Kto to jest? – pytam.

– Ta zmarnowana przestrzeń to Wayne Best – odpowiada Jazz. – Trzymaj się od niego z daleka, to świr.

Z tej rady na pewno skorzystam.

Nareszcie dom. Amy biegnie do środka, żeby zapytać, czy Jazz może zostać na obiedzie. Gdy ruszam za nią, chłopak zatrzymuje mnie, chwytając za ramię.

– Co? – niecierpliwie się, spodziewając się pytania o to, co mnie wystraszyło w lesie, a na to nie bardzo wiem, co powiedzieć.

Jazz czeka, aż drzwi się zamkną.

– Mac chce się z tobą widzieć – mówi ściszym głosem. – W poniedziałek. Pojedziemy do niego po szkole i wezmę Amy na spacer jak poprzednio. W porządku?

Ale zanim zdążę choćby pomyśleć o odpowiedzi, Amy otwiera drzwi. Potrząsa głową.

– Mama mówi, że nie dziś. Innym razem.

Jazz wygląda, jakby mu ulżyło, że nie musi zostawać. Moja siostra nie zauważa tego. Jak może nie widzieć rzeczy tak oczywistych, dziejących się na jej oczach? Idę do domu, żeby się mogli pożegnać.

– Jak było dzisiaj w szkole? – zagaduje mama ogólnie, nakładając jedzenie na talerze. Jako że tato nie chodzi do szkoły, przypuszczam, że spodziewa się odpowiedzi ode mnie lub Amy.

Patrę na siostrę, mając nadzieję, że wypełni przestrzeń. Lecz ona tylko wzrusza ramionami, rozdrażniona – pewnie dlatego, że Jazz nie został zaproszony na obiad.

Tato niesie talerze na stół.

– Żadnych historii do opowiedzenia? Dzień był dobry czy zły? Zdarzyło się coś interesującego, niezwykłego?

Kładzie talerz przede mną i odnoszę dziwne wrażenie, że tato w jakiś sposób wie, przynajmniej częściowo, o tym, co zaszło dziś po południu.

Spoglądam na Amy, błagam ją wzrokiem, żeby coś powiedziała, cokolwiek. Ale się nie odzywa. Wzdycham.

– Mojego nauczyciela plastyki zabrali Lorderowie.

Mama zachłystuje się powietrzem, siada.

– Bruna Gianellego? – upewnia się.

– Tak. – Podnoszę na nią wzrok zaskoczona. – Znałaś go?

– Jest starszy, niż wygląda. Był moim nauczycielem plastyki, kiedy chodziłam do szkoły. Wspaniały z niego malarz i dobry... – Urywa w połowie zdania. – No, to było dawno temu. Kto wie, jaki jest teraz.

„Był” – poprawiam ją w myślach. I przeraża mnie, że pomyślałam o nim w czasie przeszłym. Chyba nie odszedł na zawsze?

– Co z nim będzie? – pytam.

Mama i tato wymieniają spojrzenia. Mama wstaje i zaczyna się krzątać przy kuchence.

– To, zdaje się, zależy od tego, co zrobił. Nie przejmuj się tym – odpowiada tato.

Później, wieczorem, gdy wreszcie jestem w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, zwijam się w kłębek na łóżku wokół Sebastiana. Kot mruczy. Próbuje przetrwać wszystko, co się dziś zdarzyło, uporządkować to, żeby miało sens, ale nie potrafię, a nie umiem przestać o tym myśleć.

Jedyne rozwiązanie? Ołówek, papier. „Narysujcie coś, co wywołuje wasze uczucia, dobre czy złe”.

Lewa ręka. Gorączkowe szkicowanie; jeszcze raz, i jeszcze, do białego rana. Zaginieni: Tori, Phoebe, Lucy, Gianelli. I Robert – prawie brat, którego nigdy nie spotkałam – sprzed tych wszystkich lat.

Kierowca naciska klakson. Nie wiem czemu. Nigdzie nie pojadą, to korek.

Ładna jasnowłosa dziewczyna z tyłu autobusu siedzi z głową opartą na ramieniu chłopaka. Otoczył ją ramieniem. Tych dwoje nie martwi się opóźnieniem w podróży. Inni są niespokojni. Kilkoro czyta książki. Paru starszych chłopaków dokucza młodszemu koledze. Dziewczyny rozmawiają o chłopcach, chłopcy o dziewczynach, a mniej towarzyscy gapią się przez okna.

Krzyczę do kierowcy:

– Zrób coś! Otwórz drzwi! Wypuść ich!

Ale on nie ma pojęcia, co się zaraz stanie. Nie słyszy mnie.

Ładnej dziewczynie robi się zimno. Jej chłopak wstaje, idzie do swojego

siedzenia na przodzie, żeby z górnego schowka przynieść jej kurtkę.

I wtedy to się dzieje: gwizd, błyska światło, wstrząs. I zaczynają się wrzaski.

Duszący dym; skrwawione ręce bębniące od środka w okna, które się nie otwierają; znowu krzyk. Jednak chłopak od tej dziewczyny, która była ładna, nie krzyczy. Otacza ją ramionami, lecz jest za późno, by jej powiedzieć, że ją kocha. Dziewczyna nie żyje.

Kolejny gwizd; błysk; eksplozja. W boku autobusu zionie dziura, ale hałas ucicha. Chłopaka ze względów bezpieczeństwa odciągają od dziewczyny – dołącza do kilku ocalałych. Wśród wrzasków.

Przyciskam ręce do uszu, ale wciąż słychać krzyk.

Dopiero po chwili dociera do mnie.

Że to ja.

– Ciii. To tylko sen.

Miotam się, a potem uświadamiam sobie, gdzie jestem. W łóżku, w domu – przynajmniej w jego obecnej wersji – i to nie Amy mnie obejmuje, tylko mama. Moja siostra pojawia się w drzwiach, ziewa i wraca do siebie. Mama pewnie się obudziła i była tu przed nią.

Moje Levo wibruje: 4,4. Nie bardzo nisko, ale czuję strach, smak krwi. Wciąż mam to przed oczami. To byli Robert i Cassie – ta ładna – moja podświadomość musiała przenieść ich twarze ze zdjęcia, które pokazał mi Mac.

Po całym łóżku poniewierają się kartki z moimi rysunkami. Mama wygląda je, nic nie mówiąc, i zaczyna składać na stosik. Aż trafia na portret Gianellego.

Narysowałam go takiego, jaki był w klasie – stoi w prowokującej pozie przed swoim portretem Phoebe, zrobiłam więc rysunek w obrębie rysunku. Phoebe to jego Phoebe, samotna dziewczyna, której nigdy nie poznałam.

Mama spogląda na nauczyciela z wielkim smutkiem. Przytomnieję na tyle, żeby pozbierać resztę szkiców, zanim zobaczy, że narysowałam też Roberta i Cassie. Mama dotyka twarzy Gianellego.

– Co ty najlepszego zrobiłeś? – szepcze do portretu. Potem zwraca się do mnie: – Jesteśmy teraz same, to musi zostać tylko między nami. Co się przydarzyło Gianellemu? Widzę, że wiesz. Twoja twarz wszystko zdradza. Musisz się nauczyć ukrywać emocje, jak reszta ludzi. Ale proszę, powiedz mi.

Więc opowiadam: o rudziku i o tym, co nam mówił Gianelli. O minucie ciszy i o tym, jak narysował Phoebe, tak samo jak ja teraz.

– Głupi, kochany staruszek. Pomyśleć, że sprawy tak źle się mają. Zabrali go za taką błahostkę – mówi mama. – A teraz posłuchaj, Kyla. Wiem, uwierz

mi, jak bardzo wytrąca cię to z równowagi. Jak trudno to zrozumieć. Ale musisz się nauczyć ukrywać wszystko w sobie, w środku. Inaczej nie przetrwasz długo. Nie chcę, żeby mi cię zabrali. Obiecuj, że się postarasz, co?

Zatem obiecuję. Co mogę zrobić innego? I moje przyrzeczenie jest szczere.

– Zniszczę to – zapowiada mama, trzymając portret Gianellego. – Są jeszcze jakieś, podobne? – Patrzy na stosik kartek. Ale jeśli zobaczy twarz Roberta, co zrobi? Chce to zatrzymać „między nami”, nie jestem pewna, jak zareaguje na Maca. – Daj mi obejrzeć. – Wyciąga rękę.

Lecz w tym momencie na schodach rozlegają się kroki. Ciężkie, schodzące z góry. Mama wsuwa Gianellego i pozostałe rysunki pod moją pościel. Otwierają się drzwi pokoju. Staje w nich uśmiechnięty tato.

– Wszystko w porządku?

Mama odwraca się do niego.

– Już dobrze. Mały koszmarek, nic wielkiego. Prawda, Kyla?

– Tak, już mi lepiej – potwierdzam.

Tato nie rusza się od drzwi. Czeka na mamę?

Sebastian wślizguje się do pokoju i wskakuje na łóżko. Kręci się w kółko po kocu, pod którym są ukryte kartki. Papier szeleści przy tym cicho. W końcu Sebastian sadowi się, głaszcząc go i zaczyna mrużyć. „Gdzie byłeś, kocie, kiedy cię potrzebowałam?”. Mama gasi lampkę nocną, wstaje i wychodzi. Odwraca się do mnie w drzwiach.

– Postaraj się teraz przespać – mówi. Ale jej oczy wyrażają co innego: „Zniszcz te rysunki”.

Myślę o tym przez chwilę. Potem ukrywam je. Dywan odstaje trochę pod oknem. Podnoszę go i wsuwam kartki pod spód.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- To nie fair – upiera się Amy z rękami na biodrach.
Zawiązuję sobie sznurówki. Zaraz tu będzie Ben.
- Pewnie masz rację, to nie fair – przytakuje mama, a mnie zaczyna wypełniać strach.
„Zamknij się” – daję siostrze sygnał oczami, ale do niej to nie dociera.
- Nie pozwalasz mi, żebym chodziła na spacer z Jazzem, a Kyla może biegać z Benem?
– Nie chodzimy ze sobą, tylko b i e g a m y, a potem razem idziemy na Grupe – przypominam. – I jest po prostu moim przyjacielem.
„Czyżby?” – zastanawiam się w duchu.
- Cóż, Amy zwróciła uwagę na ważną rzecz – stwierdza mama, ale odwraca się od starszej córki i puszcza do mnie oko z psotnym wejrzeniem. Potem kieruje się do mojej siostry. – Wiesz co, może pobiegasz z nimi?
Amy aż się cofa.
- Biegać? Ż a r t u j e s z chyba? – I odmaszerowuje na górę.
- Będziesz na siebie uważać? – pyta mama, zapinając mi kurtkę pod samą szyję.
– Oczywiście.
- Widać, że masz wątpliwości.
- Naprawdę?
- Kyla, powinnaś w najbliższej przyszłości poćwiczyć przed lustrem twarz pokerzysty.
- Co to jest twarz pokerzysty? – Tym pytaniem próbuję odciągnąć ją od tamtych wątpliwości.
- Poker to gra karciana. Starasz się zachować jak najbardziej neutralną minę, żeby inni gracze nie zorientowali się po niej, jakie masz karty.
Odsuwam zasłonę, żeby wyjrzeć przez okno. No, przyjdź już, Ben. Choć raz bądź o czasie.
- I odpowiadając na twoje niezadane pytanie: jesteś inna niż Amy. To dziwne, ale ufam ci, kiedy wybierasz się pobiegać z Benem. I nie ufam jej osądowi co do Jazza. Rozumiesz?
Dzwoni telefon i mama idzie odebrać. Najwyraźniej czasem widzi więcej, niż mi się wydaje; więcej, niż rozumie Amy. To prawda, że moja siostra ze swoim

chłopakiem wciąż się przytulają, chodzą ze sobą za rękę, całują się, a Ben i ja nie robimy tego. Ale oni też nie robią tego przy niej, więc skąd może wiedzieć?

Pani Ali widzi sprawy inaczej. Odkąd zabroniła mi biegać z Benem w przerwie śniadaniowej, przez cały tydzień prawie z nim nie rozmawiałam, a każdy dzień, w którym choć przez chwilę nie byliśmy razem, wydaje mi się stracony. Rzecz jasna, pani Ali widziała mój rysunek Bena, a mama nie. I nie zobaczy, bo wepchnęłam go razem z innymi pod dywan.

Znowu zaglądam za zasłony i tym razem Ben biegnie ulicą – nareszcie.

– Cześć, mammo! – wołam i wymykam się z domu.

Jak zwykle od razu puszczamy się szybkim biegiem. Oprócz krótkiego „cześć” nic nie mówimy. Nadmierny wysiłek fizyczny – czy właśnie o to chodzi? Uwielbiam tupot stóp na asfalcie, ucieczkę w inne miejsce, gdzie wszystko, co się liczy, to pęd i jeszcze szybszy pęd. Nogi Bena, dłuższe od moich, wybijają wolniejszy rytm, więc jego „tup, tup” i moje „pac, pac” mieszają się, tworząc znajomą rozpedzoną muzykę, przynoszącą ukojenie po kilku ostatnich dniach.

W szkole dziwnie było po tym, jak Gianelli odszedł. Nie podchwyciłam nawet szeptów, a przecież gdy zniknęła Phoebe, wszyscy o tym gorączkowo mówili. Tym razem sprawę spowija cisza. Może to dlatego, że każdy sam widział, co spotkało nauczyciela plastyki, więc nie ma potrzeby przekazywania półprawd i domysłów. Nikt nie zastąpił Gianellego, lekcje plastyki zawieszono do odwołania, a dla mnie takie okienko oznacza Oddział, gdzie jedynym przyjętym zajęciem jest odrabianie lekcji.

Zaczynam zwalniać. Zazwyczaj Ben to robi, żeby porozmawiać. Ale tym razem sama mam kilka spraw na rzeczy.

Ben nic na to nie mówi. Wytraca tempo tak jak ja, lecz nie zadaje żadnych pytań, jak to zwykle robił. Właściwie przez cały tydzień prawie się do mnie nie odzywał. Rozmyślałam o tym, co i jak mu powiedzieć, ale gdy teraz na niego patrzę, zwalniając do marszu, nie znajduję właściwych słów.

– Jesteś na mnie zły? – pytam.

– Co?

– Słyszałeś. Nie odzywałeś się przez cały tydzień, od niedzieli.

– Nie bądź niemądra. Jasne, że nie jestem zły – odpowiada, ale wygląda na rozzłoszczonego.

Zatrzymuję się.

– O co chodzi? Zrobiłam coś nie tak?

Przeciąga sobie ręką po włosach.

– Kyla, nie wszystko, co związane z tobą, jest takie samo jak było, nie?

Najeżam się, cofam o krok. Odczuwam to jak policzek.

– Więc co do mnie masz?

– Ciii – ucisza mnie i uświadamiam sobie, że podniosłam głos. Ben bierze mnie za rękę, splata palce z moimi. Przejeżdża samochód, Ben rozgląda się. Nikogo w zasięgu wzroku. – Chodź – mówi i ciągnie mnie w cień po drugiej stronie ulicy.

Jest tutaj ścieżka, słabo widoczna w ciemności. Prowadzi do metalowej furtki, połyskującej lekko w poświacie księżyca. Dalej rozciągają się pola. Droge zostawiliśmy za sobą, dźwięki i światła przejeżdżających samochodów są od nas oddalone.

Ben zatrzymuje się i opiera o furtkę, jego twarz tonie w cieniu.

– Ciche słowa nocną porą – szepcze. Obejmuje mnie w tali i sadza na murku, tak że nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości, a on wciąż mnie otacza ramieniem. Oczy przyzwyczajają mi się do ciemności i widzę, że Ben ma t e n wyraz twarzy. Jak wtedy, podczas deszczu, kiedy myślałam, że mnie pocałuje. To spojrzenie narysowałam na ostatniej lekcji u Gianellego, a potem ukryłam pracę.

Ben nachyla się szybko – tak szybko, że nie mam czasu zareagować – i całuje mnie lekko w policzek.

– Nie jestem na ciebie wściekły, Kyla – mówi mi prosto do ucha, a od jego słów przechodzą mnie dreszcze po karku. Żołądek mi się przewraca, ręka bezwiednie zaczyna wędrować do jego twarzy, dotykać jego ust...

Ben potrząsa głową i odsuwa się z żalem w oczach.

– Musimy porozmawiać – oznajmia. – Nie mamy dużo czasu.

Moja ręka opada z powrotem.

Ale on znów się opiera o furtkę w cieniu i nie odzywa się. Liście szeleszczą na wietrze, murek pode mną jest lodowaty, a ponieważ przestałam biec, na ramionach i nogach wyskakuje mi gęsia skórka. Drzę.

Ben przysuwa się bliżej i bierze moje dłonie w swoje.

– Brakowało mi naszego wspólnego biegania na przerwach – mówi. Zdążyłam mu przekazać, że zakazano mi korzystania ze szkolnej bieżni.

– Mnie też.

– Brakowało ci mnie?

– Brakowało mi biegu! – wołam cicho, a on unosi brew. – I ciebie – przyznaję.

Ben uśmiecha się szeroko i widzę, że wiedział, doskonale. Chciał jednak,

żebym to powiedziała.

– No, rozumiem, że może brakować biegu. Dopiero gdy jestem w pełnym pędzie, mogę się jakoś skupić, przemyśleć sprawy. – Marszczy brwi. – Ale wszystko, co mi powiedziałaś w niedzielę... nawet podczas biegu nie chce się ode mnie odczepić.

W uszach rozbrzmiewają mi echem słowa pani Ali: „nadmierny wysiłek fizyczny jest sposobem na zamaskowanie efektów monitorowania twojego Levo”. I uświadamiam sobie, że ostatnio widuję Bena takiego, jaki jest teraz – innego niż tamten uśmiechnięty Zresetowany chłopak, którego na początku poznałam – wyłącznie po biegu. Jakby bieg go w y z w a l a ł.

Ben puszcza moje ręce, zostawia je zimne i puste, z powrotem opiera się o furtkę.

– I nie mogę przestać myśleć o tym, co się przydarzyło Tori.

Obejmuję się ramionami, żeby powstrzymać rodzący się we mnie ból. Tori jest duchem, który zawsze stanie pomiędzy nami. Potem potrząsam głową, żeby odgonić od siebie tę myśl. Nie, nie jest duchem! Niemożliwe! A może jednak?

– ...i o Phoebe, i o twoim nauczycielu plastyki, i wszystkich tych zaginionych. Tych ze stron internetowych, o których mi powiedziałaś. Na ile udało mi się zorientować, sytuacja się pogarsza. Jest coraz więcej zniknięć.

– No to jedź ze mną. Po szkole w poniedziałek. Sam zobaczysz. Sprawdzisz, czy jesteś na takiej stronie.

Złamana obietnica. Miałam nikomu nie mówić. Ale to nie jest byle kto. To Ben, ufam mu. Mimo wszystko jednak poczucie winy nie daje mi spokoju.

– W tym rzecz, Kyła, że nie chcę! Nie chcę wiedzieć.

– Nie rozumiem.

– C i e b i e zgłoszono jako zaginioną. Komuś na tobie zależy, chcą twojego powrotu. A co, jeśli mnie nikt nie potrzebuje i dlatego tu jestem? Tak jak to było z Tori: jej nowa mama stwierdziła, że już jej nie chce. A jeżeli moi prawdziwi rodzice po prostu mnie wyrzucili?

– Ale to tak nie działa. Żeby cię zresetowali, musiałbyś być aresztowany za coś i osądzony. – Jednak gdy wypowiadam te słowa, brzmią fałszywie. Zaczynam rozumieć skomplikowaną sytuację zaginionych dzieci, takich jak Lucy. Owszem, powinno być tak, jak mówię, lecz raczej nie zawsze sprawy toczą się tą drogą – nie, jeśli strony internetowe nie kłamią. Nie można przecież złożyć odwołania czy zażalenia o to, że się zostało Zresetowanym. Kiedy się dokonało, człowiek nic nie pamięta. A ktoś, kto został zgodnie z prawem skazany, w końcu nie jest zaginiony. Jego rodzice wiedzą, co się z nim stało.

– Zdaje się, że rozumiesz – mówi Ben.

Kiwam głową.

– Nie pomyślałam o tym w ten sposób.

– Czemu więc miałbym szukać? Co z tego przyjdzie dobrego? I tak nic nie pamiętam z poprzedniego życia. Nie jestem tą samą osobą. A moja obecna rodzina jest w porządku, właściwie nawet znacznie lepiej.

Uświadamiam sobie, że nic nie wiem o jego bliskich.

– Opowiedz mi – proszę.

Ruszamy z powrotem w stronę drogi, by zdążyć na spotkanie Grupy, i Ben opowiada mi o swoim tacie, nauczycielu w szkole podstawowej, który uwielbia grać na pianinie, oraz o mamie, która prowadzi mleczarnię i robi rzeźby z metalu, ale nie umie czysto śpiewać. Nie mogli mieć własnych dzieci. Po trzech latach spędzonych z nimi Benowi na nich zależy. Po co miałyby to burzyć?

Słucham jego opowieści, ale cząstka mnie zastanawia się nad tym, co powiedział na początku: „A co, jeśli mnie nikt nie potrzebuje?”.

Myślę, że owszem – ja go p o t r z e b u j ę.

Ale nie mówię tego na głos.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Dziś też Lorderowie przeszukują auta przy szpitalnej bramie. Kolejni dwaj pełnią straż w korytarzu przy gabinecie doktor Lysander. Skóra mi cierpnie, gdy ich mijam. Nie mogę się powstrzymać – patrzę na nich ze swojego siedzenia w poczekalni. Są czujni, to widać: reagują na każdy dźwięk i ruch w szpitalu. Ale na mnie zwracają mniej uwagi niż na maleńkiego pajęczka na ścianie. Zresetowana, niewarta nawet spojrzenia. Żadne zagrożenie.

– Wejdz! – woła w końcu doktor Lysander i pośpiesznie oddalam się od nich, zadowolona, że odgradzę się zamkniętymi drzwiami.

– Coś cię ściga? – zagaduje doktor z uśmiechem.

– Jasne, że nie.

Unosi brwi. Wzdycham.

– Jeżeli musi pani wiedzieć: ci Lorderowie przyprowadzają mnie o gęsią skórę.

– Kyla, powiem ci w tajemnicy, że mnie też.

Oczy mi się rozszerzają.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ale nie zwracam na nich uwagi, udaję, że ich nie ma. Jeśli ich nie zauważam, nie istnieją.

Mówi to ze spokojem i pewnością siebie, jakby tym niezwracaniem uwagi mogła sprawić, że cała ludzkość zniknie. Stanie się zaginiona.

Wzdrygam się mimowolnie, potem zerkam szybko, by sprawdzić, czy to spostrzegła, ale jest zajęta stukaniem w ekran. Znowu podnosi wzrok.

– W zeszłym tygodniu postanowiłaś skupić się na swoich pracach plastycznych. Jak ci idzie?

– Nie za dobrze.

– O? A to dlaczego?

– Zawieszono lekcje plastyki. Nauczyciela zabrali Lorderowie na oczach całej szkoły.

Szok przemyka przez jej twarz tak szybko, że łatwo byłoby go przeoczyć – błyskawiczne rozszerzenie oczu i gwałtowny wdech – ale mina zaraz obojętnieje, staje się neutralna.

– Co w związku z tym odczuwasz?

– Rysowałam w domu, ale to nie to samo.

– Źle mnie zrozumiałaś. Co odczuwasz w związku z nauczycielem?

Interesujące. Wiem na podstawie reakcji wszystkich w moim otoczeniu, że rozmowa o tym, co i komu zrobili Lorderowie, to tabu. A jednak ona pyta mnie prosto z mostu, co o tym myślę. „Uważaj, Kyla!”. Są tuż obok, na korytarzu. Kto wie, co stamtąd słyszą?

– Na pewno były powody.

– Kyla, to oczywiste, że masz silne uczucia związane z tą sprawą.

– Oczywiście?

– Oczywiście są oknem twojej duszy.

Wkurzające. Ćwiczyłam twarz pokerzysty w domu przed lustrem, tak jak doradziła mi mama. Ale gdy tylko pomyślałam o czymkolwiek, co wzbudza we mnie emocje, dobre czy złe, widziałam w lustrze, że odbija się to na mojej twarzy. „Pomyśl o Sebastianie”. To zwykle pomagało.

– To ja mam duszę?

– Robisz się za dobra w zbaczaniu z tematu. To tylko stare powiedzenie, przysłowie.

– Ale czy ktoś Zresetowany może mieć duszę?

Doktor odchyła się na swoim krześle z półuśmiechem rozbawienia na twarzy.

– Cóż, jeśli się wierzy w istnienie dusz, nie widzę związku między procedurą Resetu a obecnością czy nieobecnością duszy.

– A pani wierzy w dusze?

Leciutko potrząsa głową.

– Zapominasz, kto tutaj zadaje pytania, Kyla. Odpowiedz na moje – napomina z nutką ostrzeżenia w głosie.

Staram się więc wydumać coś, co mogę powiedzieć w związku z Gianellim i nie narazić się na niebezpieczeństwo, ale potem myślę: „nie”. Ten nauczyciel zasługuje na coś lepszego. Zasługuje na prawdę.

– Był dobrym człowiekiem. Zależało mu na nas, a teraz go nie ma. Co mam odczuwać pani zdaniem?

Doktor marszczy brwi.

– Odpowiadasz na pytanie pytaniem? Doskonale wiesz, że...

ŁUP!

Fala dźwiękowa wstrząsa gabinetem. Budynek trzęsie się, drgnienie przebiega przez podłogę pod moimi stopami, w ciele wybucha strach. Krzyki – odległe i słabo słyszalne, ale nie aż takie dalekie.

Terroryści?

Drzwi za moimi plecami otwierają się na oścież i okręcam się na krześle. Lorderowie z korytarza. Po raz pierwszy cieszę się na ich widok. Jeden mówi

do mikrofonu, który ma przymocowany do słuchawek.

– Pani pozwoli z nami, już – mówi drugi, patrząc na doktor Lysander.

A ona się nie rusza, z pobladłą twarzą wygląda jak zamarła za swoim biurkiem.

– Już! – krzyczy ochroniarz i doktor wreszcie wstaje.

Orderowie ustawiają się po obu jej bokach i ruszają do drzwi. Mam iść za nimi? Doktor rzuca do mnie przez ramię:

– Kyla, idź do dyżurki pielęgniarek. Nie martw się, będziesz...

W tym momencie jeden z ochroniarzy chwyta ją za ramię i przepycha przez drzwi. Powraca zszokowana mina. Doktor Lysander nie może już ich ignorować i sprawić, że znikną.

Słysząc odległe łupnięcia, krzyki, „rat-a-tat-tat” – jak dźwięk karabinów w starych filmach. Karabiny? Gdzie? Przechyliam głowę: gdzieś niżej albo na zewnątrz. Idę przez gabinet do okna.

Tu nie ma krat – okno wychodzi na wewnętrzny dziedziniec. Kilka pięter pode mną – drzewa i inne rośliny, ławki. Kulą się na nich pielęgniarki. Ani śladu broni palnej, ani nikogo, kto by się nią posługiwał.

Doktor Lysander kazała mi iść do dyżurki pielęgniarek. Ruszam do drzwi, ale się zatrzymuję. Jej komputer stoi na biurku. Wciąż otwarty.

ŁUP!

Cały budynek się trzęsie, tym razem było bliżej.

Staję. Panika nakazuje ucieczkę, lecz toczy bitwę z ciekawością. „Kiedy trafi ci się kolejna taka szansa?”

Drzę. Żołądek mi się skręca, jakby śniadanie zamierzało wyjść z powrotem. Co ja robię? Patrzę na drzwi. Moje stopy robią krok w ich stronę, po czym wracają. Kto powiedział, że tam jest bezpieczniej niż tu?

Opadam na jej krzesło.

Z prawej strony ekranu widnieje moje zdjęcie: „Kyla 19418”. To numer na moim Levo. Po lewej od zdjęcia notatki doktor Lysander: bardzo krótka relacja z dzisiejszej, przerwanej rozmowy, choć ani wzmianki o Gianellim. Z boku leci lista dat, ostatni tydzień jest na samej górze. Waham się, po czym klikam go. I oto jest: wszystko, o czym dziś rozmawialiśmy. Jej obserwacje.

U góry pod moim nazwiskiem mieści się menu z hasłami: „Przyjęcie”, „Zabieg chirurgiczny”, „Następstwa”, „Zalecenia”.

Klikam „Przyjęcie”. I oto jestem, w pełnym kolorze. Ja, ale nie ja. W szpitalnym łóżku, lecz innym niż to, które znam. Przypięta po bokach pasami.

Mam skrępowane ręce i nogi. Włosy są dłuższe niż teraz, splątane. Jestem szczuplejsza. Twarz jest pozbawiona wyrazu, oczy puste – żadne okno dla duszy ani dla czegokolwiek innego.

I gdy się tak wpatruję w ekran komputerowy, jakaś cząstka mnie wciąż słyszy: krzyki, wystrzały, osobny stłumiony okrzyk.

Lecz jestem jak przykuta. Szybko sprawdzam swoje przyjęcie i notatki chirurgów. Szukam jakiejś wskazówki co do tego, czemu tutaj trafiłam, ale nic nie znajduję. Tylko jakiś skomplikowany bełkot o skanach, zilustrowany obrazami mojego mózgu.

Kroki, krzyki. Są teraz bliżej.

A to co? Klikam link oznaczony jako „Zalecenia”.

Jeszcze głośniej. Zerkam na drzwi.

„Rusz się, ukryj, ale już!” – odzywa się głos w mojej głowie. Gdzie? Rozglądam się po pokoju, zerkam jeszcze na komputer, by zamknąć okna, które pootwierałam, gdy wtem na ekranie pojawia się obraz z ostatniego linku, który kliknęłam: „Zalecenia”. Tabela z podjętymi działaniami i datami.

Komisja zaleca terminację. Doktor Lysander odrzuca wniosek. Ponownie podejmuje leczenie. Monitorowanie oznak regresu po wznowieniu leczenia. Zaleceni dodatkowi Obserwatorzy. W razie nawrotu komisja zaleca terminację. Ten ostatni wpis nosi datę na tydzień przed moim wyjściem ze szpitala.

„Rusz się, ukryj, ale już!”.

Drzwi otwierają się na oścież.

Za późno.

Patrzy na mnie jakiś mężczyzna. Nie jest Lorderem, ma zmierzwiłone włosy, dzikie spojrzenie, a jego czarne ubranie może i miało wyglądać jak strój operacyjny Lorderów, ale daleko mu do niego. Jakaś cząstka mnie nadal zbiera i rejestruje szczegóły, reszta jednak skupia się na jednej rzeczy – broni, którą ten człowiek unosi i kieruje na mnie.

Nad jego ramieniem pojawia się druga twarz.

– Zostaw ją! Ma Levo. Jest Zresetowana.

Tamten jednak wciąż we mnie celuje.

– Tak byłoby miłosierniej, nie? – mówi.

Potrząsam głową, cofam się pod ścianę. Próbuję się odezwać: „Nie, proszę, nie”, lecz słowa, sformułowane w umyśle, nie chcą się przecisnąć przez gardło.

– Nie marnuj naboju! – wrzeszczy ten drugi i szarpie go za ramię. Ruszają korytarzem dalej.

Osuwam się na podłogę. Gwałtownie się trzęsę. Levo pokazuje 5,1. „Wyjaśnij to”.

Nie potrafię.

Wkrótce dochodzi do głosu instynkt samozachowawczy i każe mi się podnieść. Zamykam w komputerze wszystkie okna, które pootwierałam – zostawiam go na biurku tak, jak był, i wyglądam za drzwi. Korytarz jest pusty. W oddali, od strony, w którą poszli tamci mężczyźni, słychać krzyki. Biegnę w przeciwnym kierunku.

Światła w budynku mrugają kilka razy, po czym gasną. Ciemno jak w beczce smoły. Otwieram szerzej oczy, lecz nic nie widzę w pozbawionym okien korytarzu. W środku zaczyna mi narastać drżący krzyk, próbuje się wydobyć przez gardło. „Weź się w garść, znasz drogę, pamiętasz!”. Powoli wciągam głęboko powietrze, siłą woli przywołuję w pamięci sieć szpitalnych przejść. Ósme piętro. Doktor Lysander powiedziała: „Idź do dyżurki pielęgniarek”.

Jedną ręką wiodąc po ścianie, idę na uginających się nogach i staram się nie wywoływać żadnych dźwięków. Na końcu korytarza podwójne drzwi, skrócić w lewo: dotarłaś do celu.

Dokoła panuje cisza. Idę do przodu z wyciągniętymi rękami, żeby namacać kontuar, moja stopa ślizga się jednak na czymś i padam na podłogę jak długa.

Podłoga jest mokra. Lepka. Dziwna metaliczna woń chwyta mnie za gardło i dławi. Krew.

Cofam się w ciemności na rękach i kolanach i na coś wpadam – nie, na kogoś. Na podłodze... ręka, ramię. Cała osoba, kobieta, w fartuchu pielęgniarskim. Żadnego dźwięku czy ruchu, wielka lepka kałuża... Zmuszam się, żeby przesunąć dłonią wzdłuż jej ręki do szyi. Jeszcze jest ciepła, ale nie oddycha. To ten ostatni krzyk, jaki słyszałam, zanim zjawili się tamci dwaj. Z bronią. Zastrzelili ją, to pewnie oni.

N i e ż y j e.

Zbieram się z podłogi i biegnę na oślep z powrotem do ciemnego korytarza.

„Stop! Za dużo hałasu. Ukryj się”.

Instynkt każe mi zwolnić, iść ostrożnie. Cicho. Próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam tę pielęgniarkę za kontuarem wcześniej, kiedy wyszłam z windy. Mijałam ją całkiem blisko, ale nie pamiętam, jak wyglądała. Gdybym ją znała, pewnie bym zarejestrowała twarz, prawda? Ale byłam zajęta czym innym, żegnałam się z mamą, a potem...

Mama! Poszła na herbatę ze znajomą tak jak poprzednio. Dokąd? Nie wiem! Mamo, gdzie jesteś?

„Opanuj się. Uspokój. JUŻ”.

Robię wdechy i wydechy, aż serce zaczyna zwalniać i panika stopniowo ustępuje. Panuję nad nią. „Stój spokojnie i nasłuchuj”. Nic jednak nie słyszę, żadnego dźwięku. Szpital jest przedziwnie cichy, jak nigdy dotąd.

Bez zastanowienia nogi prowadzą mnie do wyjścia awaryjnego i na schody. Automatycznie zmierzam do miejsca, które znam najlepiej – na dziesiąte piętro. Do mojego starego pokoju. Ostrożnie i bez hałasu, z jedną ręką na ścianie, wspinam się stopień po stopniu. Od czasu do czasu staję, żeby nasłuchiwać, ale nic nie słyszę. W końcu docieram do drzwi na dziesiątym piętrze, nagle wystraszona, że będą zamknięte. Otwierają się – może z powodu awarii prądu? Wchodzę z klatki schodowej do korytarza. Na tej kondygnacji pali się słabe oświetlenie awaryjne. Słysząc głosy, ludzie się przemieszczają. Żadnych krzyków, raczej spokojne odgłosy.

Idę naprzód. Wtem ktoś świeci mi latarką w twarz.

– Czy to Kyla? O, rzeczywiście. – Światło przestaje mnie oślepić.

To pielęgniarka Sally, jedna z tych, które pracowały w moim skrzydle na dziesiątym piętrze, kiedy tu byłam. Absurdalnie cieszę się na widok jej twarzy – żywej, znajomej. Uśmiecham się, a ona łapie mnie za ramię.

– To naprawdę ty. O, kochana, przyszedłaś na wizytę kontrolną, tak? Chodź. Musimy wszyscy pójść do kafeterii. Pomóż nam, dobrze? Trzeba się zająć nowymi, są zagubieni.

I wciska mi do rąk dłonie dwojga Zresetowanych. Nowych. Niepewnie stoją na nogach, ale szczerzą się w szerokich, błogich uśmiechach, jakby to był najszczęśliwszy dzień w ich życiu.

Pielęgniarka popycha wózek z kimś bardzo nowym. Kimś, kto jeszcze nie nauczył się chodzić.

Suniemy korytarzem i wkrótce dołączamy do innych pielęgniarek i pacjentów.

– Szybciej! – Zniecierpliwiony głos za naszymi plecami. Pogania nas jeden z Lorderów.

Idziemy do kafeterii na dziesiątym piętrze – jedynej sali na tyle dużej, żeby wszystkich pomieścić. Wpychają ostatnich do środka i barykadują drzwi.

Wnętrze jest oświetlone naturalnym światłem wpadającym przez wysokie okratowane okna. Jasno tu w porównaniu z półmrokiem korytarza, mrugam więc oczami.

– Kyla, jesteś ranna! Co się stało? – Pielęgniarka Sally sadza mnie na krześle, sprawdza mi rękę, ramię.

– Ranna? Nie... O. Rozumiem. To nie moja krew. Potknęłam się o kogoś,

kto... – Nie mogę o tym myśleć, nawet dokończyć zdania. Przeskakuję na inny temat. – Co się dzieje?

– Nie martw się. Na pewno wszystko będzie dobrze.

– Strzelają do ludzi, zabijają ich. Nie jest dobrze.

Szczęka jej opada. Sally potrząsa głową.

– Zapomniałam, jaka bywasz bezpośrednia. Zaatakowali nas. ART. Ale już po wszystkim. Strażnicy namierzają ostatnich, dlatego zebraliśmy się tutaj, żeby nie przeszkadzać.

– Jak się czujesz, skarbie? – Inna pielęgniarka uśmiecha się do mnie promiennie, trzymając w garści strzykawki z Sokiem Radości. Chodzi z nimi po sali i pewnie aplikuje.

– Świetnie – odpowiadam i myślę o Sebastianie.

Moja twarz pokerzysty pewnie działa, bo pielęgniarka oddała się, Sally idzie za nią. Sprawdzają wszystkich po kolei.

Cofam się i opadam na krzesło przy jednym ze stołów. Obok mnie na wózku inwalidzkim siedzi jakaś dziewczyna. Przypięta pasami, kaskada brązowych włosów zakrywa jej twarz. Levo dziewczyny wibruje. Rozglądam się za pielęgniarką, macham do Sally, ale mnie nie widzi. Dziewczyna zwisa z wózka, próbując po coś sięgnąć...

A. Tam, na podłodze. Podnoszę miękką zabawkę, którą pewnie upuściła – króliczka z kłapciastymi uszami.

– Proszę – mówię, podając jej pluszaka.

Podnosi wzrok i uśmiecha się. Pięknym, szerokim uśmiechem idealnej radości.

Aż mnie cofa. Nie, niemożliwe. Ten uśmiech nie należy do tej twarzy. Pasuje jej, wygląda wspaniale, ale to zupełnie n i e t a k.

– Phoebe? – szepczę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Coś ostrego dźga mnie w ramię.

W żyłach rozlewa mi się ciepło. Niemal natychmiast serce zwalnia, pięści się rozluźniają. Ach... To nie jest Sok Radości. Coś mocniejszego.

Zapadam się w sobie i odpływam.

Na jakimś poziomie jestem świadoma, ale nie całkiem.

Światła wracają. Siedzę na wózku, jadę korytarzem, jednak nie wiem dokąd; widzę tylko podłogę. Nie mogę podnieść głowy, by się rozejrzeć.

Ciepło prysznic. Jedna pielęgniarka podtrzymuje mnie, podczas gdy druga szoruje mi skórę. Krew zmywa się tak łatwo, jeśli należała do kogoś innego. Moja skóra znowu jest idealnie biała. Ładna.

Puszyste ręczniki, czyste ubrania.

Szpitalne. To niedobrze. Staram się skupić, dociec czemu, lecz nie mogę.

Kładą mnie do łóżka, ale to nie jest moje łóżko. W zimnej pościeli moja skóra wydaje się rozgorączkowana. Nie moje łóżko? Próbuję otworzyć oczy. Powieki trzepoczą, zamykają się.

– Kyla, no już. Obudź się, Kyla...

Ciepło mi, czuję się szczęśliwa. Płynę, niepołączona z własnym ciałem. Nie chcę wracać. „Zostawcie mnie”. Przemykam przez warstwy ciemności, głos się oddala...

Wokół mnie wszędzie cegły. Również u góry, jak daleko sięgam wzrokiem. Drapię zaprawę. Zaczyna się kruszyć. Kawalek po kawałku. Już niedługo...

Wkrótce będę wolna.

Kolejny głos.

– Chodź, Kyla. Pora wracać do domu.

Mama?

Gwałtownie otwieram oczy.

Wytaczamy się ze szpitalnego parkingu do wyjazdu.

Mama wygląda na zupełnie niewzruszoną. W drodze do samochodu powiedziała mi, że kiedy rozpoczął się atak, była w gabinecie znajomej. Zamknęły się w środku i schowały pod biurkiem.

Gdy było po wszystkim, nie mogła mnie znaleźć. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Piętro, na którym powinnam być, oraz kondygnacja poniżej – z gabinetami lekarzy, salami konferencyjnymi – stały się celem ataku. Jednak nikt ważny z personelu nie ucierpiał. Wszystkich natychmiast ewakuowano, jak doktor Lysander. Ale kiedy przycisnęłam mamę, przyznała, że zginęło kilka pielęgniarek i Lorderów. I wszyscy z ART.

Kiedy mnie wreszcie namierzyła, byłam daleko w krainie niebytu. Opóźniona reakcja i wstrząs – zdaniem specjalistów – sprawiły, że dramatycznie spadł mi poziom. Zrobili mi zastrzyk w ostatniej chwili przed wyłączeniem. A ponieważ byłam na środkach uspokajających, nie chcieli mnie wypuścić bez pełnych badań kontrolnych.

Mama powiedziała, że pociągnęła za sznurki. Zadzwoiła do kilku znajomych, żeby mnie wziąć ze szpitala i zabrać do domu. W szpitalu panował taki ferwor, że w końcu jej pozwolili.

Dom.

Śpię trochę w samochodzie, potem udaję, że śpię. Działanie zastrzyku słabnie. Zaczynają powracać wspomnienia – początkowo w kawałkach, potem wszystko spada na mnie naraz.

I nie jestem w stanie nawet uwierzyć, że terroryści wdarli się do szpitala, nie mówiąc już o tym, co zrobili, że zabili ludzi. „Nie marnuj naboju”. Gdyby mieli więcej amunicji, być może też bym już nie żyła. Cała ta krew. Pielęgniarka, której twarzy nie mogę sobie przypomnieć...

Zmuszam umysł, by się od niej oderwał, a on wślizguje się z powrotem do gabinetu doktor Lysander, do jej komputera. „Komisja zaleca terminację. Doktor Lysander odrzuca wniosek”. Co to znaczy?

Najdziwniejsze jest to, że jakimś cudem, mimo wszystkiego, co się wydarzyło, utrzymałam się na poziomie – nie spadł zbyt nisko. To nie ma sensu.

Dopiero kiedy zobaczyłam Phoebe, wytrąciło mnie to z równowagi.

Stalowe nerwy mamy – jakby ona też przechodziła coś w rodzaju własnej poważnej opóźnionej reakcji – trzymają się tylko do domu, a po przekroczeniu progu puszczają. Mama zwija się w kłębek na kanapie i rozplęwa we łzach.

– Co mamy zrobić? – pytam.

– Zadzwoić do taty – proponuje Amy.

Mama potrząsa głową na kanapie.

– To może do cioci Stacey?

Ten pomysł najwyraźniej mamie odpowiada, więc Amy dzwoni do ciotki.

Wkrótce Amy bawi się z małym Robertem i poucza mnie, jak mam gotować obiad, a mama z ciotką siedzą przy butelce wina.

Moja siostra zdążyła się dowiedzieć, że terroryści zaatakowali szpital. Nie powiedziałam jej jednak – ani nikomu – że widziałam dwóch z nich w gabinecie doktor Lysander i że jeden o mało mnie nie zastrzelił. Ani o zabitej pielęgniarce. Amy jest zafascynowana, doprasza się szczegółów, ale wiele z nich zatrzymuję dla siebie.

W wieczornych wiadomościach nadają pięciosekundową wzmiankę: „Przed południem uzbrojeni AntyRządowi Terroryści próbowali przeprowadzić brutalny atak na oddany personel medyczny pewnego ważnego londyńskiego szpitala. Ponieśli porażkę”.

Powiedzcie to tej pielęgniarce, której krew zalała całą podłogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Miałaś wczoraj nie lada przygodę – mówi tato, zerkając jednym okiem na mnie, a drugim na drogę.

– Chyba tak.

– Bałaś się?

– Tak.

– To dobrze.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Trzeba by być kompletnie szalonym, żeby się nie bać – wyjaśnia. Zatrzymuje się na czerwonym świetle. – Spałaś po tym dobrze?

– Tak.

– Żadnych koszmarów?

– Nie.

Bałam się zmrużyć oczy, ale jeśli mi się coś śniło, nic nie pamiętam.

– Interesujące. W takim razie dla odmiany musisz się czegoś porządnie wystraszyć, żeby spać jak niemowlę. – Wydaje się przy tym tak zafascynowany, jakbym była zagadką, którą próbuje rozwiązać. Mam wrażenie, że nie lubi, kiedy czegoś nie rozumie: ludzi, rzeczy.

– Może działał jeszcze zastrzyk, który dostałam w szpitalu.

– Możliwe – przytakuje tato, ale przecież chyba wie, że działanie zastrzyku nie trwa tak długo. – Co pomyślałaś o terrorystach?

Czy wie, że dwóch z nich widziałam twarzą w twarz? Nie. Skąd miałyby się dowiedzieć? Jego oczy są teraz skierowane na drogę, która na tym odcinku jest wąska i kręta.

– No?

Co myślę o terrorystach... Nie mogę przestać o nich myśleć. Wyszadzili w powietrze autobus z uczniami, zabili pielęgniarki.

– Są źli – mówię.

– Niektórzy uważają, że mają powody. Że Lorderowie posuwają się za daleko. I że to oni są źli. Że to, co dzieje się na co dzień w tym szpitalu i w podobnych miejscach, jest złe.

Oczy mi się rozszerzają. Zszokowało mnie, że odważył się to powiedzieć, mimo że przytoczył tylko osady „niektórych”: niezidentyfikowanych, anonimowych.

– Ale terroryści zabijają ludzi, niewinnych ludzi, którzy nie mieli z nimi nic wspólnego. Nieważne, jaki mają powód, to jest złe.

Tato przechyla głowę z boku na bok, jakby rozważał to, co powiedziałam.

– A więc masz zastrzeżenia nie tyle do ich poglądów, ile do metod. Interesujące.

Wjeżdżamy na teren szkolny. Miałam poprosić tatę, żeby zaczekał chwilę, bo nie jestem pewna, czy pani Ali nie kazała Fergusonowi wykluczyć mnie również z niedzielnych treningów. Lecz nagle chcę się wydostać z samochodu, byle dalej od taty i jego pytań. Od sposobu, w jaki mówi „interesujące”, jakby za każdym słowem kryło się coś znacznie więcej.

Trener jest już na miejscu. Wita się skinieniem głowy, kiedy wysiadam z samochodu. Nie okazuje zaskoczenia moją obecnością. Tato macha mi krótko na pożegnanie i odjeżdża.

Mama upierała się, żebym została dzisiaj w domu, ale on jej tłumaczył, że nie da rady cały czas mieć nas na oku i że równie dobrze może mi pozwolić pobiegać. Mama już wczoraj wieczorem doszła do siebie. Gdy ciotka Stacey wyszła, zjadłyśmy razem obiad, a mama zdążyła stanąć na nogi. Tato wrócił kilka godzin później i nikt by się nie domyślił, że wcześniej się zdenerwowała.

Tato zdecydowanie mówi przedziwne rzeczy.

– Wiem, co się stało z Phoebe.

– Co? To znaczy: jak ci się to udało? – Ben opiera się o drzewo, oddycha ciężko.

Biegłam, jakby mnie ścigali Lorderowie, od samego początku trasy na szczyt wzgórza, ledwie mógł za mną nadążyć. Tak długo, aż byłam wyczerpana na tyle, by się zatrzymać, móc mówić i wiedzieć, że nasze Levo utrzymają się na poziomie.

– Widziałam ją.

– Gdzie?

– W szpitalu. Została Zresetowana.

Szybko opowiadam Benowi wczorajsze zdarzenia. Pomijam najgorsze kawałki – nie dlatego, że nie chcę, żeby o nich wiedział, tylko żebym sama nie musiała o nich myśleć i ich opisywać. Jakby były ukryte w mojej głowie za jakimiś zamkniętymi drzwiczkami. Niektóre rzeczy wolą zostać w ciemnym zakamarku i nigdy nie wychodzić, tak jest dla mnie najlepiej. Wyobraziłam to sobie wyraźnie wczoraj wieczorem, zanim poszłam spać: wepchnęłam wspomnienia za drzwiczki i zamknęłam na klucz. Może dlatego nie miałam

koszmarów?

– Teryści naprawdę dostali się do szpitala? Nie mogę tego ogarnąć – mówi Ben. Wygląda przy tym tak, jakby miał ochotę popędzić ścieżką przed siebie.

Chwytam go za rękę, a on mocno ściska moją dłoń.

– I nie zapominaj o Phoebe – dodaję.

– Jesteś pewna, że to była ona?

– Tak.

To była ona. Ponieważ oprócz radosnego uśmiechu, jakiego nigdy dotąd u niej nie widziałam, nie miałam wątpliwości.

– A więc została Zresetowana. Ale dopiero co zabrali ją Lorderowie. Ile to? Tydzień i kilka dni? Nie mogło być żadnego procesu w sądzie ani nic.

– Nie.

Idziemy ścieżką. Mamy mnóstwo czasu, zanim dogonią nas inni; nie pada, żeby cokolwiek spowolnić, a jako że zeszłotygodniowe błoto zdążyło już prawie obeschnąć, biegliliśmy bardzo szybko. Gdy docieramy do kamienia, na którym odpoczywaliśmy ostatnio, Ben zatrzymuje się, siada, bierze mnie na kolana. Oplata ciasno ramionami. Mówi z ustami przy moich włosach.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest. Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś ty też zniknęła.

„Też zniknęła...” J a k T o r i. Choć wysadzenie w zamachu terrorystycznym to niezupełnie to samo, co zabranie przez Lorderów. Człowiek przynajmniej się rozprysnie, jego los jest oczywisty. W drugim przypadku n i k t n i c n i e w i e.

Siedzimy tak po prostu, nie ruszając się. Jest mroźny październikowy poranek, ale słońce grzeje mi plecy, a resztę ciała ogrzewa Ben. Opieram twarz o jego pierś, wdychając wilgoć, pot i coś jeszcze, co jest zwyczajnie B e n e m. Czuję na włosach jego oddech; jego serce stuka wraz z moim i chcę zostać tu, w tym momencie, na zawsze.

Ben w końcu odsuwa mnie nieco. Ma poważną minę.

– Posłuchaj. Phoebe miała piętnaście lat, pytałem o to jej znajomego. Dlatego kiedy ją wzięli, poszła do Resetu. Ale co z Tori? Miała siedemnaście. A Gianelli w ogóle był staruszką. Co się z nimi stało?

– Nie wiem.

– Musimy coś zrobić – mówi Ben, a w moim wnętrzu zwija się strach.

– Niby co?

– Powiedzieć ludziom, przynajmniej o Phoebe, bo póki co pewność mamy o niej. To, co jej zrobili, jest niezgodne z prawem. Inni się mogą domyślać, ale pewności n i e m a j ą, prawda?

Potrząsam głową.

– Nie możesz nic powiedzieć! Bo będziesz następny.

– Ale jak cokolwiek ma się zmienić, jeżeli nikt nie wie?

– Nie – upieram się.

– Ale...

– Nie! – Zrywam się na równe nogi i ruszam ścieżką.

Ben idzie za mną.

– Kyla, ja...

– Nie. Obiecuj, że tego nie zrobisz.

Sprzeczamy się przez chwilę, aż w końcu jedyna obietnica, jaką udaje mi się wyciągnąć z niego, to ta, że niczego nie robi, jeżeli mi wcześniej o tym nie powie. Potem znów przechodzimy do biegu, zanim ktokolwiek nas dogoni. Dudniąc stopami na ścieżce, docieram do miejsca, gdzie wszystko, czym jestem, to bieg, i o niczym ani nikim innym nie myślę – i tak jest w porządku. Kiedy widać już metę, nasz autobus i Fergusona, ciągnę Bena za rękę.

– Słuchaj, jedź ze mną jutro po szkole – dyszę. – Zobaczysz strony internetowe, o których ci mówiłam. Ludzie opowiadają tam różne rzeczy.

Ben uśmiecha się szeroko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Jazz jest poważnie rozzłoszczony.

– Którego słowa w „nikomu nie mów” nie rozumiesz? – rzuca z gniewnym spojrzeniem.

– Ben jest w porządku.

Jazz wzrusza ramionami.

– Pewnie tak, ale nie w tym rzecz.

– Przepraszam.

– Teraz nie jestem pewien, czy w ogóle brać cię do Maca.

Wzruszam ramionami. Jeśli o mnie chodzi, nie mam ochoty tam jechać. Kiedy starannie to sobie przemyślałam, doszłam do wniosku, że cokolwiek Mac chce mi powiedzieć przy swoim nielegalnym komputerze, ja mogę się bez tego obyć. Chociaż ćwicyłam, moja twarz pokerzysty nie zdaje egzaminu, gdy ktoś zarzuca mnie pytaniami, a kto wie, czy Ben też nie zdradza czegoś miłą?

Amy nadchodzi z jednej strony, Ben z drugiej. Biegłam tu jak najszybciej, a przedtem poprosiłam Bena, żeby się nie śpieszył i dał mi chwilę na wyjaśnienie.

– Zdecyduj, jak chcesz – mówię.

Jazz wzdycha.

– W porządku. Może jechać. Mac ostatecznie sam sobie postanowi, czy wam powie te swoje cholerne rewelacje.

Macham do Bena, żeby podszedł. Zbliża się równocześnie z Amy. Moja siostra unosi brew.

– A kogo my tu mamy? – zagaduje.

Ben uśmiecha się szeroko, ona mu odpowiada tak samo, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem nie odkryłam prawdziwego powodu, dla którego Jazz nie chciał zabrać Bena. Teraz, gdy ci dwaj stoją obok siebie, widzę, że Ben jest wyższy. Jazz to w porządku gość, w rodzaju starszego brata, ale Ben swoim uśmiechem i w ogóle wszystkim bije go na głowę. Jazz obejmuje Amy i całuje ją w policzek.

– Wskakujcie! – Otwiera drzwi i popycha Bena w stronę tylnego siedzenia.

Ben gramoli się do środka, a ja za nim. Zajmuję to miejsce, które ma pas bezpieczeństwa.

– Trzymaj się mocno – ostrzegam. – Nie ma drugiego pasa.

Gdy docieramy na miejsce i wysypujemy się z samochodu, Mac unosi brew na widok Bena, ale dostrzega jego Levo i najwyraźniej mniej się tym przejmuje niż przedtem Jazz.

Jazz przedstawia ich sobie, zerka na mnie i wzrusza ramionami. Uniwersalny męski język?

– Idziemy na spacer, Amy? – proponuje i wyciąga rękę. Spogląda na Bena, potem na Maca. Kolejne niewypowiedziane słowa, a pytanie wymalowane na twarzy brzmi: „Mamy go zabrać ze sobą?”.

Mac potrząsa głową.

– Idźcie sobie pogruchać, gołąbeczki. Nacieszcie się słońcem. Nie będzie wielu takich ładnych dni aż do wiosny.

Oddalają się ścieżką.

– Wejdźcie. Napijecie się? – proponuje nam Mac.

Potrząsam głową, Ben tak samo.

– A więc czemu zawdzięczam tę przyjemność? – pyta Mac.

– Myślałam, że chcesz, żebym przyjechała – odpowiadam zmieszana.

Unosi brew i dociera do mnie, że miał na myśli Bena.

– O. – Oblewam się rumieńcem. – Ben jest w porządku. Nikomu nie powiesz, prawda?

– Jasne, że nie – mówi Ben. – Oboje martwimy się o ludzi, którzy zaginęli, i...

Mac unosi rękę.

– Nie mój problem. Właściwie zupełnie nic o tym nie wiem.

Ben i ja wymieniamy spojrzenia.

– Może pooglądacie sobie telewizję albo róbcie, na co macie ochotę na kanapie. Mam robotę przy wozie.

I wychodzi przez tylne drzwi, a one zatrząskują się za nim głośno.

Patrzę na Bena i wzruszam ramionami. Mam właśnie powiedzieć coś w stylu „nie wiem, o co chodzi”, kiedy za nami otwierają się drzwi.

Odwracamy się jak na komendę. W wejściu stoi jakiś facet – dwudziestoparoletni, rudowłosy, piegowaty, z poważną miną. Nigdy go nie widziałam.

– Cześć, Lucy – mówi i uśmiecha się. Rusza w naszą stronę. – Jestem Aiden – przedstawia się i ze zdziwioną miną spogląda na Bena.

– To Ben. I nie nazywaj mnie Lucy. Jestem Kyla.

– Jesteś Lucy. Oglądałem zdjęcia i teraz widzę cię w twojej własnej osobie. Mac zdecydowanie ma rację. Jesteś nią, a ona jest tobą.

– Może nią byłam. Ale już nie jestem. A tobie co do tego?

– Tak, coś ty za jeden? – dorzuca Ben.

Dokładnie to miałam na myśli, ale rozszerzają mi się oczy z zaskoczenia, że to Ben zadaje takie pytanie. Aiden śmieje się.

– Ben, widzę, że jesteś kimś, z kim koniecznie muszę pogadać. Cieszę się, że przyszedłeś.

Oboje bez słowa uporczywie patrzymy na Aiden.

– A, sorry. Kim jestem, czy za kogo się podaję? – Znów się śmieje. – Oficjalnie w godzinach pracy technik telefoniczny, ale pracuję też dla ZWA.

– Zet-wu-a? – powtarza Ben ze zdziwieniem, ale dla mnie ten skrót coś oznacza.

– Zaginieni w Akcji, tak? – wtrącam. – Jak na tej stronie internetowej. Próbujecie się dowiedzieć, co się stało z ludźmi takimi jak... jak ja – dokańczam, znajdując na tyle odwagi, by wypowiedzieć to głośno.

– Właśnie – potwierdza Aiden i szczerzy się w uśmiechu. – Chodźcie, pokażemy Benowi.

Idziemy z korytarza do drugiego pokoju Maca, gdzie komputer jest już wydobyty z kryjówki i włączony.

– Pokaż mi Lucy – prosi Ben.

Aiden szuka jej imienia i nazwiska i oto jest. Widzę, jak Ben pilnie przygląda się szczęśliwej twarzy na ekranie: Lucy Connor, lat dziesięć. Potem patrzy to na mnie, to na zdjęcie.

– Tak, to zdecydowanie ty – stwierdza w końcu.

Serce we mnie zamiera. Nie chodzi o to, że jeszcze nie byłam całkiem pewna, ale jeśli ktoś, kogo znam tak dobrze jak Bena, jest o tym przekonany, nie można się spierać. „Może” zmieniło się w fakt.

Aiden znowu się szczerzy.

– A więc, co teraz, Lucy? – Odwraca moje krzesło, kładzie mi ręce na ramionach i patrzy prosto w oczy. Jego tęczy są niebieskie, głęboko błękitne, spojrzenie: niewzruszone. – Mam do ciebie pytanie, Lucy czy Kyla, jak wolisz. Co zamierzasz z tym zrobić?

– O co ci chodzi?

Bierze myszkę komputerową i przesuwając kursor na pole „Znaleziona” pod zdjęciem Lucy na ekranie.

– Mam nacisnąć?

– Nie rozumiem. Co to znaczy?

– Proste: ten, kto zgłosił twoje zaginięcie, dowie się, że u ciebie w porządku.

Potem dostaniesz informację kontaktową.

– Nie – mówię.

Oczy Aiden z powrotem wędrują na mnie. Widać w nich rozczarowanie.

– Pomyśl o nich, martwią się przez tyle lat, zastanawiają, co się z tobą stało. Może twoja mama i tato nigdy nie przeboleli tej straty. Może masz siostry i braci, którzy też za tobą tęsknią. Może ten kotek, którego trzymasz, jest teraz kocurem, siedzi w tej chwili na progu twojego domu i wypatruje, czy przyjdiesz ulicą.

– NIE. To szaleństwo. Nic nie wiem ani o Lucy, ani o tym, skąd pochodzi. Już nią nie jestem.

Ręka Aiden wciąż spoczywa na myszce. Szarpię ją, żeby puścił. Facet wzdycha.

– Przemyśl to sobie, Lucy.

Chcę znów zaprotestować przeciw temu imieniu, lecz mi przerywa.

– Będę cię nazywać L u c y, bo nią jesteś. Nieważne, co t e r a z o tym myślisz przez to, co ci zrobili – mówi i opiera się tyłem o biurko. Za jego ostrożnym uśmiechem kryje się zatroskana mina. – Jak myślisz, czym się zajmuje ZWA?

– Próbuje odkryć, co się stało z tymi ludźmi – rzucam domysł.

– To ważna część naszej działalności, ale staramy się osiągnąć znacznie więcej. Szukamy ludzi, którzy zostali zabrani niezgodnie z prawem, żeby można było pociągnąć władze do odpowiedzialności, pokazać to światu. Jeżeli nikt się nie postawi i nie powie: „To jest złe”, nic nie zrobimy, żeby powstrzymać zło. A dzieje się cały czas, jest coraz więcej zaginięć. Trzeba to przerwać.

Wciążam gwałtownie powietrze.

– Jesteś z terrorystami.

– Nie.

– Ale na to wygląda.

Aiden potrząsa głową.

– Nie jestem z nimi. Nie trzymamy z władzą, ale też nie z terrorystami. Staramy się znaleźć lepszy sposób. Bez przemocy.

Ben bierze mnie za rękę.

– Kyla, posłuchaj. To brzmi tak jak nasza wczorajsza rozmowa. Może jest coś, co moglibyśmy zrobić?

Zaczynam się trząść. Poziom mi opada. Levo wibruje: 4,3.

– Zostaw nas samych na chwilę – prosi Ben.

Aiden wychodzi, zamyka za sobą drzwi.

– Wiesz, że ma rację, prawda? – zwraca się do mnie Ben.

Potrząsam głową. Niedobrze mi, bo ogarnia mnie strach i pewność, że im więcej znajdziemy, tym gorsze to będą rzeczy, że od tej chwili nic już nie będzie w porządku. Ben ciasno oplata mnie ramionami i kołysze w przód i w tył, aż w końcu przestają drżeć. Wskaźnik Levo powoli wspina się do piątki i Ben woła z powrotem Aideną. Facet ma zatroskaną minę.

– Twój poziom wrócił do normy?

– Raczej tak.

– Jak kamień u szyi, co? Być zależnym od czegoś takiego. Ale może znajdzie się sposób, żeby się pozbyć waszych Levo, zanim skończycie dwadzieścia jeden lat.

– Jak to? – pyta Ben.

– Kiedy zaczęliśmy szukać zaginionych ludzi, odkryliśmy między innymi, że są wśród nich Zresetowani.

– Jak Tori – mówi Ben i wyjaśnia: – Była naszą przyjaciółką. Miała siedemnaście lat. Myśleliśmy, że ją zabrali Lorderowie.

– Bywa, że zabierają ich Lorderowie. Czasami w procesie Resetowania zdarzają się problemy, które nie zostają wychwycone przed wypuszczeniem ze szpitala, niewyeliminowane w porę ślady pamięci. – „Regres”, słyszę szept w swojej głowie. – Zabierają ich z powrotem do szpitala, wznawiają leczenie albo spotyka ich... – Zawiesza głos.

– Terminacja – uzupełniam i dopiero w tym momencie dociera do mnie, że powiedziałam to na głos. Żałuję, że się tak wyrwałam.

Aiden patrzy na mnie zaskoczony.

– Tak, właśnie tak.

Te słowa były użyte w moich danych na komputerze doktor Lysander. Aiden wygląda, jakby miał zapytać, skąd o tym wiem, ale bez względu na to, jak wydaje się zaangażowany w sprawę, nie powiem mu tego.

– Powiedziałeś, że czasami zabierają ich Lorderowie – odzywam się szybko, zanim zdąży zadać pytanie. – A co z pozostałymi?

– Niektórych porywają terroryści.

– Dlaczego? Co z nimi chcą zrobić? – pyta Ben.

– Pracują nad tym, jak wyłączyć albo usunąć czujniki Levo. Nie znamy wszystkich szczegółów, ale mają pewne sukcesy.

– Naprawdę? – Na twarzy Bena rozpała się zaciekawienie.

Ale każde uszkodzenie czy zakłócenie pracy Levo powoduje drgawki i śmierć osoby noszącej czujnik. Ostrzegano nas o tym w kółko, zanim wyszliśmy ze szpitala. Co się stało z tymi Zresetowanymi, na których „pracowali”

terroryści?

– Pewne sukcesy? – powtarzam. – Chyba raczej porażki.

Aiden ma ponurą minę.

– To prawda. Próbowali różnych środków usmierzających ból, Soku Radości i podobnych medykamentów, usuwali czujnik fizycznie, wprowadzali dzieciaki w śpiączkę. – Nudzi dalej o analgetykach, endorfinach i syntetycznych substancjach działających na mózg, a ja odpływam.

Patrzę na swoje Levo. Nawet najmniejszy nacisk na nie powoduje okropny ból głowy i sprawia, że poziom spada. Łańcuszek nie przylega ściśle, ale z powodu bólu ledwie go mogę obrócić. Kontrola, jaką ma nad moim życiem, jest absolutna.

– Ból, który wywołali... i śmierć tylu osób – szepczę.

Aiden nie zaprzecza i wiem, że mam rację.

– Pomyśl o możliwości pozbycia się tego – mówi Ben podekscytowanym tonem. – To warte ryzyka.

– Nie, jeśli człowiek noszący Levo nie dostał wyboru! – odwarkuję. – Poza tym wystarczy poczekać kilka lat. Chyba nie tak długo, jeżeli ma to być gwarancją na przeżycie, co?

Ale Ben zachowuje się jak urzeczony. Żołądek mi się skręca, Levo wibruje: tym razem 3,9.

– Cholera – klnie Aiden.

Ben przytula mnie, kołysze w przód i w tył.

3,7.

– Kyła, w porządku, wszystko będzie dobrze – szepcze mi Ben do ucha. Głaszcze mnie po włosach, lecz ja mogę myśleć tylko o b ó l u...

3,4.

Ledwie rejestruję, że Aiden wyszedł i zaraz wrócił.

– Weź to – mówi i podaje mi pastylkę oraz szklankę wody.

Potrząsam przecząco głową, Levo znów głośno wibruje, poziom ciągle spada, w głowie mi się kręci, widzę jakoś dziwnie...

Aiden chwytą moją twarz rękami z dwóch stron i zanim cokolwiek zdążymy zrobić, odchyła ją do tyłu i wrzuca mi pigułkę do gardła. Krztuszę się i kaszlę, ale tabletką zaczyna schodzić w dół.

– Czemu to zrobiłeś?! – drę się.

– Nie chcę tu wzywać karetki. Pomyśl o Macu.

Znów kaszlę, o mało się nie dławię pigułką, która boleśnie utknęła w połowie drogi.

– Napij się, to pomoże. – Aiden podaje mi szklanę.

Przełykam wodę, ale zanim tabletki zdąży dotrzeć do żołądka, poziom zaczyna się wspinać. Nie ma to nic wspólnego z małym białym krążkiem w brzuchu. Powodem jest krążący mi teraz w żyłach gniew.

– Co to jest? Co mi dałeś?

Aiden patrzy na mnie z zaciekawieniem. Widzę, że jego umysł usiłuje połączyć kropki. Dziewczyna została Zresetowana, poziom jej spadał, teraz jest wściekła, co powinno sprawić, że poziom obniży się jeszcze bardziej. Dlaczego nie straciła przytomności?

„Kyla jest inna”.

– Co jej podałeś? – pyta Ben.

– Tylko Pigułkę Radości – wyjaśnia Aiden. – Podobną do zastrzyków, które aplikują w szpitalu. ART korzysta z tego samego środka w tabletkach.

Reszta mojego umysłu chłonie informacje: korzystają z tych tabletek, żeby eksperymentować na porwanych Zresetowanych. Są tak samo źli jak władze. I chociaż Aiden twierdzi, że nie trzyma z terrorystami, że nie ma nic wspólnego ani z nimi, ani z ich okropnymi metodami, okazuje się, że nosi przy sobie ich tabletki.

– Zatrzymaj je. Na wypadek, gdybyś potrzebowała – mówi Aiden i podaje mi buteleczkę z tabletkami.

– Nie chcę ich – najeżam się. – I nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Facet wzdycha.

– Posłuchaj, Kyla, jeśli akurat nią chcesz być. Nie mogę cię zmusić, żebyś nam pomogła, jeżeli tego nie chcesz. Sądzę, że powinnaś teraz wszystko sobie przemyśleć. Dobrze? Mac zawsze może nas skontaktować, gdy zechcesz się ze mną znów zobaczyć.

Odwraca się do wyjścia.

– Czekaj chwilę – odzywa się Ben. – Może ja mógłbym pomóc. Czy jestem na któreś z tych waszych stron internetowych?

– Chcesz poszukać? – pyta Aiden.

Patrzę na Bena zdziwiona, a on kiwa głową.

– Jesteś pewien? – dopytuję. – Mówiłeś chyba, że...

Ben chwyta mnie za rękę.

– Tak – odpowiada, choć na jego twarzy nie widać pewności.

Aiden siada z powrotem przy klawiaturze. Wprowadza dane: mężczyzna, siedemnaście lat, brązowe włosy, brązowe oczy. Przeglądają wyniki strona po stronie, ale nikt nie pasuje. Nie jest nawet blisko.

– Szkoda – mówi Aiden.

Oczy Bena wyrażają mieszaninę ulgi i rozczarowania. Dlatego że nie może pomóc ZWA? Czy dlatego, że nikt za nim nie tęskni?

Aiden idzie do wyjścia, Ben rusza za nim, żeby się pożegnać.

Gapię się na monitor. Przyciskam wsteczną strzałkę, aż wróci twarz Lucy, wypełni ekran szczerbatym uśmiechem. Wystarczy jedno kliknięcie, żeby zmienić wszystko, na zawsze.

Ale tyle rzeczy przemawia za „nie”. Silny strach i pewność, że może to prowadzić tylko do jednego: Lorderowie wrzucą mnie na tył swojej czarnej furgonetki i znikną w taki sposób, że Reset będzie przy tym igraszką. Boję się też, że ten, kto poszukuje Lucy, nie zechce mnie znać albo ja jego, albo i jedno, i drugie.

A pod tymi wszystkimi rozsądnymi powodami kryje się coś ciemnego. Gdzieś w głębi serca żywię zimne przekonanie: nie wiem, czemu zgłoszono moje zaginięcie, ponieważ jestem absolutnie pewna, że władza miała rację, przeznaczając mnie do Zresetowania. Tam w głębi jest ze mną coś nie tak i nie wiem, co to może być.

„Ciii”.

Rzeczy, których nie mogę wiedzieć, wydają się tuż poza moim zasięgiem, tylko odrobinę poza granicą zrozumienia. Pewnie dlatego obserwowali mnie w szpitalu: regres. Doktor Lysander uratowała mnie wtedy, ale tym razem jeśli ktokolwiek zauważy, czeka mnie terminacja.

„Przyczaj się. Cierpliwości”.

Jeżeli Aiden szuka kogoś, kto wyskoczy jak diabełek z pudełka i pokaże się światu, to nie mógł gorzej trafić niż na mnie.

„Siedź cicho i milcz jak grób”.

Później, zanim się pożegnamy, Ben trzyma moje dłonie w swoich. Patrzy na mnie oczyma, z którymi zawsze chcę się zgadzać, w których nigdy nie chciałabym ujrzeć rozczarowania z powodu czegoś, co zrobię. W tej chwili próbują mnie przekonać.

– Kyla, wiem, że to przerażające. Ale możemy naprawdę coś zdziałać, na coś się przydać. Pomyśl o Tori i Phoebe. I o Gianellim. Obiecasz, że się zastanowisz?

I obiecuję, ponieważ bądź co bądź i tak raczej nie będę w stanie myśleć o czymś innym. Ben mnie przytula, trzyma blisko siebie, a ja mam tyle pragnień.

Żebyśmy mogli pozostać objęci w ten sposób. Żebyśmy mogli być sami gdzieś na świecie, bez Lorderów, Resetów i Levo. Albo żebym przynajmniej mogła się zgodzić na to, czego on sobie życzy.

Ale zwyczajnie nie mogę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

I rzeczywiście zastanawiam się nad tą sprawą. Tego samego dnia późno w nocy i cały następny dzień w szkole, chodząc od klasy do klasy i nie zwracając uwagi na otoczenie.

Z tego, co mówił Aiden, najbardziej utkwiło mi w głowie, że ten, kto mnie zgłosił do ZwA, może za mną tęsknić, właśnie teraz. Mama, tato, bracia i siostry? Nawet ta szara kotka.

Ale w przeciwieństwie do Lucy ta przypuszczalna rodzina jest bezimienna, nierzeczywista, odległa. Nie znam jej uczuć. Mimo to mogę sobie wyobrazić udrękę kogoś, kto stracił bliskiego i nie wie, co się z nim dzieje. Nawet z Tori i Phoebe, których prawie nie znałam, a tę drugą nawet nieszczególnie lubiłam, czuję, czym jest niepewność, brak wiedzy. Chociaż w przypadku Phoebe dotyczy to raczej przeszłości, bo teraz już wiem, co ją spotkało.

Może właśnie w tym miejscu mogę coś zdziałać.

– Idę pobiegać – ogłaszam w samochodzie w drodze ze szkoły do domu.

– Ale mamy razem odrabiać lekcje – protestuje Amy, spoglądając na Jazza.

– No i co z tego? Odrabiajcie sobie spokojnie. Wrócę przed mamą – mówię.

A oni się szybko zgadzają, choć nie wolno im być w domu tylko we dwoje, to wbrew „zasadom”. Jazz pyta, dokąd pobiegnę, i każe mi unikać bocznych drózek, kiedy jestem sama. I właściwie mówię prawdę, że zamierzam się trzymać głównych dróg, bo tak będzie, póki nie dotrę do tej bocznej, która prowadzi do domu Phoebe.

Dziś w szkole nauczyciel angielskiego oddał nam nasze dzienniczki. Zbierali je, jeszcze kiedy była Phoebe. Zauważyłam jej dzienniczek wśród innych i wsunęłam go do mojego. W środku na przedniej okładce znalazłam, co chciałam wiedzieć: Phoebe Best, Old Mill Farm. Według bibliotecznej mapy to tylko kilka kilometrów od naszego domu.

„Tup, tup”. Tupot własnych stóp na drodze uspokaja mnie, chociaż nie biegnę ze zwyczajną zawrotną prędkością. Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć, co powiedzieć. „Dzień dobry, państwa córka została Zresetowana” wydaje się okrutne. „Bądź ostrożna”. Ostatnie, czego chcę, to żeby popędzili do szpitala i zażądali jej zwrotu. Założę się, że Lorderowie szybko by mnie namierzili jako

źródło informacji. No i jest jeszcze ten jej odrażający wujek, Wayne. Nie natknęłam się na niego od tamtego spotkania na ścieżce. Wzdrygam się. Jeśli jego dostawczak będzie zaparkowany przed domem, cała wyprawa na nic.

O mało nie minęłam skrzyżowania z wypłowiętym napisem „Old Mill Farm”. Strzałka wskazuje wąską dróżkę – bardziej zarośniętą, pobrużdżoną koleinami polny trakt niż drogę. Skręcam w nią i już nie biegnę, tylko idę. Rosnące po bokach drzewa jakby się nachylały i złowieszczo zwieszały nad dróżką półnagie gałęzie. Narasta we mnie niepokój, coś każe mi się ukryć. Schodzę z traktu i zapuszczam się w gęsty zagajnik.

Według mapy zostało jeszcze około kilometra, ale przez te zarośla mam wrażenie, że znacznie więcej. Gałęzie zahaczają mi o włosy, jeżyny wczepiają się w ubranie i tęsknie spoglądam na dróżkę.

Gdy stoję niezdecydowana z jedną nogą skierowaną w stronę traktu, od domu dobiega odgłos pracującego silnika. Szybko zbliża się jakiś pojazd. Nurkuję w cień pod drzewem. I zaraz dróżką z klekotem przemyka biały dostawczak. Za kierownicą dostrzegam murarza: Wayne Best.

Serce mi wali, słyszę w uszach „łup, łup”. O mały włos. Co by zrobił, gdyby mnie zauważył na drodze, uciekającą mu prawie spod kół? Chyba zwariowałam. „Po prostu uważaj”.

Jeszcze jeden zakręt i w zasięgu wzroku ukazują się zabudowania. Bardziej przypominają zbiorowisko budynków gospodarskich niż mieszkalny dom. Niektóre zresztą wyglądają na wpół zawalone. Z przodu, za ogrodzeniem rozciąga się metalowe cmentarzysko usiane wrakami i zardzewiałymi częściami samochodów, traktorów i innej maszynery, której nie umiem rozpoznać. Żaden z pojazdów nie wygląda na używany. Może nikogo nie ma w domu? Zastanawiam się, czy nie zawrócić. „Już jesteś na miejscu”.

Budynek po prawej zdaje się mniej zrujnowany niż pozostałe. Rośnie przed nim kilka nieprzycinanych krzewów, a drzwi wyglądają bardziej jak wejście, nie jak zwisający na zawiasach kawał drewna.

Waham się, ale wychodzę na dróżkę i otwieram furtkę. Bity trakt biegnie dalej po lewej od zabudowań na rozciągające się z tyłu na zboczu pola. W błocie w równych odstępach rozmieszczono krzywe kawałki betonu pozwalające dostać się przez złomowisko do drzwi. „Najpierw nasłuchuj”. Tylko szelesty wśród drzew z tyłu, żadnych ludzkich głosów, żadnego radia.

Staję na pierwszym kawałku betonu i przeskakuję na następny. Kolejne leżą tak daleko od siebie, że ledwie doskakuję z jednego na drugi. Dom jest już całkiem blisko, kiedy rozlega się cichy dźwięk. Po lewej rejestruję ruch.

Obracam się.

Dwoje oczu. Zęby – ostre zęby. Basowe, grzmiące warczenie. Duży pies, może mieszaniec owczarka alzackiego i czegoś jeszcze. Nie wygląda przyjaźnie.

Zaczynam drżeć. Powinam się powoli wycofać, uciec, coś innego? Mierzę wzrokiem odległość od furtki. Wiem skądś, że jeżeli pobiegnę, pies będzie mnie ścigał. Jestem szybka, ale to nie wystarczy, za bardzo oddaliłam się już od ogrodzenia. Stoję bliżej domu. „Nie ustępuj pola”.

Pies robi kilka kroków w moją stronę, warczy i zaczyna szczekać.

Wysiłkiem woli zmuszam się, by się nie rzucić do ucieczki. Zbiera mi się na mdłości. Jasne, zwymiotuj na psa. Na pewno mu to poprawi humor. Przełykam ślinę i krok za krokiem, wolno sunę w kierunku domu. Może ktoś jest w środku. Może drzwi okażą się otwarte, cokolwiek.

Zwierzak warczy donośniej, idzie prosto na mnie.

„Leć”.

Zrywam się ku drzwiom. Wskakuję na stopień i szarpię za klamkę. Na próżno – jest zamknięte.

„Może o to chodzi”.

Pies rzuca się na mnie. Jest tak duży, że trafia łapami w moje barki, strąca mnie ze stopnia i przewraca plecami na ziemię. Walę głową o coś twardego, oczy napełniają mi się łzami. Jestem przygwożdżona. Walczyć, nie walczyć – nie mam pojęcia, co robić. Zamarła ze strachu wpatruję się w wyszczerzone ostre zęby; fale gorąca, smrodliwy oddech na twarzy; psie ślepia utkwione w moich oczach. Warczenie.

– Nie! – Męski głos.

Zęby chowają się w paszczy, lecz zwierzak się nie rusza, wciąż przygniata mnie swym ciężarem i warczy głucho, a jego łapy przenoszą wibracje na moje barki.

Ludzkie kroki.

– Dobra, Brut, co złapałeś? Zejdź! Chcę zobaczyć.

Brut – niezłe imię dla bestii – zeskakuje ze mnie. Siadam, zaczynam się podnosić.

– Zostań tam. – Ten gniewny rozkaz jest skierowany do mnie.

Siadam więc w śmierdzącym błocie i wpatruję się w twarz mężczyzny. Oczy osadzone blisko siebie i tłuste włosy, zupełnie jak u Wayne’a, czyli to pewnie jego brat. Tato Phoebe?

– Coś ty za jedna, do cholery?

– Jestem Kyla. P-prz-przyjaciółka Phoebe – udaje mi się wykrztusić.

Brut stroszy uszy na dźwięk jej imienia.

– Ten bezużyteczny bachor miał tylko przyjaciół na czterech łapach.

– Znam ją ze szkoły.

– I co? To pewnie wiesz, że jej nie ma. Czego chcesz?

– Zobaczyć się z jej mamą.

– Jej też nie ma. Spadaj.

Gapię się na niego i na Bruta.

– No już! Wstawaj i wynoś się, zanim zmienię zdanie.

Zbieram się z ziemi, a Brut warczy głośnie. Mając nadzieję, że jego pan go utrzyma, pędzę do furtki. Jestem już prawie przy ogrodzeniu, gdy słyszę za sobą głuchy tupot biegnących łap. Nie oglądając się za siebie, dopadam furtki, otwieram ją szarpnięciem i zatraskuję za sobą. Zasuwka klika tuż przed tym, jak pies wpada z łoskotem na ogrodzenie. Furtka drży od zderzenia, ale wytrzymuje.

Od strony domu dobiega śmiech ojca Phoebe.

– I nie wracaj! – woła za mną mężczyzna.

Nie zamierzam. „Widzisz, co się dzieje, kiedy ktoś próbuje zrobić coś dobrego?”. Mam dość. Phoebe jest dla mnie odłąd zamkniętym rozdziałem.

Moje Levo pokazuje 4,8. Co takiego? Jak wtedy, gdy byłam w szpitalu i uciekałam przerażona. Należałoby oczekiwać, że w takich okolicznościach poziom opadnie drastycznie. Idę dróżką, zbyt roztrzęsiona, żeby się ukrywać w zaroślach czy biec. Nagle czuję, że to dla mnie za dużo. Zatrzymuję się i zwracam zawartość żołądka.

Cudownie. Jakby nie wystarczało błoto i coś gorszego, czym jestem umazana, a do tego ból głowy.

Ból głowy? Dotykam ręką potylicy i krzywię się. Palce zabarwiły się na czerwono – pewnie uderzyłam się w głowę mocniej, niż myślałam. Nie zwróciłam na to uwagi, kiedy przygniatał mnie warczący, wyszczerzony potwór o smrodliwym oddechu.

Mam ochotę osunąć się na ziemię, tak jak stoję. Nie przejmować się tym, gdzie jestem ani co mnie tu może spotkać. Po prostu.

Nic z tego. Mam stąd kilka kilometrów do domu. Ruszam w drogę, gdy słyszę, że coś zbliża się z tyłu. Obracam się gwałtownie, wystraszona. Może nie oddalałam się wystarczająco szybko i pan Best wysłał Bruta, żeby mi pomógł się pośpieszyć?

Ale to jest kobieta, na wpół biegnie w moją stronę. Podnosi rękę.

– Zaczekaj! – woła i po chwili zrównuje się ze mną zdyszana. – Chciałaś się

ze mną widzieć? Jestem mamą Phoebe.

Gapię się na nią: szczupła, związane zmierzwiłone włosy, wokół oczu zmarszczki świadczące o zatroskaniu i zmartwieniu. Moje postanowienie, żeby nie mieć nic wspólnego z Phoebe i jej rodziną, słabnie.

– Wiesz może, co się z nią stało? Proszę, powiedz mi. Proszę.

Chwyta mnie mocno za ramię. Kiwam głową i krzywię się przy tym ruchu.

– Jesteś ranna? Daj, zobaczę. – Wyciąga chusteczkę i osusza mi ranę z tyłu głowy. – To tylko małe rozcięcie, może będzie potrzebny szew. Przepraszam za Bruta. Odkąd Phoebe zniknęła, zrobił się z niego istny potwór. Kochał ją.

– To był jej pies?

– O, tak. Chodził za nią wszędzie, machał ogonem, jak przerośnięty szczeniak. Bob się o to wściekał, w końcu miał to być pies stróżujący.

A kiedy mówi „Bob”, przez jej twarz przemyka cień strachu. Trudno sobie wyobrazić, jak można być żoną takiego człowieka; jak można mieć takiego ojca. Kobieta ogląda się nerwowo za siebie, jakby Bob mógł się pojawić na drodze, a ja ruszam szybkim krokiem w przeciwną stronę.

Idzie za mną, z ręką na moim ramieniu. Milcząca prośba. Przypominają mi się słowa Aidena: pomyśl, jak to jest nie wiedzieć, co się stało, martwić się. Pomyśl.

– Widziałam Phoebe w ostatni weekend – mówię w końcu. – Przypadkowo.

– Gdzie ona jest?

– W szpitalu w Londynie.

– O, Boże. Ranna?

– Nie, nie! Ma się dobrze.

– Nie rozumiem. To czemu jest w szpitalu?

– Została Zresetowana.

Kobieta zatrzymuje się wstrząśnięta, a ja zapominam o swoim marszu i stoję razem z nią.

– O, Phoebe – szepcze sama do siebie. – Jesteś dla mnie stracona. – Jej oczy wypełniają się łzami.

– Przykro mi – mówię i odwracam się, żeby odejść.

– Czy jest szczęśliwa? Dobrze jej tam?

– Tak.

– Dziękuję, że przysłaś i mi powiedziałaś.

Oddalam się, kobieta idzie w drugą stronę, do domu. Dobiegają mnie słabo słyszalne słowa:

– Może tak jest dla niej lepiej.

Może faktycznie tak.

– Co ci się, u licha, stało? – pyta Amy.

– Przewróciłam się.

– Zdejmij zaraz te ciuchy, bo zabłocisz cały dom. No i nie pachniesz za dobrze.

– Dzięki.

Amy zapędza Jazza do kuchni i zdejmuję ze mnie rzeczy w korytarzu, po czym od razu wrzuca je do pralki, podczas gdy ja biorę prysznic. Rozcięcie z tyłu głowy już nie krwawi i jakoś schowało się wśród włosów.

Kiedy mama wraca do domu, wszyscy troje siedzimy przy kuchennym stole z kubkami herbaty i odrabiamy lekcje.

– Ale jesteście pilni – zauważa. I unosi brew, jakby wiedziała, że kryje się za tym więcej, niż widać.

W nocy Sebastian mruczy w moim łóżku, a ja próbuję spać. Głowa dalej mnie boli, ale teraz raczej tępo pulsuje, niż ostro kłuje.

Mimo spotkania z Brutem jestem zadowolona, że widziałam się z mamą Phoebe. Przynajmniej już teraz wie. I rozumiem, że nie popędzą do szpitala ani nie będą się awanturować: jej ojca mało obchodzi los córki, a mama się nie odważy.

Może dla Phoebe tak rzeczywiście jest lepiej, jak powiedziała jej mama. Rodzina, do której dziewczyna dostanie się za kilka miesięcy, na pewno będzie lepsza niż własna. Nic dziwnego, że Phoebe była taka nieprzyjemna dla wszystkich – wszystkich z wyjątkiem zwierząt, takich jak ten straszny pies. W szpitalu na jej twarzy malowała się radość. Lorderowie oddali jej właściwie przysługę, prawda?

Może moja prawdziwa rodzina też była taka zła.

Głos nie chce się odzepić, choć mocno zaciskam powieki. Mówi mi rzeczy, w które nie wierzę, których nie chcę słuchać. W nocy, gdy wokół panuje cisza, rozlega się w mojej głowie jeszcze głośniejsze.

– Mamusia i tatuś nie przyjadą po ciebie, Lucy. Już cię nie chcą. Oddali cię i nigdy ich więcej nie zobaczysz.

Zimno, otulam się szczelniej przykryciem. Pościel jest nie taka, jak trzeba – drapie. Nic nie jest takie, jak powinno, nawet powietrze – dziwnie pachnie. Słony zapach, pochodzący od morza, którego aż do dziś nigdy nie widziałam.

Mocno przyciskam do uszu poduszkę, ale ten głos wciąż słyhać.

– Oddali cię i nigdy ich już nie zobaczysz...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

– Hej, jak leci? – Ben posyła mi swój zabójczy uśmiech i chce mi opowiedzieć o wszystkim.

Wyjaśnić, że właśnie coś z r o b i ł a m, że rozmawiałam z mamą Phoebe. A nawet powiedzieć o śnie, który tej nocy budził mnie i budził. Ben to jedyny człowiek, któremu mogę choćby próbować to wyznać, ale co pomyśli o moim śnie? Jeśli rodzice faktycznie mnie oddali i już mnie nie chcą, dlaczego zgłosili zaginięcie córki?

– Wszystko w porządku? – pyta Ben.

Wzruszam tylko ramionami i wczytuję kartę podczas wchodzenia do sali biologii. Co mogę powiedzieć w otoczeniu tak wielu uszu? Zajmujemy swoje miejsca z tyłu w środkowej ławce. A w klasie czeka nas niespodzianka: nie ma pani Fern.

Zamiast niej jest mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widziałam. Przysiadł na brzegu biurka twarzą do uczniów i patrzy, jak zajmują miejsca. Część dziewczyn zaczyna szeptać i łatwo się domyślić dlaczego: jest niesamowicie przystojny. I nie chodzi tylko o atrakcyjne elementy – jasne faliste włosy z pasemkami, wzrost, sposób, w jaki leżą na nim ubrania – ale o to, jak do siebie pasują. Facet przyciąga oczy.

Przesuwa wzrokiem po klasie, od niechcienia, ławka po ławce. Jego spojrzenie spoczywa na mnie i coś się dzieje. Nie umiem tego określić. Jakby coś między nami przeskoczyło. Nic głupiego ani ckliwego, tylko zupełnie innego. Jakieś rozpoznanie w jego oczach, jakaś odpowiedź w moich... lecz to nie jestem ja. Czuję się skołowana, gorąco uderza mi do policzków, gdy on wytrzymuje moje spojrzenie, bez uśmiechu, zbyt długo, żeby to było odpowiednie. Kiedy w końcu odwraca wzrok, mam wrażenie, jakbym spadła z dużej wysokości. W głowie mi wiruje, żołądek się skręca.

– Dzień dobry, klaso – wita się nieznajomy. – Pani Fern nie będzie miała z wami zajęć: dziś, a może jeszcze przez jakiś czas. Miała niefortunny wypadek. Ja nazywam się Hatten. – Odwraca się, żeby napisać swoje nazwisko na tablicy.

Czy rzeczywiście zrobił przerwę między słowami „niefortunny” i „wypadek”? T o n i e w y p a d e k. Tylko nie Lorderowie, jak z Gianellim. Tylko nie znów to samo. Przygryzam sobie język, żeby się skupić na t y m bólu. Czy to oni ją wzięli, a jeśli tak – dlaczego? Nie przychodzi mi do głowy żaden powód. Była

dobrą nauczycielką, ale nic więcej o niej nie wiem. W każdym razie kiedy zabrali Gianellego, nie robili z tego sekretu, czemu więc teraz miałyby być inaczej?

Może zastąpiono ją z innego powodu. Może Hatten jest jednym z nich.

Przyglądam mu się uważnie, jak chodzi po sali, prosząc, by uczniowie przedstawiali się po kolei. Nie wygląda jak Lorder. Zaczniemy od tego, że oni zawsze noszą szare garnitury albo czarne stroje operacyjne. Lecz to nie wszystko. Lorderowie, choć czujnie wypatrują kłopotów, nie interesują się ludźmi poniżej dwudziestego roku życia, po prostu nas nie zauważają. Hatten jest inny: słucha, przyjmuje do wiadomości, okazuje zainteresowanie i zwraca uwagę na każdego ucznia w klasie. Jakby miał w tym jakiś cel.

– A ty?

– Jestem Ben Nix – przedstawia się Ben z uśmiechem. – Ale czy z panią Fern wszystko w porządku? Co się jej przydarzyło?

Odwracają się głowy, nadstawiają uszy. Zadawanie pytań nie zawsze jest właściwym wyborem. Ale Hatten uśmiecha się.

– Wydobrzeje. Miała wypadek samochodowy i jest w szpitalu. Kto następny?

– Jego oczy znów spoczywają na mnie. Nawet z pewnej odległości widać, że mają dziwny kolor. Niebieski, ale bardzo jasny, zaledwie cień błękitu. Gdyby nie ciemniejsza obwódka tęczówki, niemal zlewałaby się ona z białkiem.

– Mam na imię... Kyla – mówię.

Co jest ze mną nie tak? O mało nie powiedziałam czegoś innego, imienia, które wemknęło się do istnienia i zaraz potem zniknęło, zanim to sobie uświadomiłam. Hatten w rozbawieniu unosi brew, jakby wyczuł to moje prawie potknięcie. „Weź się w garść”. Tym razem udaje mi się odwrócić wzrok, zanim on to zrobi. Zaciskam mocno dłonie, żeby mi się nie trzęsły.

Hatten kończy zapoznanie z uczniami i rozpoczyna lekcję. Pożycza od jednej osoby zeszyt, żeby sprawdzić, co ostatnio przerabialiśmy. Właśnie zaczęliśmy rozdział o klasyfikacji biologicznej.

Zamyka zeszyt.

– Dzisiaj zrobimy coś innego – zapowiada. – Ćwiczenia praktyczne z mózgiem. – Wskazuje Bena i mnie. – Wy dwoje mi pomożecie. Weźcie modele mózgu i rozdajcie je po jednym na parę.

Ben zrywa się, a ja idę za nim. Bierzemy pudełka z bocznej szafki, którą wskazał nam Hatten.

W środku znajdujemy trójwymiarowe modele ludzkiego mózgu. Każda część jest oznaczona numerem i wszystkie pasują do siebie, zazębiają się jak puzzle.

Mijają minuty, podczas gdy rozkładamy mózgowie na elementy i składamy je z powrotem, a przy tym zapisujemy ich nazwy na karcie ćwiczeń. Mózdzek, pień mózgu, płat czołowy, prawa i lewa półkula... Schemat przypomina mi przekrój mojego mózgu, który widziałam w komputerze doktor Lysander. Tylko że tamto to nie był szkic, ale skan mojego prawdziwego, żywego mózgowia.

– Posłuchajcie – mówi Hatten. – Na zakończenie złożcie dłonie w taki sposób, żeby powstało kółko, przez które da się patrzeć. – Rysuje na tablicy X. – Wyciągnijcie ręce przed siebie i nakierujcie je na iks, tak aby obydwoma oczami widzieć go w kółku. Teraz zamknijcie jedno oko, a potem otwórzcie je i zamknijcie drugie, ale nie zmieniajcie ułożenia rąk. Przy zamkniętym jednym oku iks powinien zniknąć, a przy zamkniętym drugim wciąż będzie w kółku.

Robimy, jak polecił. Wyciągam przed siebie ręce i spoglądam na iks. Faktycznie: gdy zamknę lewe oko i patrzę prawym, iks jest przesłonięty ręką. Kiedy zamknę prawe i spoglądam lewym, znak pozostaje dokładnie pośrodku kółka.

Hatten wodzi wzrokiem po klasie. Wtem jego oczy spoczywają na mnie.

– Kyla? Które oko widzi iks? – pyta.

– Lewe – odpowiadam.

Uśmiecha się.

– Ciekawe. Musisz być biologiczną anomalią.

Nie odzywam się już, a on ciągnie dalej:

– Dominujące oko jest na ogół z tej samej strony, co dominująca ręka. Jeżeli widzisz iks lewym okiem, powinnaś być leworęczna. Jednak trzymasz długopis w prawej. A jak pozostali? Czy dominujące oko macie z tej samej strony, co dominującą rękę?

Rozlegają się potakujące głosy. Wiercę się nieswojo na krześle.

– Zdaje się, że kończy nam się czas – mówi Hatten. – Ale może się zastanawiacie, dlaczego zrobiliśmy to ostatnie doświadczenie i co ono ma wspólnego z naszą pracą nad modelem mózgu. – Jego oczy znowu wędrują do mnie. Nie patrzy na nikogo innego w klasie, tylko na mnie. – To kluczowe odkrycie w badaniach nad ludzkim mózgiem: wpływ lewo- i praworęczności na rozwój i organizację procesów pamięciowych i przechowywanie zapamiętanych informacji. U osób leworęcznych w pewnych kluczowych sprawach za dostęp do pamięci odpowiada głównie prawa półkula. U praworęcznych dominująca jest lewa. Jednak rzadko, u nielicznych jednostek, ta zasada nie działa. Często osoby o zdolnościach artystycznych najwyraźniej wykorzystują swój mózg inaczej. – Nareszcie odwraca wzrok, przesuwając nim

po sali, po czym znów patrzy prosto na mnie. – To bardzo ważne w chirurgii i leczeniu chorób mózgu.

Chirurgii. T a k i e j j a k R e s e t o w a n i e.

Rozbrzmiewa dzwonek. Koniec lekcji.

– Wychodząc, oddajcie swoje arkusze ćwiczeń! – woła nauczyciel.

Uczniowie zbierają się do wyjścia, odkładają książki.

Praworęczność... leworęczność. Moja lewa ręka samoistnie zaciska się w pięść. Jej palce zmiądzono cegłą. Ale to był tylko sen.

„Czy aby na pewno?”

– Kyła. – Ben trąca mnie. – Chodź.

Otrząsam się wewnątrz i zmuszam, by wstać i podejść do nauczycielskiego biurka. Idę na nogach ciężkich jak z ołowiu, tak wolno, że jestem ostatnia. W drzwiach czeka już pani Ali. Kładę swoje ćwiczenia na wierzchu stosiku, który trzyma Hatten.

– Czy twoim zdaniem to było... interesujące? – pyta nauczyciel i mruga do mnie porozumiewawczo.

Podskakuję, nie odpowiadam i pędzę do wyjścia.

Pani Ali marszczy brwi.

– Kyła, chcę zamienić z tobą szybkie słówko, zanim pójdziesz na następną lekcję. Chodź.

Ciągnie mnie do pustej sąsiedniej sali.

– Ostatnio pojawiły się pewne obawy dotyczące ciebie, moja droga. – Przywołuje na usta swój łagodny uśmiech. „Robi tak, kiedy jest najbardziej niebezpieczna”. – I po tym, czego przed chwilą byłam świadkiem, muszę się z nimi zgodzić.

Czego przed chwilą była świadkiem? Gorączkowo sprawdzam w pamięci ostatnie minuty w klasie. Czy była już w drzwiach, gdy Hatten mówił o anomalii biologicznej? Nie. Jestem pewna, że jeszcze nie. Zjawiła się dopiero na końcu. I nie mogła widzieć, jak puszczał do mnie oko – był odwrócony do niej plecami.

– Co pani ma na myśli?

Znów marszczy brwi.

– Ten czarujący nowy nauczyciel zapytał, czy zajęcia były dla ciebie interesujące, a ty mu nawet nie odpowiedziałas.

„Ten czarujący nowy nauczyciel” – ha. Facet ma w sobie coś znacznie więcej, niż widać, i domyślam się, że bynajmniej nie jest to czarujące. Ale odnoszę wrażenie, że ona nie ma o tym pojęcia.

– A liczni inni twoi nauczyciele mówią, że jesteś nieuważna, nieobecna duchem i niechętna do nauki.

– Przepraszam. Postaram się poprawić.

– Nie tylko się postaraj, ale naprawdę się popraw. To ostrzeżenie, Kylo. Już o tym rozmawiałyśmy. Nie zapominaj, że do dwudziestego pierwszego roku życia ponosisz karę. Twoja umowa zobowiązuje cię, żebyś się zintegrowała i dobrze sobie radziła w szkole, w rodzinie i w społeczności. Masz teraz ponad szesnaście lat. Jeśli ci się nie uda, są dostępne inne opcje leczenia. – Uśmiecha się ciepło. – A teraz biegnij na następną lekcję, moja droga. Miłego dnia.

Wychodzi i znika na końcu korytarza. Ben, trzeba mi Bena. Wszystko się we mnie wali. Mam zamęt w głowie z powodu Hattena, po tym, co powiedział, a groźby pani Ali dodały do tego jeszcze szok i strach. Zaczyna mi spadać poziom.

Kiedy wychodzę na korytarz, Hatten właśnie zamyka salę biologiczną. Wykrzywia się w stronę oddalających się pleców pani Ali.

– Co za suka – szepcze, znów do mnie mruga i posyła mi łobuzerski uśmiech. Wygląda przez to młodziej, bardziej naturalnie, jakby przedtem nosił tylko nauczycielską maskę. Bezwiednie odpowiadam uśmiechem. Nachyla się bliżej i kładzie sobie palec na ustach. – Ciii, to nasz mały sekret. – I oddała się w przeciwnym kierunku.

Cóż. Mogłabym przysiąc, że słyszał każde słowo pani Ali. Jak? I co jest „naszym małym sekretem”?

Czas pokaże.

Ben czeka na mnie przed budynkiem.

– Widziałem, że pani Ali bierze cię na rozmowę. W porządku?

– Bywało lepiej – mówię. Ale gdy sprawdzam Levo, odczyt mnie zaskakuje: 5,1. Czy głupie miny Hattena zapobiegły spadkowi? Albo co więcej: może to dlatego, że stał b l i s k o? Serce wciąż bije mi szybciej.

– Możesz się jutro wyrwać na bieganie przed Grupą? – pyta Ben ze zmartwioną miną.

– Oczywiście. Wtedy pogadamy.

Rozlega się pierwszy dzwonek na następną lekcję i rozbiegamy się w przeciwnych kierunkach.

Pora, żebym była uważna i chętna do nauki. Albo przynajmniej lepiej udawała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Odsuwam zasłonę obok frontowych drzwi i wyglądam na ulicę. Ani śladu. „Pośpiesz się, Ben”.

– Kyla? – woła mnie tato z pokoju. Idę do drzwi. – Chodź, porozmawiaj ze mną przez chwilę, i tak czekasz.

Waham się, patrzę na swoje stopy – mam już włożone buty do biegania.

– Nie przejmuj się tym, mama się nie dowie – rzuca tato.

Mamy może nie ma w domu, ale jestem pewna, że jakiś tajemny radar rejestruje, czy ktoś chodził w butach po dywanie. Wycieram je starannie na słomiance i stoję niepewnie w drzwiach.

– Siadaj. – Tato uśmiecha się.

Przysiadam na brzegu fotela.

– Twój chłopak nie jest zbyt punktualny, co?

– Nie – przyznaję.

– Więc jest twoim chłopakiem.

– Co?

– T w ó j c h ł o p a k. Wiesz: taki, z którym chodzisz.

Oblewam się rumieńcem.

– Nie.

– Albo może: chciałabyś z nim chodzić.

– Nie! Nie wiem. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Tato unosi brew i mam wrażenie, że rozumie moje przemieszane uczucia lepiej niż ja sama.

– Uważaj, Kyla. Pozwoliliśmy Amy widywać się z Jazzem, ale to nie oznacza, że ty jesteś gotowa spotykać się z chłopakiem. Dopiero niedawno wyszłaś ze szpitala. A wiesz, że dopóki nie zostaniesz uwolniona w wieku dwudziestu jeden lat, musisz słuchać mamy i mnie: we wszystkim, włącznie z tym.

– Tak.

– Nie jestem pewien, czy mi się podoba, że ty i ten Ben biegacie tylko we dwoje.

Nie odzywam się. Jeżeli zaprotestuję, to go tylko utwierdzi w przekonaniu, że ma rację. Ale muszę się zobaczyć z Benem. Tak bardzo chcę z nim porozmawiać. Po wszystkim, co się zdarzyło w tym tygodniu, chcę go po prostu wziąć za rękę. O.

– Ale mama uważa, że jest w porządku, więc zgadzam się z nią. Na razie. Dopilnuj jednak, żebyście naprawdę byli „tylko przyjaciółmi”, tak jak powiedziałaś. Czy wiesz dlaczego?

– Eem, nie jestem pewna.

– Istnieją poważne obawy co do tego, że zbyt krótko po Zresetowaniu nie jesteście w stanie poradzić sobie z takim rodzajem uczuć. Mogłyby tak mocno namieszać wam w poziomach, że nie moglibyście ich kontrolować.

Takie ostrzeżenia słyszałam w szpitalu. Ale jak to możliwe? Ben przecież pomaga mi podnosić poziom Levo, a nie przeciwnie. Chyba że...

– Chcesz, żebym została pod kontrolą – mówię, zaskoczona, że słowa wydobyły się ze mnie, zanim zdążyłam je ocenzurować.

Przez oczy taty przemyka jakieś rozbawienie.

Rozlega się pukanie do drzwi: Ben. Zrywam się na równe nogi, lecz tato unosi rękę.

– Zostań jeszcze chwilę – mówi.

Idzie do drzwi i sam otwiera, a ja czekam. Słucham, jak przedstawia się Benowi, gawędzi z nim o bieganiu i szkole. Ben jak zawsze jest otwarty, uprzejmy. Miły. Ten rodzaj chłopca, jaki dorośli lubią.

Tato wsuwa głowę do pokoju.

– Więc biegnij – zwraca się do mnie. – Ale pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

– Przepraszam cię za to – mówię, kiedy drzwi są już za nami bezpiecznie zamknięte.

– Za co?

– Za tatę.

– A co z nim? Wydaje się w porządku.

– Nieważne.

Pędzimy drogą, coraz szybciej i szybciej, i wkrótce zatracam się w zimnym powietrzu, w wieczorze, w znajomym rytmie naszych stóp na chodniku. Miarowe „tup, tup” długich nóg Bena rozlega się w innym tempie niż moje, ale biegniemy z tą samą prędkością. Ramię w ramię.

Zwalniamy, docierając do miejsca, w którym od drogi odchodzi ścieżka.

– Rozmawiamy? – pytam.

Ben bierze mnie za rękę, prowadzi w cień drzew. Wieczór jest pogodny, księżyc, prawie w pełni, wystarczająco oświetla drogę. Gdy tak idziemy do furki, myślę o tym, co mówił tato i co słyszałam w szpitalu. Unikać chłopców, bo ci namieszają w poziomach. Ale mój poziom jest w tej chwili wyższy niż kiedykolwiek w minionym tygodniu. Co oni wiedzą?

Tak jak poprzednio Ben sadza mnie na murku. Staje przede mną i oplata mnie ramionami w tali. Odsuwa mi włosy z jednej strony twarzy, nachyla się.

– O czym chciałaś rozmawiać? – szepcze mi do ucha, a jego oddech sprawia, że z góry na dół przebiega mi po karku dreszczyk.

Nie odzywam się, nagle mam w głowie pustkę. Krew wciąż dudni mi w żyłach po biegu. „Albo z innego powodu”.

– Obiecałem coś sobie – mówi Ben.

– Co?

– Że jeżeli jeszcze kiedyś tu będziemy, zrobię to. – Delikatnym gestem bierze mnie pod brodę i wszystko mi się miesza, wiruje w środku w panice, ale nie takiej, która kazałaby rzucić się do ucieczki. Zimny murek pod spodem, ciepłe ramiona dokoła, dłoń pod moją brodą, wszystkie zmysły podkreślone do granic. Ben pochyla się, muska ustami moje wargi. Słodko, łagodnie: cały Ben. Odsuwa się i uśmiecha. A ja chcę przyciągnąć go bliżej, całować znowu i znowu. „Uspokój się”. A jeśli tato ma rację i zdestabilizuję sobie poziom?

– O czym chcesz porozmawiać? – pyta Ben.

– Hmm? – odpowiadam mruknięciem, wpatrzona w jego oczy. Wyciągam rękę, wodzę palcem po jego ustach. Na swoich czuję mrowienie.

Ben uśmiecha się szeroko, bierze moje dłonie w swoje, splata nasze palce.

– Mówiłaś, że chcesz o czymś porozmawiać. Ale jeśli wolisz raczej... – Pochyla się, żeby mnie znów pocałować. Raz. Drugi...

Wszystko we mnie wiruje. Wtem jednak przypominam sobie i odsuwam go lekko od siebie.

– Rozmawiamy?

– Jeżeli musimy – odpowiada schrypniętym, lekko drżącym głosem.

Tym razem moja kolej, żeby się roześmiać. I opowiadam mu o tym, jak poszłam zobaczyć się z mamą Phoebe i powiedziałam, że jej córka została Zresetowana.

Benowi błyszczą oczy w świetle księżyca. Przytula mnie.

– Wiedziałem, że zrozumiesz, kiedy to sobie przemyślisz. Że powinniśmy pomóc Aidenowi i ZWA.

Potrząsam głową.

– Nie. To nie tak. Chciałam, żeby bliscy Phoebe wiedzieli, co się z nią stało, żeby się nie martwili. Ale sama nie chcę się upubliczniać.

– A co z Lucy? Co z jej rodzicami?

– Zastanów się nad tym, Ben. Ile lat miała Phoebe?

– Piętnaście.

– Więc kiedy się wychyliła, została Zresetowana. Ale co stałoby się ze mną?

I mówię mu, co musiałam wysłuchać od pani Ali, że mi groziła. „Innymi opcjami leczenia” dla osób po szesnastce. Jestem na warunkowym, obserwują mnie. Wychylę się i zginę bez śladu jak Tori.

Ben blednie.

– Nie chcę, żeby ci się przydarzyło coś złego.

W tym momencie coś sobie przypominam.

– Czy całowałaś Tori tak jak przed chwilą mnie? – Słowa wyskakują, zanim to zdążę przemyśleć, i mam ochotę złapać je, schować z powrotem.

Ben unosi brew.

– A to ma jakieś znaczenie? – Zanim znów powiem coś, czego będę żałować, wybucha śmiechem. – NIE. Nigdy nie całowałem Tori. Byliśmy tylko przyjaciółmi.

– Ale myślałam...

– To źle myślałaś. Tori miała ciężko w domu. Potrzebowała kogoś do rozmowy, a ja umiem słuchać.

Zauważyłam. Ale spostrzegłam też, że Tori nie uważała go tylko za przyjaciela. Tym razem jednak udaje mi się utrzymać język za zębami.

Ben się uśmiecha.

– Kyla, wierz mi, jesteś jedyną, którą chcę całować. I nie chciałbym, żeby przydarzyło ci się coś złego. – Potrząsa głową, pociera sobie skronie. – Nie rozumiem, jak działa mój mózg.

– Co masz na myśli?

– Kiedy mówią do mnie nauczyciele i pielęgniarki w szpitalu, ich argumenty wydają mi się właściwe i rozsądne. Wiem, że powinienem ich słuchać. Ale gdy mówił do nas Aiden, zobaczyłem, że tamto jest złe, a on ma rację. Że władzę trzeba pociągnąć do odpowiedzialności za to, co robi. Teraz ty wyjaśniasz mi wiążące się z tym oczywiste niebezpieczeństwa, których sam sobie nie uświadamiałem. Jakbym czasami nie potrafił jasno myśleć. Wygląda na to, że mój mózg może funkcjonować tylko po biegu, jak teraz.

„Na tym polega Reset”.

Przypominam sobie, co mówił nam Aiden i jak to mówił. Ma swoje własne cele. Nie przejmował się tym, co może się nam przydarzyć, jeśli się zgodzimy na jego plany, prawda? I umiał przemawiać do Bena w taki sposób, żeby go pchnąć na swoje tory myślenia. Wiedział, jak łatwo Ben ulega wpływom. Ja powinnam być taka sama. „Kyla jest inna”.

– Jak myślisz, co teraz? – pytam.

– Nie chcę, żeby coś ci się przytrafiło. A tobie jak się wydaje?

– Na tym polega Reset. Sprawia, że stajesz się zgodliwy, chcesz robić właściwe rzeczy, takie, których od ciebie oczekują.

– To przecież jeszcze gorzej. Tym bardziej powinniśmy zadziałać. – Na jego twarzy maluje się z troskaniem. Ben myśli w tej chwili sam, to właśnie jest jego zdanie.

„Nie. Lepiej milczeć jak grób”.

– Ben, posłuchaj. Musimy się trzymać z dala od Aideny. W szkole i w domu robić to, czego się od nas wymaga. Poczekać, aż nam zdejmą Levo. Jeżeli wcześniej wyskoczmy z czymś, co ściągnie na nas uwagę, będzie to zbyt niebezpieczne. Kiedy skończymy dwadzieścia jeden lat, będziemy mogli jeszcze raz przyjrzeć się temu i zobaczyć, co możemy zrobić.

Ben słucha, a ja znów widzę, jak łatwo na niego wpłynąć, coś mu z a s u g e r o w a ć. Powiedzieć cokolwiek z wystarczającym naciskiem, a pójdzie za tym jak w dym. Co to za niebezpieczny świat dla kogoś takiego jak Ben. Ogarnia mnie przemożna potrzeba c h r o n i e n i a g o. „Dla kogoś takiego jak Ben...”. Powinien być też dla kogoś takiego jak ja. Ale z jakiegoś powodu nie jest, nie w ten sam sposób. Zresetowana, lecz nie taka jak reszta. „Kyla jest inna”.

– Masz rację, Kyla – mówi Ben. Znów ciasno oplata mnie ramionami. Całuje w policzek i mogłoby to prowadzić do czegoś więcej, zwłaszcza że tak bardzo tego chciałam. Ale może całowanie to też coś, co mu zasugerowałam?

– Chodźmy, żeby zdążyć na Grupę – mówię.

Podczas gdy wracamy na ulicę, pytam go, co myśli o lekcji Hattena. O tym, że jestem anomalią biologiczną, o prawo- i leworęczności oraz chirurgii mózgu. Lecz Ben najwyraźniej nie chce o tym rozmawiać.

Resztę drogi pokonujemy biegiem, a mój umysł wiruje przez cały czas. Przedtem w obecności Bena czułam się bezpieczna, ale teraz widzę, że źle to rozumiałam. To ja muszę dbać o jego bezpieczeństwo. Muszę uważać za nas oboje.

Dlaczego umiem myśleć o sobie w taki sposób, w jaki Ben nie potrafi?

Nie rozumiem, ani trochę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Mama jest posępna, skupiona, dłonie tak mocno zaciska na kierownicy, że jej bieleją knykcie. Ale nic się nie dzieje – wleczeni się w korku. Wjeżdżamy wolno na niewielkie wzniesienie i widzimy stamtąd niekończący się sznur pojazdów stojących w kolejce do szpitala. Powiadomiono nas wczoraj, że mamy się skierować do innego wjazdu niż dotychczas. Czy tamta brama została uszkodzona w zamachu bombowym w zeszłym tygodniu? Wkrótce docieramy do końca kolejki i zatrzymujemy się.

– W porządku u ciebie? – pytam.

Mama wzdryga się, a potem na wpół uśmiecha.

– Czy to nie ja powinnam cię o to zapytać?

– Zapytałam pierwsza.

– Zgoda. Po prostu czuję się spięta, wracając tu po tym, co się wydarzyło tydzień temu. A ty nie?

To dziwne, ale nie. Przynajmniej nie w tym sensie, o jaki jej chodzi. Niewątpliwie Lorderowie mają wszystko już tak zabezpieczone, że terroryści nie zbliżą się do szpitala na kilometr. Mama jednak wygląda tak, jakby ją korciło, żeby się przedrzeć na drugi pas i popędzić jak najszybciej w przeciwną stronę.

– Myślę, że nie pozwolą, żeby coś się zdarzyło po ostatnim tygodniu, więc pewnie będzie bezpieczniej niż kiedykolwiek.

Mama przechyla głowę na bok.

– Zapewne masz rację. Ale i tak nie mam ochoty tam jechać.

Ja też nie, lecz z innych powodów. Nie jestem pewna, czy moja twarz pokerzysty jest dzisiaj gotowa na doktor Lysander. Łatwo jest postanowić sobie, że się będzie zgadzało na wszystko i postępowało według oczekiwań jak grzeczna mała Zresetowana; wykonanie takiego planu to jednak co innego.

– Wiem. Ucieknijmy i zamiast do szpitala wybierzmy się gdzieś na lancy – proponuję.

Mama się śmieje.

– Śmieszna z ciebie dziewczyna. Byłoby cudownie, gdybyśmy mogli.

– Ty przecież możesz. Wysadź mnie i jedź sobie gdzieś na cały dzień. Pewnie masz powyżej uszu, że marnujesz każdą sobotę, żeby mnie tutaj zawieźć.

– To prawda. Ale nie mogę się tak po prostu wyrwać, dokąd bym chciała. Widzisz te słupki na każdym rogu? Jak ten po lewej, o tam.

Patrzę przez okno. Obok sygnalizacji świetlnej rzeczywiście stoi słupek. Na jego szczycie wisi mała czarna skrzynka – jakieś urządzenie. Kamera.

– Monitorują, identyfikują i lokalizują każdy pojazd w Londynie. Jeśli się zacznę włóczyć w nieoczekiwany sposób, kto wie, co mogłoby się zdarzyć? Choć może ja bym się z tego jakoś wymigała.

– Czy to ze względu na to, kim był twój ojciec?

– I moja mama. Ona też była ważna.

– Więc nawet dorośli nie mogą jeździć, gdzie im się podoba.

– Nie. Nie w dzisiejszych czasach.

– A kiedyś mogli?

– Sytuacja się zmieniła, Kylo. Kiedy byłam w twoim wieku, było inaczej.

– To wtedy się wszystko zaczęło, w latach dwudziestych?

Mama się krzywi.

– Czy wyglądam tak staro? Szesnaście lat miałam w dwa tysiące trzydziestym pierwszym.

– Ale w takim razie pamiętasz lata dwudzieste. Kiedy były zamieszki, gangi i wszyscy ze strachu chowali się po domach i nie wychodzili na ulicę.

Znowu się śmieje.

– To jedna wersja historii. Wtedy też zakazano osobom poniżej dwudziestego pierwszego roku życia korzystać z komórek. Używano ich do organizowania demonstracji, rozumiesz? Ale nie było aż tak źle. Przynajmniej na początku. Jednak na pewno inaczej niż dziś. Trzeba było uważać, jeśli się wychodziło po zmroku i takie tam.

Jej oczy ześlizgują się na bok, na stojących na rogu Lorderów. W czerni, z karabinami maszynowymi.

– Teraz trzeba się tylko strzec ich.

Ku mojemu zaskoczeniu mama lekko kiwa głową.

– Powiedziałaś, że nie było tak źle na początku. A potem?

– Nie macie w szkole historii? Po krachu... No wiesz, zaczęło się od kryzysu kredytowego i zapaści ekonomicznej w całej Europie. Kiedy Wielka Brytania wycofała się z Unii Europejskiej i zamknęła granice, zaczął się okres czystego szaleństwa.

– Widziałam film o zamieszkach.

– Pokazali w nim najgorsze z nich. Na samym początku większość studenckich demonstracji była pokojowa. Ale frustracja i gniew narastały.

Na lekcjach historii uczą nas tylko o dzikich bandach i rozwścieczonych nastolatkach, którzy z ogniem w oczach niszczyli cudzą własność i zabijali

ludzi. Urzeczona tym, że mama mówi mi takie rzeczy, nie odzywam się. A ona opowiada – możliwe, że po to, aby odciągnąć myśli od miejsca, do którego jedziemy, i od zeszłotygodniowych wydarzeń.

– Mama i tato kłócili się o to późnymi wieczorami. Zakradałam się na dół i podsłuchiwałam.

– Twój tato był premierem. Czyli on wygrał.

– Nie od razu. Najpierw był po prostu jednym z kandydatów na to stanowisko. Zbliżały się wybory. Mama była prawniczką, zagorzale broniła swobód obywatelskich.

– Co to takiego?

Potrząsa głową.

– Pomyśleć, że musisz pytać. A jak sądzisz, co to oznacza?

– Swoboda to coś takiego jak wolność, prawda?

Mama przytakuje.

– Wolność słowa, swoboda działania, prawo do zgromadzeń. Mama i tato mieli zupełnie odmienne poglądy na to, jak należy opanować sytuację. Skończyło się na tym, że ona prowadziła kampanię nowej partii politycznej, Wolność Brytanii.

– Czyli byli w opozycji do siebie?

– Tak.

– Ale twój tato wygrał.

– Niezupełnie. Wynik nikomu nie dał przewagi. Te dwie partie musiały utworzyć koalicję, choć partia taty była na mocniejszej pozycji. Wierz mi, śniadania były interesujące. Sęk w tym, Kyla, że żadne nie wygrało. Poszli na kompromis. I to dało nam ciebie.

– Nie rozumiem.

Mama lekko podkręca radio i odwraca się twarzą do mnie. Mówi przyciszonym głosem:

– Żeby o tym ze mną rozmawiać, musisz dochowywać tajemnic. Powiedziałaś mi kiedyś, że tego nie potrafisz. Myślę jednak, że przypuszczalnie umiesz. Ale czy chcesz, żebym ci je przekazała?

Grzeczna mała Zresetowana powinna powiedzieć „nie” i unikać niebezpiecznej wiedzy. Ale w tej chwili nie dopuszczam jej do głosu.

– Powiedz mi.

– Cóż, z jednej strony masz mojego tatę i początek ruchu Prawa i Porządku, który zaowocował Lorderami. Zero tolerancji dla przemocy i obywatelskiego nieposłuszeństwa, surowe kary za łamanie prawa. Z drugiej strony był pogląd, że

młodzi, czyli demonstrujący studenci, członkowie gangów, powinni mieć szansę na rehabilitację. Ponieważ często trudno ich było obwiniać o to, co robili. Dużą rolę odgrywało, skąd pochodzili, jak ich wychowywano, mogli być źle traktowani. Jako istoty ludzkie zasługiwali na wyrozumiałość i szacunek. Na pomoc, nie karę.

– Jak to prowadzi do mnie?

– Dokonano wtedy ważnych odkryć. Nie znam się za bardzo na nauce. Chodzi o wspomnienia w mózgu. Próbowali pomóc ludziom z autyzmem i tak dalej. I trochę przez przypadek odkryli proces usuwania ludziom pamięci.

– Reset.

– Właśnie. Dla rządu koalicji było to idealne rozwiązanie. Zamiast surowo karać przestępcę, mogli z niego zrobić *tabula rasa*, niezapisaną, czystą tablicę. I kazać mu zaczynać od nowa. Dać drugą szansę.

Myślę o tym, co usłyszałam.

– Więc każda ze stron dostała to, czego chciała. To się nazywa kompromis, tak?

Mama śmieje się, ale nie tak, jakby to było coś zabawnego. W jej twarzy nie ma wesołości.

– Raczej: żadna ze stron nie dostała tego, czego chciała, i obwiniały się nawzajem o wszystko. Tak było wtedy i tak jest nadal w Centralnej Koalicji, którą mamy dziś. I stąd też wzięły się czujniki Levo.

Patrzę na swój nadgarstek i urządzenie, które kieruje moim życiem. W tej chwili pokazuje 5,2. Obracam gadżet na ręce i ból dźga mi skronie. Wiem, że tak to działa, ale nie mogę się powstrzymać i od czasu do czasu szarpnię za łańcuch swojego więzienia.

– Jak ten ich kompromis mógł mi dać Levo?

– Cóż, Wolność Brytanii twierdziła, że należy dopilnować, aby biedni Zresetowani byli szczęśliwi. Lorderom z kolei chodziło o to, żeby dawni przestępcy nie zeszli z powrotem na złą drogę. Odpowiedź? Levo. Musisz być szczęśliwa, nie możesz zrobić nic złego. Obie strony są zadowolone, każda z nich dostała to, czego chciała.

– Ha. Bo oczywiście żadne z nich nigdy nie musiało tego nosić.

Mama znowu się śmieje.

– Właśnie.

– Brałaś czyjąś stronę? Mamy albo taty?

– Zazwyczaj próbowałam utrzymać w domu spokój i zachowywać równowagę. Potem...

– Potem?

Nie odpowiada przez dłuższą chwilę i już myślę, że tego nie zrobi. Wtem odwraca się do mnie z błyszczącymi oczyma.

– Kiedy zginęli, można powiedzieć, że straciłam równowagę.

Jesteśmy już prawie przy punkcie kontrolnym. Żadna z nas nie odzywa się więcej. Jej rodzice zginęli, gdy bomba terrorystów trafiła w ich samochód. Cokolwiek myślała przedtem, nie mam wątpliwości, w którą stronę przechyliła się, tracąc równowagę: w stronę Lorderów. Na pewno, po tym jak terroryści zabili jej rodziców. Jak mogłoby być inaczej?

Obserwuję jej twarz, gdy przeszukują nasz samochód. Najwyraźniej mama skrywa rzeczy wykraczające poza słowa, które niedawno wypowiedziała. Lorderowie tak jak poprzednio rozpoznają ją. Traktują z pewnym szacunkiem, jakiego nie zauważyłam w ich interakcjach z innymi ludźmi. Mama to akceptuje. Ale nie wydaje się z tego zadowolona.

Zastanawiam się, co przemilczała.

Doktor Lysander stuka palcami w ekran, potem podnosi wzrok.

– Widzę, że w zeszłym tygodniu podczas ataku poszłaś na dziesiąte piętro. Tam poziom spadł ci tak bardzo, że trzeba ci było podać środki uspokajające. Opowiedz mi o tym.

Od razu obława.

– Próbowałam iść do dyżurki pielęgniarek, jak mi pani kazała. Światła zgasły. Pielęgniarka... – Urywam. Nie chcę o tym myśleć.

– Wiem o pielęgniarce – mówi doktor. – Musiał to być dla ciebie szok. Ale wtedy się nie wyłączałaś.

– Nie. Poszłam na schody i na dziesiąte piętro. Nie bardzo wiem czemu.

– To było kiedyś twoje miejsce, znałaś je najlepiej. A więc się tam udałaś, to doskonale rozumiałaś. Ale jak myślisz, dlaczego przeszłaś przez to wszystko i dopiero kiedy byłaś bezpieczna, poziom ci opadł?

„Z powodu Phoebe”. Jednak tego nie mogę powiedzieć. Wzruszam ramionami.

– Może kiedy przestałam uciekać, to wszystko dopadło mnie naraz.

Przechyla głowę na bok, zastanawia się.

– Może. – Nie wygląda jednak na przekonaną, jakby wiedziała, że coś się za tym kryje.

– Nic się pani nie stało? – zagaduję. – Martwiłam się o panią.

I mówię to szczerze. Nie ma wątpliwości, że to ona byłaby celem dla

terrorystów.

Oczy otwierają się jej nieco szerzej, twarz łagodnieje.

– Dziękuję, Kylo, doceniam to. Byłam bezpieczna. Zabrali nas do schronu i mieliśmy dobrą opiekę.

– Dlaczego nie wzięli też pielęgniarki? Znała ją pani?

– Tak. Miała na imię Angela. – Na twarzy doktor Lysander maluje się smutek.

– Czasem trzeba dokonywać wyborów.

– Ale...

– Dość, Kylo. Muszę cię o coś zapytać. Dowiedziałaś się wszystkiego?

– Co?

– Czy znalazłaś to, co chciałaś wiedzieć?

Żołądek mi się przewraca. Ona wie, skądś się dowiedziała. Że patrzyłam do jej komputera. Nie odpowiadam, wewnętrzności mi się skręcają ze strachu. Pomyśleć, co zrobią z tym Lorderowie.

– Tak, Kylo. Obawiam się, że widziałam, co zrobiłaś. Jest tutaj kamera, widzisz? W moim gabinecie. I to ja sprawdzam, co nagrywa. A komputer śledzi pliki, które były otwierane i zamykane ponownie. Widziałam więc, co zrobiłaś.

– Rozpiera się na swoim krześle ze spokojem. – Ale teraz wyłączyłam kamerę i skasowałam tamto nagranie. Nikt inny nie wie. Chodź. Przystaw tu sobie krzesło i pooglądamy razem.

Szczęka mi opada.

– No dalej, Kyla.

Przesuwam swoje krzesło na drugą stronę biurka, obok jej miejsca. A ona kolejno otwiera pliki, które przeglądałam, i wyjaśnia: proces przyjęcia, skany mojego mózgu, zabieg chirurgiczny. Potem przechodzi do sekcji „Zalecenia”, której nie mogłam się pozbyć z głowy.

– Ten kawałek, tutaj: „Komisja zaleca terminację. Doktor Lysander odrzuca wniosek”. Co to znaczy? – pytam.

– Komisja niepokoiła się o twoje koszmary i ogólnie o twoje opanowanie. Lekarze uważali, że wypuszczona ze środowiska szpitalnego będziesz zagrożeniem dla siebie samej i dla swojego otoczenia.

– A pani odrzuciła ten wniosek. Nie zgodziła się pani z nimi.

– Tak było. Ale mieli rację. Przynajmniej pod tym względem, że jesteś zagrożeniem sama dla siebie.

– Nie rozumiem. Dlaczego mnie pani wypuściła?

Leciutko wzrusza ramionami.

– Przekonałam samą siebie, że zasługujesz na szansę. Byłam zapewne

ciekawa, jak sobie poradzisz. A przede wszystkim chciałam badać twój przypadek i zobaczyć, co będzie się działo dalej.

– Jak ze szczurem w klatce.

– Raczej szczurem wypuszczonym z klatki – uściśla z półuśmiechem.

– Ale dlaczego chciała pani badać mój przypadek?

– Jest w tobie coś innego, Kylo. Chcę się dowiedzieć, co to. Czy coś poszło źle w procedurze? Nie. Wszystkie testy i skany potwierdzają, że operacja się udała. Jednak jest coś... Siedzimy tu tylko we dwie. Nie ma nikogo innego. Możesz mi powiedzieć?

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

Unosi brew.

– Czy jest coś jeszcze, czego chciałabyś się dowiedzieć? Czy mogę zaspokoić twoją ciekawość? Wówczas może ty zaspokoisz moją.

Wiercę się na miejscu. Jest tyle pytań, które chciałabym zadać, ale nie powinnam. „Pytaj”.

Jednak to niebezpieczne. Mam być idealną Zresetowaną dziewczyną. Tak powiedziałam Benowi i zgodziłam się sama z sobą, że pójdę tym torem. „Pytaj”.

– Kto zostaje Zresetowany? To znaczy, wiem, że skazani przestępcy idą do Resetu. Ale kto jeszcze?

– Dlaczego myślisz, że ktoś inny miałby trafić do Resetowania? To byłoby nielegalne.

Wpatruję się w nią i nie odpowiadam.

Doktor kilkakrotnie kiwa głową, przez jej twarz przemyka rozbawienie.

– Jesteś spostrzegawcza. A to interesujący wybór pytania. Wręcz zaskakujący. Czemu o to pytasz?

– Chodzi o niektórych Zresetowanych. Znam ich, nie mogę sobie wyobrazić, że zrobili coś złego.

– Czasami życie bywa bardzo bolesne, Kylo. Nieraz ludzie potrzebują pomocy, żeby przez nie przejść, a my tę pomoc oferujemy.

– Nie rozumiem.

Waha się.

– Weźmy na przykład twoją siostrę. Nie pamiętam, jak ma na imię. Rozpoznałam ją, gdy tu kiedyś czekała na ciebie.

– Amy? Dlaczego miałyby ją pani pamiętać?

– Rozmawiając o tym z tobą, Kylo, łamię kilkadziesiąt paragrafów.

Stuka w ekran. Pojawia się twarz Amy: 9612. Formularz przyjęcia i znowu jej zdjęcie, ale zupełnie inne niż moje. Amy jest o kilka lat młodsza, lecz

to niewątpliwie jej uśmiech: cieszy się, że zostanie Zresetowana. Doktor Lysander wprowadza hasło, żeby przejść dalej. A więc dlatego nie mogłam się dowiedzieć, czemu mnie zresetowali. Potrzebne jest hasło.

– Patrz tu: „Pacjentka 9612 zjawiała się w szpitalu, błagając o Zresetowanie. Zbadano ją i zakwalifikowano jako odpowiednią kandydatkę do RO”.

Potrząsam głową.

– Niemożliwe. Jak ktoś może c h c i e ć, żeby go zresetowali. Jak można chcieć takiego życia? – Szarpię swoje Levo, tym razem mocniej, a ból w skroniach odzywa się tak silny, że do oczu napływają mi łzy.

– RO oznacza Reset Ofiary. Niektórzy młodzi ludzie doznają u progu życia takiej traumy, że jedyny sposób na to, by funkcjonowali w społeczeństwie, to przerwanie łańcucha, usunięcie z ich głowy wzorca przemocy i maltretowania, z jakim zetknęli się w dzieciństwie i mogą go przekazać swoim dzieciom, a zarazem uwolnienie ich od bólu. Dzięki Zresetowaniu zaczynają od nowa, jakby w ich życiu nigdy się to nie zdarzyło.

– Co mogło być aż tak strasznego, że chciała Resetu, żeby o tym zapomnieć?

– Pamiętam Amy, bo to ja ją badałam. Była ogromnie przygnębiona. Miała dziecko, widzisz, została zgwałcona w wieku trzynastu lat. Dziecko zabrały jej władze, co całkiem zrozumiałe w tych okolicznościach. Ale nie umiała sobie z tym poradzić.

O, Amy. Nie mogę tego ogarnąć. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego przeżyła, że w ogóle komuś mogłoby się to przydarzyć. Doktor Lysander przedstawiła mi fakty swoim zwykłym tonem, rzeczowym i spokojnym. Widzę jednak w jej oczach, że sama jest przerażona tym, co spotkało Amy. To dlatego nie mogła rozmawiać z nią tamtego dnia, gdy byliśmy tutaj razem. Nie lubi o tym myśleć.

– Dopiero rok po jej przybyciu zaczęto systematycznie sprawdzać podobne sprawy i kwalifikować ofiary do Zresetowania. Wyświadczamy im przysługę. Ponadto ważne jest, żeby takie tragedie nie powtarzały się w przyszłych pokoleniach. Robimy to dla dobra jednostek i dla dobra ogółu.

– Dlaczego powiedziała mi pani o Amy? – pytam szeptem.

– Ponieważ wiem, że to zniesiesz. Pomoże ci to zrozumieć, co robimy. Wiem też, że zachowasz tę informację dla siebie.

– Gdyby Amy się dowiedziała... – Urywam. Wolała nie pamiętać, takiego dokonała wyboru. Czemu ktoś miałby jej o tym teraz mówić?

– Może się dowiedzieć. Jeśli zechce – podpowiada doktor Lysander.

– Co? Możemy tak po prostu zapytać i dostaniemy odpowiedź?

– Nie teraz. Kiedy skończycie dwadzieścia jeden lat i usuną wam Levo.

Wówczas macie prawo, by się dowiedzieć. Jeśli chcecie. Żadnych nazwisk ani miejsc, nic szczegółowego, same fakty. Tylko dlaczego zostaliście Zresetowani, co zrobiliście albo czego nie. Prawda jest jednak taka, że jak na razie prawie nikt nie chce wiedzieć. Ludzie pragną po prostu żyć własnym życiem, a dawne sprawy zostawić za sobą. A ty, choćby teraz?

– Co ja? – mówię spłoszona, choć przecież wiem, co ma na myśli.

– Czy chcesz się dowiedzieć? Czy chcesz, żebym otworzyła twój plik, wprowadziła hasło i pokazała ci powód?

Cofam się, potrząsam głową. Nie chcę wiedzieć. „Owszem, chcesz”.

– Kyla, dość na dziś. Ale mam nadzieję, że przemyślisz to sobie do przyszłego tygodnia. I zrewanżujesz mi się za to, że odpowiedziałam na twoje pytania, w zamian odpowiesz na moje. A teraz już idź.

Za dużo tego wszystkiego na jeden dzień. Najpierw mama i opowieść o jej rodzicach, władzy i kompromisach.

Potem doktor Lysander: chce czegoś ode mnie. „Kyla jest inna”. Ale dlaczego? Nie mogę odpowiedzieć na jej pytania, skoro nie potrafię znaleźć odpowiedzi na własne. Co się dzieje? A przede wszystkim czemu opowiedziała mi o Amy? Nie chcę wiedzieć, nie chcę. Nie mogę przestać o tym myśleć. Mimo że to potwierdza: miałam rację, Amy nie zrobiła nic takiego złego, co by ją skazywało na Zresetowanie. Sama o nie prosiła.

Jedyne, co mogę zrobić, to powstrzymać się i po powrocie do domu nie biec do niej, żeby ją przytulić. Pomyślałaby, że zwariowałam.

Chciała się zresetować, chciała zapomnieć. Lepiej jej tak jak teraz – bez bólu. Prawda? „Ale to był jej wybór”.

Co ze mną? Co z Lucy? Czy to ona wybrała Reset?

Nie chcę wiedzieć, ale szepty przeszłości rozbrzmiewają echem w mojej głowie. Nie umilkną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

W tym tygodniu nie ma treningu biegów przełajowych, odbywają się kwalifikacje do zawodów. A ponieważ Zresetowani nie mają prawa należeć do szkolnych drużyn, Ben i ja jesteśmy wykluczeni. Nieważne, że biegamy najszybciej w szkole, że każde włókno mięśniowe w moim ciele krzyczy, błagając o uwolnienie. Ale nie mogę się odezwać: jestem grzeczną małą Zresetowaną. „Taak, racja”.

Żeby dopełnić cudownego dnia, Amy wpadła na pomysł, jak zaplanować moje niedzielne popołudnie, a po tym, czego się wczoraj o niej dowiedziałam, nie mogłam jej odmówić. Chociaż chciałam.

– Kyla? Chodź. – Amy i Jazz stoją już przy drzwiach, podczas gdy szukam w szafie kurtki. Wzywają mnie moje oficjalne obowiązki przyzwoitki.

Amy spogląda w niebo.

– Pogoda jest niepewna – zauważa.

Moim zdaniem: idealna. Niebo w jednolitej, nijakiej szarości, zimno i mokro. Nie pada, ale powietrze jest ciężkie i wilgotne, jakby wisiały w nim miriady maleńkich kropelek, zbyt niezdecydowanych, by się połączyć w większe krople i stać deszczem. Ogólny przygnębiający stan pogody idealnie pasuje do mojego nędznego nastroju.

– Bez obaw. Jestem przygotowany na wszelkie ewentualności – zapewnia Jazz. – En garde! – Kłania się i zaczyna na niby walczyć swoim ogromnym złożonym parasolem z gałęzią drzewa.

Idziemy przez wieś do znaku wskazującego szlak pieszy i zatrzymujemy się przy nim. Amy i Jazz opierają się o kamienny murek koło ścieżki.

– Nie pójdziemy dalej? – pytam.

– Zaraz – odpowiada Amy i spogląda na zegarek. Opowiada o praktykach, które zaczyna we wtorek w gabinecie lekarskim, i „zaraz” przeciąga się w kilka, a potem kilkanaście minut.

– Już jest – mówi Jazz.

Odwracam się i widzę, że biegnie do nas Ben. Macha ręką.

– Niespodzianka! – woła Amy z szerokim uśmiechem.

Wczoraj przy obiedzie mama powiedziała, że tato poruszył sprawę mojego biegania z Benem i oboje zdecydowali, że nie powinnam więcej wybierać się

z nim sam na sam. Nic na to nie odrzekłam. Co miałabym powiedzieć? Każdy mój argument sprawiłby tylko, że utwierdziliby się w postanowieniu i nabrali pewności, że między nami dzieje się coś zdecydowanie nieodpowiedniego dla szesnastoletniej Zresetowanej, która dopiero niedawno wyszła ze szpitala. „Bo tak jest, prawda?”.

– Czy oni wiedzą, że będzie z nami? – pytam, kiedy Ben jest jeszcze dość daleko.

– Nie. Chcesz pobiegać? No to ruszaj. Pójdziemy za wami.

– Dzięki! – mówię i ściskam siostrę. Wygląda na zaskoczoną, ale odwzajemnia uścisk.

– Też przez to przechodziłam – odpowiada. – Wiem, jak to jest.

Rozumiem, o co jej chodzi. Myśli, że gdy tylko znikniemy z pola widzenia, będziemy się zachowywać jak ona i Jazz. Gruchające gołąbki. Ale dziś bardziej niż czegokolwiek innego chcę – p o t r z e b u j ę – biegu.

Ben i ja ruszamy ścieżką pod górę.

– Dziś nie tak szybko – proszę. Choć stopy mnie swędzą, żeby rozwinąć jak największą prędkość, na jaką je stać, nie mogę wrócić do domu przesiąknięta potem, bo stanie się oczywiste, że Amy i ja nie spędziłyśmy całego czasu razem.

– Czemu? – pyta Ben. – Zwykle nie możesz się doczekać, żeby popędzić.

Waham się.

– Nie mogę wyglądać na zgonioną. Mam pilnować Amy – wyjaśniam i nie wspominam, że rodzice zabronili mi z nim biegać. Jeśli nie powiem tego na głos, wydaje się mniej prawdziwe.

Więc Ben i ja biegniemy lekkim truchtem pod górkę. Wzdłuż żywopłotu, ostrokrzewów i pól, aż pod naszymi stopami pojawiają się korzenie drzew w zagajniku. Ben wcześniej tędy nie biegał. W miarę jak wspinamy się coraz wyżej, szare niebo wydaje się schodzić nam na spotkanie; kropelki mgły przywierają do mojej skóry, włosów. Wilgoć i chłód przenikają do szpiku kości, nie musi padać. Podpełzają bliżej białawe macki mgły, zbierają się wokół nas. Zatrzymuję się przy pniu na szczycie.

– Tu jest punkt widokowy – mówię z uśmiechem. – Widać stąd całą wieś.

Ben zatrzymuje się.

– Musisz mi pokazać. W którą stronę mam patrzeć?

Odwracam go we właściwym kierunku i spogląda ze wzgórze w dół. Z nisko ścielącej się mgły wynurza się tylko kilka wyższych drzew, ale i one są niewyraźne, wyglądają upiornie. Pola i domy giną, ukryte w bieli.

– A, tak. Imponujący widok.

Daję mu kuksańca w ramię.

– No, zwykle świetnie wszystko widać. Nawet nasz ogród za domem.

– Co teraz? – Uśmiech Bena świadczy o tym, że chłopak ma kilka pomysłów, od których żołądek mi podskakuje.

– E, czekamy. Na Amy i Jazza. Albo może zejdźmy do nich? Mogli darować sobie spacer z powodu niepogody.

– Poczekajmy chwilę – mówi i znów się uśmiecha. Podchodzi bliżej.

Tym razem nie siedzę na murku, a Ben jest znacznie ode mnie wyższy. Pochyla się, ale zamiast mu spojrzeć w oczy, kryję twarz na jego piersi. Ben oplata mnie ramionami i odgania zimno.

– Właśnie dlatego mama i tato nie chcą, żebym więcej z tobą biegała – mówię i wzdycham.

– Nie. Naprawdę?

– Tak.

– Ale teraz nie patrzą.

– Chyba zgodziliśmy się co do tego, że mamy się zachowywać poprawnie i robić, co nam każą. Do dwudziestego pierwszego roku życia.

– Całe pięć lat bez całowania? Nie wydaje mi się.

„Ben buntownik”. Przynajmniej w kwestii całowania. Ustępuję.

– Dobrze. Tylko raz.

Świat dookoła – spowity mgłą, wygłuszony – wycofał się, zniknął. „To, czego nie widać, staje się bardziej niebezpieczne”.

Kiedy unoszę twarz, a Ben się uśmiecha i pochyla, rozlega się cichy odgłos. Pstryk.

– No, no, co my tu mamy.

Odwracamy się jak na komendę. A tam stoi Wayne Best.

– Kyla, prawda? – pyta i szczerzy się w uśmiechu.

Cofam się o krok.

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

– No, poszłaś z wizytą do mojego brata. Słyszałem, że blisko i osobiście zapoznałaś się z jego psem. – Śmieje się. – Nie przedstawiś mnie przyjacielowi?

– Jestem Ben – odzywa się Ben z uśmiechem. Nieświadomy, co się za tym kryje.

– Cześć, Ben. – Wayne wyciąga rękę.

„Nie, Ben!”. Ale jest już za późno. Ben podaje rękę i Wayne spostrzega jego Levo. Opuszcza dłoń, nie wymieniając uścisku.

– Jeszcze jeden Reseciarcz! Rośniecie na drzewach czy co? – Spluwa. – A właśnie miałem cię ostrzec, żebyś się nie zadawał z tą resetniętą szmatą.

– Chwileczkę. – Do Bena dopiero teraz dociera, że Wayne nie jest panem Milutkim.

– Zamknij się! – prycha tamten i popycha Bena tyłem na pień. – Siedź tu i nie odzywaj się. Chcę... p o g a d a ć z Kyla.

Ben zaczyna wstawać. Na jego twarzy malują się to zakłopotanie, to gniew. Potrząsam lekko głową.

– Zostań tam. W porządku. O czym? – zwracam się do Wayne'a.

– No, myślę, że mój brat odpędził cię za szybko. Po co poszłaś do mamy Phoebe?

A więc nie rozmawiali z nią. Nie wiedzą, że Phoebe została Z r e s e t o w a n a.

Gapię się na niego, w głowie mam pustkę, lecz jestem przekonana, że nie należy mu mówić. Jeżeli mama Phoebe uznała, że nie powinni wiedzieć, na pewno miała ważny powód. „Ben, nic nie mów” – błagam go bez słów.

– Mam sposoby, żeby cię zmusić do mówienia. Mogą ci się spodobać. Ale nie muszą. – Przysuwa się bliżej.

Ben wstaje, wciska się między nas. Jego Levo wibruje głośno.

– Odczep się – mówi Ben. Pobladł, twarz mu się wykrzywia bólem. „Nie, Ben!”.

Wayne śmieje się.

– I co chcesz zrobić, Reseciarczy? Równie dobrze możesz sobie usiąść i popatrzeć.

Popycha Bena, a ten próbuje się na niego zamachnąć, jednak jego Levo wibruje głośniej. Chłopak wzdryga się i osuwa na ziemię.

– Zostaw go! – wrzeszczę i wymierzam Wayne'owi mocnego kopniaka, ale on się odsuwa i trafiam go tylko w nogę.

– Au! Suka. Będzie z tobą więcej zabawy, niż myślałem.

I rusza na mnie, ale nie mogę uciec, nie mogę zostawić Bena. Jestem przerażona, ale jeszcze bardziej – w ś c i e k ł a. Coś się we mnie trzęsie i kopie, wrzeszczy, żeby się wyrwać na zewnątrz.

W tym momencie Wayne patrzy nad moim ramieniem, odwraca się i ucieka.

– Kyla? Kyla!

Ścieżką nadbiega Jazz. Amy pędzi tuż za nim.

– Zdawało się nam, że krzyczysz. Co się stało? – woła Jazz.

„Nie mów mu”.

– Z Benem źle. – Klęczę przy nim. – Jego poziomy. Ben, Ben, w porządku? Jego Levo znowu wibruje.

– Co z nim? – dyszy Amy, zasapana po biegu.

Chwytam go za rękę, sprawdzam nadgarstek.

– Trzy i dwa – odczytuję i przerażenie ściska mi żołądek.

– O, Boże – sapie Amy.

Ben jęczy.

– W plecaku. Szybko. Pigułki – mamrocze.

Pigułki? Szamoczę się z jego plecakiem. Obok butelki z wodą i zapasowych skarpet natrafiam ręką na buteleczkę, wyciągam ją. Tabletki od bólu głowy? Zerkam na Amy – wzrusza ramionami.

– Nie zaszkodzi – mówi.

– Już, daj mi jedną – dyszy Ben.

Podaję mu i przełyka na sucho, nie czekając na wodę. Obejmuję go, błagając bezgłośnie w sercu, żeby mu się polepszyło. Amy siedzi na ziemi obok nas, na zmianę głaszcząc po ręce to mnie, to jego. Jazz jest gotowy lecieć po pogotowie. Ale Ben wkrótce przestaje się trząść, na jego policzki stopniowo powracają kolory. Poziom zaczyna się podnosić.

Szepcze do mnie, że te pigułki były od Aideny.

„Pigułki Radości od Aideny”.

Dopiero po jakimś czasie Ben może znów chodzić. O mało się nie wyłączył. „To moja wina”. Jakoś udaje mi się przekonać Amy i Jazza, żeby poszli przodem, choć trochę, tak byśmy mieli szansę porozmawiać. Upewniam się jednak, że będę ich mieć w zasięgu wzroku.

Ben obejmuje mnie ramieniem, nachyla się lekko, idzie powoli.

– Przepraszam – szepcze.

– Za co?

– Chciałem cię chronić. Byłem do niczego.

– To nie twoja wina.

– Ale jednego nie rozumiem.

Zaczyna mi się robić nieswojo. Wiedziałaś, że w końcu zapyta.

– Jak to się stało, że u c i e b i e poziom był w porządku?

Wzruszam ramionami.

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Powinien był opaść. Nie mów nikomu, za nic w świecie. Bo będzie po mnie.

Ben milczy przez chwilę, przetrawia to i w końcu kiwa głową.

– Czemu nie powiedziałaś siostrze i Jazzowi, co się stało? Musimy komuś powiedzieć o tym człowieku. Jest niebezpieczny.

– Nie. Nie możemy. To zaprowadziłoby z powrotem do Phoebe. Do tego, że powiedziałam jej mamie o Zresetowaniu.

– No i co?

– Mała grzeczna Zresetowana nie robi takich rzeczy. Jestem obserwowana, pamiętasz? Jeśli zaczną w tym gmerać, mogą dowiedzieć się o mnie czegoś, co im się nie spodoba.

– W porządku – zgadza się wreszcie Ben. – Ale obiecaj mi, że nigdy więcej nie przyjdiesz tu sama. Przenigdy. Obiecujesz?

Obiecuję.

Jazz odwozi Bena do domu, kilka kilometrów od naszego. Budynek jest wolnostojący, ceglany, z dużym ogrodem. Z boku stoją oparte rowery, a z przodu pies. Ale w ogóle niepodobny do Bruta. Skye jest prześlicznym, pełnym werwy golden retrieverem – skacze wokół nas, machając ogonem. Rodzice podarowali Benowi tę suczkę, gdy była jeszcze maleńka, a on dopiero z nimi zamieszkał.

Mama Bena, ubrana w dres, wychodzi do nas z garażu. Jest młodsza i ładniejsza, niż się spodziewałam – ma może około trzydziestki. Długie ciemne włosy nosi spięte z tyłu. Kiedy Ben nas przedstawia, w jej oczach rozbłyskuje zrozumienie.

– Jesteś Kyla? O, miło mi cię poznać.

Zabiera Jazza, Amy i mnie do swego garażowego warsztatu, pełnego lśniących urządzeń, skrawków metalu i rzeźb. Właśnie kończy figurę sowy: wygięte metalowe kawałki tworzą szpony, oczy są zrobione z nakrętek, pióra z nachodzących na siebie śmigieł wiatraczków. Metalowe odpadki, wyrzucone jako bezwartościowe, stały się podobizną dzikiego ptaka, który wygląda, jakby miał się zaraz zerwać do lotu.

– Jak na moim rysunku – mówię i wtedy to zauważam: do ściany jest przypięta kartka z sową, którą dałam Benowi na jego prośbę. Jego mama skopiowała mój portret.

Zostawiamy Bena i przez okno samochodu patrzę, jak macha mi na pożegnanie, po czym znika w garażu.

Zanim mnie poznał, jego życie było proste, nieskomplikowane. Wyraźnie widać czułość i przywiązanie między nim i jego mamą, a nawet tą wesołą suczką. Żadnego ZwA, żadnych Pigulek Radości, żadnych szurniętych

napastników na ścieżce.

Żadnej Kyli.

Tego wieczoru Amy przychodzi do mnie pogadać. Wiedziałam, że przyjdzie.

– Słuchaj, Kyli, myślałam o tym. Może mama i tato mają rację.

– W czym?

– Chodzi o ciebie i Bena. Domyślałam się, że pokłóciliście się albo coś i dlatego o mało się nie wyłączył. Cokolwiek to było, jeśli nie umie sobie z tym poradzić, jeżeli ty nie umiesz... to może jest za wcześnie. Myślę, że nie powinniście się więcej spotykać. Przynajmniej przez jakiś czas.

– To wcale nie tak! – protestuję.

– Więc jak?

Nie chcę jej okłamywać, co mogę powiedzieć?

– To nie tak – powtarzam.

– Cóż. Nie pomożemy ci więcej widywać się z Benem. Cokolwiek zrobisz albo czego nie zrobisz, to już twoja sprawa. Dobranoc – mówi i idzie do swojego pokoju.

Sebastian wskakuje na moje łóżko.

– Wygląda na to, że jesteśmy tylko ty i ja, kocie – wzdycham, a on układa się obok mnie i mruczy, wyraźnie zadowolony ze swojego losu.

„Żadnych pocałunków do dwudziestego pierwszego roku życia”.

Ha.

Nie mogę odrzucać rozumowania Amy, choć wynikało z niewłaściwych założeń. Benowi byłoby lepiej beze mnie.

Benowi będzie lepiej beze mnie. Bez względu na to, jak bardzo boli mnie to w środku, muszę się wynieść z jego życia, zanim narobię jeszcze więcej szkód.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Następnego dnia rano przychodzę na biologię przed Benem i zastanawiam się, czy nie zmienić miejsca, usiąść z kimś innym. Ale w sali jest Hatten, nauczyciel, który ma zastępstwo za panią Fern, i nie chcę się znaleźć bliżej niego. Siadam więc tam, gdzie zawsze, w ostatnim rzędzie.

– Muszę z tobą porozmawiać na przerwie śniadaniowej – szepcze do mnie Ben przed lekcją.

– Nie mogę.

Unosi brwi.

– Dlaczego?

– Jestem zajęta.

– Będziesz chciała tego posłuchać. I mam ci coś do powiedzenia o pani Fern. Spotkajmy się koło biblioteki, dobrze?

– Ale...

– Proszę o ciszę – mówi Hatten. – Mam nadzieję, że wszyscy mieliście tak udany weekend jak ja. – Uśmiecha się szelmowsko, dając do zrozumienia, że nie spędził tego czasu jak grzeczny chłopczyk. Niektóre dziewczyny zaczynają chichotać. Mężczyzna opiera się o ławkę z przodu. Przylegające do ciała czarne spodnie, ciemna koszula, rozpięta pod szyją bardziej niż u większości nauczycieli. Opina się na nim. Czy to jedwab?

Ben dźga mnie pod żebro.

– Przestań się na niego gapić – syka.

Podskakuję i przesuвам wzrokiem po klasie. Każda z obecnych dziewczyn – a do tego też paru chłopaków – wydaje się oczarowana nowym panem od biologii. Ja odczuwam zwykle zdenerwowanie.

– Dziś będziemy kontynuować temat mózgu – zapowiada Hatten i denerwuję się od tego jeszcze bardziej.

Nauczyciel oddaje nam nasze arkusze ćwiczeń z ostatniej lekcji, poprawia błędy. Wyświetla niezliczone skany mózgowia i rysunki. Lekcja toczy się minuta za minutą. Nic się nie dzieje, dopóki Hatten nie mrugnie do mnie, gdy już wychodzimy.

Jednak tym razem kilka dziewczyn zauważyła to. Zazdrosne spojrzenia, jakie mi posyłają, mówią, że zapłacę im za to później.

Ciekawość nie pozwala mi trzymać się z dala od Bena. Jak powiedział, czeka na mnie przed biblioteką.

– No, o co chodzi?

Patrzy na mnie, coś przez chwilę odbija się w jego twarzy.

– Nie tutaj. Chodź, pójdziemy na spacer.

Idę za nim przez szkolne tereny. Rozglądamy się i przez furtkę wymykamy się do lasu nad potokiem Cuttle. Tam, gdzie Phoebe narysowała swojego rudzika. Wydaje się, że to było dawno temu, ale w rzeczywistości nie minęło zbyt wiele czasu. Niecałe trzy tygodnie.

Idziemy w milczeniu główną ścieżką, potem odbijamy w słabiej widoczną, w większy gąszcz. Ben wciąż nic nie mówi. Cokolwiek ma mi do przekazania, odebrało mu to dawną wesołość. Twarz ma zasepioną i nieprzeniknioną.

– Co z panią Fern? – przyciskam go w końcu.

Wzdycha.

– W porządku, najpierw o niej. Mówiłem ci, że mój tato uczy w podstawówce, nie? Jego kolega z pracy chodził do college'u z Ferny, jak ją nazywali, i wczoraj po południu razem poszli ją odwiedzić w szpitalu.

– Jak ona się czuje?

– Wydobrzeje. Ma wielokrotne złamania, jest unieruchomiona w wyciągach.

– Miała wypadek samochodowy, tak jak mówili?

– Spotkało ją to w samochodzie, ale nie w wypadku. Powiedziała, że ktoś ją zepchnął z szosy.

Zapiera mi dech w piersi.

– Lorderowie? – szepczę.

Ben potrząsa głową.

– Nie. Oni prowadzili dochodzenie w tej sprawie.

– Ale jeżeli nie oni, to kto inny mógł zrobić coś takiego?

Wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Pomyślałem tylko, że chciałabyś wiedzieć.

– To wszystko? Bo muszę już wracać i...

– Kyla, posłuchaj. Obiecałem ci, że niczego nie zrobię, jeśli ci najpierw o tym nie powiem. Więc właśnie chcę powiedzieć.

– O czym? – Robię się niespokojna. „Coś jest nie tak”.

– O tym. – Podciąga rękaw, pokazując swoje Levo.

Jasna metalowa obręcz, zielone cyfry: 7,8. Dlaczego tak wysoko? Ben nie wygląda radośnie. Drugą ręką gwałtownie pociąga czujnik. Twarz mu się wykrzywia z bólu.

– Przestań! Co robisz?

– Patrz – mówi i podsuwa mi Levo przed oczy, a ono wciąż pokazuje zielone cyfry: 7,6. Normalnie taki obrót obręczy powinien spowodować gwałtowny spadek poziomu.

– Nie rozumiem. Jak to zrobiłeś?

– Wziąłem pigułkę od Aideny i nieważne, co zrobię, poziom mi nie spadnie. Próbowałem wszystkiego: wciąż trzyma się wysoko.

– I co?

– Nie rozumiesz? Pigułki blokują łączność między czujnikiem a mózgiem. Można zdjąć Levo i nie wyłączyć się. Bez żadnych następstw. – Twarz mu płonie, oczy błyszczą z nadmiernego podekscytowania. Jakby miał gorączkę. „Albo był na prochach”.

– Tego nie wiesz – mówię, ale mój umysł szamocze się z tą możliwością. Czy Ben ma rację? Levo reaguje na emocje, komunikując się z mózgiem za pomocą chirurgicznie wszczepionego tam chipa. Zbyt niski poziom uruchamia kaskadę następstw, które szybko przerywają dopływ krwi do mózgu, powodując wyłączenie. Jeżeli poziom zejdzie jeszcze niżej, odłączenie staje się trwałe, wywołuje drgawki i śmierć. Ale jeżeli poziom pozostanie niezmienny?

– Tak! Wszystko się zgadza: to, co Aiden powiedział o terrorystach usuwających Levo. Pigułki blokują połączenie mózgu z czujnikiem na ręce. Na pewno tak jest. – Ben chwytając moje dłonie w swoje, szuka wzrokiem moich oczu. – Pomyśl o tym, Kyla: jakby to było, gdybyśmy się stali po prostu sobą. Czuliśmy, co chcemy.

Obejmuje mnie, przytula. Jego bliskość przyprawia mnie o szybsze bicie serca, po skórze przebiega mrowienie, ciało pragnie rzeczy, których nawet nie zna. Wszystkiego, czego mi każą unikać z powodu Levo. A gdyby się pozbyć czujnika? Moglibyśmy być, kim tylko zechcemy, zostać parą. Nikt nie mógłby nam powiedzieć, że destabilizujemy sobie poziomy. Moglibyśmy być szczęśliwi i smutni, ile dusza zapragnie. Ale to brzmi jak bajka. Nie byłoby dla nas miejsca w tym świecie.

Odsuwam się.

– Co chcesz zrobić, Ben? – szepczę.

– Wezmę kilka tych pigułek naraz, potem odetnę sobie Levo i zniszczę je.

Strach skręca mi wnętrzności. „Nie, Ben, nie”.

– Co? Zwariowałeś?

– Nie, nienormalny byłem do tej pory, kupując to, co mi mówili. Teraz jestem zdrowszy na umyśle niż kiedykolwiek. Aiden miał rację, ale nie poszedł

na całość. To, co nam zrobili, jest złe. Zobacz, co się wydarzyło wczoraj. Gdyby nie Jazz i Amy, to... – Nie kończy zdania.

Ja też nie mam ochoty o tym myśleć. Zeszłego wieczoru odprowadziłam to wspomnienie do skrytki w umyśle, wrzuciłam je tam i starannie zamknęłam drzwiczki. Nie zamierzam wracać do tego tematu, żeby wspomnienie nie wydostało się spod klucza.

– Nie, Ben, nie możesz tego zrobić!

– Aiden powiedział, że ART próbowało tego: zadziałało.

– Ale mówił też, że mieli mnóstwo porażek. Nie wiesz, jak im się to udało. No i ból, Ben. Gdy obracałeś Levo, i tak go czuleś. Widziałam to po twojej minie. Nie całe połączenie jest przerwane.

Bez wzrusza ramionami.

– Jakoś go zniosę.

– Jeśli coś się nie uda, umrzesz.

– Co za sens żyć tak, jak żyjemy teraz?

– Nie mówisz poważnie. I nie da się tak po prostu odciąć czujnika nożyczkami. Levo jest odporne na uszkodzenia.

– U mamy w warsztacie są narzędzia, które przetną wszystko, co tylko jest metalowe. Często jej pomagam, umiem się tym posłużyć.

Mój umysł miota się, desperacko poszukując argumentu, który by przemówił do Bena.

– Czekaj. A co potem? Uwolnisz się od Levo i co dalej? Nie będziesz mógł zostać z rodziną ani chodzić do szkoły. Popatrzą ci na nadgarstek i będą wiedzieli, co zrobiłeś. Przyjdą po ciebie Lorderowie.

– Mam plan – odpowiada Ben, ale kiedy zaczynam wypytywać, nie chce nic zdradzić.

Powiedział, że Aiden nie poszedł na całość. „Chce się przyłączyć do terrorystów”.

– Nie myślisz chyba... nie. Nie zrobiłbyś tego. Nie ART.

I widzę to w jego pięknych oczach – przytakują, potwierdzają. Ben chce być terrorystą. Gardło mi się zaciska. Nie wie, co oni robią. Gdyby wiedział, nie próbowałby się z nimi związać.

– To jedyny sposób, żeby władza zaczęła słuchać, by coś się zmieniło. Nie rozumiesz?

Potrząsam głową, cofam się o krok. Czy to Ben mówi, czy raczej pigułki? Czy to one sprawiły, że myśli w ten sposób?

– Widzisz to przecież po sobie – przekonuje. – Po wczorajszym nie chcesz

nawet na mnie patrzeć. Nie chciałaś ze mną rozmawiać, nic. Stałem się dla ciebie „metr osiemdziesiąt do niczego”.

– To nie twoja wina i to wcale nie tak!

– Więc jak?

– Sam to w kółko pokazujesz i udowadniasz.

– Co?

– Lepiej by było dla ciebie, gdybyś mnie nigdy nie spotkał.

– Jak możesz tak mówić? Kyla, nie wiesz, co do ciebie czuję?

Nie chcę jednak tego słuchać. Jeśli umrze przez swoje uczucia, co w nich dobrego? Nic.

– Nie. Nie! Nie możesz tego zrobić. Obiecuj, że nie zrobisz.

Potrząsa głową.

– Muszę myśleć o sobie. Ty nie możesz tego za mnie robić. Choćbyś bardzo chciała.

Patrzę na niego zdumiona. Uśmiechnięty, nieskomplikowany Ben, który – jak sądziłam – potrzebuje mojej ochrony. Teraz się nie uśmiecha i nie chce tego ode mnie. Nie chce wiedzieć, co myślę ani jak jego działania mogą na mnie wpłynąć. Nic. Co jeszcze można powiedzieć?

Odwracam się i ruszam z powrotem w stronę szkoły. Moje Levo wibruje, świetnie. Zerkam w dół: 4,2.

Ben idzie za mną.

– Proszę. Weź jedną. – Wyciąga rękę z buteleczką „tabletek od bólu głowy”.

– Nie, dzięki. Widziałam, jak działają.

I puszczam się biegiem.

Reszta dnia mija jak zamazane pasmo niewyraźnych obrazów. Poziom utrzymuje mi się w pobliżu czwórki. Owijam sobie nadgarstek swetrem, żeby nie było słychać wibrowania. Wciąż myślę o Benie. Muszę go powstrzymać, ale jak?

Po lekcjach wsiałam do samochodu, zanim przyjdzie Amy, i proszę Jazza, żeby przekazał Macowi, że chcę się z nim widzieć. Mam nadzieję, że jak poprzednio sprowadzi Aiden. Przynajmniej powie mu, jak to robią ci z ART. Jeśli Aiden nie będzie, może chociaż Mac pomoże przekonać Bena, żeby zaczekał, póki nie pojawi się Aiden. To jedyne, co mi przychodzi do głowy.

Później, wieczorem, beczynn timer trzymam w rękach ołówki i pustą kartkę.

Nawet rysowanie mnie opuściło.

– Kwestia, nad którą się zastanawiamy, to jak sobie poradzić z bólem. Ból może zabić, sam z siebie: ciało doznaje szoku i zamyka się. Nie trzeba niczego więcej.

Chłopak uśmiecha się, nie ma pojęcia, na co się zanosi. Wie jeszcze mniej niż ja. W niczym mnie nie przypomina. Siedzi, gdzie mu kazano, mówi, kiedy należy, i przez cały czas ma na twarzy ten głupkowaty uśmiech. Teraz uśmiecha się jeszcze bardziej głupio, z tą kroplówką w ramieniu i pustą szklaneczką po whisky w ręce. Żrenice ma rozszerzone, na jego skórze lśni cienka warstwa potu, choć w pomieszczeniu jest tak zimno, że widzę własny oddech.

– Nie działa w ogólnym znieczuleniu, muszą być przytomni. Nie doszedłem do tego, czemu tak się dzieje. Jeszcze.

Chłopak wciąż się uśmiecha. Nie usłyszał albo nie rozumie. Jest starszy ode mnie, ma może piętnaście albo szesnaście lat.

– Tym razem oprócz tego co zwykle podaliśmy kokainę, stary dobry sposób. Dziś trudno ją dostać, ale zdobyliśmy trochę.

– Wyciągnij rękę – rozkazuje mężczyzna i chłopak posłusznie to robi. Kładzie rękę na stole, tamten przypina mu ją paskami. W tym momencie dostrzegam piłę tarczową przyłożoną do jego nadgarstka.

– Nie możecie... – zaczynam protestować.

Nie cierpię krwi. Nienawidzę. Jej metalicznej woni, koloru, lepkości w dotyku. Wszystko wiruje mi w środku, trzymam się jedną ręką stołu, żołądek mi się wywraca. Tamten potrząsa mną mocno.

– Kim jesteś? – krzyczy.

Nagle wirowanie ustaje. Stoję spokojnie, obserwuję.

– Musisz nauczyć się panować nad sobą. Nie chcesz jej wypuścić, prawda? – W jego głosie pobrzmiwa groźba.

– Nie! Miękką beką. – Staję prosto.

– Grzeczna dziewczynka. I patrz, nie obcinam mu ręki. Choć byłby to interesujący eksperyment ze względu na ból. Sam w sobie.

Podciąga chłopakowi rękaw, ukazuje się metalowa obręcz. Jakby bransoletka, z cyframi jak w zegarku, tyle że te nie pokazują czasu.

– Czy to... czy on...?

– To jest Levo. Chłopak został Zresetowany. – Mężczyzna przekręca chłopakowi nadgarstek i dopasowuje paski, tak żeby Levo załazło się pod właściwym kątem do szczeliny w metalowym stole. W odpowiednim ułożeniu do piły.

– To piła z diamentowymi końcówkami, jedyna, jaka może przeciąć metal, z którego robią te urządzenia. Wierz mi, próbowaliśmy wszystkiego. Na zimno, na gorąco, pod wpływem chemikaliów, wszystkie rodzaje tnących narzędzi. Ale staroświecka piła diamentowa działa najlepiej.

Zakłada sobie gogle.

– Odsuń się trochę. Może prysnąć, jeśli zjadę za nisko.

Pstryka włącznik, tarcza piły zaczyna się obracać z wizgiem. Mężczyzna przysuwa ją do ręki chłopaka. Do jego Levo. Chłopak patrzy z rozszerzonymi oczyma, teraz jakby niepewny. Spogląda mi w oczy. Piła dosięga metalu, uderza w niego, rozlega się jazgot, lecą iskry. Wtem chłopak zaczyna wrzeszczeć...

Ból wykręca mi rękę. Rzucam się, ale szybko dociera do mnie, że po prostu zaplątałam się w koc. W ciemności błyszczą tylko oczy Sebastiana.

Włączam lampkę nocną. Kocie futerko stoi dęba, jeży się od karku po ogon. Na ramieniu mam rząd świeżych zadrapań – to ten ból mnie obudził. Wcale nie był częścią snu. Już drugi raz Sebastian zbudził mnie w środku koszmaru.

– Dzięki, kocie – szepczę.

Głaszczę go, przyglądam mu futerko i Sebastian wkrótce się uspokaja. Układa się z powrotem do snu, ale zostawiam włączone światło, żeby znów nie otoczyła mnie ciemność.

Wyobraźnia – okrutna i straszna – czy raczej ślady wspomnień, których nie powinnam mieć? Dokąd wędruję w snach?

Jakiś instynkt podpowiada mi, że i jedno, i drugie. Moje ja ze snu nie wiedziało, czym jest Levo, znało je tylko w abstrakcyjny sposób. Tamta dziewczyna nie rozpoznała też, że chłopak jest Zresetowany, choć to było oczywiste. Płynie z tego jednak jeden nieodparty wniosek.

„Trzeba powstrzymać Bena”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

– Pora na nas! – woła mama u dołu schodów.

Ale kiedy schodzę na parter, mama zamiast wymaszerować przez drzwi wejściowe, odwraca się i opiera o nie.

– Wszystko w porządku?

Wszystko jest tak daleko od „w porządku”, że nawet gdybym jej mogła o tym opowiedzieć, nie wiedziałabym, od czego zacząć. Zerkam na zegar przy drzwiach.

– Spóźnię się na Grupę, jeśli zaraz nie pojedziemy.

Mama czeka jeszcze chwilę, po czym otwiera drzwi.

– Wiesz, Kyla, gdybyś mi powiedziała, co jest nie tak, może mogłabym ci pomóc. Przez ostatnie kilka dni strasznie smęcisz, to oczywiste, że coś ci ciąży.

Jakaś częśćka mnie pragnie jej wszystko wyznać. Może mama dostrzegłaby wyjście z tej pułapki, którego ja nie widzę.

„Niebezpieczeństwo”.

– Chodzi o Bena? – pyta, kiedy ruszamy spod domu.

Kiwam głową. Tyle mogę potwierdzić.

– Pokłóciliście się czy coś?

Aż mnie skręca.

– Amy ci powiedziała?

– Nie złość się na nią. Martwiła się o ciebie i o niego.

Gapię się w okno. Dobre intencje Amy powodują tyle kłopotów.

– Kyla, rozumiesz przecież, dlaczego tato i ja uznaliśmy, że lepiej, żebyś nie biegała z Benem we dwoje?

Patrzę na nią.

– Żebym się podporządkowała – odszczekuję, zanim się zdołam powstrzymać.

Mama prawie parska śmiechem.

– Pamiętam, jak to jest, wiesz. Gdy jest się młodym i chce się z kimś być.

– No to czemu nie mogę przed Grupą biegać z Benem?

– Bo nie możesz. Ale tak samo dobrze wiesz, że nie zawsze zgadzam się z tatą. Ustąpiłam, ponieważ oficjalnie ma rację, a nie wolno nam robić rzeczy, które cię wpędzą w kłopoty, prawda? Ale przeczekaj jakiś czas po cichu

i zobaczymy, czy nie da się czasami zaprosić Bena. Obawiam się jednak, że w obecności przyzwoitki. – Uśmiecha się i wiem, że próbuje mi pomóc, myśli, że jest po mojej stronie. Tyle że to o wiele bardziej skomplikowane, niż może sobie wyobrazić. Już niedługo Bena może tu nie być; tak niedługo, że „jakiś czas” nie wchodzi w grę.

Gdybym tylko mogła porozmawiać z Benem sam na sam, przemówić mu do rozsądku.

„Zaraz, zaraz”.

– Może mogłabyś coś zrobić, żeby mi pomóc.

– Co na przykład?

– Mogłabyś odebrać mnie dziś trochę później? Nie za długo. Kilka minut, żebyśmy mogli porozmawiać i wyprostować rzeczy.

– Tato urwie mi głowę, jeżeli się dowie.

– Nie powiem mu!

Mama wzdycha.

– W porządku. Ja też mu nie powiem. Dam ci dwadzieścia minut. Wystarczy?

– Dzięki.

– O, świetnie, uśmiech. Postaraj się mieć go na ustach później, kiedy po ciebie przyjadę, dobrze?

Spotkanie Grupy zaczyna się jak zwykle. Penny ma na sobie jaskrawy sweter i jest zbyt radosna, żeby to było normalne. Ben przybiega spóźniony. Nie siada obok mnie, a ja staram się zdusić w sobie urazę. Czy jest na mnie zły o to, że go zostawiłam tam w lesie?

Podczas spotkania wszyscy mówią bezmyślnie o rzeczach, które tak naprawdę są bez znaczenia. Zerkam na zegar z każdą upływającą minutą. Zajęcia przedłużają się trochę i prawie muszę przygryzać sobie język, żeby nie zaprotestować. Gdy Penny wreszcie nas puszcza, Ben wstaje i rusza prosto do wyjścia.

Zrywam się jednak i docieram do drzwi równo z nim.

– Czekał – mówię.

Odwraca się, po raz pierwszy tego wieczoru patrzy mi w oczy. Nie odzywa się i odczuwam to jak sztylet wbity w brzuch. Mam ochotę uciec. Ale muszę z nim porozmawiać. Muszę znaleźć słowa, które położą kres jego planom.

– Ben, proszę. Możemy pogadać? Mama przyjedzie po mnie później. Dostaliśmy troszkę czasu.

Chłopak rzuca okiem do sali. Pielęgniarka patrzy w drugą stronę, rozmawiając

z rodzicami jakiegoś innego Zresetowanego.

– No to chodź – odpowiada i idę za nim na zewnątrz, w cień na parkingu.

– Jesteś na mnie zły? – pytam i zaraz żałuję, że się z tym wyrwałam. Jest tyle rzeczy do powiedzenia, to akurat mogło poczekać.

Ben potrząsa głową.

– Jasne, że nie. Ale staram się trzymać od ciebie z daleka. Lepiej, żebyś się ze mną nie pokazywała, bo kiedy już to zrobię... – przerywa na chwilę – ...nie chcę, żebyś miała kłopoty.

Wzdycham.

– Czy to znaczy, że nie nabrałeś rozsądku? Wciąż chcesz spróbować?

– Chyba nie myślałaś, że mi się odechce, co?

– Nie, tylko miałam nadzieję. Ale przynajmniej poczekać, aż się znowu spotkamy z Aidenem. Może ci powie, jak oni to zrobili, będziesz miał większe szanse. „Wybiję ci to z głowy”.

Ben nie zgadza się ze mną.

– Posłuchaj: nie zmienię zdania – oznajmia spokojnym tonem, podszitym determinacją. – A tak czy inaczej z tego, co Aiden mówił, nie wynika, żeby naprawdę wiedział, jak to robią.

– Proszę, Ben. Nie chcę, żeby ci się coś przytrafiło.

Jego spojrzenie mięknie.

– Wiesz, na co naprawdę miałbym teraz ochotę? Pociągnąć cię do lasu i pocałować.

Ale wokół nas są samochody, rodzice przyjechali po swoje dzieci, dokoła pełno oczu. Ben bierze mnie za rękę i splata nasze palce.

– Tyle na razie wystarczy.

– Ben, musisz posłuchać głosu rozsądku. Proszę.

– Już to przerabialiśmy, prawda?

– Jak dokładnie chcesz to zrobić?

– Zacząłem sprawdzać sprzęt w warsztacie mamy. Wypróbuję coś w weekend.

– Tak szybko?

– Tak. Mama wyjeżdża do siostry taty, żeby jej pomóc przy dziecku. Tato już tam jest. Przekonałem ich, że mogę zostać sam w domu.

Patrzę na niego nieszczęśliwa.

– Proszę, Ben...

– Posłuchaj, Kyla. Jeżeli to zadziała, będziemy mogli odciąć też twoje. I uciec dokądś razem. Nikt nas już nie rozdzieli.

– A co z ART? – szepczę jak najciszej. – Odrzuciłeś ten pomysł?

Potrząsa głową.

– Czyli: tylko ty, ja i potężna organizacja terrorystyczna. Istne siódme niebo.

– Pomyśl o tym. Moglibyśmy zmienić świat.

Mama podjeżdża, macha do mnie.

– Muszę iść.

– Bez uśmiechu, Kyla?

Zgaszona, osuwam się na siedzeniu.

– Przykro mi – mówi mama.

Po powrocie do domu uciekam od herbaty i wyrazów współczucia, jak szybko się da, ale nie mogę uciec od własnych myśli. Ben odcinający sobie Levo, krzyczący z bólu. Jeśli jakoś przeżyje, dołączający do ART.

Muszę go powstrzymać.

Wszystko jest zamglone, niejasne. Poprawiam sobie gogle.

– Proszę, to jest przełącznik. Przesuwasz piłę tym torem. Diamentowa tarcza powinna rozprawić się z jego Levo bez problemu. Ważne, by przeciąć obręcz jak najszybciej, zanim ból i szok spowodują śmierć, ale nie tak szybko, żeby mu zaraz odciąć rękę. Większość nieudanych prób wzięła się z tego, że zamiast dokończyć, przerwano, kiedy przychodził ból. Rozumiesz?

– Tak. – Jestem spokojna, uważna. Zainteresowana eksperymentem.

Obiekt poci się, oczy ma rozszerzone. Rękę unieruchomioną na stole. Ciągnie od niego smród whisky.

Pstrykam włącznikiem. Tarcza zaczyna wirować, z wizgiem nabiera prędkości. Przysuwając ją coraz bliżej, zerkam na jego oczy. Niebieskie, rozszerzone, bez strachu. Nie boi się. Jeszcze.

– Patrz na to, co robisz!

Spuszczam wzrok z powrotem na piłę w momencie, gdy dosięga obręczy. W powietrze lecą łukiem iskry.

– Większy nacisk!

Zaczyna się wrzask.

– Odsuwam tarczę.

– Nie! Jeżeli nie dokończysz, i to szybko, chłopak zaraz umrze.

Ale wszystko we mnie wiruje, i to szybciej niż piła. Wrzaski śmiertelnej męczarni rozdierają mi czaszkę. Zaciskam powieki i przy zamkniętych oczach widzę wyraźniej. Krzyczący chłopak znika, na jego miejscu jest Ben.

– Nie! Ben, nie! – Rzucam się do maszyny, żeby powstrzymać piłę, zanim go dosięgnie, żeby odpiąć paski, ale czyjaś ręka chwyta mnie zdecydowanie od tyłu i mocno trzyma.

– Musisz się opanować. Znasz zasady.

– Nie!

– Jesteś następna!

Walczę, kopię. Wyrrywam się, drapię i wrzeszczę. Nic to jednak nie daje. Przypinają mnie pasami do krzesła, a rękę do stołu.

Wizg piły...

„Bzzz...”.

Otwieram raptownie oczy, rozpaczliwie pragnąc uciec od horroru. To był sen, ale czemu wciąż słyszę piłę?

„Bzzz...”.

Sięgam do lampki nocnej, a kiedy dźwięk rozlega się znowu, czuję to, na nadgarstku: Levo wibruje, poziom spadł niebezpiecznie do 3,3. Niedobrze mi, trzęsę się. Tym razem, przynajmniej na początku, to ja operowałam piłą. Czy naprawdę zrobiłam coś takiego?

Powoli, bardzo powoli serce mi się uspokaja, poziom wędruje do góry. Nie mogę się jednak pozbyć przed oczu obrazów. Odtwarzają się w głowie raz za razem. Tarcza z diamentowymi końcówkami. Whisky. Szybkie cięcie.

Czy naprawdę tam byłam, w tamtym miejscu, i torturowałam tego chłopca?

Gdzieś w środku powstała szczelina, przebłysk światła.

Nie chcę wiedzieć, ale nie mogę od tego uciec. We śnie, kiedy mnie usadzono na miejscu, w którym mieli mi odciąć Levo, byłam przerażona. Bałam się nie bólu ani nie tego, że mogę umrzeć, tylko tego, że zostanę bez Levo. Nienawidzę go: czujnika ani tego, co oznacza, co reprezentuje, co robi z moim życiem. Jednak z jakiegoś powodu tak bardzo go chciałam zatrzymać, że sama myśl o jego stracie napełniała mnie wielkim strachem.

Czemu?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

W piątek rano, kiedy docieram na tył autobusu, miejsce Bena jest puste. Autobus rusza, a ja podnoszę się lekko z siedzenia i przeszukuję wzrokiem wnętrze. Nie, nie usiadł gdzie indziej. Po prostu go nie ma.

Ogarnia mnie panika. Nie zrobił tego. Nie. Powiedział, że rodzice wyjadą na weekend, to wtedy miał spróbować odciąć sobie Levo. Nie pośpieszyłby się tak przecież, prawda?

Oszłomiona, siedzę na porannych zajęciach, jakbym znów była w koszmarze. Zastanawiam się nawet, czy nie poprosić o pomoc panią Ali. Jeśli jej powiem, co zamierza Ben, powstrzymają go. Nie dopuszczą, żeby to zrobił. Ale jak długo będzie bezpieczny, cały i zdrowy? Co zrobią z nim Lorderowie?

„O ile już nie jest za późno”.

Idę na drugie śniadanie sama. Czy ktoś może mi pomóc? „Spróbuj zapytać Jazza”.

Amy mówiła, że trzynasta klasa najczęściej jada drugie śniadania w swoim pokoju wspólnym, w głównym budynku. Tam się kieruję. Moja siostra wciąż jest na swoich praktykach, więc nie muszę jej unikać. Jakiś instynkt do tej pory podpowiadał mi, że bym się jej z tego nie zwierzała. Myśli, że nie powinnam się widywać z Benem; jak by zareagowała na wieść, że chłopak zamierza sobie przeciąć Levo?

Staję niepewnie w drzwiach. „Proszę, niech Jazz tutaj będzie”. Wspólny pokój jest zatłoczony, pełen uczniów rozmawiających w grupkach, jedzących na ławkach śniadanie albo odrabiających lekcje w wydzielonych boksach. Przeszukuję wnętrze wzrokiem, ale nie mogę namierzyć Jazza. Kręcę głową na wszystkie strony, jednak nie widzę za dobrze wśród stolików i półek.

– Przepraszam, nie stój w przejściu – rozlega się głos za mną.

Odsuwam się i wchodzi dwie starsze dziewczyny. Patrzą na mnie znacząco.

– Spadaj. To pokój trzynastej klasy.

– Czeka. Szukam Jazza MacKenzie.

Mijają mnie obojętnie i idą dalej.

– Jazz? – wołam głośniej.

Jego znajoma głowa wysuwa się zza przepierzenia na środku sali. Chłopak uśmiecha się, podchodzi do mnie.

– Cześć, Kyla. Co słychać?

– Możemy przez chwilę pogadać? To znaczy bez świadków.

– Jasne – mówi. – Sekundę. – Wraca w kurtce. – Przejdźmy się na zewnątrz.

Wychodzimy z sali, a potem z budynku. Szare niebo i lekka mżawka – to wystarczy, by większość ławek i ścieżek była pusta.

– O co chodzi? – odzywa się Jazz, kiedy zostawiamy za sobą ostatnich ewentualnych podsłuchujących.

– Bardzo się martwię o Bena. Nie było go dziś w autobusie.

– No, może zaspał albo się przeziębził, albo pojechał do dentysty. Jest mnóstwo możliwych powodów.

Nie odpowiadam na to. Jazz spogląda mi w twarz.

– Ale twoim zdaniem to żaden z nich.

– Właśnie – szepczę. Waham się. Lepiej dla Jazza, żeby nie znał szczegółów.

– Chodzi o to, że Ben chciał zrobić coś naprawdę głupiego. Teraz boję się, że spróbował.

– Rozumiem.

– Nie wiem, co robić – mówię nieszczęśliwa.

Mżawka przechodzi w deszcz. Levo wibruje mi na nadgarstku, ale trzymam ręce głęboko w kieszeniach, żeby Jazz nie usłyszał.

– Amy uważa, że nie powinnaś się z nim więcej widywać. Zgadza się z waszymi rodzicami.

– A ty co myślisz?

Wzrusza ramionami.

– Dla mnie Ben jest w porządku. Naprawdę się martwisz?

Przytakuję.

Jazz przechyla głowę na bok w zamyśleniu.

– Wiesz co? Zerwijmy się ze szkoły po południu i zajrzyjmy do niego, co? Zobaczymy, czy nic mu nie jest.

Godzę się, sama się sobie dziwiąc. Jazz idzie po swoją torbę. Mamy się spotkać za kilka minut przy jego wozie. „To zły pomysł”.

Otrząsam się z tej myśli, idąc przez podwórko na parking. Cały czas rozglądam się w strachu przed nauczycielami. Szczerze mówiąc, trudno będzie wytłumaczyć ucieczkę z lekcji, a pani Ali już i tak ma na mnie haka. Na pewno zauważą moją nieobecność. „Bardzo zły pomysł”.

Jazz nie pojawia się, nie ma go dłużej niż przez kilka minut i zaczynam się denerwować. Może zmienił zdanie? Nie. Przecież by mi dał znać.

Wtem wypada zza rogu z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Ben jest na wycieczce klasowej.

– Serio?

– Sprawdziłem, wywiesili informację na tablicy przy sekretariacie. Jego klasa rolnicza ma dzisiaj wyjazd na farmę. – Dziwne, że ci nie powiedział.

Kolana się pode mną uginają z ulgi. W głowie mi się kręci, jakbym miała zwymiotować.

– Hej, w porządku? – Jazz patrzy na mnie podejrzliwie.

– Zaraz mi przejdzie. Naprawdę muszę porozmawiać z Benem.

– No to wpadnijmy do niego po szkole. Podrzucę cię, olej autobus. Będiesz w domu, zanim Amy albo Smoczyca się połąpią.

– Naprawdę?

– Jasne, czemu nie?

– Dzięki.

Jazz wzrusza ramionami, szczerzy się w uśmiechu.

– Żaden problem – mówi i puszcza do mnie oko. – Spotykamy się tu po szkole, tak?

– Zgoda.

Przez całe popołudnie noszę w sobie poczucie ulgi. Dlaczego Ben nie powiedział mi o klasowej wycieczce? Mieliśmy inne rzeczy do obgadania. „Raczej do obklócenia”.

Po południu niebo się przejaśnia. Gdy spotykamy się przy wozie Jazza, chmur już nie ma, świeci jasne słońce.

Po raz pierwszy zajmuję miejsce z przodu. Nagle czuję się z tym nieswojo. Co pomyśli sobie moja siostra, kiedy się dowie o tym od kogoś?

– Powiem Amy, że ktoś ci dokuczał w autobusie, dlatego cię podrzuciłem do domu. Dobra? – proponuje Jazz, jak gdyby czytał w moich myślach.

– Jasne.

Rozsiadam się w samochodzie. Promienie późnego popołudniowego słońca padają mi na twarz. Zapinam pas. Jedną ręką trzymam się mocno drzwi, ale jestem już na tyle przyzwyczajona do stylu jazdy Jazza, że ledwie zauważam, kiedy daje po hamulcach na światłach, potem rusza zrywem i powtarza to samo na następnym skrzyżowaniu. Jazz pogwizduje sobie do muzyki płynącej z radia.

Przed oczami przewija mi się mój ostatni sen – odtwarza się w kółko, zapętlony. Głowę mam pełną wrzasku, woni tępego strachu, whisky i krwi – wszystko tak razem zmieszane, że siłą hamuję mdłości.

Trzeba powstrzymać Bena. Koniecznie, ale co, jeśli nie zechce mnie słuchać?

Jazz zatrzymuje się cztery domy od domu Bena.

– Tu mieszka mój kumpel Ian. Będę u niego, jak zechcesz już wracać.

Kiedy docieram na miejsce, w ogrodzie u Bena jest Skye. Podbiega do mnie podekscytowana. O mało mnie nie przewraca, ochoczo liżąc po twarzy. Ben mówił, że zawsze jest taka wesoła, jakby była Zresetowanym psem.

– Siad! – napominam ją i drapię za uchem.

Pukam do drzwi od frontu i czekam. Nikt nie otwiera.

Może jeszcze nie wrócił z wycieczki?

Kiedy przyszedłam, Skye kręciła się koło garażu. Idę więc w tamtą stronę. Pukam. Żadnej odpowiedzi. Nasłuchuję. Jest. Coś się poruszyło tam w środku.

Próbuję otworzyć drzwi – zamknięte na klucz. Pukam więc znowu.

– Ben? – wołam.

Tym razem słyszę kroki, w zamku obraca się klucz. Drzwi się otwierają.

– Kyla? – Ben uśmiecha się szeroko. – Co tutaj robisz?

Rozgląda się na boki, łapie mnie za ramię i wciąga do środka. Skye próbuje się wcisnąć ze mną, ale Ben ją odpycha, po czym zamyka drzwi i z powrotem przekręca klucz.

Nie jest w szkolnym mundurku. Oczy mu lśnią nienaturalnie.

– Nie byłeś dziś na wycieczce klasowej?

– Miałem być, ale postanowiłem wziąć sobie wolne.

– Będziesz miał przez to kłopoty.

– To już bez znaczenia. W przyszłym tygodniu i tak mnie tu nie będzie. – Uśmiecha się. – Cieszę się, że przyszedłeś. Będę się mógł pożegnać.

Widzę, że sprzęt jest przygotowany, obok leży osłona na oczy. Ręczniki. Wypakowany plecak, jakby Ben się dokądś wybierał.

Przez ciało przebiega mi strach, zamienia je w lód. Wyciągam ręce z jego dłoni.

– Nie, Ben, nie! Nie zrobisz chyba tego teraz?

– Dlaczego miałbym czekać? Mama pojechała do ciotki, tato już tam jest. Idealnie się składa.

Potrząsam głową, drzę cała, łzy pieką mnie w oczy.

– Proszę, nie rób tego. Nie zostawiaj mnie.

– Ciii, Kyla. Będzie w porządku. Pewnego dnia wrócę po ciebie.

– Nie, jeśli będziesz martwy.

Śmieje się.

– Znajdę sposób. – Zaczepia swój mały palec o mój. – Nie można złamać obietnicy małego palca. – Trzyma mnie mocno. – Kyla, daję słowo. Znowu

będziemy razem.

Pochyliła się i całuje mnie lekko, po czym zaczyna się odsuwać, ale oplatom jego szyję ręką i przyciskam go bliżej, całuję znów i znów, rozpaczliwie pragnąc zostać tu, w tym momencie. Jego ramiona otaczają mnie ciasno, a ja zamykam oczy, wtulam się w niego. Dlaczego wszystko jest takie trudne? Czemu nie możemy zostać jak teraz?

Ben rozluźnia uścisk.

– Idź już, Kyla. Idź.

Potrząsam głową. Muszę go powstrzymać, sprawić, żeby przejrzał na oczy.

– Czekaj. Proszę. Przynajmniej porozmawiaj z Aidenem. Może ci powie, jak to robili, żebyś miał większe szanse.

– Nie, Kyla. Już to przerabialiśmy.

„Myśl”. Muszę mu pokazać, jakie to głupie, że nie może zadziałać.

– Powiedz mi, co zamierzasz.

Pokazuje mi wymyślny nowy przecinak jego mamy. Jakiś niedawno opracowany stop metali, który ma być silniejszy od wszystkich innych.

Potrząsam głową.

– Nie, nie zadziała. Diamenty są twardsze.

Ben przechyliła głowę na bok. Idzie do innego stołu.

– No to coś takiego. – Podnosi starą jednoręczną szlifierkę kątową. – Ma diamentową tarczę.

– To wciąż nie zadziała, Ben. Nie możesz po prostu trzymać ręki w powietrzu i przeciąć na niej Levo. Nie utrzymasz jej wystarczająco nieruchomo, nie mówiąc już o bólu.

Znajduje ścisk ślusarski.

– To się na pewno sprawdzi – stwierdza. – Przymocuję rękę do stołu. Proszę, idź już, Kyla.

– Zostaję. Nie powstrzymasz mnie – oznajmiam, desperacko szukając słów, które by go przekonały. Odwiodły go od tego szalonego pomysłu. Gapię się jednak tylko na niego, w jego oczy, i pogrążam się w poczuciu porażki. Nic, co mogłabym powiedzieć, nie przemówi mu do rozsądku.

Łapię się rękami za głowę, bo aż mi się w niej kręci, kiedy dociera do mnie szok: muszę mu pomóc. M u s z ę. To ma być szybkie cięcie. Sam zacznie i nie będzie mógł skończyć, umrze w okropnym bólu. Jeżeli nie mogłam go powstrzymać, muszę to zrobić za niego.

Podnoszę wzrok, ocieram sobie łzy. Siłę się na spokojne opanowanie, podczas gdy w środku wszystko we mnie krzyczy: „NIE, NIE, NIE, NIE...”.

– Ja to zrobię – oświadczam. – Przetnę ci Levo.

– Nie. Nie ma mowy, Kyla. Idź.

– Posłuchaj. Wiem, jak się tym posługiwać – mówię i biorę szlifierkę. Leży w ręce wygodnie, naturalnie. Trudniej ją utrzymać niż tamtą specjalistyczną szlifierkę stołową ze snu, ale zasada jest ta sama. – Tak będzie znacznie bezpieczniej, niż gdybyś sam to robił. Nie dasz rady panować nad bólem.

– Nie mogę cię w to wciągać. Nie, Kyla.

– Patrz. Umiem. – Unieruchamiam w ścisku jakiś metalowy skrawek, zakładam osłonę na oczy. Włączam szlifierkę i jej dźwięk, jak tamten ze snu, sprawia, że chcę krzyknąć, ale przecinam metal po prostej.

– Stabilne ręce. Jestem pod wrażeniem. Ale...

– Żadnego ale. Pomagam ci albo nie robisz nic. Nie pozwolę, żebyś się brał do tego sam. Nie pozwolę ci umrzeć w samotności.

Patrzy mi w oczy, łagodnie potrząsa głową.

– Pozwól mi pomóc – nalegam. – Wiesz, że to ma sens.

– Jednak nie wydaje się w porządku.

– W takim razie nie rób tego wcale! – Jestem gotowa do ostatniej próby przekonywania, lecz on potrząsa głową i moje słowa gasną.

– To ma sens – przyznaje Ben niechętnie. – Ale czy jesteś pewna, że dasz radę? Że chcesz?

– Tak.

Na jego twarzy odbija się wahanie.

– W porządku – zgadza się w końcu. Wyciąga Pigułki Radości. – Przynajmniej weź jedną.

– Nie ma mowy.

– Nie będzie dobrze, gdy się w połowie wyłączysz.

Waham się, ale ma rację. A jeśli poziom tak mi spadnie, że wypuszczę szlifierkę?

– Dobrze – mówię i popijam pigułkę wodą.

Ben łyka garść.

– Czy to bezpieczne brać ich tyle naraz? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Chyba lepiej za dużo niż za mało. – Wkrótce na jego skórze pojawia się warstewka potu, źrenice się rozszerzają. Jak u tamtego chłopca w moim śnie.

Mój sen...

– Whisky. Masz w domu coś mocnego?

– Pewnie tak. Czemu?

– Pomaga złagodzić szok.

Garaż ma bezpośrednie połączenie z domem. Ben wychodzi przez wewnętrzne drzwi i po chwili wraca z butelką. Pociąga kilka łyków. Kaszle i wykrzywia się.

– Ohyda.

– Proszę, nie rób tego. Proszę. Jeszcze nie jest za późno, żeby się rozmyślić.

– Zrobię to sam. Idź do domu, Kyla.

– Nie! Jeśli się decydujesz, pomagam ci. Ale posłuchaj, Ben. Myślę, że kiedy zaczyna się przecinać Levo, nie ma odwrotu. Trzeba dociągnąć do końca, żeby zatrzymać ból.

– Okej. Choćbym nie wiedzieć, co mówić, tnij dalej.

– Jeśli będziesz krzyczeć, ludzie usłyszą.

– Ani pisnę.

– Za kogo ty się uważasz: za Supermana czy co?

– Za SuperBena! – Śmieje się i siada na krześle obok stołu warsztatowego. Mocuje do niego Levo. Kiedy je ściska, twarz wykrzywia mu ból.

– Kyla, jeśli coś pójdzie źle, chcę, żeby wszystko wyglądało, jakbym to robił sam. Nieważne, co się stanie, musisz się stąd zabrać. Obiecuj mi, że tak zrobisz. A jeśli cię tu dopadną, powiedz, że mnie właśnie znalazłaś. Obiecuj!

– Okej. Obiecuję.

– Włóż rękawice – mówi. – O, tamte. Wytrzymaj kontrolki, uchwyt, włącznik, wszystko, czego dotykałaś.

Wkładam rękawice i robię, jak polecił.

– Gotów? – szepczę.

– Czekać.

– Tak? – Wbrew wszystkiemu wciąż mam nadzieję, że powie: „Stop, zmieniłem zdanie”.

– Kyla, cokolwiek ze mną będzie: kocham cię. Zawsze będę cię kochał.

I w porządku, zażył tyle Pigulek Radości, że i Lorder wyglądałby po nich przyjaźnie, do tego podlał to alkoholem. Pewnie ledwie sobie zdaje sprawę z tego, gdzie jest, nie wspominając już o tym, co mówi, ale odnoszę wrażenie, że jego słowa są szczerze.

Patrzę na niego i chcę mu odpowiedzieć, że ja też go kocham, ale gardło mam tak ściśnięte, że słowa nie chcą się przez nie przedostać.

– Dalej! – ponagla Ben.

I dzieje się jak w moim śnie, tym okropnym śnie. Nie jestem sobą, tylko tą dziewczyną z koszmaru: spokojną, skupioną, zdolną do takich rzeczy. Skąd ona

się wzięła? Podnoszę szlifierkę, zwalniam zabezpieczenie i pstrykam włącznik. Szybkie cięcie. Trzeba to zrobić błyskiem.

Tarcza wiruje z jękiem.

Patrzę na Bena. Kiwa głową.

– Tnij – mówi bezgłośnie.

Wirująca tarcza dotyka jego Levo. W powietrze strzelają po łuku iskry, rozlatują się na wszystkie strony.

W przeciwieństwie do chłopca ze snu Ben nie krzyczy. Twarz mu się wykrzywia, pot leje się strumieniami, ale ja mam patrzeć nie na jego twarz. Muszę się skupić na ostrzu, trzymać narzędzie pewną ręką.

Skye pewnie jakimś swoim psim zmysłem czuje, że z Benem dzieje się coś niedobrego. W końcu uwielbiała go i była przez niego uwielbiana od szczeniaka. Suczka zaczyna wycić i drapać w drzwi, a potem wali w nie ciałem, jakby je chciała wyważyć.

Iskry wciąż lecą. Wiem, że nie mogę przestać. Tarcza szlifierki zacina się i odbija, a całe narzędzie rozgrzewa się tak, że nawet przez rękawice ledwie mogę je utrzymać. Z kącika ust Bena wycieka strużka krwi, jego ciało drga w konwulsjach, ale on twardo milczy i nie próbuje się wyrwać.

Ostatni fragment obręczy stawia opór. Ostrze odbija się, zacina i wtem... cyk. Levo odpada. Wyłączam szlifierkę i odsuwam ją, ale zanim zdążę, ręka Bena drga. Nadgarstek dotyka zwalnającej tarczy. Leje się krew, więc upuszczam narzędzie, pośpiesznie uwalniam rękę Bena z zacisku i biorę papierowy ręcznik, żeby zatamować krwawienie.

– Ben? Ben!

Potrząsam nim, jego ciało jest wiotkie, a on sam – nieprzytomny. Z ust wycieka mu więcej krwi – przygryzł sobie język? Osuwa się z krzesła. Zdejmuję rękawice, odrzucam je w kąt i przykładam dłoń do jego szyi. Puls jest nierówny.

Jak przez mgłę słyszę, że Skye wyje. Podjeżdża samochód. Drzwi od garażu klekoczą, otwierają się.

Mama Bena.

– Zapomniałam zabrać... – zaczyna mówić i urywa, widząc syna na podłodze w moich ramionach. – Co się stało?

Po twarzy płyną mi łzy, potrząsam głową, nie mogąc się odezwać.

„Powiedz jej to, co mówił Ben”.

– P-prz-przysłałam się z-z-z nim zobaczyć, a on tu...

Mama Bena odpycha mnie i sprawdza ręcznik, który już przesiąknął krwią. I wtedy spostrzega. Kolory odpływają z jej twarzy.

– Nie ma Levo. – Podnosi na mnie wzrok. – Co się stało?

Wzruszam bezradnie ramionami. „Kłam”.

– Nie wiem. Pewnie sobie odciął.

Bezładne ciało Bena wygina się w łuk. Drga w konwulsjach. Drgawki? O Boże, nie. Uszkodzenie Levo prowadzi do drgawek i śmierci. Tak nam zawsze mówili. Nie zadziało!

Mama Bena wyjmuję z kieszeni telefon i dzwoni na pogotowie.

– Idź stąd, Kyla. Idź już.

A ja się trzęsę, ledwie stoję. Mimo Pigułki Radości poziom szybko mi spada. Levo wibruje.

– Idź! Nie wiem, co się tutaj naprawdę stało. Ale teraz idź. Znikaj, zanim przyjadą!

Nie mogę go zostawić, nie mogę.

– Znikaj. Tego by właśnie chciał.

„Tak. Sam przecież powiedział”.

Chwiejnie ruszam do drzwi, w oddali już słyszę syrenę.

– Nie tędy – mówi mama Bena. – Tylnymi drzwiami i ścieżką nad kanałem. Już!

Potykać się, wychodzę przez tylne drzwi. Dalej przez ogród za domem, przez furtkę. Znajduję ścieżkę nad kanałem, jak powiedziała. Jakoś wlokę się nią za domami. Liczę je, do czterech. Kumpel Jazza?

Z tyłu dudni tak głośna muzyka, że wibruje od tego ziemia. Walę w tylne drzwi, ale nikt nie otwiera. Wchodzę sama.

Jazz na mój widok wyłącza sprzęt. Teraz obaj słyszą syrenę.

Po mojej twarzy płyną łzy. Jazz otacza mnie ramieniem.

– Kyla? Co jest? Co się stało?

Do pierwszej syreny dołącza druga, jakby próbowała stworzyć harmonię, ale duet jest niezgrany, nieprzyjemny, za głośny. I zbliża się.

„Kłam”.

– B-b-b-ben. Przeciął sobie Levo – szepczę.

– Myślałem, że to niemożliwe.

– Bo tak powinno być. Nawet jeśli się nie wyłączysz, najmniejsze uszkodzenie Levo sprawia, że ból cię zabija.

Dostajesz drgawek. Próbuję usunąć ten obraz z umysłu, ale nie mogę. Ben...

Przez okno od frontu widać teraz na podjeździe Bena nie jedną, lecz dwie karetki. Co to znaczy? Jeśli Ben... Przelykam z trudem. Nawet myśli mi się płaczą, nie mogę ogarnąć najgorszego, co mogło go spotkać, nie umiem znaleźć

słów dla obrazów, których nie potrafię się pozbyć. Wciąż widzę jego ciało leżące na podłodze w konwulsjach, twarz wykrzywioną bólem.

W oddali rozlega się kolejna syrena, ale ta brzmi inaczej. Tonacja nie jest taka sama jak u karetek pogotowia i dźwięk ten odbija się echem w mojej głowie, sprawia, że serce bije szybciej, cierpnie skóra. „Ukryj się! Ale już!”.

Wrosłam jednak w ziemię przy oknie. Źródło dźwięku wyskakuje zza rogu – długi czarny furgon. Nieoznaczony, ale z błyskającym niebieskim światłem z przodu. Odskakuję od okna i odpycham Jazza i Iana, którzy stanęli za mną.

– Co to jest? – pyta Jazz.

– Lorderowie – odpowiadam, czując się słabo, niedobrze. „Sanitariusze zwani Lorderami. Nie można im ufać”.

– Musimy cię stąd wydostać – mówi Jazz. – I to już.

Tak zimno. Od czubka głowy po pięty jestem uwięziona w lodzie. Levo mi brzęczy i Jazz chwyta mnie za nadgarstek, żeby je sprawdzić.

4,4.

Jedna Pigułka Radości nie wystarczyła.

– Cholera, Kyla, co mogę zrobić, żeby ci pomóc? – W oczach Jazza widać prawdziwą troskę.

– Nic. Jest za późno – odpowiadam.

4,1.

Oplatam się ramionami, drzę. Powinnam go była powstrzymać. To moja wina.

3,8.

Zostawiłam go, po prostu zostawiłam...

3,5.

Krwawiącego, umierającego, a ja sobie uciekłam. Ben...

Jazz przeklina.

– Nie, Kyla, nie tu, nie teraz. Chodź.

Ciągnie mnie za dom, po drodze każe Ianowi przysiąc, że dochowa sekretu.

– Nie było nas tu!

– Że niby kto tu był? – odpowiada Ian. – Dam ci znać, jak się czegoś dowiem o Benie.

Jazz na wpół niesie mnie do furtki na tyłach, wypycha na ścieżkę.

3,2.

– Biegnij! – rozkazuje.

– Co?

– Leć, jakby zależało od tego twoje życie.

„Może tak jest faktycznie”.

Biec? Teraz? Patrzę na swoje stopy, zmuszam je do ruchu, idą, potykając się, zaczynają truchtać. Powoli łapią rytm.

– Szybciej! – woła Ben, biegnąc za mną. – Wiem, że potrafisz.

„Leć, jakby cię gonili Lorderowie”.

Cała naprzód, pełną parą, jak gdyby wszyscy Lorderowie świata siedzieli mi na ogonie, jakby zaraz mnie miał złapać Wayne Best. Skupiam się na jego brzydkiej twarzy i do moich stóp dopływa nieco energii. Jazz łapie mnie za nadgarstek: 3,9.

– Nie wystarcza. Leć dalej.

Biegniemy i biegniemy. Jazz ciężko dyszy, nieprzyzwyczajony do takiego tempa. Pędzę przed siebie, ale w mojej głowie przewijają się obrazy: Ben. Ranny albo coś jeszcze gorszego. Jeśli ranny, zabrali go Lorderowie. To drugie, gorsze, może się okazać lepsze. Co się stało? Co mogłam zrobić, żeby do tego nie dopuścić? Nie wiem, co mu się przydarzyło, i to przewierca mnie do głębi. Chcę się zatrzymać, osunąć na ziemię i płakać, ale gdy tylko zwalniam, Jazz dźga mnie z tyłu i każe biec szybciej.

Piękne, łagodne oczy Bena i to. Nie pasuje. Co ci się przytrafiło?

„Ian dowie się tego dla nas”.

Tak.

„Leć dalej”.

Ściemnia się, kiedy zmierzamy z powrotem do samochodu.

– Poziom? – pyta Jazz.

Sprawdzam.

– Pięć i dwa. Skąd wiedziałeś, że powinnam biec?

Wzrusza ramionami.

– Ben coś wspominał.

„Ben”.

– Chodź. Wracajmy do domu. – Jazz, stojąc w cieniu, wygląda na drogę. Ani śladu karetki czy Lorderów. – Zdaje się, że czysto.

„Ben”.

Zanim zdążymy dojechać do mojego domu, Levo wibruje mi znowu.

– Trzymaj się, Kyla. No już, dasz radę.

Bezsilnie potrząsam głową. Spada za szybko.

– Pora się zmierzyć ze Smoczycą – mówi Jazz. – Dawaj.

Na wpół niesie mnie do drzwi. Otwierają się, gdy jeszcze idziemy.

– Gdzieście się, u licha... – zaczyna mama, ale urywa, widząc moją twarz. –

Do środka – rzuca.

Jazz pomaga mi dojść do kanapy.

„Bzzz...”.

3,1.

„Ben...”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Męczarnia. Mój świat jest wypełniony bólem, nie ma w nim nic innego. Pulsujący, ociekający czerwienią ból, imadło zaciśnięte mocno wokół tego wszystkiego, czym jestem, wszystkiego, czym byłam i czym mogę być.

Z wolna namacalne stają się inne rzeczy. Podłoga: leżę na podłodze. Głosy. „Ben...”.

Ukłucie w ramię. W żyłach rozlewa mi się ciepło, płynie po całym ciele. Nie likwiduje bólu, nic nie jest go w stanie odpędzić. Raczej sprawia, że mniej się nim przejmuję. Otwieram oczy.

– Witaj – mówi mama z uśmiechem. – Wróciłaś do nas.

– Hmmm? – mamroczę. Potem świat odpływa w ciemność.

– *Ben! Przyszędłeś.*

Uśmiecha się.

– *Nie mogłem odejść bez pożegnania. – Przyklęka.*

– *Nie zostawiaj mnie. Nie idź, proszę... – Oczy wypełniają mi się łzami.*

– *Nie mogę zostać, jest za późno. – Znów się uśmiecha, samymi ustami, wzrok ma smutny. – Bądź silna, Kyla. – Pochyliła się, jego usta muskają moje. Łagodnie: nasz trzeci pocałunek.*

Odsuwa się, niematerialny. Przenika przez niego światło.

– *Żegnaj, Kyla – mówi miękko, słowa odpływają w ciszę. Potem znika.*

Nasz ostatni pocałunek.

– Ben! – wykrzykuję jego imię, próbuję usiąść, ale opadam z powrotem. Leżę w łóżku. Swoim łóżku. U moich stóp zwinął się w kłębek Sebastian. Przez uchylone drzwi sączy się słabe światło z korytarza.

– Kyla? – odzywa się mama. Siedzi na krześle obok mnie. – Witaj. – Twarz ma zmęczoną, bladą.

Znowu próbuję usiąść, ale ruch wywołuje w mojej czaszce fale udręki. Aż mnie od tego zatyka.

– Leż spokojnie – mówi mama.

– Co się stało z Benem?

– Nie przejmuj się tym teraz.

Próbuję się skupić; to tylko pogarsza ból. Ale jest coś, co mi się wymyka,

co muszę wiedzieć.

– Powiedz mi – błagam i czuję, że mam mokre policzki.

– Ciii. Jazz przywiózł cię do domu. Wyłączyłaś się, jak tylko przestąpiłaś próg. Tyle wiem.

– Byli tu sanitariusze? – szepczę.

– Oczywiście. Dali ci zastrzyk, a potem drugi. Doszłaś do siebie na sekundę i znów straciłaś przytomność.

„Niebezpieczeństwo”. Zamykam oczy. Będą wiedzieli. Lorderowie: będą wiedzieli, że tam byłam, u Bena. Sanitariusze powiedzą im, że się wyłączyłam, a Ben to mój przyjaciel. Połączą to w jedno.

Osuwam się z powrotem w ciemność.

Kiedy otwieram oczy, przez zaciągnięte zasłony zagląda słońce. Jestem sama. Tym razem udaje mi się usiąść. Pulsowanie w czaszce jest tępe i uporczywe, w żołądku wzbierają nudności. „Nie teraz”. Przełykam i oddycham głęboko, aż mdłości miną.

Na dole rozbrzmiewa pomruk głosów. Głosy? Mamy i czyjś jeszcze.

Wysuwam się spod przykrycia, jakoś udaje mi się stanąć i na gumowych nogach podejść do okna. Na naszym podjeździe stoi czarny furgon.

Lorderowie.

Przez ciało pędzi mi adrenalina, mówi: „Wiej”. Ale ciężko mi nawet stać. Wślizguję się z powrotem do łóżka. Najlepsze, co mogę zrobić, to udawać martwą. Chwilę później na schodach rozlega się odgłos kroków i drzwi się otwierają.

– Kyla? – zagaduje mama łagodnie. Nie ruszam się. – Mówiłam panu, że śpi. Czy to nie może poczekać?

– Nie. Proszę ją obudzić, bo inaczej ja to zrobię. – Zimny męski głos.

Ktoś idzie przez pokój. Dłoń mamy na moim policzku.

Uchylam niepewnie powieki, jęczę. Mama znacząco patrzy mi w oczy. Co chce przez to powiedzieć? Za nią w drzwiach stoją dwaj mężczyźni w szarych garniturach, pokój wydaje się przez nich mały. „Zamknij oczy”. Powieki mi opadają z trzepotem, w środku cała się wiercę. Co mama im powiedziała? Ile wiedzą? Jeśli nasze historie nie będą do siebie pasować... „Niebezpieczeństwo”.

– Nie rozumiem, dlaczego musicie z nią teraz rozmawiać. Biedactwo, tyle przeszła. Mówiłam wam, co się wydarzyło: martwiła się, że tego Bena nie ma w

szkole, więc pojechali...

„Tego Bena” wypowiada specyficznym tonem, z przyganą.

– Dość! – przerywa jeden z nich. – Proszę ją obudzić. – W tym głosie pobrzmiewa ostrzeżenie.

– Kyla, kochanie, obudź się. Grzeczna dziewczynka.

Kolejny przekaz: mama mówi mi, jak mam to rozegrać. Jestem młoda i głupia, wiedzą, że pojechaliśmy do Bena, ona go nie lubi. „Dzięki, mamó”.

Tym razem ruszam się w łóżku. Otwieram oczy. Uśmiecham się sennie jak przykładowa Zresetowana, potem się krzywię.

– Brzuch mnie boli – jęczę płacząco.

– Biedactwo. Ci panowie chcą ci tylko zadać kilka pytań, dobrze? Daj, pomogę ci usiąść. – Mama poprawia mi poduszki. – Powiedz im dokładnie, co się wydarzyło, tak jak mi mówiłaś.

Kolejny przekaz? „Powiedz prawdę, na ile ona ją zna”. Gmeram więc w pamięci, żeby sobie przypomnieć, co mama wie, a czego nie.

Twarz pokerzysty – na miejsce. W wyobraźni trzymam Sebastiana i naśladuję minę Phoebe: otwartą, błogą. Uśmiecham się, tylko od czasu do czasu krzywię, kiedy ruszam głową.

– Tak, mamó – mówię i zwracam się do mężczyzn niecierpliwych się w drzwiach.

Zdaje się, że nie są przyzwyczajeni do czekania. Czy zachowują się tak uprzejmie ze względu na mamę, córkę t e g o człowieka? Chłodna pewność podpowiada mi, że gdyby była kimś zwykłym, wyszarpnęliby mnie z łóżka bez żadnych ceregieli.

Młodszy z nich zagląda do netbooka.

– Jesteś Kyla Davis?

– Tak.

– Czemu się wczoraj wyłączyłaś?

Nie pyta, co się wydarzyło? Staram się nie okazać miną zaskoczenia.

– Bardzo się zdenerwowałam. Mój przyjaciel Ben nie przyszedł do szkoły i drugi przyjaciel zawiózł mnie do niego, żebym sprawdziła, czy u niego wszystko w porządku.

– Twój drugi przyjaciel? – Najwyraźniej to młodszy mówi i prowadzi przesłuchanie, a przy tym od czasu do czasu zerka na mamę z nabożnym szacunkiem. Ale to tego drugiego należy się bać. Stoi w taki sposób, że widać: to on tu dowodzi.

Mam odpowiedzieć czy nie? „Mama wie”.

– Jazz MacKenzie, Jason. Właściwie jest przyjacielem mojej siostry, ale opiekuje się mną.

– A co było potem?

– Z Benem wcale nie było w porządku. – Pozwalam, by w moim głosie brzmiało przygnębienie. – Przed domem stały karetki i Jazz powiedział, że nie powinniśmy wchodzić im w paradę. Musiałam jechać do domu. Ale tak się martwiłam o Bena, że pewnie przez to się wyłączyłam.

– Ten Ben – prycha mama. – Same z nim kłopoty.

– Mama i tato zabronili mi z nim biegać – mówię. – Lubię biegać. – Posyłam im szeroki Zresetowany uśmiech.

– Czy Ben pokazywał ci kiedyś jakieś pigułki?

– Pigułki? Nie wydaje mi się. – „Amy je widziała”. – Nie, zaraz. Miał w plecaku tabletki od bólu głowy. Łyknął jedną w niedzielę, kiedy się nie czuł dobrze.

– Dość już tych pytań – wtrąca mama. – Biedna dziewczyna też nie czuje się dobrze.

Jak na komendę mój żołądek znowu zaczyna wirować, ale tym razem nie uspokajam go. Oddycham głęboko. Czuję, że ostatki koloru odpływają mi z twarzy.

– Mamo, chyba będę wymiotować.

Mama w samą porę podsuwa mi stojący obok kubek. Wstrząsają mną fale mdłości, a każda z nich rozbija się z bolesnym trzaskiem w czaszce. Żołądek mam prawie pusty, ale Lorderowie cofają się z odrazą na twarzach.

– Dość na dziś – stwierdza mama.

Młodszy zabiera się do wyjścia, starszy przechyla głowę na bok. Podnosi rękę i tamten pierwszy zatrzymuje się.

– Niezupełnie – oznajmia starszy. Spogląda na młodszego. – Przeszukamy pokój.

Mama gestem okazuje zniecierpliwienie.

– Czy to naprawdę konieczne, agencie Coulson? – pyta lodowatym tonem. Nacisk położony na nazwisko sugeruje, że mama wie, z kim ma do czynienia, w razie gdyby wyszedł poza regulamin.

Tamten jednak z rozbawieniem unosi brew.

– O, sądzę, że tak. Proszę ją najpierw stąd zabrać. – Wskazuje na mnie, jakbym była przedmiotem.

A ja wciąż zwracam, choć teraz jest to raczej odruch wymiotny na sucho.

– Nie może chodzić. Będzie pan musiał pomóc. – Mama skinieniem wskazuje

młodszeo mężczyznę.

Ten podchodzi, dźwiga mnie i niesie z taką miną, jakby trzymał szczura z kanałów; potem kładzie mnie w sąsiednim pokoju na łóżku Amy.

Przeszukują mój pokój: na pewno chodzi im o Pigułki Radości. Nie znajdują ich. Opadam na poduszki Amy, zbyt wyczerpana, by myśleć, żeby się poruszyć. „Twoje rysunki” – syczy we mnie jakiś głos i raptownie otwieram oczy.

Pod obluowanym dywanem pod oknem – moje ukryte rysunki. Portret Gianellego po tym, jak go zabrali Lorderowie. Mama kazała mi to zniszczyć. Jaka szkoda, że jej nie posłuchałam. I portret Bena. Jeżeli zobaczą, jak go narysowałam, nie kupią bajeczki o niewinnej małej Kyli i jej „przyjacielu”. Zobaczą, co do niego czuję. Na siłę zamykam oczy. Mijają minuty. Słyszę, jak mama napomina ich, żeby nie robili bałaganu. Nie ma żadnego okrzyku w rodzaju: „Patrz, co znalazłem!”. Zaczynam mieć nadzieję, że ich nie znajdują, chociaż w to nie wierzę.

W końcu z korytarza dobiega odgłos ciężkich kroków – schodzą na parter. Chwilę potem przed domem startuje silnik furgonu. Odjeżdżają, tak po prostu? Jakoś nie wydaje mi się, żeby przestali się mną interesować.

Mama odmalowała dla nich takiego Bena, jakiego chcieli zobaczyć: niebezpiecznego chłopaka, od którego trzeba się trzymać z daleka. A ja ją poparłam. To było z mojej strony nielojalne, niewłaściwe.

– Przepraszam, Ben – szepczę. W oczach wzbierają mi łzy. „Ben chciałby, żebyś była bezpieczna”.

Odpywam, nie jest to ani sen, ani czuwanie. Moje myśli kłębią się bez ładu i składu. W pamięci niczym slajdy przesuwają się płaskie obrazy, jak kadry filmowe. Ben w biegu. Sowa jego mamy, z rozpostartymi skrzydłami. Ben w blasku księżyca, jak w moim śnie przenika przez niego światło.

Słysząc, jak ktoś wchodzi po schodach, otwierają się drzwi. Próbuje unieść powieki, poruszyć się, ale całe ciało mam jak z ołowiu. Drzwi zamykają się z powrotem. Słabo docierają do mnie odgłosy ruchu po drugiej stronie korytarza, potem drzwi pokoju Amy znowu się otwierają.

– Kyla? Doprowadziłam twój pokój do porządku. Chodź, Amy zaraz wróci do domu.

Mama pomaga mi wstać i przejść do mojego pokoju. Unosi się w nim zapach świeżości i czystości. Pościel jest nowa, szeleszcząca. Prawie można zapomnieć, że byli tu Lorderowie, przetrząsali mi rzeczy.

– Dzięki – szepczę. Za to, za wszystko.

Nie jestem w stanie utrzymać się na nogach ani sekundy dłużej. Wszystko

osuwają się w ciemność.

– Kyla? – zagaduje mama. – Przyniosłam ci zupę.

Znowu jest sobą. Ani śladu stresu związanego z wizytą Lorderów.

– Nie jestem głodna.

– Ale i tak zjedz.

Pomaga mi usiąść, próbuje mnie karmić, ale wyjmuję z jej ręki łyżkę i jem sama. Nie byłam głodna, jednak kiedy wyczuwam smak pomidorów, pomarańczy i czegoś pikantnego, głód sam przychodzi. Nie powinien. Jak mogę jeść po tym, co się wydarzyło?

Kończę porcję zupy.

– Musimy porozmawiać – mówi mama. – Przykro mi z tego powodu, powinnaś odpoczywać, lecz to nie może czekać.

– Okej.

– Czemu się wyłączyłaś?

Pytanie Lorderów, ale mama zasługuje na prawdziwszą odpowiedź.

Opadam na poduszki. Co mówię, czego nie – i tak to za dużo do zniesienia. Łzy znów wypływają mi spod powiek, Levo wibruje. Ale mama siedzi tuż obok, kładzie mi lekko rękę na głowie, gładzi mnie po włosach.

Otwieram oczy i widzę ją zamazaną przez łzy.

– Co wiesz?

– Jazz nie powiedział wiele. Tyle że się martwiłaś o Bena. Zabrał cię do niego, ale nie weszłaś do środka, bo stały tam dwie karetki i Lorderowie, więc odwiózł cię do domu.

Kiwam głową, po czym się krzywię. Więc dobrze się domyśliłam: Jazz nie zdradził, że byłam z Benem.

– Co się stało z Benem? Proszę, powiedz mi.

– Nie wiem na pewno.

– Muszę się dowiedzieć, proszę...

– Jeżeli coś usłyszę, powiem ci. Ale nie wolno ci o to wypytywać nikogo innego. Rozumiesz, Kyla? Sprawa jest poważna. Nie rozmawiaj o Benie, nie okazuj zmartwienia, nie wspominaj o nim, nie rób nic z nim związanego. Ani w szkole, ani w domu, ani nigdzie indziej.

Gapię się na nią, w głowie pulsuje mi nieznośnie, ale nie jest to takie straszne jak ból, który odzywa mi się w środku, kiedy pomyślę o Benie. Jak mogę udawać, że nic się nie stało? „Bo musisz”.

– To, co powiedziałaś dzisiaj Lorderom, to twoja wersja i jedyna. Niech będzie taka sama dla w s z y s t k i c h: w Grupie, szkole, tu w domu.

W domu? Ma na myśli Amy i tatę. I jej dobór słów. To, co mam mówić, to w e r s j a. Moja wersja, nie prawda. „Mama wie więcej, niż daje po sobie poznać”.

Wstaje i idzie do wyjścia. Odwraca się w drzwiach.

– O, Kyla? To był przepiękny portret Bena. Znalazłam go z innymi zeszłej nocy. Naprawdę mi przykro, że musiałam je zniszczyć. – Zamyka za sobą drzwi.

Szeroko otwartymi oczyma wpatruję się w przestrzeń, z której właśnie znikła. „Dzięki, mamó”. Znowu. Znaleźliby je, na pewno. Z jakiegoś powodu wiedziała, że przyjadą, i przeszukała mój pokój, kiedy spałam. Uświadamiam sobie, że zapewne znalazła też portret Roberta. Musi się zastanawiać, skąd wiem, jak wyglądał. Skąd w ogóle wiem o nim cokolwiek.

Czy mama mnie chroni? Lub może raczej mi nie ufa? Przeszukała pokój sama, by się upewnić, że nie będzie w nim nic, co by świadczyło o mojej winie, o czymś więcej niż kilka nieroztropnie narysowanych portretów.

Jak by się czuła, gdyby wiedziała, że to wszystko zdarzyło się dlatego, że zabrałam Bena na spotkanie z Makiem, a Aiden dał mu tam pigułki? Że to dlatego Ben wpadł na ten pomysł, a nawet go wypróbował? Jak by się czuła, gdyby wiedziała, że to ja trzymałam szlifierkę, która przecięła obręcz jego Levo?

Późnym wieczorem słyszę podjeżdżający samochód i zastanawiam się, czy to znów Lorderowie. Zwlekam się z łóżka, by wyrzucić, i widzę, że to tato. Miał wrócić dopiero za kilka dni. Na dole rozlegają się głosy, poirytowane. Bardzo.

Ale kiedy budzę się rano, taty nie ma.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Mama pozwala mi nie iść do szkoły przez kilka dni. Aż zatęsknię za czymś innym niż cztery ściany, w których nie mam nic innego do roboty, jak tylko mocować się z własnymi myślami i płakać. Ona i Sebastian pocieszają mnie przytuleniami i kocim przymilaniem. Amy dołącza do nich, gdy wraca do domu z praktyk. Tworzą zjednoczony front w spójnym wysiłku, by utrzymać moje emocje na odpowiednim poziomie. A fizycznie czuję się doskonale: prawie normalnie, jeśli nie liczyć tępego pulsowania za skroniami. Mogłabym iść do szkoły, gdyby nie wewnętrzny ból związany z Benem, sprawiający, że jestem zimna, niezdolna do ruchu. Nie pomagają na to miłe gesty. Jedyne, co przynosi ulgę, to myśl o Aidenie.

Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej o ten cały bałagan obwiniam jego rudą głowę. I Maca – o to, że nas poznał z Aidenem. I Jazza też, bo Mac to jego kuzyn. A Jazza nie poznałabym, gdyby nie Amy. Jej i mnie nie byłoby tu, gdyby nie mama. Mój gniew stopniowo narasta i skupiam się na nim, jak na bólu zęba, kiedy w pobliżu nie ma dentysty. Potrzebuję go.

Gniew sprawia, że wychodzę z łóżka i ubieram się. Schodzę na dół, gotowa do ucieczki.

– Kyla? Co robisz?

Podnoszę wzrok znad zawiązywanych sznurówek.

– A jak to wygląda? Dziś wieczorem jest Grupa, prawda?

– Nie jestem pewna, czy powinnaś wstawać z łóżka.

– Nie uważasz, że byłoby lepiej, gdybym się tam dziś zjawiała?

Patrzy na mnie, rozważając coś w milczeniu. Przytakuje lekkim skinieniem.

– Jeżeli potrafisz być sobą, powinnaś tam być. Podwiozę cię.

– Nie. Chcę pobiegać.

– Nie wydobrzałaś jeszcze na tyle, żeby biegać. Niecały tydzień temu miałaś wyłączenie. – Stoi ze skrzyżowanymi ramionami i napiętą twarzą.

„Wyjaśnij jej, bo inaczej nigdzie się nie wyrwiesz”.

Powoli robię wdech, wydech, rozluźniam się. Zwracam się twarzą do mamy.

– Fizycznie nic mi nie jest. Może nie tryskam zdrowiem, ale czuję się dobrze, a bieganie sprawia, że staję się bardziej sobą. Podnosi mi poziom. Nie chodzi o to, że chcę biegać, ja tego potrzebuję. Rozumiesz?

Mama przygryza wargę, niepewna.

– Ale sama?

– Nic mi nie będzie. Naprawdę. Pobiegnę głównymi drogami, nic się nie stanie. Daję słowo.

– W porządku – ustępuje mama. – Ale po ciebie przyjadę. Umowa?

– Umowa.

Mama przytula mnie, po czym otwieram drzwi i już mnie nie ma.

Rozsądniej byłoby zacząć od lekkiego truchtu i powoli rozwijać prędkość, patrzeć, jak sobie daję radę. W głowie łupie mi przy każdym zetknięciu stopy z ziemią, ponadto zbyt wiele ostatnio nie jadłam. Ale wszystko, co mam, przelewam w mięśnie, w nogi i stopy. Biegnę szybciej i szybciej, aż nie liczy się już nic innego. Przestaję zauważać ból w czaszce. Są tylko noc, droga i tupot stóp.

Ale ten dźwięk jest pusty. Ostatnim razem podczas takiego biegu rytm mojego „tup, tup” łączył się z rytmem Bena. Mylę krok, mijając ścieżkę, którą Ben prowadził mnie w cień, do furtki. Gdzie byliśmy sami i pocałował mnie po raz pierwszy.

Teraz, podczas biegu, mogę wrócić pamięcią do snu, w którym Ben przyszedł się ze mną pożegnać. Przedtem nie mogłam o tym myśleć, było jak rana – gdybym jej dotknęła, krzyczałabym z bólu.

Doktor Lysander mówi, że moje sny powstają z przypadkowych myśli i obrazów, które podkradam własnej podświadomości. Że nie są rzeczywiste. Że czasami ludzie faktycznie włączają do swoich snów wspomnienia, ale jeśli ktoś został Zresetowany, musi najpierw zbudować sobie bank wspomnień – odczekać, aż jego umysł zapełni pustkę. Jej zdaniem tak to się przedstawia, że moje sny są zmyślane, nie ma w nich rzeczywistości. „Czasem są jednak realne”.

Niektóre z moich snów wywodzą się ze wspomnień, tak jak to, co rysuję. Tego jestem pewna. Tak było z portretem Lucy: naszkicowałam w tle górę z jej miejsca zamieszkania, w którym nigdy nie byłam. Jak to może nie być wspomnieniem? Ale w przypadku innych swoich snów nie jestem taka pewna. Jak z tym, w którym ktoś miażdży mi palce cegłą. Wtedy odczuwałam to bardzo realnie, teraz, gdy o tym pomyślę, czuję, jakby to było wspomnienie prawdziwego zdarzenia. Ale może to tylko wspomnienie snu? Są wreszcie takie sny – jak tamten ze Zresetowanym chłopcem przypiętym pasami, przeznaczonym do przecięcia obręczy – które wydają mi się bardziej niż rzeczywiste. Ale potem do tego samego snu został włączony Ben, a tak przecież nie mogło się zdarzyć naprawdę. Umieścił go tam mój strach. I sny o tym, jak

biegnę przez plażę, ścigana: te są bardziej niematerialne, nieuchwytne. Mniej w nich szczegółów, które zakorzeniłyby je w rzeczywistości.

Ale co z pożegnalnym pocałunkiem Bena? Czy jego duch odwiedził mnie we śnie? „Duchy to bajeczki dla dzieci”. Nie. W to nie uwierzę. Tak czy siak, Ben żyje, nie może być duchem. „Właśnie że może”.

Aiden: przywołuję go w pamięci. Rude włosy. Mijam biegiem salę spotkań. Niebieskie oczy? Tak, były ciemnoniebieskie, pełne życzliwości. Zaczynam wytracać tempo. Nieco piegów na nosie i policzkach. Zawracam, zwalniam do marszu. Zapamiętałam też jego uśmiech. Nie taki jak u Zresetowanych: prawdziwy. A może nie? Chciał mnie wykorzystać do swoich celów. Bena też. Dał mu pigułki, zaszczepił pomysł. Już prawie jestem na miejscu.

Zerkam na swoje Levo: 8,1. Naprawdę? Nawet bieg tego nie wyjaśnia. Kiedy biegłam ostatnio z Jazzem, byłam tak przygnębiona, że wyciągnęłam ledwie piątkę.

„To gniew”.

Nie rozumiem. Poziom mi spada, kiedy jestem przygnębiona, ale gniew go podnosi. Przypominam sobie, że były już podobne momenty: gdy groził mi Wayne i wcześniej z Phoebe. Ale to nie ma sensu. Czujniki tak zaprojektowano, by reagowały na wszelkie skrajne emocje. Smutek, jaki odczuwałam przez ostatnie dni, zgodnie z oczekiwaniami utrzymywał wynik na niskim poziomie. Czasami wręcz niebezpiecznie niskim. Jednak głównym celem tego urządzenia ma być zapobieganie jakiegokolwiek przemocy, aby Zresetowani nie szkodzili sobie ani innym. Mimo to gniew u mnie najwyraźniej działa pozytywnie. „Kyla jest inna”.

Staję przed drzwiami do sali. Pora wyglądać i zachowywać się jak wszyscy inni. Głęboki oddech, obciążone ramiona, uśmiech. „Wchodzisz”.

Przystawiam sobie krzesło.

Na policzkach pielęgniarki Penny błyszczą dwie nienaturalnie czerwone plamy. Jej uśmiech wydaje się naciągany. I wtem dostrzegam go – siedzi w kącie sali i sprawia wrażenie, jakby wolał być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

Lorder. I to nie jakiś tam Lorder, tylko młodszy z tych dwóch, którzy mnie przesłuchiwali i przeszukali mój pokój. Nie ma jednak na sobie szarego garnituru ani czarnego stroju operacyjnego. Jest w dżinsach i koszuli. Wygląda prawie normalnie.

– Witaj, Kyla. To już wszyscy. Zaczynamy? Mieliście dobry tydzień?

„Wszyscy”, więc wie, że Ben nie przyjdzie. Czuję w środku ból. Może jakaś częśćka mnie była na tyle głupia, by mieć nadzieję, że Ben się tu jednak pojawi. Że wszystko to było koszmarem wywołanym przez wyłączenie albo że medycy jakoś go połatali i wysłali z powrotem do domu.

– Na początek przedstawię wam dziś specjalnego gościa, który powie wam kilka słów. Moi drodzy, to jest pan Fletcher.

Pan Fletcher, a nie agent Fletcher.

Order wstaje i ustawia się koło pielęgniarki. Zebrani pamiętają, że teraz należy po kolei przywitać się i wymienić swoje imiona; ja też posłusznie to robię. Żeby się nie wyróżniać. Facet wierci się pod ciężarem naszych uśmiechów. Penny siada.

– Dzisiaj chcę z wami porozmawiać o narkotykach.

Daje nam długi wykład o niebezpieczeństwach i złym wpływie narkotyków. Przykazuje, żebyśmy nigdy, przenigdy nie brali żadnych pigułek ani niczego, o ile nie przepisze nam tego lekarz. A jeśli ktoś próbuje dać nam coś takiego, mamy o tym powiedzieć rodzicom albo nauczycielowi, i to jak najszybciej. Oczy Ordera wędrują po grupie, zatrzymując się na każdej osobie. Nie przyszedł tu po to, żeby nas pouczać. Szuka kogoś, kto zareaguje inaczej niż reszta. Szuka kogoś, kto wie, skąd Ben wziął Pigułki Radości. Widzę wyraźnie, że tym razem Fletcher stara się nikogo nie przerazić, ale nie najlepiej mu to wychodzi. Wiele uśmiechów znika, gdy opisuje straszne następstwa brania narkotyków.

Ben mówił, że Pigułki Radości pozwalają mu myśleć samodzielnie, tak że Levo w tym nie przeszkadza. I faktycznie działały w ten sposób. Czy to takie straszne następstwo?

Fletcher kończy swój wykład i wychodzi. Gdy zmierza do drzwi, na jego twarzy maluje się ulga. Jakbyśmy jego zdaniem mogli go czymś zarazić. Penny otrząsa się trochę ze stresu, jaki miała na początku spotkania. Czoło się jej rozjaśnia i powraca naturalny uśmiech, lecz oczy pozostają smutne. Wie coś o Benie. Musi wiedzieć.

Kiedy spotkanie dobiega końca, ociągam się dłużej niż zwykle. Podchodzę do pielęgniarki.

– Czy mogę z panią porozmawiać?

– Oczywiście, moja droga – odpowiada, ale oczami pokazuje coś przeciwnego. Przecząco kręci głową. – I muszę przeskanować twoje Levo. Słyszałam, że w zeszłym tygodniu miałaś wyłączenie.

Skanuje więc, zawzięcie trajkocząc o pogodzie. Coś jest nie tak.

Podłącza skaner do swojego netbooka i aż jej dech zapiera.

– Kyla, popatrz na wykres. Dwa i jeden. Niebezpiecznie.

Spoglądam wraz z nią na ekran i widzę to, o czym Penny nie mówi na głos: przez ostatnie dwa dni poziom na ogół utrzymywał się u mnie między trójką a czwórką. A teraz wynosi 7,1: skutek uboczny biegania. Pielęgniarka bierze mnie za rękę, smutno potrząsa głową.

– Co się stało? – pyta. Jednocześnie przykłada sobie zwiniętą dłoń do ucha i znowu potrząsa głową.

„Ktoś podsłuchuje”.

Potwierdzam skinieniem, mówię bezgłośnie: „Rozumiem”. I przekazuję jej wersję dla Lorderów: że Bena nie było w szkole, Jazz mnie do niego zabrał, u Bena były karetki pogotowia, ale nie wiem, co mu się przydarzyło.

– Kylo, moja droga, zapomnij o Benie. On już nie wróci. Po prostu go wymaż z pamięci. Skup się na swojej rodzinie i na szkole. – Mówi to, a jej spojrzenie jest smutne i obejmuje mnie przy tym ramieniem. Czuję, że do oczu napływają mi łzy. „Znajdź w sobie gniew”.

Ruch powietrza – chłodny powiew, który podnosi mi włoski na rękach – sprawia, że odwracam się w stronę drzwi. Czuję się nieswojo, prawie się spodziewam, że znów zobaczę Fletchera. Czeka mnie jednak niespodzianka innego rodzaju.

– Tato?

– Cześć, Kyla. Cześć, Penny. Gotowa? – Uśmiecha się, ale nie dodaje mi to otuchy. Nie widziałam taty od czasu, kiedy dostrzegłam go późno w nocy przez okno. Z tego, co wtedy podsłuchałam, wywnioskowałam, że nie jest w dobrym humorze, w dodatku do rana zdążył zniknąć. Wstaję i ruszam do wyjścia.

– Trzymaj się, Kyla – żegna się Penny.

– Dzięki.

Wsiadamy do samochodu taty, ale on zamiast skręcić w lewo do domu, kieruje się w prawo.

– Pomyślałem, że zrobimy sobie przejażdżkę i pogawędzimy po drodze.

– Okej – odpowiadam, lecz czuję się niepewnie. „Chce porozmawiać, tak żeby nie było przy tym mamy”. – Wszystko w porządku? Myślałam, że wracasz dopiero w niedzielę.

– To ja powinienem zapytać, czy u ciebie wszystko w porządku. Słyszałem o tobie różne rzeczy. O tobie i twoim przyjacielu Benie.

– O.

– „O”. Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Mówi swobodnym tonem, uśmiechem i miną wprowadza miły nastrój, lecz jego słowa świadczą o czymś przeciwnym. „Uważaj”.

– Przykro mi. Co masz na myśli?

– Nie kupuję tego.

– Czego?

– Tych wielkich oczu niewiniątka, tego całego przedstawienia. Jesteś jakoś zamieszana w to, co się wydarzyło. Teraz posłuchaj. Mama mnie przekonała – tym razem – żeby nie ruszać sprawy. W moim najlepszym interesie leży, żeby nie wyszło na jaw, że kręcisz coś tuż przed moim nosem. I szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, z czym mogłaś wyskoczyć tym razem. Ale to ma się nie powtórzyć. Nie w moim domu. Nie wszystko zależy od decyzji mamy; są rzeczy, na które mama nie ma wpływu. Ogarniasz?

Jest milion rzeczy, które bym mogła powiedzieć. Zaprzeczyć oskarżeniom ukrytym za jego słowami; powtórzyć oficjalną wersję zdarzeń; płakać i udawać, że nie rozumiem.

– Tak, ogarniam – mówię. Splatam dłonie, żeby powstrzymać ich drzenie. „Użyj strachu; nakarm nim gniew”.

Tato kiwa głową.

– To była jedyna odpowiedź, jakiej mogłaś udzielić, żebym cię nie zwrócił, od zaraz.

Dalej prowadzi w milczeniu. Zataczamy pętlę wokół wsi i podjeżdżamy pod nasz dom.

– Do tej pory byłaś zbyt sprytna. Uważaj, żeby się trzymać z dala od kłopotów.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Następuje bezsenna noc. Zbyt wiele strapien kręci się w mojej głowie, domagając się uwagi. Poranny budzik odzywa się za wcześnie, ale nie ma mowy, by znów się wymówić od szkoły. Grzeczna mała Zresetowana nie może się wychylać, powiedziano mi wyraźnie: mam się trzymać z daleka od kłopotów. Ale jak mogę dziś przetrwać dzień, być zwykłą, udawać, że wszystko w porządku? Jak? „Stawiaj nogę za nogą; idź krok za krokiem”.

Zwlekam się więc z łóżka. Wkładam mundurek, czeszę się. Udaję, że jem śniadanie. I w szarej mżawce czekam na autobus, ciasno opleciona własnymi ramionami, drżąca z chłodu, który spada z nieba i przenika głęboko do kości. Jazz nie podwozi mnie dzisiaj, ponieważ Amy jest na swojej praktyce.

Kiedy podjeżdża autobus, nie mogę się zmusić do zajęcia miejsca z tyłu, siadam więc na jedynym wolnym, jakie pozostało. Dopiero w połowie drogi do szkoły przypomina mi się, że to miejsce Phoebe. Łowię kilka najeżonych spojrzeń. Nie podoba im się, że tu siedzę, ale czy ktokolwiek choć zauważył, że zniknął jeden Zresetowany chłopiec z tylnej kanapki?

Ani na zajęciach, ani na przerwach nie słyhać szeptów o tym, g d z i e s i ę p o d z i a ł B e n a. Nie tak jak wtedy, gdy zabrano Phoebe. Nie żebym mogła odpowiedzieć na pytania, ale ich brak jest dla mnie dotkliwy. Czy to dlatego, że nie zauważyli, nie obchodzi ich, czy raczej boją się zapytać?

Potem przychodzi ten moment: wlokę się na biologię. Bałam się tej lekcji od dawna. Nie ma przy mnie Bena, a Hatten swoim wszystkowiedzącym spojrzeniem pewnie mnie przejrzy na wylot. Gdy wczytujemy swoje karty i siadamy, stoi z przodu sali. Dziś ma na sobie granatową koszulę, która podkreśla brak koloru w jego bladoniebieskich oczach. Uśmiecha się uwodzicielsko, dziewczyny wzdychają. Zaczyna lekcję, lecz chwilę potem przerywa. Rozgląda się po klasie.

– Brakuje dziś kogoś?

Uczniowie krzyżują spojrzenia i teraz orientują się: wiedzą. Spozregli, że nie ma Bena, lecz jest to temat tabu. Nie rozmawia się o nim. Nikt nie odpowiada.

– Dajcie spokój – mówi Hatten. – Miałem z wami tylko kilka lekcji, nie znam jeszcze wszystkich imion i nazwisk. Kogo nie ma?

„Siedź cicho. Spokojnie”.

– Bena. Nie ma Bena Nixa. – Słowa wyskakują ze mnie bezwiednie, jakby

mi coś kazało wypowiedzieć jego imię i nazwisko na głos. Żeby się stał rzeczywisty, nie jak ktoś, kto nigdy nawet nie istniał, kto się nie liczy.

– Gdzie jest? – pyta Hatten z oczyma utkwionymi w moich. Coś w nich dostrzegam, iskrę rozbawienia, jak u kota bawiącego się myszą, którą przygniół łapą. „Hatten wie”.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam najzupełniej zgodnie z prawdą.

– Ktoś wie? – Nauczyciel rzuca pytanie do klasy. Cisza. – Nikt? Może Ben nie czuje się dobrze.

Po tym przerywniku prowadzi dalej lekcję.

– Kyla? Zaczekaj. Proszę cię na słówko. – Hatten z uśmiechem przytrzymuje drzwi klasy, przez które jak najwolniej, niechętnie wychodzą ostatnie dziewczyny. Na odchodnym rzucają mi spojrzenia czystej pogardy i wrogości.

Hatten wychyla się z sali, rozgląda po korytarzu, po czym wraca do środka i zamyka za sobą drzwi. Opiera się o nie.

Uśmiecha się maniakalnie – szeroki uśmiech czystego zachwytu.

– To ty! – oznajmia.

– Co? Co pan ma na myśli?

– To ty. Wiedziałem, że to zrobisz.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Idzie w moją stronę, a ja cofam się, ale wybieram zły kierunek. Kąt sali. Hatten zbliża się i szczerzy w uśmiechu. Jestem w pułapce. Kładzie rękę na ścianie za moimi plecami. Żadnego dotyku, ale stoi tak blisko, że od ciepła jego ciała przebiegają mnie ciarki. Nachyla się nade mną.

– Słyszysz głosy, Kyla czy jak tam ci teraz na imię? Głosy w swojej głowie – szepcze.

W uszach głośno mi dudni własne serce: „ł-łup, ł-łup!”.

– Posłuchaj głosów. Co ci mówią?

„Wiej!”.

Wyrывam się, rzucam do drzwi.

– Jakie to uczucie? – woła za mną.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, nie mogę się oprzeć.

– Co za uczucie? – pytam.

– Wiedzieć, że zabiłaś Bena. Że nie żyje i że to twoja wina.

– Nie zrobiłam tego! Ja... – Jeżeli na mojej twarzy był jeszcze jakiś kolor, to teraz odpływa. – Czy on naprawdę nie żyje? – szepczę.

Hatten uśmiecha się.

– Jak myślisz?

„Wiej!”.

Wypadam przez drzwi i pędzę korytarzem, a potem przez szkołę. „Na bieżnię”.

Robię dwadzieścia okrążeń, zanim sobie przypomnę: pani Ali zabroniła mi biegać na przerwie śniadaniowej. Skupiam się. Nie, to niezupełnie tak. Zabroniła mi biegać z Benem na przerwie śniadaniowej. A Bena tu nie ma, prawda? Ale zostawiam sobie zapas czasu na prysznic po biegu.

Dziś po szkole wybieram się dokądś.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Po lekcjach czekam na Jazza przy jego wozie.

– Cześć! – wita się. – Nie pomyślałbym, że mimo wszystko chcesz jechać. Zmuszam się do uśmiechu.

– Ale jedziemy? – rzucam zdawkowo, jakby planowane odwiedziny u Maca nie były niczym wielkim. Dla mnie jednak to wielka sprawa. Myśl o konfrontacji z Aidenem, skupienie na gniewie – tylko dzięki temu nie rozpląnęłam się w kałużę. „On nie żyje i to twoja wina”. Nie. Jeśli faktycznie nie żyje, to wina Aiden. Aiden i Maca.

– Jasne – odpowiada Jazz. – Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Jedźmy.

Jesteśmy już daleko od szkoły, gdy zdobywam się na odwagę, by spytać:

– Jazz, czy Ian dowiedział się czegoś o Benie?

Przechyla głowę z boku na bok. Wygląda, jakby mi nie chciał odpowiedzieć.

– Powiedz! Co tylko wiesz. Proszę, muszę wiedzieć.

– Niewiele tego. Zdaje się, że nic, czego byśmy i tak nie wiedzieli.

– Ale i tak powiedz.

– Mama Iana przyjaźni się z mamą Bena. Powiedziała jej, że kiedy zjawili się sanitariusze, reanimowali go i odratowali, ale nie oddychał sam. Może za długo nie oddychał w ogóle, zanim przyjechali. Jednak nie wie, co dalej, bo kiedy się pojawili Lorderowie, wyrzucili ją. Potem karetki pojechały, a za nimi Lorderowie, ale nie śpieszyły się do szpitala, nie jechały na sygnale, więc obawiała się najgorszego. Nie powiedzieli jej ani co się stało, ani dokąd go zabierają.

Nie odzywam się. Mrugam intensywnie i gapię się w okno. Żywy czy martwy, zabrali go Lorderowie. Co można powiedzieć?

Jazz bierze ostatni zakręt i wkrótce wtaczamy się na podwórko Maca. Parkujemy od frontu.

– Kyla, jeszcze jedno. Mama Bena dała Ianowi coś dla ciebie.

– Co?

– Jest w bagażniku.

Wysiadamy i Jazz kopie w bagażnik – mocno i tak długo, aż kłapa się podniesie.

– To lepsze niż kluczyk – stwierdza.

W środku leży kartonowe pudełko, właściwie pudło.

– No, dalej – ponagla Jazz, więc otwieram pokrywę.

W pudle stoi coś owiniętego w papier. Odrywam go od góry i widzę metal. Metalowe pióra! To sowa. Pewnie ją skończyła. Przesuwam palcami po skrzydle.

– Powiedziała, że Ben prosił, żeby ją dla ciebie zrobiła, więc chce ci ją dać – wyjaśnia Jazz.

– Nie wiedziałam – szepczę.

Przywołała to stworzenie do życia w oparciu o mój rysunek. Jest takie piękne. I od Bena. Jego mama dała mi swoją rzeźbę, choć pewnie się zastanawia, czy nie miałam czegoś wspólnego z tym, co się wydarzyło. Nie zdobyłaby się na ten gest, gdyby wiedziała, co zrobiłam. Zaczynają mnie szczypać oczy, mrugam, żeby odgonić łzy. „Nie możesz jej zatrzymać”. Mina mi rzednie.

– Nie mogę jej zabrać do domu. Jak wyjaśnię, skąd się wzięła?

– Też tak sobie pomyślałem. Dlatego przywiozłem ją dzisiaj. Założę się, że Mac może ją dla ciebie przechować. Zapytajmy go. – Wyjmuje pudło z bagażnika. – Chodźmy.

Idę za nim do domu. Mama Bena nie dałaby mi swojej rzeźby, gdyby wiedziała, skąd Ben wziął pigułki. Gdyby wiedziała, jaką odegrałam w tym rolę. „On nie żyje i to twoja wina”.

Jazz otwiera drzwi.

– Hej tam! – nawołuje.

Mac wychodzi z kuchni.

– Cześć. Jak się masz, Kyla? – wita się z półuśmiechem, lecz oczy ma smutne. Wie o Benie. – Chcecie herbaty?

– Herbaty? – Jazz udaje obrazę. Idzie do szafki z piwem.

Mac napełnia czajnik i podczas gdy woda się grzeje, wysyła Jazza za dom, żeby obejrzał nowy samochód, nad którym teraz pracuje.

Opieram się o szafkę kuchenną.

– Jest u ciebie Aiden?

– W tylnym pokoju – odpowiada Mac. – Bardzo mi przykro z powodu Bena. Fajny był z niego gość.

Na jego twarzy maluje się smutek, ale gdyby nie on, Ben nigdy by nie poznał Aidena i nie dostał pigułek. „Gdyby nie ja”.

– Czy jest coś... – zaczyna mówić Mac i kładzie mi rękę na ramieniu, ale ją strącam. Mam zamiar wyładować na nim gniew, powstrzymuję się jednak na razie.

– Chcę pogadać z Aidenem.

– W porządku. Lepiej, żeby Jazz nie wiedział o nim ani go nie spotkał, okej? Zatrzymam go na chwilę. Powiem mu, że chciałaś побыć trochę sama.

– Jasne. Cokolwiek.

Idę korytarzem do pokoju z komputerem i otwieram drzwi.

Aiden siedzi przy biurku z głową opartą na rękach. Podnosi wzrok.

– Cześć – mówi. Oczy ma szeroko otwarte, okrągłe. Ciemnoniebieskie tęczęwki odcinają się na tle bladej skóry. – Mac właśnie mi powiedział o Benie. Nie mogę uwierzyć. – Wstaje i wyciąga do mnie rękę, ale odwracam się, żeby zamknąć drzwi, i ręka mu opada.

– Co wiesz? – pytam.

– Tylko tyle, ile się dowiedziałem od Maca, który, jak sądzę, wie to od kuzyna. Że Ben przeciął sobie Levo. – Potrząsa głową. – Dlaczego to zrobił?

– Czyli naprawdę nie wiesz? – upewniam się zniesmaczona.

– Co masz na myśli?

– Dałeś mu te pigułki, a one tak na niego podziałały. I powiedziałaś, że ci z ART przecinają Levo i że to działa. To ty mu to zrobiłaś! – wołam podniesionym, piskliwym głosem.

– Nie tak głośno – upomina, zerkając na okno.

– Uciszą mnie od wielu dni, nie pozwalają mówić. Więc teraz powiem, co zechcę, a ty mnie wysłuchasz.

– Słucham – mówi spokojnie, w skupieniu.

– Te tabletki to nie były zwykłe Pigułki Radości, prawda? Nie tylko sprawiają, że poziom idzie w górę. Robią coś jeszcze.

Aiden pochyla głowę.

– To prawda – odpowiada. – Powstrzymują Levo, żeby nie dominowało nad tym, jak człowiek myśli.

– To one go do tego skłoniły!

Aiden potrząsa głową.

– Tak nie działają. Po prostu pozwalają, żeby człowiek myślał bardziej po swojemu.

Teraz ja potrząsam głową, nie zgadzając się z nim. Ale to brzmi bardzo podobnie do tego, co mówił Ben.

– Rozumiem twój gniew o to, co się stało. Jednak to nie moja wina. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Sam własny tok myślenia nie doprowadziłby do tego. Musiało się coś wydarzyć; coś, co go popchnęło. Przez co poczuł, że to jedyna opcja.

Gapię się na niego ze zgrozą. Tym „czymś”, co się zdarzyło, był Wayne.

I fakt, że Ben nie mógł mnie bronić. „To twoja wina”.

Oplatam się ramionami, gniew i rozżalenie mieszają się w moim sercu.

– Nie – mówię. – To nie tak. Gdybyś mu nie dał pigułek, nigdy by do tego nie doszło.

Aiden wzdryga się.

– Przykro mi, Kyla. Bardzo przykro. Ale przemyśl to sobie. Stało się tak nie przez to, że mu dałem pigułki, ani przez to, że Mac mnie zaprosił, ani przez to, że Jazz cię tu przywiózł.

Gapię się na niego, mało nie wychodząc z siebie. Prawie jakby mi czytał w myślach, idąc za moim rozumowaniem. Ale nie może odebrać mi gniewu. Potrzebuję go. A skoro wszyscy oni zostają wykluczeni, jedyną osobą, którą mogę obwiniać, jestem ja sama.

– Więc czyja to wina? – szepczę.

– Pomyśl o tym. Kto zresetował Bena? Kto mu dał Levo z bombą-pułapką uruchamiającą się przy usuwaniu? Kto robi takie rzeczy?

– Lorderowie. To oni.

– Teraz widzisz, dlaczego to, co robimy, jest tak ważne. Musimy pokazać światu, czego się dopuszczają. Pomóż mi w ZWA.

„Niebezpieczeństwo”. Potrząsam głową, cofam się. Nie. Po wszystkim, co się wydarzyło, on wciąż żongluje słowami, manipuluje wypadkami, żeby mnie wciągnąć i skłonić do współpracy. To, co mówi, brzmi rozsądnie, ale jest pułapką. Gdyby nie Aiden, Benowi nic by się nie przytrafiło. A co się stanie ze mną, jeśli mu pomogę? Jakiegokolwiek wykroczenie poza linię i tato mnie zwróci, tak powiedział. On, Coulson i jego Lorderowie, i pani Ali: wszyscy obserwują każdy mój ruch. I doktor Lysander z tym jej: „Powiedz mi, w czym jesteś inna, Kyla”. Oni i Aiden napierają na mnie z wszystkich stron. To polowanie, a ja jestem zwierzyną.

– W porządku, Kyla? – pyta Aiden, w końcu uświadamiając sobie, że coś przeoczył. Że moje Levo ani razu nie zawibrowało przy tym wszystkim. Spogląda z zaciekawieniem na mój nadgarstek, ale zakrywam go drugą ręką.

„Podtrzymuj gniew”. Idę w stronę drzwi.

– Jeżeli jest coś, co mógłbym zrobić, cokolwiek... – Milknie w połowie zdania.

Zatrzymuję się.

– Jest coś. Dowiedz się, co z Benem.

Nie mówi nic. Odwracam się. Na jego twarzy maluje się smutek.

– Kyla, przykro mi. Mało prawdopodobne, że Ben przeżył. Ale jeśli tak,

zabrali go Lorderowie. To nie potrwa długo.

– Dowiedz się – powtarzam.

– Jeżeli coś ustalę, dam ci znać przez Maca. – Ale tak mocny nacisk kładzie na „jeżeli”, jakby uważał to za zamkniętą księgę.

Zostawiam go i zamykam drzwi.

Mac i Jazz wciąż są za domem, ale nie idę do nich. Jeszcze nie. Smutek zagraża gniewowi. Nie mogę się skupić na tym drugim, chwięję się i poziom zaczyna mi spadać. Skręcam do kuchni, a tam na stole stoi pudło z sową. „Nie będzie ci od tego lepiej”.

Zdejmuję z rzeźby resztę papieru, wyciągam ją, stawiam na stole.

Jest wspaniała. Ostatnim razem, kiedy ją widziałam, skrzydła nie były ukończone, a teraz są i rozpościerają się na ponad metr szerokości. To niesamowite, jak wszystkie te odmienne metalowe części połączono razem, aby tworzyły coś więcej niż zbiór elementów. Leciutko dotykam skrzydeł, ostrych szponów, dzioba. Piękne samotne stworzenie, ale śmiertelnie niebezpieczne dla kogoś, kto jest myszą. Wodzę palcami po grzbiecie ptaka. Co to jest? Muśnięcie, cichy szelest, jakby się coś oblużowało. Odwracam sowę, by się jej lepiej przyjrzeć.

Trudno to dostrzec. Małeńki rożek bieli. Ledwie udaje mi się go złapać dwoma paznokciami i pociągnąć. Spomiędzy kawałków metalu wyłania się kwadratowa karteczka.

Liścik?

Ręce mi się trzęsą, gdy ją rozkładam.

Kochana Kylo,

jeżeli znalazłaś tę kartkę, to znaczy, że poszło bardzo źle. Przykro mi, że sprawiam Ci ból. Wiedz jednak, że to była moja decyzja i tylko moja. Nikogo innego nie należy winić.

Kocham Cię,

Ben

Tej nocy sen znów mnie omija. Poziom waha się w okolicach czwórki, a głupie Levo wibruje za każdym razem, gdy prawie odpływam. Chcę ciemności, czerni, milczenia, żeby niczego nie czuć ani o niczym nie myśleć. Ale ten stan nie przychodzi. Jestem sama w swoim pokoju, nawet Sebastian nie odgania dziś ode mnie demonów.

W końcu nie mogę już dłużej wytrzymać bezruchu i idę na dół, żeby się napić. W pokoju od frontu pali się światło. Zaglądam przez drzwi – mama siedzi z książką w ręce i Sebastianem na kolanach.

– Jak można żyć z tym wszystkim? – pytam.

Mama z lekkim drgnieniem podnosi wzrok i spostrzega mnie w drzwiach. Odkłada książkę.

– Wszystkim?

– Złe rzeczy przydarzają się ludziom, na których nam zależy. Jak twoim rodzicom. I twojemu synowi.

– Chodź tutaj. – Mama wyciąga rękę i podchodzę, siadam obok niej na kanapie. Chwyta moją dłoń.

– Powinnam umieć ci na to odpowiedzieć, ale nie potrafię. Nie ma odpowiedzi. Po prostu żyjesz dalej, dzień za dniem. Po jakimś czasie robi się łatwiej.

Mama przygotowuje gorącą czekoladę, przykrywa nas kocem i zostajemy na kanapie. Ona czyta, Sebastian mruczy, a ja w końcu zasypiam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Dziś muszę się zachowywać, jakby nigdy nic. I nie chodzi tylko o oficjalną wersję dotyczącą Bena, której się mam trzymać; nie tylko o powiązanych z tym ludzi i wydarzenia, o których nie wolno mi wspomnieć. Ostatnim razem doktor Lysander chciała się ode mnie dowiedzieć, dlaczego jestem inna od pozostałych Zresetowanych.

A ja wiem. W końcu się domyśliłam, na czym polega moja odmienność, choć nadal nie rozumiem, skąd się wzięła. Kiedy obudziłam się rano przymulona i zeszytniała od spania na kanapie, odpowiedź była w mojej głowie.

To wszystko wiąże się z gniewem.

Levo działa bez zarzutu, gdy z jakiegokolwiek powodu jestem smutna, zdenerwowana lub przygnębiona – poziom spada, jak się należy spodziewać. Może nawet spaść tak nisko, że się wyłączę. Lecz kiedy się wystraszę lub zezłoszczę, nie działa. Wręcz przeciwnie, zdaje się chronić wysoki poziom. A jednak Levo ma głównie za zadanie powstrzymywać Zresetowanego przed czynami popełnianymi w gniewie, aby zapobiec aktom przemocy, które mógłby wymierzyć sam w siebie lub w innych.

U mnie to tak nie działa.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że jeśli ktokolwiek to u mnie zauważy, przejdę do historii. Doktor Lysander może być zaintrygowana i zechce mi gmerać w mózgu, żeby dociec, jak lub dlaczego do tego doszło. Ale nawet ona nie przeciwstawi się komisji, Lorderom. „Nie będzie więcej Kyli”.

Moja pokerowa twarz znacznie się poprawiła, ale nie mogę na niej w pełni polegać. Bez względu na to, co się zdarzy, nie wolno mi wpaść w gniew. Ani tutaj w szpitalu, ani w szkole, gdzie obserwują mnie czyjeś oczy. Wcale. „Powodzenia”.

Ha.

Jedyny sposób, jaki znam, to dopuścić do siebie ból, żal, poczucie straty. Wszystko, co próbowałam blokować, odkąd Ben... Przełykam ślinę.

„Bzzz...”

Zerkam na Levo: 4,4.

Z a d u ż o.

– Wejdz! – woła doktor Lysander i ruszam do jej gabinetu.

– Usiądź, Kylo. – Uśmiecha się lekko i stuka palcami w ekran.
Siadam. Doktor w końcu podnosi wzrok.
– Nie będę pytać, jak ci się wiodło. Z wykresów widzę, że nie za dobrze.
– Zgadza się.
– Opowiedz mi o Benie – prosi łagodnym, zachęcającym głosem. Dziwny dodatek do znanych mi jej cech: w s p ó ł c z u c i e.
– Ben był moim przyjacielem w szkole. I w mojej Grupie. Właściwie moim jedynym przyjacielem.
– I co się wydarzyło?
– Nie przyszedł do szkoły i martwiłam się o niego. Poprosiłam chłopaka Amy, żeby mnie zawiózł do Bena, ale pod jego domem stały dwie karetki pogotowia i auto Lorderów. Zabrał mnie do domu i tam się wyłączyłam. A Ben nie wrócił do szkoły, nie chodzi już na Grupę, nikt nic o nim nie mówi! Jakby nigdy nie istniał, nikomu nawet na nim nie zależy. – Krew mi przyśpiesza, dłonie same zaciskają się w pięści, ale każę im się rozluźnić, zmuszam się do spokojnego oddechu.
– Mnie zależy, Kylo.
– To może mi pani powiedzieć, co się z nim stało? Proszę.
– Uczciwie mówię, że nie wiem. Nie dotyczy to mnie, o ile nie jest pacjentem tego szpitala. Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.
– A może się pani dowiedzieć?
– Nie, nie mogę – odpowiada łagodnie. – Ale wiesz, Kyla, czego was uczono o Levo. Nie można zdjąć obręczy, nie powodując bólu, drgawek i śmierci. Poziom spada za szybko, żeby się dało zniszczyć czujnik, zanim nastąpi śmierć noszącej go osoby.
– Na pewno? – szepczę. – Nie ma żadnej szansy...?
– Zawsze jest małe prawdopodobieństwo, że sprzęt będzie uszkodzony. Że coś pójdzie nie tak podczas operacji albo z wszczepionym chipem. Nic nie jest zupełnie wolne od błędów czy usterek. Moja praca polega na zminimalizowaniu tego prawdopodobieństwa, a jeśli cokolwiek pójdzie źle, staram się określić przyczyny. – Przechyla głowę. Czy myśli o pytaniu, które mi ostatnio zadała?
„Niebezpieczeństwo! Dopuszczaj ból”.
Ale nie mogę go znieść...
„Musisz”.
Przywołuję w pamięci twarz Bena. Jak wyglądał, kiedy się śmiał. Biegł szybko jak wiatr. Trzymał mnie za rękę. „Kocham Cię, Ben” – podpisał się pod liścikiem. Na wszystko to nakładam obraz, gdy go ostatni raz widziałam –

w drgawkach, w bólu – i zostawiłam. Zostawiłam i uciekłam, żeby ratować siebie. Gorące łzy napływają mi do oczu.

„Bzzz...”. 4,2.

„Bzzz...”. 3,7.

Doktor Lysander włącza interkom, mówi coś do niego. Pojawia się pielęgniarka. Rozmawiają nad moją głową i zaraz pielęgniarka dźga mnie igłą w ramię. W ciele rozlewa mi się miłe ciepło, poziom podnosi się powoli.

Pielęgniarka wychodzi, a doktor stuka w swój ekran, zerka na mnie kilka razy, po czym rozsiada się w swoim krześle.

– Dość na dziś – stwierdza. – Ale Kyla, uwierz mi, kiedy mówię: najlepiej o nim zapomnij. Jednak jeśli nie możesz, z czasem robi się łatwiej.

Mówi to w jakiś taki sposób... jak mama.

– Pani wie? – szepczę.

– Co masz na myśli?

– Wie pani, prawda? Też pani kogoś straciła, zdarzyło się coś strasznego.

Nerwowe drgnienie – dotknęłam czułego punktu. Przez krótką chwilę w jej oczach błyska ból, coś prawdziwego, ale zaraz znika. Mina pozostaje obojętna. Ona też stosuje twarz pokerzysty.

– Idź już, Kyla – mówi. Temat zamknięty.

Wstaję i zmierzam do drzwi.

– O, i Kyla? Nie zapomniałam, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem. Tyle że dziś do tego nie wracamy.

Więc tylko krótkie odroczenie. Co się odwlecze...

Dopiero późnym wieczorem, gdy leżę w łóżku, mając nadzieję na sen, uświadamiam sobie swój błąd. Według oficjalnej wersji nie powinnam wiedzieć, że Ben próbował przeciąć sobie Levo. Ale kiedy doktor Lysander zaczęła o tym mówić, nie zapytałam, czemu porusza tę sprawę, nie okazałam zdziwienia, nic z tych rzeczy.

Ups. P o t ę ż n e, o g r o m n e u p s.

Potem dociera do mnie coś jeszcze. Jeżeli doktor naprawdę nic nie wie o Benie ani nie ma pojęcia, co mu się przydarzyło, też nie powinna mówić o usuwaniu Levo.

Kłamała.

Otacza mnie absolutna ciemność. Otwieram szeroko oczy, i jeszcze szerzej, ale jestem w atramentowej czerni. Nic nie widzę. Nie zniosę tego! Obijam się

o otaczające mnie zewsząd ceglane ściany. Tworzą tak ciasny krąg, że nie ma miejsca, żeby porządnie rozprostować ramiona, nie da się nawet usiąść. Żadnego zaczepienia dla palców, by się wspiąć.

Musi być jakaś droga wyjścia.

Wieża Roszpunki miała okno, a ona sama – długie włosy. Ja mam wyłącznie ciemność, paznokcie, pięści i stopy.

I gniew. Walę pięściami i kopię w ściany – raz za razem. I nic. Aż w końcu, wyczerpana, osuwam się na ścianę. I wtedy wyczuwam to dłonią.

Odrobina zaprawy jest luźna! Jedno miejsce, poniżej wysokości talii. Drapię i skrobię raz za razem, nie przejmując się złamanymi paznokciami ani krwią na otartej skórze. Ręce się goją, wiem to aż za dobrze. Wreszcie maleńki przebłysk światła. Omal nie płaczę z ulgi. Kuszący, ale znajduje się za nisko, żebym przez niego wyjrzała. Wiercę się i próbuję zniżyć, jednak w tak ciasnej przestrzeni nic to nie daje.

Dość! Wyję z wściekłości.

Wypuście mnie!

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Śpię do późna i gdy w końcu otwieram oczy, jestem zaskoczona, że mama pozwoliła mi na to. Mimo że jest niedziela. Kiedy w nocy obudził mnie sen, musiałam zostawić zapalone światło, nie mogłam znieść gęstej, ciężkiej ciemności. Leżałam, rozmyślając, aż w końcu wyjęłam szkicownik i rysowałam przez długie godziny. Zasnęłam, dopiero gdy weszło już słońce.

Co ten mój sen oznacza?

Jeśli mój gniew jest w uwięzieniu, powinien tam pozostać. Nie odejmie mi bólu, najwyżej go odwlecze. Nie powstrzymam tego, co czuję w związku z Benem ani czymkolwiek innym. Tak samo jak nie przestanę być tym, kim jestem. Ani nie wyprę się tego, kim kiedyś byłam.

Wszystkie te skrawki snów: ulotne fragmenty prawdy i półprawdy, prawdziwe czy urojone zdarzenia. Jak mogę je rozdzielić? Nie da się.

Nie mogłabym też powiedzieć, że doktor Lysander kłamała. Jak mogę być pewna, że to, co chciał zrobić Ben, faktycznie było złe?

Aiden ma rację. Jeżeli Ben umarł, wina leży wyraźnie po stronie Lorderów i ich szpitali. Władzy i takich lekarzy jak moja pani doktor. To oni są wrogami. Nie Aiden.

„Tak! Skup swój gniew na nich!”

Nie. Tu właśnie Ben się mylił. Chciał dołączyć do terrorystów. Uważał na to, co mówi. Nie chciał, żebym wiedziała cokolwiek, co spowodziłoby na mnie kłopoty. Nie ma nic, co mogłoby mnie powiązać z tym, co zrobił czy zamierzał zrobić, ale jestem pewna, że właśnie do nich się wybierał.

Nie pójdę w jego ślady.

Odpowiedzi Aidena są niebezpieczne. Ale sposób, w jaki dąży do celu, wydaje się w porządku.

Wyciągam swoje nocne szkice i oglądam je. Zaginieni. Ben, Phoebe, a nawet Lucy. Nie mogę się od nich odwrócić. Świat musi się dowiedzieć. A przede wszystkim ja muszę się dowiedzieć, co się stało z Benem.

Na dole Amy odrabia w kuchni lekcje. Taty wciąż nie ma. Mama gotuje zupę. Uśmiecha się, kiedy wchodzę.

– Wreszcie się obudziłaś. Widzę, że dodatkowy sen dobrze ci zrobił.

Odpowiadam uśmiechem. Nie spałam zbyt długo. Raczej chodzi o to, że

zamiast walczyć sama z sobą, teraz wiem, co chcę zrobić. Co muszę zrobić. To sprawia, że wyglądam na wypoczętą, co pewnie się nie zdarzało, odkąd poznałam Aidenę.

– Idę na spacer – oznajmiam.

Mama wygląda przez okno. Słońce świeci, lecz od zachodu nadciągają ciężkie, czarne chmury. Pokrywają już pół nieba.

– Więc lepiej się pośpiesz – mówi.

– Mogę iść z tobą? – pyta Amy.

– Nie. Chcę się przejść sama.

– Trzymaj się głównych dróg, Kyla! – woła za mną mama.

Idę przez wieś, mijam dróżkę, którą kiedyś spacerowałam razem z Amy i Jazzem. Gdzie Ben i ja poszliśmy – nie: pobiegliśmy – przodem, a potem zdarzyło się tyle rzeczy.

Docieram do końca wsi, mijam jakieś gospodarstwo, wspinam się w stronę zagajnika. Już mam zawracać, gdy łowią okiem jakiś ruch.

Odwracam się. Początkowo niczego nie dostrzegam. Uważnie przesuwam wzrokiem po polach, drzewach... i oto jest. Sowa, przycupnięta na słupku ogrodzeniowym. Śnieżnobiały ptak patrzy w moją stronę, obserwuje świat, jakby ten należał do niego. Ale jest dzień, nie noc, a nawet ja wiem, że sowy to zwierzęta nocne.

Tej sowie chyba jednak nikt tego nie powiedział.

Wpatruję się w nią zafascynowana.

Ptak odpowiada takim samym spojrzeniem i ruszam w jego stronę. Schodzę z drogi na ledwie widoczną ścieżkę biegnącą między ogrodzeniem a lasem. Zbliżam się na tyle, że mogę zajrzeć sowie w oczy, przyglądać się piórom. Lecz sowa odlatuje. Rozpościera duże białe skrzydła, jak tamta metalowa rzeźba. Wzbija się w powietrze i zaraz znów ląduje. Tym razem na bramce po drugiej stronie pola. Jakies dwadzieścia metrów dalej. Znów na mnie spogląda, wzrok ma utkwiony w moich oczach.

Czeka?

Znowu idę w jej stronę. Powtarzamy ten taniec kilkakrotnie. Za każdym razem skracam dzielącą nas odległość o połowę. Ptak odlatuje, a potem czeka, aż się zbliżę. Ciągnie się to przez dłuższą chwilę, zagłębiam się w las i zaczynam sobie uświadamiać, że beznadziejnie zabłądziłam. Wyłączył się mój wrodzony zmysł orientacji. Śledząc lecącą sowę, nie zwracałam uwagi na to, dokąd mnie niosą nogi. Niebo pokryło się ciemnymi, wściekłymi chmurami,

które zasłaniają słońce. Niedługo lunie deszcz. Sowa siedzi tym razem na gałęzi – na tyle wysoko, że nie odlatuje, gdy do niej podchodzę.

– Dzięki – mówię do niej. – Masz mnie, co teraz zrobisz?

Wpatruje się we mnie intensywnie, przechyla łebek. Patrzy nad moją głową i nagle wzbija się do lotu, wysoko ponad drzewa. Znika mi z oczu.

– A co chcesz, żebyśmy z tobą zrobili? No, no.

Odwracam się na pięcie.

To on: Wayne. Murarz.

Mrugam, nie wierząc własnym oczom.

– Śledziłeś mnie? – pytam i zaczynam się cofać.

– No, tak, szedłem za tobą. Dość napatrzyłaś się na mnie. Pomyślałem, że teraz ja popatrzę na ciebie. – Uśmiecha się, ale właściwie tylko szczyrzy zęby, w jego oczach nie ma uśmiechu. Robi krok w moją stronę.

Znowu się cofam. Odwracam się, żeby uciec, ale zahaczam nogą o korzeń.

Wayne porusza się szybciej, niż się spodziewałam. Łapie mnie i wykręca mi rękę. Popycha na pień drzewa.

– Tym razem nikogo tu nie ma, żeby ci pomógł – sapie mi prosto w ucho i zaczyna mnie obmacywać. Próbuję się wyrwać. – Głupia dziewczucha. Po prostu bądź grzeczna. Wiesz, że tego chcesz. Poza tym jeśli się zdenerwujesz i zezłościysz, to cię wyłączy. I może nawet... umrzesz.

Szarpie mnie za włosy i przyciąga moją głowę do swojej. Mięśnie pamiętają. Instynkt bierze górę. Rozluźniam się, przestaję stawiać opór.

– Właśnie tak – mówi Wayne. Pochyla się i całuje mnie, ugniata i drapie, wciska mi język do ust, aż bierze mnie na wymioty. Wykręcam się lekko i z całej siły grzmocę go kolanem między nogi.

I coś... pęka. We mnie.

Prawie słyhać, jak powstaje szczelina, kruszy się. Przebłysk światła przedziera się tam, dokąd do tej pory nie mógł dotrzeć.

Mur.

Wayne, klnąc, osuwa się na kolana, ale wciąż trzyma mnie za włosy i za rękę, pociąga za sobą.

– Resetnięta szmata. Zapłacisz mi za to – parska.

Nie sądzę.

Jest ode mnie o głowę wyższy. Może dwa razy cięższy. Ale mięśnie moich rąk i nóg wiedzą, co robić.

Rzucam się na niego.

Wkrótce jest po wszystkim.

Zostawiam go, cofam się. Ten człowiek, który śmiał mnie dotknąć, teraz leży nieruchomo i krwawi. Ma zmiądzoną szczękę, krew płynie mu z tyłu rozciętej głowy. Czy on... nie żyje?

Zbliżam się o krok, bojąc się wiedzieć i bojąc nie wiedzieć. Pochylam się nad nim. Nie chcę go dotykać, ale wysiłkiem woli kieruję dłoń do jego szyi, żeby wyczuć puls.

Wtem Wayne raptownie otwiera oczy. Odskakuję, ale chwytam mnie mocno za kostkę. Z mojego gardła wydobywa się wrzask, wyrrywam się dziko. Kopię i kopię, lecz jego dłoń jest jak zaciśnięte imadło. Wyciągam rękę i jeden po drugim odginam jego palce . U c i e k a m.

Na łeb, na szyję pędzę przez las. Gałęzie biją mnie po twarzy, potykam się o korzenie, ale prę jak najszybciej naprzód przez splątane zarośla, aż drzewa nagle ustępują miejsca ścieżce. Tak, ścieżce. Szłam tędy. Teraz pamiętam. Logiczna, uporządkowana część mojej osoby przejmuje dowodzenie nad stopami i zwalnia kroku.

Levo pokazuje 6.

Jak to możliwe?

W głowie zaczyna mi coś dziko walić, ręce się trzęsą, nogi płaczą.

– Co ja zrobiłam? – szepczę do drzew. – Jak?

„Ciii”.

– Kto to powiedział?

Obracam się na pięcie, ale jestem sama.

Gdzieś w środku czuję spokój. Buduje się nowy mur, blokujący to, co łączy Levo z moimi myślami i uczuciami. Jest mocny.

– Co ja zrobiłam?

Ale pytania zostają odrzucone, gdy tylko się sformułują.

„Zostaw. Niech tak będzie”.

Znów się odwracam, znowu nikogo nie ma. Głos odzywa się w mojej głowie. Zawsze tam był.

– Kim jesteś? Czy to Lucy?

„Nie. Ta cieniarska beksa zniknęła na zawsze. Jestem... tobą. Tą tobą, która już była”.

– Czego chcesz?

„Żebyśmy były razem”.

– Nie.

„Nie masz wyboru”.

– Nie!

Osuwam się na ziemię.

Intruzka w moim wnętrzu wyciąga cegłę. Szczelina powiększa się, zaprawa się kruszy, cegły drżą i wypadają. Cała wieża się wali.

W moim umyśle przewija się kalejdoskop obrazów – najpierw powoli, a potem z błyskawiczną prędkością. Wirują oszalamiająco, kręci mi się od nich w głowie, czuję, że zaraz mi ona eksploduje, ale nie mogę tego zatrzymać. Wnętrznosci mi się skręcają i wymiotują, znów i znów, aż nie mam już nic w żołądku, ale wciąż mi się dźwiga.

Jak to możliwe? Wspomnienia powinny być wymazane. Co się stało, co się dzieje teraz?

Gapię się w ciemniejące niebo, serce dudni mi głucho o żebra. Stopniowo przestaje mi wirować w głowie, wspomnienia nie domagają się już uwagi i uspokajają się. Uciekają w szpary, gdzie pasują i gdzie nie pasują.

Jak to możliwe? Co to oznacza?

Blade, lodowato niebieskie oczy wiedzą. Zawsze wiedziały. Jego twarz pojawia się w moim umyśle: anielsko uśmiechnięta, kiedy robię, co każe. Nie chcę nawet myśleć o tym, jaka jest, gdy się okaże nieposłuszna.

Aż się zachłystuję powietrzem, przypominając sobie jego imię. N i c o. Pod tym imieniem go znałam, kiedy był w centrum mojego życia. Kontrolował je: ból, przyjemność, pokazywał, jak jedno może się stać drugim. Zupełnie jak miłość i nienawiść. To on mnie nauczył, jak być dwiema osobami naraz: żalną Lucy i jej alter ego. Beksą i wojowniczką. Lucy odeszła, została tylko ta druga. To Nico zmiażdżył palce Lucy cegłą, gdy odmawiała rozłączenia. Ale zrobił to dla mnie, żeby mnie chronić; żebym była bezpieczna, kiedy Lorderowie dobiorą mi się do mózgu. I tak się stało. Zostałam Zresetowana. Więc wszystko, co zrobił tamtej Lucy, ostatecznie uratowało mnie.

Jak on mnie znalazł?

Nie jako Nico. Ale nawet w innych ubraniach i w nowej roli nauczyciela miał ten sam uśmiech. Tylko dla mnie, ignorował pozostałe dziewczyny w sali, szukał wzrokiem wyłącznie mnie. To powolne mrugnięcie.

„Co za suka” – powiedział pierwszego dnia o pani Ali. Wciąż po mojej stronie. Nieważne, że wtedy nie przypominałam sobie, kim jest. Próbował mnie wypchnąć, teraz to widzę, kiedy mówił okropne rzeczy o Benie. Chciał wywlec na wierzch moje ukryte wspomnienia.

Bez względu na to, jak mnie znalazł, on albo jakiś jego przyjaciel terrorysta poturbował panią Fern, żeby trafiła do szpitala, by on mógł zająć jej miejsce w szkole. Nico – lub Hatten, jak się teraz przedstawia – zadał sobie sporo trudu

tylko z jednego powodu. Żeby się znaleźć w świecie Kyli. Moim świecie. Ale czemu?

Oczy mi się rozszerzają.

Czego on ode mnie chce?

Ledwie uformowało się pytanie, już w mojej głowie tłoczą się obrazy – przepychają się jeden przed drugi, szybciej i szybciej. Śmierć i narzędzia śmierci; materiały wybuchowe i burzące, broń palna i substancje zapalające, punkt, w który najlepiej wycelować ukryte ostrze. Nico nauczył mnie sposobów odbierania życia. Nawet gołymi rękami.

Nie!

„Tak. Zapytaj Wayne’a”.

Zrywam się na równe nogi i pędzę wśród drzew jak najdalej od martwego ciała, z powrotem na drogę. „NIE, NIE, NIE, NIE!” – krzyczę w duchu, dudniąc stopami po ziemi. Nie zrobię tego! Nie mogę. Nie jestem kimś takim, już nie.

„A co z Benem?”.

Ben. Płaczą mi się nogi. Patrzę na swoje Levo, bardzo podobne do tamtego, które odcięliśmy od jego życia, być może niszcząc w ten sposób samo życie. 6,2? Przekręcam je z trudem na nadgarstku: nic. Mogłoby przynajmniej zabołeć. Po tym, co robiłam dziś po południu, powinnam być martwa, ze skwierczącym mózgiem wyłączonym na zawsze za sprawą czujnika, który rządził moim życiem od czasu, gdy zostałam Zresetowana. Wciąż mam go na nadgarstku, ale jest w jakiś sposób zablokowany przez nowe zapory, które wzniosłam w swym umyśle.

Ben próbował uwolnić się od swojego Levo, żeby móc działać. Czegoś dokonać.

A oto ja jestem już wolna od tego urzędnika.

Na ramionach wyskakuje mi gęsia skórka.

Opieram się o drzewo i zamykam oczy. Widzę jego tęczówki, brązowe i ciepłe. Spojrzeniem okazywał mi troskę, bez względu na to, kim albo czym kiedyś byłam. Czy czułby do mnie to samo, gdyby znał prawdę?

Nie mogę uwierzyć, że jest zatrzymany, że odszedł na zawsze. Milczący i nieruchomy jak ta metalowa sowa.

NIE uwierzę w to.

Nico może sobie myśleć, że zrobię, co zechce, ale czeka go niespodzianka. Musi zapłacić moją cenę. Pomoże mi odnaleźć Bena, bo inaczej nie zrobię nic ani z nim, ani według jego planów.

Szeptem wypowiadam obietnicę, biorąc na świadków drzewa i wiatr, deszcz,

który zaczyna padać z nieba, i sowę, której lot przyprowadził mnie w to miejsce.
– Odnajdę cię, Ben.

PODZIĘKOWANIA

Ogromne dzięki składam mojej agentce, Caroline Sheldon, za to, że postawiła na mnie i umieściła *Zresetowaną* na wszystkich właściwych biurkach. Dziękuję Megan Larkin za to, że wzięła maszynopis ze swojego biurka i biegła z nim, pomagając ulepszyć tekst; a także Thy Bui i wszystkim w wydawnictwie Orchard Books, którzy przemienili moje marzenia w coś pięknego, co trzymam teraz w rękach.

Bardzo wiele zawdzięczam wszystkim moim przyjaciółom z pisarskiego zakątka Scooby (SCBWI – Society of Children’s Book Writers, Stowarzyszenie Autorów Książek dla Dzieci) oraz byłym i obecnym członkom grupy krytyków. Candy Gourlay i Paula Harrison zawsze towarzyszyły mi we wzlotach i upadkach: dziękuję Wam za wszystkie lancze i dobre rady! Candy, Jo Wyton i Amy Butler czytały wczesne wersje *Zresetowanej* i dzieliły się ze mną cennymi uwagami. Podziękowania składam też Lesley McKennie z Uniwersytetu Bedfordshire za to, że zadawała tyle irytujących pytań, które kazały mi się bliżej i głębiej przyjrzeć temu, co tworzę.

Cofając się w czasie, muszę wspomnieć moją szkolną nauczycielkę angielskiego, Cher McKillop, która twierdziła, że będę pisarką. Nie wierzyłam jej. Wiele lat później to samo powiedziała mi przyjaciółka Kim Walsh. Jeszcze inne głosy i okoliczności skłoniły mnie, żebym spróbowała, i przekonywały, bym próbowała dalej.

Przed *Zresetowaną* były inne opowieści. Nauka pisania to długi i niełatwy proces, często trudno jest na tej wyboistej drodze sięgnąć wzrokiem dalej niż do najbliższej przeszkody. Rady udzielane hojnie przez Anne Fine podczas mojej pierwszej próby pisarskiej pomogły mi wyprostować ścieżkę. Podobnie jak zachęta i wsparcie ze strony Jude Evans.

Szczególne podziękowania należą się uczniom Szkoły Lorda Williama w Thame, a także moim grupom dyskusyjnym z Biblioteki Księżnej Risborough – za to, że mi przypominały, dla kogo piszę i przede wszystkim dlaczego to robię.

A na samym początku byli moi rodzice – wkładali mi książki do ręki od najmłodszych lat, gdy ledwie je mogłam utrzymać. Kiedy nie nadążali, w sukurs przychodziły im biblioteki. Byłam takim dzieckiem, które często zasypia w szkole na lekcji po tym, jak przez całą noc czytało przy latarce pod

kołdrą – żeby go nie przyłapano. Czy bez bibliotek dotarłabym tu, gdzie jestem?
Wątpię.

I na koniec migawka zza kadru: życie z pisarką nie jest łatwe. Graham, Hobbie i wszystkie moje muzy wszędzie – dzięki!

¹ Yorkshire pudding – tradycyjne danie angielskie: upieczone z ciasta naleśnikowego kokilki, które podaje się na gorąco do pieczeni z sosem (przyp. tłum.).

² Kumbria – górzysta kraina na północy Anglii (przyp. tłum.).